
OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

Marek Albinia (red. nac.), Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz, Karol Chylak, Andrzej Chyłek, Michał Janiszewski, Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja-Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

Adres do korespondencji:

ul. Szajnochy 7/2
01-637 Warszawa

e-mail: opinia.ihoo@gmail.com

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Przedruk możliwy za podaniem źródła

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:

Akces, Warszawa

SPIS TREŚCI

Przedświąteczne spotkanie działaczy opozycji antykomunistycznej i osób represjonowanych z powodów politycznych	4
DR JERZY BUKOWSKI	
Okiem filozofa spod kopca Piłsudskiego	6
ADAM STEFAN LEWANDOWSKI	
Międzypokoleniowe obchody ku czci Wyklętych	28
DR JERZY BUKOWSKI	
Okiem filozofa spod kopca Piłsudskiego	36
Odznaczenia dla działaczy niepodległościowych	61
DR JERZY BUKOWSKI	
Okiem filozofa spod Kopca Piłsudskiego. Luty 2017	73
STANISŁAW DRONICZ	
.	98
JERZY WAWROWSKI	
Innowacyjność albo śmierć	103
DR DARIUSZ GRABOWSKI	
O ekonomii i nie tylko...	164
ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI	
Myśli niepoprawne	191
DR BOHDAN URBANKOWSKI	
Karnawał i komintern, czyli żydło z worka	200
MIROSLAW LEWANDOWSKI	
„Wolność jest wszystkim”	211

ADAM STEFAN LEWANDOWSKI

Wyklęty Piłsudczyk x2 219

DR KAROL CHYLAK

Metamorfoza „Sympatyka” 226

DR ANDRZEJ ANUSZ

Początek drugiego obiegu 237

ŁUKASZ PERZYNA rozmawia z Pawłem Piskorskim 258

MIROSLAW LEWANDOWSKI

Omówienie książki Marcina Furdyny i Marka Rodzika „Czytaliśmy Piłsudskiego.
Rozmowy z Leszkiem Moczulskim” 279

PIOTR CZERWIŃSKI

Nic dwa razy się nie zdarza – czyli recenzja „No future!
Historia Krakowskiej FMW” 306

PRZEDŚWIĄTECZNE SPOTKANIE DZIAŁACZY OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ I OSÓB REPRESJONOWANYCH Z POWODÓW POLITYCZNYCH

W Centrum Konferencyjnym Ministerstwa Obrony Narodowej 19 grudnia 2016 roku odbyło się zorganizowane przez UdSKiOR spotkanie opłatkowe z działaczami opozycji antykomunistycznej i osobami represjonowanymi z powodów politycznych w którym udział wzięli przedstawiciele Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Podczas uroczystości p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk uhonorował Medalami „Pro Patria” dwóch księży zasłużonych w wieloletniej pracy ze środowiskami opozycyjnymi: ks. infułata dr Jana Andrzeja Sikorskiego oraz ks. prałata Józefa Romana Maja.



Ten obiekt, w którym spotykamy się wznosił Wojciech Jaruzelski. Skończył go budować w latach 80-tych i to miało być takie służące komunistycznej armii zwanej Ludowym Wojskiem Polskim centrum świadczące o potęgze i chwale tej armii, która ciemniżyła naród również w latach 80-tych, w stanie wojennym. Dobrze się składa, że właśnie w tym miejscu mogą już po raz drugi spotkać się ci, którzy wów-

czas stali po stronie prawdy, dobra i niepodległości. To jest prawdziwe zwycięstwo. W tym miejscu, które miało po wsze czasy chwalić sławę Ludowego Wojska Polskiego spotykają się ci, którzy wtedy opowiedzieli się po stronie niepodległej Polski. To dla naszego spotkania symboliczne wydarzenie.

Dziękując Państwu za przyjęcie naszego zaproszenia chciałbym zapewnić, że Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych będzie czynił i czyni wszystko, aby los i byt tych, którzy są bohaterami naszej wolności, był jak najlepszy. Aby te osoby były uhonorowane i aby czuły, że opieka rządu i państwa nad nimi jest nieustająca – mówił do zebranych p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk. Przypomniwał jednocześnie o staraniach Urzędu dotyczących nowelizacji ustawy, która zwiększa opiekę nad opozycjonistami i daje im prawa równe kombatanckim oraz o już teraz rozszerzonym wsparciu Urzędu dla opozycjonistów.



DR JERZY BUKOWSKI

OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO

GRUDZIEŃ 2016 ROKU

Chorągiew Rzeczypospolitej zawiśnie na Belwederze

Prezydent Andrzej Duda jest bardzo czuły na punkcie narodowych imponderabiliów i przywiązuje dużą wagę do symboli podkreślających majestat Rzeczypospolitej, chętnie nawiązuje także do chlubnych tradycji naszej państwowości.

Nic więc dziwnego, że pozytywnie zareagował na postulat Stowarzyszenia Rodziewiczów, które złożyło petycję w sprawie przywrócenia dawnej świetności Chorągwi Rzeczypospolitej. Była ona wykorzystywana przez kolejne głowy państw od 1927 roku, ocalała z wojennej pożogi, a ostatni Prezydent II RP na Uchodźstwie Ryszard Kaczorowski przekazał ją – wraz z innymi insygniami – 22 grudnia 1990 roku pierwszemu Prezydentowi III RP Lechowi Wałęsie.

„Jednak zamiast na dach Belwederu (gdzie kiedyś powiewała, a to miejsce zajmuje obecnie polska flaga) trafiła do gabloty. Na Chorągwi Rzeczypospolitej znajduje się orzeł na czerwonym tle w białym obramowaniu, zwanym wężykiem generalskim (pozornie wygląda identycznie jak Proporzec Prezydenta, jednak proporzec jest symbolem wojskowym)” – czytamy w „Rzeczypospolitej”.

Teraz ma ona powrócić na dawne miejsce, ale – zgodnie z przedwojenną tradycją – będzie podnoszona tylko wówczas, gdy w Belwederze pojawi się Prezydent RP. Zamontowana zostanie również na prezydenckiej limuzynie.

Trump zdecydowanie w obronie flagi

Zawsze imponowała mi amerykańska duma narodowa przejawiająca się m.in. w ogromnym szacunku dla flagi państwowej, którą z własnej inicjatywy i ze spontaniczną radością wywiesza przed swoimi domami (posiadłościami) wielu obywateli USA.

Mimo tej powszechnej estymy dla jednego z symboli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zdarzają się jednak przypadki jego bezczeszczenia, najczęściej w formie ostentacyjnego spalenia flagi. Prezydent Donald Trump zastanawia się nad skutecznym sposobem zaradzenia takim profanacjom. Napisał na Twitterze:

„Nikommu nie powinno się pozwalać na palenie amerykańskiej flagi. Gdy ktoś to zrobi, powinien ponieść konsekwencje – być może powinna być to utrata obywatelstwa lub rok w więzieniu!”

Według znawców amerykańskiego prawa taka represja byłaby jednak sprzeczna z Konstytucją USA, wedle której nie wolno odbierać nikomu obywatelstwa, jeśli sam tego nie chce.

Pisząc o tej sprawie Fronda przypominała, że Sąd Najwyższy wypowiedział się w tej sprawie w 1989 roku, kiedy uznał spalenie flagi za formę wypowiedzi, która chroniona jest pierwszą poprawką do Konstytucji.

„Za takim orzeczeniem zagłosował też Antoni Scalia, którego Trump bardzo chwalił. Przyznał on jednak w wywiadzie dla CNN, że zakazałby palenia flagi, gdyby był królem. Biały Dom odniósł się do wypowiedzi Donalda Trumpa i podkreślił, że konieczne jest przestrzeganie pierwszej poprawki do konstytucji” – czytamy w portalu.

Prezydent USA musi przestrzegać prawa, ale trzeba docenić stanowczość Trumpa w tej materii. Z pewnością będzie on miał po objęciu urzędu znacznie więcej sojuszników niż przeciwników w działaniach służących obronie flagi i innych symboli Stanów Zjednoczonych.

„Wprost” musi przeprosić rodziny dwóch żołnierzy AK

Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga Przeciw Zniesławieniom odniosła duży sukces: tygodnik „Wprost” musi – na mocy wyroku sądowego – niezwłocznie sprostować niewłaściwe informacje (9 punktów) zawarte w publi-

kowanym w numerze 8/2016 artykule pt. „Licencja na zabijanie od Rzeczypospolitej” oraz pokryć koszty procesu.

W tekście omówiona była książka pt. „Ptaki drapieżne. Historia Lucjana <Sępa> Wiśniewskiego, likwidatora z kontrwywiadu AK” autorstwa Michała Wójcika i Emila Marata (Wydawnictwo Znak, Kraków 2016), w której autorzy przedstawili historię oddziału 993/W Armii Krajowej odpowiedzialnego za wykonywanie egzekucji na podstawie wyroków wydanych przez sądy Polskiego Państwa Podziemnego na funkcjonariuszach i konfidentach Gestapo oraz na szmalcownikach.

RDI uznała, że w artykule oszkalowano braci Bąk, których opisano jako bandytów uznając ich działalność za indywidualne akcje zemsty bądź załawatwanie prywatnych porachunków, podczas gdy żołnierze tego oddziału zostali odznaczeni najwyższymi odznaczeniami bojowymi: Orderami Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych.

Pozew przeciwko Redaktorowi Naczelnemu „Wprost” wnieśli członkowie rodziny obu braci, żądając sprostowania nieprawdziwych i nieściślych informacji. Proces był prowadzony z inicjatywy Reduty Dobrego Imienia.

Rosjanie tęsknią za Sojuzem

Ponad połowa obywateli Federacji Rosyjskiej (56 procent) żałuje po 25 latach rozpadu Związku Socjalistycznych Republik Sowietkich, ponieważ upadł wtedy wspólny system gospodarczy i ludzie stracili poczucie przynależności do wielkiego państwa – wynika z opublikowanych przez „Rzeczpospolitą” wyników sondaży niezależnego Centrum Lewady przeprowadzonego na reprezentatywnej próbie 1600 osób w 48 regionach FR.

12 procent Rosjan chciałoby przywrócenia ZSRS w jego poprzednim kształcie.

Pytani o główne przyczyny rozpadu byłego mocarstwa jego dawni obywatele najczęściej odpowiadali, że była to „nieodpowiedzialna i nie mająca podstaw zмова” liderów Rosji, Ukrainy i Białorusi: Borysa Jelcyna, Leonida Krawczuka i Stanisława Szuszkiewicza (29 proc.). O 6 proc. mniej przekonanych jest o „zmowie wrogich wobec ZSRS sił zagranicznych”, a 21 proc. wskazuje na „niezadowolenie mieszkańców z ówczesnego prezydenta Michaiła Gorbaczowa i jego otoczenia” (wszystkie cytaty za gazetą).

Na dalszych miejscach wymieniane są „zbyt wielkie obciążenie militarne gospodarki, które przyniosło zastój i zubożenie ludzi” (14 proc.), „ambicje elit w republikach” i „całkowite wyczerpanie się ideologii komunistycznej” (po 13 proc.), „opóźnienie techniczne i gospodarcze” (12 proc.), a także osłabienie w latach gorbaczowskiej pieriestrojki „centrum związkowego” w połączeniu z rezygnacją z wiodącej roli partii komunistycznej.

Jedna piąta ankietowanych nie miała zdania na ten temat.

Rozpadu ZSRS nie żałuje natomiast dzisiaj 28 proc. Rosjan, czyli znacznie mniej niż w poprzednich badaniach. Pytani o przyczyny żalu za dawnymi czasami wskazują najczęściej to, że rozpadł się wspólny system gospodarczy (53 proc.) i że ludzie stracili poczucie przynależności do wielkiego państwa (43 proc.).

Nieco ponad połowa Rosjan wciąż uważa, że rozpadu ZSRS można było uniknąć, ale ich liczba systematycznie spada.

„Pytani o formę relacji pomiędzy dawnymi republikami radzieckimi Rosjanie najczęściej sądzą, że powinien być to ściślejszy związek kilku pragnących takiej formy republik (25 proc.). Niewiele mniej (21 proc.) uważa, że związek na wzór Unii Europejskiej mógłby połączyć wszystkie byłe republiki. Zarazem tyle samo uważa, że należy utrzymać obecną Wspólnotę Niepodległych Państw. Zwolennikami istnienia byłych republik jako niepodległych państw jest obecnie 13 proc. Rosjan” – czytamy w „Rzeczpospolitej”.

Robin Hood nadal działa

Konsekwentnie głoszona przez papieża Franciszka idea miłosierdzia zatacza coraz szersze kręgi i owocuje kolejnymi pomysłami.

Oto hiszpańska organizacja charytatywna „Posłańcy pokoju” otworzyła w Madrycie restaurację o nazwie „Robin Hood” serwującą w nocy darmowe posiłki dla bezdomnych (w dzień działa jako normalna kawiarnia).

Założyciel tej organizacji ojciec Ángel García Rodríguez nie kryje, że inspiracją był dla niego właśnie Ojciec Święty który wielokrotnie powtarza jak ważna jest ludzka godność.

„– Stwierdziliśmy więc: czemu nie otworzyć restauracji z obrusami, odpowiednimi sztućcami i kelnerami? Ludzie, którzy nic nie mają mogą przyjąć

i zjeść posiłek w restauracji, gdzie są traktowani tak jak wszyscy inni” – powiedział dziennikarzom (cytat za „Rzeczpospolitą”).

„Posłańcy pokoju” zajmują się również wydawaniem posiłków w pobliskim kościele, gdzie serwują śniadania i lunchy dla około 200 bezdomnych dziennie. W ubiegłym roku zorganizowali uroczystą wieczerzę wigilijną dla 200 takich osób w madryckim ratuszu.

„– Nie samym chlebem człowiek żyje – mówi Biblia, ale zapomina się, że niektórzy nie mają nawet chleba. Więc my dajemy im chleb” – dodał ojciec Rodríguez.

Tłumacząc nazwę restauracji duchowny wyjaśnił, że bynajmniej nie chodzi mu o rabowanie bogatych, ale wyłącznie o dzielenie się z biednymi. Wyraził też nadzieję, że jeśli ten eksperyment powiedzie się, powstanie sieć lokali o podobnym charakterze.

Rosyjskie drony nad Polską

„Już co najmniej cztery razy Moskwa wysłała w tym roku bezzałogowce nad Polskę. Tyle przypadków odnotowała Straż Graniczna. Drony nadlatywały z obwodu kaliningradzkiego” – napisała „Rzeczpospolita”.

Z cytowanej przez gazetę notatki Straży Granicznej wynika, że 7 lutego 2016 roku funkcjonariusze z Gołdapi „stwierdzili przelot statku powietrznego typu dron, który poruszał się wzdłuż granicy RP na wysokości ok. 150 m i na głębokość ok. 200 m, a następnie przekroczył granicę do Federacji Rosyjskiej”.

Bezzałogowce latają nad polskim terytorium nie tylko w nocy, ale także w dzień, jeden z nich zaobserwowano w odległości około kilometra od granicy. Funkcjonariusze nie chcą ujawnić, w jaki sposób je namierzyli, ale o każdym wykrytym przelocie informują odpowiednie struktury Wojska Polskiego.

„Ministerstwo Obrony oraz Dowództwo Operacyjne Sił Zbrojnych nie odpowiedziały nam na pytania, jakie działania wówczas podejmowano. Czy np. w rejon, gdzie operował rosyjski dron skierowano śmigłowce. Rzecznik MON Bartłomiej Misiewicz zasłania się niejawnością tych informacji” – czytamy w „Rz”.

Eksperci, z którymi rozmawiała redakcja nie mają wątpliwości, że Rosjanie

testują w ten sposób naszą czujność w powietrzu i rozpoznają tereny przygraniczne.

„– Na przykład mogą być wykorzystywane do określania koordynatów przyszłych celów. Rosyjskie wojska coraz częściej wykorzystują chmary niewielkich aparatów latających do zbierania informacji wywiadowczych, w tym np. o obiektach inżynieryjnych, przeprawach. Obserwujemy to na Ukrainie. Wykorzystują takie urządzenia m.in. do ustalenia celów do ostrzału artyleryjskiego” – powiedział gazecie jeden z pierwszych polskich pilotów samolotów F-16, ekspert wojskowy Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego pułkownik rezerwy Krystian Zięć.

Jego zdaniem namierzenie tak małych urządzeń lecących w ciszy, na niskiej wysokości jest niezwykle trudne, nie są w stanie tego zrobić systemy radarowe. Do zestrzelenia dronów nie mogą być wykorzystane samoloty, tylko ręczne wyrzutnie rakietowe.

„Nasi rozmówcy nie mają wątpliwości, że Rosjanie modyfikują metody obserwacji w pobliżu granic z krajami sojuszu północnoatlantyckiego. Dotychczas wykorzystywali do tego głównie samoloty rozpoznawcze, które zbliżały się na niewielką odległość, np. do granicy Polski. W ciągu ostatnich dwóch lat, czyli od agresji Rosji na Ukrainie, NATO odnotowało kilkadziesiąt takich przypadków w pobliżu granicy z Polską i innymi krajami bałtyckimi. W każdym przypadku podrywano sojusznicze maszyny bojowe. Armia oficjalnie potwierdziła w 2014 r. jeden przypadek naruszenia przestrzeni powietrznej Polski przez rosyjski samolot wojskowy, który został przechwycony i zmuszony do opuszczenia naszych granic” – napisała „Rz”.

Porucznik Mirosława Aleksandrowicz z Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Straży Granicznej poinformowała redakcję, że wzdłuż 200-kilometrowej granicy między Polską a obwodem kaliningradzkim zbudowano w zeszłym roku sześć wież obserwacyjnych po 35 i 50 metrów wysokości, które naszpikowano elektronicznymi urządzeniami obserwacyjnymi.

„Takie obiekty znajdują się w miejscowościach Kiekskiejmy, Żardyny, Parkoszewo, Góry, Obszarniki oraz Grzechotki. Budowa systemu wież kosztowała 14 mln zł. W ubiegłym roku Straż Graniczna otrzymała też do monitorowania granicy cztery zestawy dronów UAV” - czytamy w „Rzeczpospolitej”.

Czy to jednak wystarczy, aby zapewnić bezpieczeństwo Polsce na jej wschodniej granicy?

Uczeń ks. prof. Tischnera zawita na Franciszkańską 3

Krakowsko-warszawski salon z nieskrywanym rozczarowaniem i z widocznym smutkiem przyjął informację o tym, że następcą księdza kardynała Stanisława Dziwisza na stolicy Świętego Stanisława został wyznaczony przez papieża Franciszka łódzki arcybiskup Marek Jędraszewski, którego domorośli intelektualiści uznają za konserwatystę, nacjonalistę, skostniałego w swoich poglądach i wstecznego w myśleniu hierarchę.

Przecieram oczy ze zdumienia, czytając tak niemądre opinie i nie wierzę własnym uszom, wysłuchując utyskiwań i żalów, zwłaszcza w środowisku rozkochanych w śp. ks. profesorze Józefie Tischnerze krakowskich „postępowych katolików”. Jakże to: człowiek, którego recenzentem pracy habilitacyjnej i wielkim autorytetem naukowym był „filozoficzny baca”, a cała jego kariera akademicka łączyła się ze sposobem myślenia autora „Sporu o człowieka” ma być niegodnym zaufania podwawelskiej elity kościelnym autokratą?

Jeśli prześledzić dorobek abp Jędraszewskiego, to już tytuły jego prac magisterskiej, doktorskiej i habilitacyjnej wskazują, że należy on do głównych reprezentantów filozofii dialogu (spotkania), która w Polsce rozkwitła właśnie pod Wawelem i nadal ma się w tym miejscu nieźle. Dlaczego więc z góry błędnie zakładać, że koryfeusz myśli dialogicznej miałby w swej duszpasterskiej praktyce łamać jej zasady, nie dopuszczać do głosu rozsądnych polemistów, nie szanować cudzych opinii?

Czyżby krytycy nowego metropolity krakowskiego zapomnieli o tak fundamentalnych pojęciach z zakresu tego nurtu myśli współczesnej jak otwieranie bliżnim kredytu zaufania, wezwanie do odpowiedzi, gotowość do wspólnego rozważania ważnych problemów, tworzenie wspólnoty w oparciu o wysokie wartości, ale także bezkompromisowość w zasadniczych sprawach? A może obawiają się raczej tego, że abp Jędraszewski okaże się zupełnie innym człowiekiem niż oni go przedstawiają opinii publicznej i wyjdą wtedy na niezbyt rozgarniętych oraz mało pojętnych uczniów swojego mistrza, ks. prof. Tischnera?

Na ich miejscu spokojnie i z dobrą wolą poczekałbym na pierwsze słowa,

a zwłaszcza na decyzje nowego arcybiskupa krakowskiego, bo przecież powiedziane jest w Biblii: “po owocach ich poznacie”.

Co Polacy myślą dzisiaj o stanie wojennym?

Ponad połowa ankietowanych (58 procent) nie potrafi podać daty wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, zna ją tylko dwóch na pięciu zapytanych (42 proc.) – wynika z sondażu przeprowadzonego przez Kantar Public (dawniej Zespół Badań Społecznych TNS Polska) w dniach 12–17 listopada 2016 roku na ogólnopolskiej, reprezentatywnej próbie 1066 mieszkańców Polski w wieku 15 i więcej lat – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

„Dokładną datę wprowadzenia stanu wojennego znają osoby starsze (w grupie 50–59 lat – 56 proc., powyżej 60 lat – 55 proc.) oraz z wyższym wykształceniem (osoby ze studiami licencyjnymi i wyższymi – 55 proc.). Najczęściej nie potrafią jej podać osoby najmłodsze (w grupie 15–19 lat – 80 proc. badanych) oraz z wykształceniem podstawowym i gimnazjalnym (58 proc.)” – czytamy w depeszy PAP.

Najwyższa znajomość przez Polaków tej daty na przestrzeni ostatnich 20 lat była w 1997 roku – 59 proc. Później systematycznie spadała. Obecnie badacze określają ją na poziomie 42 proc.

„W badaniu prześledzono również to, jak przez ostatnie 20 lat zmieniała się ocena stanu wojennego. Obecnie, podobnie jak w ciągu ostatnich 20 lat, dominuje pogląd, że decyzja ta była uzasadniona w większym bądź mniejszym stopniu. Co dziesiąty respondent (10 proc.) uważa, że była w pełni uzasadniona, co trzeci (33 proc.), że raczej uzasadniona. Za nieuzasadnioną decyzję o stanie wojennym uznaje obecnie 28 proc. Sprecyzowanej opinii na ten temat nie ma 29 proc. Zdaniem ponad połowy ankietowanych stan wojenny przede wszystkim pozwolił osobom będącym wówczas na wysokich stanowiskach utrzymać władzę (62 proc.). W 1991 r. sądziło tak aż 80 proc. badanych” – napisała PAP omawiając wyniki sondażu.

Aż 57 proc. respondentów uważa, że stan wojenny uchronił Polskę przed zbrojną interwencją Związku Sowieckiego, 46 proc. widzi w nim próbę ratowania gospodarki przed anarchią i strajkami, a 42 proc. sądzi, że dzięki niemu wprowadzono w kraju spokój i większe poczucie bezpieczeństwa.

Zdaniem 57 proc. zapytanych przez Kantar Public w grudniu każdego roku należy przypominać o stanie wojennym, przeciwnego zdania jest 28 proc, 15 proc. nie ma sprecyzowanej opinii na ten temat.

Umorzona broń

Po interwencji ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry Prokuratura Rejonowa w Końskich zdecydowała o umorzeniu ze względu na znikomą szkodliwość społeczną czynu postępowania wobec byłego żołnierza Armii Krajowej 87-letniego Feliksa Przyborowskiego, który od czasów II wojny światowej przechowywał w domu sprawne jeszcze pistolet maszynowy sten oraz niemiecki pistolet sygnałowy (rakietnicę) – poinformowała „Gazeta Wyborcza”.

Jak pisałem tutaj 21 września, sędziwy kombatan z własnej inicjatywy przekazał broń do Muzeum Regionalnego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Końskich.

Dyrektor placówki powiadomił – zgodnie z wymogami prawa – policję, a ta prokuraturę, która z urzędu wszczęła postępowanie przeciw Przyborowskiemu w związku z nielegalnym posiadaniem broni, za co grozi kara pozbawienia wolności do 8 lat. Zajmujący się sprawą prokurator od razu zapowiedział jednak, że weźmie pod uwagę wiek weterana i brak znamion przestępstwa.

„Partyzant tłumaczył, że karabin Sten otrzymał wraz z zaprzysiężeniem na gońca AK w 1943 roku. Ostatnią akcją, w której uczestniczył, była bitwa w 1944 roku w okolicach Włoszczowy, a rakietnica ostatni raz brała udział w akcji odbicia więźniów z kieleckiego aresztu w 1945 roku” – czytamy w „GW”.

Bardzo szybko zareagował minister Ziobro, który zwrócił się z prośbą do Prokuratora Regionalnego w Krakowie o rozważenie możliwości umorzenia sprawy, ponieważ działający ze szlachetnych pobudek człowiek, który całe życie kierował się honorem i wiernością Ojczyźnie, zasługuje na najwyższe uznanie i szacunek.

„Decyzja o umorzeniu postępowania w tej sprawie została podjęta kilka dni temu, po tym jak prokuratura otrzymała opinię biegłego dotyczącą przekazanej przez Feliksa Przyborowskiego broni. Wynika z niej, że nie była ona używana” – napisała „Gazeta Wyborcza”.

Nie było planów interwencji

Historycy dawno już ustalili, że w grudniu 1981 roku Sowieci nie planowali wprowadzać swoich wojsk do Polski w pełni ufając generałowi Wojciechowi Jaruzelskiemu, który miał przywrócić porządek w Polsce wyłącznie podległymi sobie oddziałami.

Po raz kolejny potwierdził to generał major Władimir Dudnik służący wówczas w liczącym ponad 200 tysięcy żołnierzy i ponad 2000 czołgów Przykarpackim Okręgu Wojskowym, a więc w tym, którego dywizje z pewnością znalazłyby się w pierwszym rzucie interweniującej w naszym kraju Armii Czerwonej. W planach operacyjnych Okręg odpowiadał bowiem za działania w południowej Polsce, w Czechosłowacji, w Rumunii i na Węgrzech.

– Planów wkroczenia do Polski w Przykarpackim Okręgu Wojskowym nie było, to wymyśli. Służyłem tam wówczas, nikt tego nie przygotowywał. Jeżeli istniałby taki scenariusz, to bez wątpienia nasze wojska wzięłyby w tym udział. Jednak jeszcze raz podkreślę, niczego o tym nie wiedzieliśmy. Do Polski jeździliśmy nie dlatego, że przygotowywaliśmy interwencję, ale dlatego, że zgodnie z zasadami czasu wojny, musieliśmy poznawać teatr działań wojennych. Jednak po co wchodzić z wojskami do Polski, skoro tam już była cała grupa wojsk radzieckich? – powiedział w rozmowie z Radiem RMF FM.

Realne zagrożenie interwencją wojsk Układu Warszawskiego istniało rok wcześniej, kiedy wkroczyć do Polski miały dywizje sowieckie, czechosłowackie i wschodnioniemieckie. Dokładne plany tej operacji przekazał Amerykanom pułkownik Ryszard Kukliński, a oni podjęli ogromną ofensywę dyplomatyczną i skutecznie udaremnili zbrodniczy zamiar Moskwy.

W grudniu 1981 roku Kreml uznał, że jego wierny namiestnik w Warszawie poradzi sobie z kontrrewolucją używając jedynie milicjantów oraz żołnierzy w polskich mundurach i nie zawiedli się na nim. Gdyby zaszła jednak taka potrzeba, to z pomocą gen. Jaruzelskiemu pośpieszyłyby stacjonujące w Polsce liczne jednostki Armii Czerwonej, o czym po raz kolejny przypomniat gen. Dudnik.

Koedukacyjna łaźnia

Oto kolejny dowód na to, że polityczne słusznictwo (political correctness) zdobywa nowe przyczółki.

Jak poinformowała „Rzeczpospolita”, od 2018 roku w łaźni publicznej w szwedzkim Malmö przez jeden dzień w miesiącu klienci będą mogli kąpać się koedukacyjnie bez żadnego przydomku, a także swobodnie decydować, czy korzystać z szatni damskiej, czy też z męskiej.

Taką nowatorską i postępową decyzję podjęli miejscy radni na wniosek Hanny Thomé z Partii Lewicy i przedstawicielki Inicjatywy Feministycznej Lindy Hiltmann, które uznały, że obecne regulacje zniechęcają do korzystania z łaźni osoby transpłciowe.

„Dyrektor departamentu odpowiedzialnego za łaźnie publiczne Johan Hermansson podkreślił, że rada miasta będzie wymagać od firmy prowadzącej łaźnię, by ta zadbała o zatrudnienie <personelu mającego odpowiedni poziom wiedzy> w związku ze zmianą zasad jej funkcjonowania” – czytamy w gazecie.

Zważywszy na to, że w krajach skandynawskich popularne są od dawna koedukacyjne sauny, trudno uznać tę informację za sensacyjną. Zawsze jednak miło potwierdzić przekonanie, że świat zmierza we właściwym kierunku, chociaż są takie kraje jak Polska, które opóźniają triumfalny marsz postępu.

Warszawa lepsza od Krakowa, a Skała się dusi

Obecna stolica Polski znowu okazała się w czymś lepsza od starej: kiedy miasto spowija smog, w Warszawie wszyscy mogą korzystać z darmowej komunikacji, podczas gdy w Krakowie wyłącznie posiadacze samochodów legitymujący się aktualnym dowodem rejestracyjnym. Wprawdzie może z nimi bezpłatnie jechać tramwajem czy autobusem tyle osób, na ile zarejestrowany dany pojazd, ale Warszawa poszła znacznie dalej.

Coraz więcej miast wprowadza podobne regulacje w dniach, w których zanieczyszczenie powietrza przekracza dopuszczalne (w Polsce i tak bardzo wyśrubowane) normy, ale smog nadal przynosi śmiertelne żniwo.

W podkrakowskiej Skale odbył się happening pod hasłem „Uczcijmy pamięć ofiar smogu”. Na rynku nie tylko rozdawano ulotki i maseczki przeciwpyłowe, ale ustawiono również trumnę, zapalono znicze i ustawiono planszę

z epitafium: „Pamięci 5 osób, które zmarły w tym roku w Skale z powodu smogu”.

– Sytuacja w Skale jest gorsza niż w Krakowie. Przez smog nie da się żyć. Nie można wyjść na spacer i na zakupy. Ludzie są uwięzieni w domach. Kraków jest w lepszej sytuacji. Tam się przynajmniej rozmawia jak problem rozwiązać – powiedział Radiu Kraków organizator happeningu Krzysztof Wójtowicz,

Na początku grudnia doszło w Skale do ponad sześciokrotnego przekroczenia normy zanieczyszczenia powietrza oraz do przekroczenia poziomu alarmowego o ponad 100 mikrogramów/m³.

Zabójczy bojarysznik

Rosjanie potrafią wypić bardzo wiele alkoholu i to w postaci najróżniejszych „wynałazków”. Znakomicie opisał to Wenedikt Jerofiejew w kultowym utworze literacko-reportażowym pt. „Moskwa-Pietuszki”. Niestety, takie popijawy nie zawsze kończą się szczęśliwie.

W Irkucku (wschodnia Syberia) 15 osób zmarło po spożyciu nalewki z głogu na spirytusie, do przygotowania której użyto skażonego alkoholu – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Sprawę bada Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej.

Lokalne media cytują wypowiedź jednego z pacjentów, który przeżył i twierdzi, że ta nalewka jest powszechnie dostępna w Irkucku, a można ją kupić za 70 rubli (około 4,5 złote). Niektórzy trochę ją rozcieńczają i prawdopodobnie ci właśnie przeżyli.

„Nalewka z głogu (tzw. bojarysznik) jest bardzo popularna w Rosji zwłaszcza zimą, ponieważ świetnie działa na serce, a dodatkowo chroni przed przeziębieniem i wspomaga odporność” – czytamy w depeszy PAP.

Każde lekarstwo jest jednocześnie trucizną, o czym przekonali się irkuckcy konsumenci bojarysznika.

Tym razem bez cudu w Neapolu

To może być zły znak dla świata: kilka dni temu nie wydarzył się cud Świętego Januarego polegający na przemianie skrzepniętej krwi męczennika przechowywanej w kaplicy królewskiej katedry w Neapolu. Zwykle powtarza się

on trzy razy w roku: w pierwszą sobotę maja, 19 września i 16 grudnia. W tym roku miał miejsce także w marcu, w obecności papieża Franciszka.

„Podobnie było w 1980 r., gdy Włochy zostały dotknięte potężnym trzęsieniem ziemi, w 1973 r., gdy w Neapolu wybuchła epidemia cholery, a także w 1939 r., gdy wybuchła II wojna światowa, w 1940 roku, gdy Włochy przystąpiły do wojny i w 1943 r., gdy kraj został zajęty przez Niemców. Wielu kojarzy więc ten fakt z nieszczęściami” – czytamy w portalu internetowym „Gościa Niedzielnego”.

– Nie powinniśmy myśleć o tragedii i nieszczęściu. Jesteśmy ludźmi wiary i musimy dalej się modlić – powiedział cytowany przez portal opiekun kaplicy ksiądz Vincenzo De Gregorio.

„Św. January, patron katedry i Neapolu, poniósł męczeńską śmierć w pobliskim miasteczku Pozzuoli w IV wieku. Tradycja mówi, że gdy jego ciało przeniesiono, zakrzepła krew zebrana do dwóch ampułek, w dłoniach biskupa stała się płynna. Pierwszy opisany przypadek cudu św. Januarego miał miejsce w 1389 r., gdy po raz pierwszy publicznie pokazano ampułki. Chociaż wielokrotnie go badano, nie wiadomo, co jest jego przyczyną” – napisał „GN”.

Eksmisja Świętej Rodziny

Burmistrz belgijskiej gminy Holsbeek zlikwidował świąteczną szopkę, która stała pod choinką w miejskim ratuszu, tłumacząc tę decyzję dążeniem do światopoglądowej i religijnej neutralności gminy – poinformowała Niezależna.

Wsparli go ekologowie i... chrześcijańscy demokraci. Ich zdaniem mogłaby się ona okazać „zbyt prowokująca” dla zamieszkujących gminę Muzułmanów, których jest w 9-tysięcznym Holsbeek czterech(!).

– Szopka mogłaby ranić uczucia niektórych osób np. homoseksualistów lub ofiar księży pedofilów – powiedziała cytowana przez portal Annelies Vander Bracht z partii Zielonych..

„Pod naciskiem lokalnej społeczności, która, przywiązana do flamandzkiej tradycji, domaga się przywrócenia szopki w centrum gminy, władze miasta zapowiedziały możliwość powrotu Świętej Rodziny do ratusza” – czytamy w Niezależnej.

Oto polityczne słusznictwo (political correctness) w całej krasie.

Walka o Oleandry trwa

Mamy kolejny akt toczony od kilkunastu lat walki gminy miasta Krakowa o odzyskanie będącego jej własnością Domu im. Józefa Piłsudskiego przy Alei 3 Maja 7, tzw. Oleandrów.

Budynek postawiony w II Rzeczypospolitej na miejscu, z którego 6 sierpnia 1914 roku wymaszerowała na szlak niepodległości Pierwsza Kompania Kadrowa Strzelców, jest od 1990 roku zajmowany przez organizację występującą wprawdzie pod nazwą Związek Legionistów Polskich, ale – co dawno już stwierdził sąd – nie będącą prawnym (a więc także majątkowym) spadkobiercą przedwojennego stowarzyszenia o tej samej nazwie, nie mającą więc tytułu do dysponowania nim.

O tej sprawie pisałem już wielokrotnie wskazując, że pięciokondygnacyjny Dom im. Józefa Piłsudskiego powinien służyć wszystkim krakowskim organizacjom patriotycznym, w szczególności zaś strzeleckim, a także być siedzibą borykającej się z poważnymi kłopotami lokalowymi Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego. Niestety, upór jednego człowieka tytułującego się Komendantem Naczelnym ZLP uniemożliwia realizację tego rozwiązania.

Władze Krakowa mają już chyba jednak dość ciągłych utarczek i zażądały od Związku około miliona złotych odszkodowania za bezprawne zajmowanie nieruchomości, która to kwota ma zostać uregulowana do końca stycznia 2017 roku. Jeśli tak się nie stanie, sprawa zostanie skierowana do windykacji, a stamtąd ewentualnie do sądu.

Jak powiedziała portalowi www.lovekrakow.pl zastępca dyrektora Wydziału Skarbu Urzędu Miasta Krakowa Zofia Kuryśko, w lipcu 2016 roku gmina postanowiła wnieść sprawę do sądu o wydanie gruntu.

– Postępowanie zostało zawieszone ze względu na złożony przez Związek Legionistów Polskich wniosek o zasiedzenie tej nieruchomości. Kilka dni później pełnomocnik magistratu złożył zażalenie na postępowanie, której jednak do tej pory nie zostało rozpoznane. W świetle powyższego należy stwierdzić, że Związek podejmuje działania mające na celu doprowadzenie do przewlekłości postępowania sądowego o wydanie zajmowanej nieruchomości – opisała tę trudną sprawę dyrektor Kuryśko.

Podsumowując na początku grudnia 2016 roku pierwszą połowę swojej czwartej już kadencji prezydent Krakowa profesor Jacek Majchrowski jako jedną ze swoich porażek określił właśnie nierozwiązanie problemu Oleandrów, z którym boryka się od objęcia władzy przy placu Wszystkich Świętych. Dlatego też ani on, ani Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa nie przekazał żadnych funduszy na rewaloryzację będącego w coraz gorszym stanie Domu im. Józefa Piłsudskiego.

– Nie bardzo rozumiem pana komendanta, bo ma on gwarancję, że wróci do wyremontowanego domu, ale musimy być posiadaczem, aby móc tam inwestować. Czekamy na zdrowy rozsądek – powiedział prezydent w rozmowie z www.lovekrakow.pl.

Oleandry są jednym z najważniejszych miejsc w XX-wiecznej historii Polski. Od dawna już (a na pewno po 1989 roku) stojący tam budynek powinien pełnić funkcję, którą opisałem wyżej, będąc także obowiązkowym punktem każdej wycieczki przyjeżdżającej do podwawelskiego grodu.

Czy władze Krakowa wykażą się wreszcie oczekiwaną od nich przez wiele środowisk piłsudczykowskich, kombatanckich, patriotycznych i młodzieżowych stanowczością, realnie odzyskując swoją – na razie tylko na papierze – własność?

Umarł ostatni żołnierz „Ognia”

W podkrakowskich Mogilanach zmarł w wieku 87 lat major Zbigniew Paliwoda-„Jur” – ostatni żołnierz mjr Józefa Kurasia-„Ognia”.

W 1944 roku został zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej, potem znalazł się w krakowskiej grupie Ruchu Oporu Armii Krajowej która podporządkowała się działającemu na Podhalu „Ogniewi” jako VI kompania jego zgrupowania. Bazą oddziału stały się dawne koszary przy krakowskiej ulicy Na Zjeździe, gdzie mieszkali Paliwodowie. Tam właśnie ukrywali ciężarówkę i motocykle używane do antykomunistycznych akcji.

– Pierwszy mój kontakt z „Ogniem” miał miejsce na obrzeżach Zakopanego. Był wieczór, on stał w półmroku, nie widziałem więc jak wygląda. Zameldowałem mu, jak sprawy się mają. Zdecydował, że ta łączniczka która mnie przyprowadziła, pojedzie ze mną do Krakowa i zorientuje się w sytuacji.

Nasza grupa była luźna. Nikt nie składał żadnej przysięgi, dopiero potem przed „Ogniem”. 80 procent grupy, włącznie ze mną, było wcześniej akowcami, więc przysięgaliśmy wcześniej. Stały kontakt między naszą grupą a „Ogniem” był utrzymywany za pośrednictwem łączniczki Zborowskiej – „Baśki”. Majora Kurasia zobaczyłem kolejny raz, już nie w mroku, wczesną jesienią 1946 roku, gdy przedostaliśmy się do niego z „Billem”. Pobyt trwał całą dobę, zostaliśmy zaprzysiężeni – wspominał Paliwoda w rozmowie z „Gościem Niedzielnym”.

Jako niespełna 17-letni żołnierz wziął 18 sierpnia 1946 roku udział w jednej z najstraszniejszych, brawurowych akcji antykomunistycznego podziemia zbrojnego: uwolnieniu więźniów politycznych z krakowskiego więzienia Świętego Michała.

– Nie było sztuką zdobyć więzienie. Sztuką było odskoczenie po akcji. Wzięło w niej udział 14 osób z bronią w ręku. Dwie z nich zginęły tuż po akcji na ulicach Krakowa, 11 zaś zostało później aresztowanych na skutek zdrady. 7 osób zostało skazanych na karę śmierci. Z tego dwie osoby zostały stracone, jedna zaś umarła w więzieniu – mówił „Jur” podczas spotkania z prezydentem Andrzejem Dudą, który wręczył mu

5 lutego 2016 roku Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi na rzecz środowisk kombatanckich, za pielęgnowanie pamięci o najnowszej historii Polski”.

Podczas dowodzonej przez Jana Janusza-„Siekierę” akcji uwolniono 64 osoby. Było to możliwe dzięki współpracy z dwójgim strażników więziennych. Niestety, uczestników akcji zaczęto szybko wyłapywać.

Urząd Bezpieczeństwa zatrzymał Paliwodę 29 września 1946 roku. Podczas brutalnego śledztwa wyszło na jaw, że jest niepełnoletni, co uchroniło go od kary śmierci lub długoletniego więzienia.

– Zostałem wprawdzie uniewinniony w styczniu 1947 roku, ale trzymali mnie w więzieniu jeszcze do marca. Byłem przekonany, że zaraz za bramą zostanę aresztowany. Poszedłem do domu lecz okazało się, że mieszka tam już ktoś inny. Udałem się więc do wuja. Szybko jednak zniknąłem z Krakowa. Wyjechałem na Dolny Śląsk. Pracowałem m.in. w GS-ie, uczyłem się w gimnazjum, biedowałem. Pracowałem później w budownictwie przemysłowym w województwie wrocławskim i w Opolu. Do Krakowa wróciłem dopiero po

blisko 40 latach, w 1984 roku. Z akt udostępnionych mi przez Instytut Pamięci Narodowej dowiedziałem się, że jeszcze w 1979 roku byłem obiektem zainteresowania Służby Bezpieczeństwa jako były żołnierz „Ognia” – powiedział mjr Zbigniew Paliwoda-„Jur” w rozmowie z „Gościem Niedzielnym”.

Rewolucyjna zmiana radiowa

Norwegia jako pierwszy kraj na świecie wyłączy radio FM; od 11 stycznia 2017 roku obywatele tego kraju będą musieli przełączać się na transmisję cyfrową – poinformowało Radio RMF FM.

„Po prawie wieku funkcjonowania systemu analogowego, który zrewolucjonizował świat muzyki, której można było słuchać w stereo – co uniemożliwiała transmisja mono na falach AM – zmiana wykorzystywanego systemu na cyfrowy DAB+ poskutkuje tym, że ponad osiem milionów radioodbiorników stanie się bezużytecznych” – czytamy na stronie internetowej RMF.

Norwegom nie podoba się ta decyzja rządu. Aż 2/3 zapytanych w tej sprawie sprzeciwia się przejściu na system cyfrowy, a tylko 17 procent chce korzystać z transmisji cyfrowej DAB+.

„Całkowite przejście na transmisję cyfrową przez Norwegię będzie uważnie obserwowane przez inne państwa, które rozważają podobne rozwiązania. Są to między innymi Dania, Szwecja, Szwajcaria i Korea Południowa” – napisano na stronie rozgłośni spod krakowskiego kopca Tadeusza Kościuszki.

– Nikt nigdy wcześniej tego nie zrobił i jest to dość nerwowo czas dla wszystkich Norwegia przetestuje to – powiedział cytowany przez RMF brytyjski konsultant do spraw radia James Cridland.

W hołdzie płk Pileckiemu

Wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego profesor Piotr Gliński i prezydent miasta Ostrów Mazowiecka Jerzy Bauer podpisali umowę o wspólnym prowadzeniu Muzeum Dom Rodziny Pileckich w tym mieście – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Jak ocenił Gliński, wspólna inicjatywa władz Ostrowi Mazowieckiej i jego resortu jest przykładem dobrego łączenia polityki centralnej z oddolną aktywnością samorządową. MKiDN wyda na tę placówkę 1 milion złotych rocznie,

a miasto 200 tysięcy. Oprócz tego resort kultury przeznaczy także 3,3 mln na 2-letni cykl renowacji, remontów i na zorganizowanie wystawy stałej.

„Minister podkreślił, że chce, aby instytucja lokalna uzyskała szersze znaczenie, by upamiętniała postać rotmistrza Pileckiego, ale także dzieje miasta i jego okolic w czasie wojny. Jak zauważył, był to bardzo aktywny rejon, zarówno jeśli chodzi o funkcjonowanie polskiego podziemia w trakcie II wojny światowej, jak i podziemia antykomunistycznego po wojnie. Bardzo ważna jest także kwestia upamiętniania pomocy miejscowej ludności dla prześladowanych przez niemieckiego okupanta miejscowych Żydów. Te wszystkie elementy będą obecne w tym muzeum” – czytamy w depeszy PAP.

– Kończymy ważny etap realizowania Muzeum Dom Rodziny Pileckich. Do niedawna informacja o tym, że żona rotmistrza Pileckiego była rodowitą ostrowianką, była nieobecna w przestrzeni publicznej. 85 lat temu w kościele w Ostrowi Mazowieckiej ślub wzięli Maria Ostrowska i Witold Pilecki. Do dziś zachował się oryginalny dom murowany, dom rodzinny Marii Ostrowskiej. Tam powołaliśmy muzeum. Współpraca z ministrem kultury pozwala wyjść poza krąg lokalności – powiedział dziennikarzowi Polskiej Agencji Prasowej prezydent Bauer.

Zbiorowa głupota ceprów

Dopóki nieodpowiedzialni i niefrasobliwi (to najbardziej łagodne określenia, jakich mogę użyć, bo cisną się na usta znacznie ostrzejsze) pseudoturysty nie zostaną ustawowo zmuszeni pokrywać z własnych kieszeni kosztów akcji ratunkowych będących efektem ich głupoty, dopóty będziemy dowiadywać się o takich wypadkach jaki zdarzył się na koniec 2016 roku.

80 osób, w tym 22 dzieci, wybrało się na popołudniowy spacer z Palenicy Białczańskiej do Morskiego Oka, czyli szeroką, bezpieczną drogą asfaltową o długości 7 kilometrów, którą trudno nawet nazwać górskim szlakiem. Nie wzięli ze sobą latarek i szybko zapadający zmierzch oraz potęgujący się mróz przestraszył ich na tyle, że wszczęli alarm podczas powrotu. Całą grupę sprowadzili bądź zwieźli (najstarszych i najmłodszych uczestników) członkowie Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego i strażnicy Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Wszystko skończyło się szczęśliwie, nikt nie doznał najmniejszych obrażeń ani odmrożeń, ale był to kolejny przykład kompletnego braku wiedzy dotyczącej poruszania się w górach, zwłaszcza zimą, nawet jeżeli wybiera się wygodny trakt. Mimo umieszczonych przy wszystkich wejściach na teren TPN tablicach ostrzegających, że nie wolno pozostawać na jego obszarze po zmroku i zawsze należy brać pod uwagę aktualne warunki pogodowe, ciągle znajdują się ludzie, którzy lekceważą te przestrogi, narażając siebie na niebezpieczeństwo, a TOPR i inne służby na podejmowanie akcji ratunkowej.

Gdyby taki przypadek zdarzył się w Alpach lub na Słowacji, zapłaciliby oni słono za swoją głupotę. Niestety, zgodnie z polskim prawem, mogą liczyć na darmowe sprowadzenie ze szlaków. Kiedy to się wreszcie zmieni?

Wysoka cena zanegowania istnienia Św. Mikołaja

Mówienie prawdy bardzo często nie popłaca, a nawet przynosi fatalne skutki. Po raz kolejny przekonał się o tym pewien dyrygent, który na zakończenie przedstawienia dla dzieci na motywach filmu Walta Disneya w rzymskim audytorium Parco della Musica ogłosił przez mikrofon: „Święty Mikołaj nie istnieje”.

Zaraz potem mali widzowie wybuchli płaczem, a ich oburzeni rodzice zgłoszyli tak wiele skarg na portalach społecznościowych, że dyrygent stracił pracę – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Organizatorzy zmuszeni byli wydać oświadczenie, w którym zapewnili, że odcinają się od zachowania artysty i podjęli przeciw niemu kroki dyscyplinarne.

„Podobnie jak wszyscy obecni na spektaklu, także i my byliśmy oburzeni całkowicie prywatną deklaracją dyrygenta. Naszym celem jest budzenie pozytywnych emocji i marzeń u najmłodszych” - napisali (cytat za PAP).

Zwolniony dyrygent z pewnością będzie w przyszłości lepiej ważył słowa, zwłaszcza w kontaktach z ufnymi w to, co im mówią dorośli, dziećmi.

A poza tym wszyscy: i młodszy, i starsi dobrze przecież wiedzą, że Święty Mikołaj istnieje.

Niewystarczające przeprosiny ZDF

Pełnomocnik byłego więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau 95-letniego Karola Tendery mecenas Lech Obara uważa, że przeprosiny zamieszczone przez niemiecką telewizję publiczną ZDF po wyroku Sądu Apelacyjnego w Krakowie za użycie na jej portalu słów „polskie obozy zagłady Majdanek i Auschwitz” nie spełniają określonych prawem wymogów – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Tekst nie ukazał się na głównej stronie portalu internetowego, gdzie powinien pozostać przez miesiąc, lecz opublikowano tam jedynie odnośnik z logo ZDF i tytułem „Przeprosiny” Karola Tendery”.

– Stanowi to kolejną próbę manipulacji i uniknięcia odpowiedzialności przez największą niemiecką stację telewizyjną. Po otwarciu odnośnika przeprosiny zostały opublikowane w formie grafiki; z tego powodu tekstu nie można odnaleźć z poziomu wyszukiwarek internetowych. Został on poprzedzony komentarzem stanowiącym próbę umniejszenia winy i przerzucenia całej odpowiedzialności na francusko-niemiecką stację telewizyjną ARTE – powiedział PAP Obara i dodał, że rozpoczyna „dochodzenie praw Karola Tendery na gruncie prawa niemieckiego, tj. § 888 Zivilprozessordnung – niemieckiego odpowiednika kodeksu postępowania cywilnego”.

Jako prezes Stowarzyszenia Patria Nostra zapowiedział, iż nie przerwie walki w kwestii stosowania kłamliwego określenia „polskie obozy zagłady”.

– Wyrok w niniejszej sprawie rokuje też na pozostałe sprawy prowadzone przez prawników Stowarzyszenia Patria Nostra przeciwko Die Welt i Focus Online – dodał.

O pozwie Tendery i o wyroku SA pisałem tutaj kilkakrotnie, przypomnę więc jedynie, że w ocenie byłego więźnia obozu Auschwitz-Birkenau publikacja ZDF naruszyła jego poczucie przynależności narodowej i godność narodową, które winny być chronione przez prawo na zasadzie przewidzianej dla dóbr osobistych.

Treść przeprosin sąd przyjął za propozycją Rzecznika Praw Obywatelskich Adama Bodnara, który wsparł Tenderę. Brzmiały one: „Zweites Deutsches Fernsehen, wydawca portalu internetowego www.zdf.de wyraża ubolewanie z powodu pojawienia się w dniu 15 lipca 2013 r. na portalu www.zdf.de w ar-

tykule pt. <Verschollene Filmschatze. 1945. Die befreiung der Konzentration-slager> nieprawdziwego i fałszującego historię Narodu Polskiego określenia, sugerującego, jakoby obozy zagłady w Majdanku i Auschwitz został wybudowane i prowadzone przez Polaków i przeprasza Pana Karola Tenderę, który był więziony w niemieckim obozie koncentracyjnym, za naruszenie jego dóbr osobistych w szczególności tożsamości narodowej (poczucia przynależności do Narodu Polskiego) i jego godności narodowej”.

„Sąd Apelacyjny wskazał w uzasadnieniu wyroku, że wartości takie jak godność i tożsamość narodowa mieszczą się w katalogu dóbr osobistych, a w sprawie tej został dodatkowo spełniony wymóg indywidualizacji roszczenia – powód bowiem w latach 1943–44 przebywał w obozie Auschwitz i określenie użyte w materiałach ZDF musiało go urazić. Podkreślił zarazem, że wcześniejsze ubolewania ZDF i przeprosiny <dla wszystkich osób, które poczuły się urażone na skutek nieuwważnego, błędnego i nieprawdziwego określenia> nie były wystarczające dla powoda” – czytamy w depeszy PAP.

Ministerstwo Sprawiedliwości zamierza wprowadzić do kodeksu karnego nowy rodzaj przestępstwa w postaci publicznego i wbrew faktom przypisywania polskiemu narodowi lub państwu polskiemu odpowiedzialności lub współodpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszę Niemieckiej lub inne zbrodnie przeciw ludzkości, pokojowi i zbrodnie wojenne za co groziłaby grzywna lub kara pozbawienia wolności do 3 lat więzienia.

„Taka sama kara groziłaby za <rażące pomniejszanie odpowiedzialności rzeczywistych sprawców tych zbrodni>. Nie byłoby przestępstwem popełnienie tych czynów <w ramach działalności artystycznej lub naukowej>. MS chce ponadto umożliwić wytaczanie procesów cywilnych, m.in. przez IPN czy organizacje pozarządowe, za używanie słów typu <polski obóz>. Projekt od dłuższego czasu jest w Sejmie” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Prawdziwy Święty Mikołaj

W Boże Narodzenie administracja Facebooka usunęła konto mężczyzny, który deklarował, że nazywa się Santa Claus, czyli Święty Mikołaj i mieszka w miejscowości North Pole (Biegun Północny) – poinformowała „Rzeczpospolita” za Associated Press.

Po kilku dniach okazało się jednak, że mężczyzna z tego położonego na Alasce miasta rzeczywiście nazywa się Santa Claus, czego dowiódł wysyłając skan swojego prawa jazdy oraz akt mianowania na miejskiego radnego. Facebook musiał wycofać się ze swojej decyzji i przeprosić Świętego Mikołaja.

„Mężczyzna podkreśla, że Facebook nigdy nie poinformował go dlaczego zawiesił jego konto, ale – jak założył – stało się tak dlatego, że ktoś uznał iż posługuje się on fałszywymi danymi, a to jest zabronione przez regulamin Facebooka. Tymczasem Facebook w odpowiedzi na całe zamieszanie wydał oświadczenie, w którym zapewnił, że usunięcie konta mężczyzny było wynikiem błędu, a konto zostało przywrócone zaraz po tym, gdy administratorzy zauważyli swoją pomyłkę” – czytamy w gazecie.

Święty Mikołaj z Alaski regularnie korzysta z Facebooka, a swojego konta używa do dzielenia się z innymi użytkownikami cytatami oraz nawiązywania nowych znajomości. Jego profil lubi około 300 tysięcy osób.



Zdjęcie Anna Fischer-Rokosz

ADAM STEFAN LEWANDOWSKI

MIĘDZYPOKOLENIOWE OBCHODY KU CZCI WYKLĘTYCH

Już po raz drugi w ramach Społecznego Komitetu Obchodów Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” przy Pomniku Poległym i Pomordowanym na Wschodzie na warszawskim Muranowie zebrało się kilka pokoleń Polaków. W sobotę 25 lutego 2017 r. oddano hołd bojownikom podziemia antykomunistycznego z lat 1945–1963 oraz tym, którzy tę ideę kontynuowali. W tym roku wspominaliśmy Stefana Melaka.



Uroczystość odbyła się pod hasłem „Żołnierze Wyklęci-Niezlomni i ich kontynuatorzy – Stefan Melak”. Rozpoczął ją prof. Wiesław Wysocki, który wprowadził uczestników w tło historyczne święta oraz – po odegraniu hymnu

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych

i Kontynuatorów Ich Walki

1 marca

obchody
25 luty 2017
godz. 17:00
(sobota)

Uroczystość pod Pomnikiem
Poległym i Pomordowanym
na Wschodzie w zbiegu ul. Muranowskiej
i gen. Andersa w Warszawie



Strażnik Pamięci o Wyklętych-Niezlomnych,
o Katyniu. Zginął w 2010r. w Smoleńsku.

ORGANIZATORZY:

Fundacja Walczącym o Niepodległość, Wyklętych, Pokrzywdzonych, Internowanych, Więzionych,
Komitet Katyński Krąg Pamięci Narodowej im. Stefana Melaka
Instytut Józefa Piłsudskiego
Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Warszawa Wschód
Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owianego



THALES



Ministerstwo Obrony Narodowej





państwowego – odczytał list od Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej Marka Kuchcińskiego. Przesłanie od Premier Beaty Szydło odczytał sekretarz stanu i zastępca szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Minister Paweł Szrot. Do uczestników uroczystości list skierował także p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk. (treści listów na stronie).

Przemówienie okolicznościowe wygłosił Poseł na Sejm VIII kadencji Andrzej Melak, brat tragicznie zmarłego w katastrofie smoleńskiej Stefana. Poseł wspominał o trudzie walki z niepamięcią o zbrodniczej działalności Rosji sowieckiej w czasie i po II wojnie światowej. Modlitwę za poległych, zmarłych oraz żyjących żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego odmówili ks. prałat Józef Maj oraz ks. infułat Jan Sikorski. Całość poprowadził Łucjan Sobolewski.

Po oddaniu salwy honorowej i ceremonii złożenia kwiatów, kibice Legii Warszawa odpalili race ku pamięci Bohaterów. Na tym uroczystości się zakończyły. Za rok patronem obchodów przy pomniku będzie ks. Stefan Niedzielak.

Organizatorami uroczystości były m.in. Fundacja Walczącym o Niepodległość Wyklętych Pokrzywdzonych Internowanych Więzionych, Komitet Ka-

p.o. SZEFA
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Warszawa, 24 lutego 2017 roku

Jan Józef Kasprzyk

Do Uczestników obchodów
Narodowego Dnia Pamięci
„Żołnierzy Wyklętych”

Janowi Paustowi

Pragnę serdecznie podziękować za zaproszenie na obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych i poinformować, że nie mogę na nich być obecny, gdyż zaplanowałem wcześniej wyjazd do Huty Pieniackiej na uroczystość upamiętnienia ofiar mordu dokonanego na Polakach przez oddziały ukraińskiej dywizji SS Galizien.

Gromadzą się Państwo przy Pomniku dedykowanym Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. Tragiczny los naszych rodaków jest wielkim oskarżeniem sowieckiego komunizmu, depczącego ogólnoludzkie prawa. Walkę z tym systemem podjęli żołnierze niepodległościowego podziemia, uczynili to w imię wolności i suwerenności naszego narodu, w imię honoru i ludzkiej godności. Trwali w tej walce, gdy innym brakowało już nadziei. Ich postawa stała się wszakże zwiastunem nowej nadziei, że pomimo niekorzystnej geopolityki Polska odzyska kiedyś wolność. I to marzenie się ziściło.

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa; tel. 22 661-87-06; fax 22 661-90-73
www.udskior.gov.pl

Ceną tego marzenia była śmierć wielu wartościowych ludzi. Tych, którzy przeżyli, w czasach PRL skazano na niesławę. Dziś doczekali się uznania, w pełni należnego.

Za wspaniałą lekcję niezłomnego heroizmu dziękujemy Weteranom drugiej konspiracji.

Wszystkim Państwu życzę udanych obchodów.

Łechy mrozy nacunlu
Jan J. Kasprzyk

Warszawa, 25 lutego 2017 r.

Marszałek Sejmu
Rzeczypospolitej Polskiej

Spoleczny Komitet Obchodów
Narodowego Dnia Pamięci
„Żołnierzy Wyklętych”

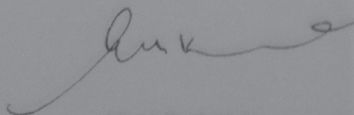
Szanowni Państwo,

dziękuję za zaproszenie na uroczystości z okazji Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Nie mogąc wziąć w nich udziału, chciałbym w symboliczny sposób oddać cześć niezłomnym żołnierzom.

Obchody przy Pomniku Poległych i Pomordowanych na Wschodzie z całą mocą uświadamiają jak bolesna była polska droga do wolności. Została ona okupiona krwią i życiem tych, którzy nie godzili się na komunistyczną niewolę. Od początku wojny celem sowieckiego okupanta było wyniszczenie inteligencji polskiej, a następnie całkowita likwidacja struktur niepodległościowego podziemia. Tylko w taki sposób komunistyczny reżim mógł przejąć władzę w Polsce. By osiągnąć polityczno-totalitarne zamierzenia nie wahał się użyć najbardziej okrutnych form represji i prześladowań. Zbrodnie te miały być ukryte, a ofiary na zawsze zapomniane.

Jednak wbrew tym zamierzeniom pamięć o Żołnierzach Wyklętych przetrwała w ludzkich sercach, zaś odnajdywane doły śmierci w jednoznaczny sposób dowodzą popełnionych zbrodni. Musimy więc uczynić wszystko, by idee okupione cierpieniem i daniną życia, mocno zakorzeniły się w powszechnej pamięci. Jest ona bowiem wspólnym, dziedzictwem i spoiwem naszej tożsamości. Dziękuję Państwu za pielęgnowanie bolesnego dziedzictwa.

Z wyrazami szacunku



Marek Kuchciński



PREZES RADY MINISTRÓW

Warszawa, dnia 25 lutego 2017 r.

Szanowni Państwo,

w panteonie polskich bohaterów, ludzi zasłużonych dla naszej niepodległości, przez lata nie było miejsca dla tych, którzy nie pogodzili się z powojennym ładem i przeciwstawili się zbrojnie terrorowi komunistycznemu. Ówczesne władze usiłowały wymazać Ich z kart historii, jednak poniosły klęskę. Dziś, wolna Polska przywraca o Nich pamięć. Polska oddaje cześć Niezłomnym – Żołnierzom Wyklętym.

Walczący przeciw hitlerowskiemu, a następnie stalinowskiemu totalitaryzmowi stali się symbolem i legendą. Ich postawa pełna godności i wierności ideałom jest lekcją dla nas wszystkich. Lekcją o tym, że są wartości, w obronie których nie można ustawać.

Wielu poniosło najwyższą ofiarę. Dzięki ustanowieniu przez śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego tego święta coraz lepiej poznajemy losy Niezłomnych. Pamiętamy o generale Augustynie Emilu Fiedorcie „Nilu”, rotmistrzu Witoldzie Pileckim, Danucie Siedzikównie „Ince”, Feliksie Selmanowiczu „Zagończyku”, Mieczysławie Dziemiszewiczu „Raju”, ofiarach Obławy Augustowskiej i wszystkich innych poległych za naszą wolność w niezliczonych starciach, a także katowniach bezpieki. Wciąż szukamy grobów wielu z tych bohaterów i nie ustaniemy w tej misji. Także w ten sposób spłacimy wobec Nich dług.

Naszą najważniejszą powinnością i obowiązkiem wobec Żołnierzy Wyklętych jest bowiem przywracanie o Nich pamięci. Jako Polacy jesteśmy Im winni szacunek i wdzięczność. Dziękuję Społecznemu Komitetowi Obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych i wszystkim, którzy wspierają jego działalność. Dajecie Państwo świadectwo miłości do Ojczyzny i jesteście wzorem społecznej aktywności. Przypominacie, że Niezłomni byli nie tylko walecznymi żołnierzami. Byli ludźmi wielkiego formatu, którzy Ojczyznę kochali bardziej niż życie.

Cześć i chwala Bohaterom! Cześć Żołnierzom Wyklętym!

Beata Szydło

Społeczny Komitet Obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych
Uczestnicy obchodów pod Pomnikiem Poległym i Pomordowanym na Wschodzie



tyński Krąg Pamięci Narodowej im Stefana Melaka, Instytut Józefa Piłsudskiego, Fundacja „Lex Nostra”, Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, stowarzyszenie Pokolenia Niepokornych oraz Instytut Pamięci Narodowej i Archiwum Akt Nowych.



DR JERZY BUKOWSKI

OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO

STYCZEŃ 2017 ROKU

Wylądował na niebiańskim lotnisku

W wieku prawie 101 lat zmarł w Krakowie mianowany 25 listopada 2016 roku przez prezydenta Andrzeja Dudę do stopnia generała brygady jeden z ostatnich lotników Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, kawaler Orderu Virtuti Militari pilot Ludwik Krempa.

– Jest wielu innych ludzi, którzy bardziej zasłużyli na ten awans aniżeli ja. Jest to dla mnie niespodzianką. Nie jestem bohaterem, wykonywałem swoje zadania, to, co kazali i na tym koniec. Cudów nie zrobiłem – powiedział wówczas Krempa dziennikarzom.

W styczniu ubiegłego roku w krakowskim Muzeum Lotnictwa otrzymał szablę pamiątkową i list od Prezydenta RP na stulecie urodzin.

„22 stycznia 2017 roku skończyłby 101 lat. Jeszcze dzisiaj na zebraniu KKSL mówiliśmy o przygotowaniach do obchodu Jego 101 urodzin... Zamiast radości, mamy smutek związany z odejściem lubianego i niezwykle szanowanego Kolegi” – czytamy na stronie Krakowskiego Klubu Seniorów Lotnictwa.

Francuska recepta na sport

Od nowego roku francuscy lekarze będą mogli swoim pacjentom przepisywać na receptę... sport – poinformowała „Rzeczpospolita”.

Koszt abonamentu na basen lub siłownię oraz zajęć gimnastycznych zwróci Kasa Chorych.

„Pacjent będzie miał zalecane takie ćwiczenia, na jakie pozwoli jego stan zdrowia i wydolność” – czytamy w gazecie.

Ta regulacja wynika z kalkulacji przeprowadzonych przez francuskie władze. Uznały one, że zwrot kosztów zajęć sportowych jest bardziej opłacalny niż leczenie schorzeń wynikających z braku ruchu. Co więcej, poprawa stanu zdrowia pacjentów pozwoli na dalsze oszczędności w służbie zdrowia.

Zmarł jeden z ostatnich „Parasolarzy”

5 stycznia odszedł na Wieczną Wartę jeden z ostatnich żołnierzy sławnego batalionu „Parasol” Armii Krajowej – generał brygady Janusz Brochwicz-Lewiński – „Gryf”.

Minister obrony narodowej Antoni Macierewicz wystąpił z wnioskiem do Prezydenta RP o pośmiertne awansowanie go na stopień generała dywizji.

Jeszcze 11 listopada ubiegłego roku miałem zaszczyt ścisnąć dłoń dzielnego „Gryfa”, kiedy prezydent Andrzej Duda odznaczał go w Belwederze Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za działalność na rzecz środowisk kombatanckich, za pielęgnowanie pamięci o najnowszej historii Polski”, który zawiesił obok widniejącego na mundurze sędziwego weterana Srebrnego Krzyża Orderu Wojennego Virtuti Militari otrzymanego przezeń za walki na Woli podczas Powstania Warszawskiego.

– Trzeba się modlić za Polskę, ale trzeba także dla niej bardzo wytrwale pracować. Polacy powinni się jednoczyć i wspólnie wypracować, a może po prostu wywalczyć, lepsze, bardziej sprawiedliwe państwo. Polskę rujnują prowokatorzy i zdrajcy. Ale Polska ma przyszłość. To piękny kraj. Polskę trzeba zwyczajnie kochać – powiedział wówczas portalowi internetowemu „Naszego Dziennika”.

To właśnie „Gryf” był dowódcą grupy szturmowej I Kompanii „Parasola”, która 4 i 5 sierpnia 1944 roku broniła uwiecznionego w piosence pałacyku Michła w pierwszych dniach powstańczego zrywu. Wcześniej, bo 10 lipca dowodził akcją na aptekę Wendego przy Krakowskim Przedmieściu 55, podczas której zdobyto narzędzia chirurgiczne, lekarstwa, środki znieczulające oraz materiały opatrunkowe dla sanitariatu Kierownictwa Dywersji Komendy Główn-

nej Armii Krajowej. W trakcie sierpniowych walk o Warszawę odniósł ciężką ranę głowy.

Po kapitulacji powstania znalazł się niemieckim obozie jenieckim w Murnau, skąd wyzwolili go Amerykanie. Kontynuował służbę wojskową w Ośrodku Zapasowym Samodzielnej Brygady Spadochronowej, z której we wrześniu 1945 roku został skierowany do szpitala w Szkocji, gdzie przeszedł operację szczęki i pięciomiesięczną rehabilitację.

Następnie wstąpił do armii brytyjskiej, służąc m.in. w gwardii przybocznej Jego Królewskiej Mości Jerzego VI chcąc zdobyć w ten sposób właściwe przygotowanie wojskowe do kształcenia w przyszłości polskich oficerów. Prowadził działalność wywiadowczą w Palestynie i w Sudanie. Potem był przez 15 lat kwatermistrzem i oficerem administracyjnym w jednej z brytyjskich szkół wojskowych. Królowa Elżbieta II odznaczyła go Orderem Imperium Brytyjskiego.

Do Polski powrócił dopiero w lipcu 2002 roku i od razu nawiązał kontakty z żyjącymi jeszcze kombatanami AK, zwłaszcza z „Parasolą”, a także z drużynami harcerskimi kultywującymi pamięć bohaterskiego batalionu. Wziął też udział w akcji billboardowej programu „Patriotyzm Jutra”, zasiadał w kapitule Virtuti Militari. Na stopień generalski mianował go śp. Prezydent Lech Kaczyński. Był Honorowym Obywatelom Miasta Stołecznego Warszawy.

Gen. Janusz Brochwicz-Lewiński – „Gryf” należał do wspaniałego pokolenia ludzi, którzy przez całe życie, niezależnie od warunków politycznych, zawsze czuli się Polakami i gotowi byli do wielu poświęceń dla ukochanej Ojczyzny. Wiedząc, że PRL nie jest prawdziwą Polską, zachowywali się cały czas tak, jak wychowano ich w dwudziestoleciu międzywojennym. Ciężko pracując na chleb, nigdy nie zapominali o swoich powinnościach wobec idei niepodległości Rzeczypospolitej. Ci, których wojenne losy rzuciły na obczyznę, tęsknili za Polską i marzyli, że będzie ona kiedyś taka, jaką zapamiętali ją sprzed 1939 roku. Wracając do niej po latach nadal wiernie służyli narodowym imponderabiliom, nawet jeżeli czekały ich za to represje, prześladowania, tortury, więzienie, śmierć.

My, młode pokolenie, powinniśmy robić wszystko, aby ofiara ich życia nie poszła na marne, ani nie została zapomniana. Musimy pamiętać i działać tak jak oni, dostosowując swoją służbę niepodległej Ojczyźnie do aktualnych warunków. Tylko tyle i aż tyle.

Mniej turystów ze Wschodu pod Tatrami

Kiedy katolicy obchodzą święto Epifanii, czyli Trzech Króli, prawosławni mają dopiero Boże Narodzenie. Od wielu lat wielu Rosjan, Białorusinów i Ukraińców przyjeżdża w tym okresie na Podhale, a zwłaszcza do Zakopanego. Ostatnio ich liczba jednak spada.

– W tym roku turystów ze Wschodu jest o 70 procent mniej niż 10 lat temu – powiedziała Polskiej Agencji Prasowej szefowa Tatrzańskiej Izby Gospodarczej Agata Wojtowicz.

To już nie te czasy, kiedy na Krupówkach dominował język rosyjski, a przybysze zza wschodniej granicy stanowili niemal 100 proc. gości w zakopiańskich hotelach i pensjonatach. Było tak w latach 2004–2007.

Zdaniem Wojtowicz przyczyną załamania się tej tendencji są konflikt na Ukrainie i stosunki międzynarodowe.

– Mamy klientów ze Wschodu, ale nie są to czasy prosperity. Rezerwacje ze wschodnich krajów ościennych stanowią 30 procent tego, co było dziesięć lat temu. Brakuje nam klientów z Ukrainy, natomiast mamy klientów z Rosji, głównie z Obwodu Kaliningradzkiego oraz z Białorusi – dodała Wojtowicz.

Na szczęście dla hotelarzy i właścicieli pensjonatów oraz lokali gastronomicznych dzięki wolnemu od pracy świętu Trzech Króli przedłużył się sezon wypoczynkowy dla krajowych turystów. Sporo spośród nich przedłużyło sobie więc sylwestrowy pobyt o cały tydzień.

Pod Tatrami pamiętają jednak o potrzebach duchowych prawosławnych.

„Specjalnie dla turystów ze Wschodu w Zakopanem od wielu lat 6 stycznia organizowane jest prawosławne nabożeństwo bożonarodzeniowe. Specjalnie w tym dniu pod Giewont przyjeżdża z Krakowa proboszcz tamtejszej parafii prawosławnej p.w. Zaśnięcia N.M.P. i w Starym Kościółku na Pęksowym Brzyzku odprawia świąteczną wieczernię” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Kebaby pod ochroną

Krakowska policja od kilku dni zwraca większą uwagę niż wcześniej na wiele funkcjonujących w tym mieście punktów gastronomicznych, w których sprzedawane są kebaby.

Jest to pokłosie tragicznego wydarzenia w Ełku, gdzie w sylwestrową noc doszło do śmierci młodego mężczyzny pod takim właśnie barem. Zabrał on z niego dwie butelki z napojami i nie zapłaciwszy wyszedł na ulicę. Pobiegli za nim pracujący w lokalu Tunezyjczyk i Algierczyk. Podczas szamotaniny ten pierwszy miał mu zadać śmiertelne ciosy nożem. Przez kilkanaście godzin pod barem trwały antyimigranckie zamieszki, w jego okna rzucano różnymi przedmiotami. Policja zmuszona była chronić lokal i jego pracowników.

W Krakowie w barach i w budkach oferujących kebabów pracują Turcy, Syryjczycy, Egipcjanie, Algierczycy oraz obywatele innych państw Bliskiego Wschodu, a także Afryki.

– W związku z wydarzeniami w Ełku oczywiste jest że będziemy zwracać uwagę na te punkty, może trochę bardziej niż podczas normalnej służby. Na chwilę obecną nie mieliśmy zgłoszeń o incydentach związanych z atakami agresji na budki z kebabami w Krakowie – powiedział portalowi <http://krknews.pl> Michał Kondzior z zespołu prasowego podwawelskiej policji.

Stare powiedzenie głosi, że lepiej zapobiegać niż leczyć i nie dotyczy ono wyłącznie lekarzy. Dobrze, że pamięta o nim krakowska policja.

Normalna zima

„Jak jest zima, to musi być zimno. Takie jest odwieczne prawo natury.”

Ten cytat z filmu Stanisława Barei pt. „Miś” przychodzi mi na myśl od kilku dni, kiedy czytam gazety, słucham radia lub oglądam telewizję. Dziennikarze rysują apokaliptyczną wizję zaszypanego śniegiem i skutego mrozem kraju. Z drżeniem w głosie przestrzegają, że temperatura może wkrótce spaść nawet poniżej -10 stopni Celsjusza, spadnie też kilkanaście centymetrów śniegu i mocno powieje.

Mamy styczeń, czyli tradycyjnie najzimniejszy miesiąc w naszej strefie klimatycznej. Czymś zupełnie naturalnym jest więc to, że przez parę dni trzyma ostry mróz, a Polska bieleje, co ma zresztą swoje uroki i pozwala wreszcie wyciągnąć z szaf kożuchy, grube swetry oraz ciepłe buty.

Obecnego ataku zimy nie da się porównać do sytuacji, jakie przeżywaliśmy w naszym kraju wielokrotnie w minionych latach, by wspomnieć choćby prze-

łom roku 1978 i 1979. Ot, trochę pomrozi, nieco posypie i przez kilkanaście dni będzie jak w pięknej piosence: „na całej połaci śnieg”.

Nie ma żadnych powodów do obaw, nie grozi nam zimowa apokalipsa, Polska nie zostanie sparaliżowana, chociaż na pewno trzeba liczyć się z problemami drogowymi, mogą też odmawiać posłuszeństwa niektóre urzędnicy elektroniczni. Nie zważając na całkiem naturalne o tej porze roku zjawiska warto więc zanuć przedwojenny przebój Andrzeja Własta, rozślawiony przez Ewę Demarczyk w latach, kiedy mieliśmy prawdziwe zimy:

*Puchowy śniegu tren
W krąg roztoczył lśnienie czary
Dźwięczą sanek janczary
Miasto spowił już sen.*

Ofensywa ministra Kasprzyka

Bardzo ambitne i znakomicie podtrzymujące patriotycznego ducha nie tylko u sędziwych weteranów walk o niepodległą Polskę zamierzenia na 2017 rok przedstawił pełniący obowiązki szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.

Rozpoczną się one od obchodów 75-lecia powołania Armii Krajowej na podstawie rozkazu premiera i Naczelnego Wodza generała Władysława Sikorskiego z 14 lutego 1942 roku oraz Rady Pomocy Żydom „Żegota”.

– Wspólnie z weteranami AK zorganizujemy „Walentynki z Ojczyzną”: będzie sesja naukowa, koncert w Teatrze Polskim, spotkanie z harcerzami, ale przede wszystkim udowodnienie, że miłość Ojczyzny, także w dniu Świętego Walentego, jest ważna dla każdego pokolenia – powiedział Polskiej Agencji Prasowej Kasprzyk.

Szef Urzędu chce, żeby w Warszawie zgromadzili się wszyscy Sprawiedliwi wśród Narodów Świata (nie tylko Polacy).

– W ten sposób chcemy uhonorować tych najdzielniejszych, którzy zachowali człowieczeństwo w tych tragicznych czasach jego utraty, utraty ludzkich wartości – wyjaśnił Kasprzyk.

5 grudnia, w 150. rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego, UdSKiOR chce zabrać kombatanatów i działaczy opozycji antykomunistycznej do Zułowa, gdzie urodził się Komendant, który był symbolem niepodległości dla pokolenia II Rzeczypospolitej i dla ich następców angażujących się w walkę o wolną Polskę w latach PRL..

Przypomniana zostanie również ofiara żołnierzy, którzy podczas II wojny światowej nie zdążyli trafić do armii gen. Władysława Andersa i walczyli w szeregach m.in. 1. i 2. Armii Wojska Polskiego.

– Oczywiście nie uczymy ich dowódców, którzy często byli agentami sowieckimi, ale tych biednych żołnierzy, którzy wyszli z Rosji, nie zdążyli do Andersa, w sercu i umyśle mieli miłość do Polski i umiłowanie niepodległości i z bronią w ręku zginęli np. przy forsowaniu Odry i Nysy Łużyckiej – powiedział Kasprzyk dziennikarzowi PAP zapowiadając uroczystości w kwietniu na cmentarzu wojennym w Siekierkach.

Kontynuowana będzie zwiększona w ubiegłym roku o 5 milionów złotych pomoc dla weteranów, którzy znajdują się w najtrudniejszej sytuacji życiowej.

– To jeden z większych sukcesów Urzędu. W 2016 roku udało się nam zwiększyć te środki z około 10 do 15 mln zł. Pomoc uzyskało prawie 17 tysięcy osób, w tym weterani mieszkający na dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej: na Białorusi, Ukrainie i Litwie. Świadczenia te będą dla nich kontynuowane – dodał.

„Przypomniał też, że dla działaczy opozycji antykomunistycznej i osób represjonowanych w PRL uruchomiono nowy program finansowania pobytu w sanatoriach. W zależności od sytuacji materialnej osoby uprawnionej dofinansowanie na leczenie uzdrowiskowe od 1 stycznia 2017 r. wyniesie od 1500 do 3500 zł. Pilotażowo program działał już w ostatnim półroczu i został bardzo dobrze przyjęty przez środowiska dawnych opozycjonistów” – czytamy w depeszy PAP.

– Dla wielu działaczy opozycji antykomunistycznej był to pierwszy w życiu wyjazd do uzdrowiska, na który w normalnym trybie z reguły oczekują około dwóch lat – powiedział z satysfakcją Kasprzyk.

Poinformował też, że UdSKiOR podpisał porozumienie z Centralnym Ośrodkiem Sportu, na mocy którego weterani walk o niepodległą Polskę będą

mogli wypoczywać w Ośrodkach Przygotowań Olimpijskich w Szczyrku, Zakopanem, Władysławowie-Cetniewie, Giżycku, Wałczu i Spale na specjalnych, preferencyjnych warunkach.

Przypomniał również o rozpoczętych pracach nad nowelizacją ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz o osobach represjonowanych z powodów politycznych, dążących do zrównania ich uprawnień z kombatanckimi.

– Zostanie jej nadany bardziej godnościowy charakter poprzez wprowadzenie porównywalnych z kombatanami uprawnień dla byłych opozycjonistów. Każda osoba, która posiada status działacza opozycji, otrzyma m.in. stałe miesięczne świadczenie w wysokości około 400 zł, ulgi w przejazdach komunikacją krajową oraz pierwszeństwo w opiece zdrowotnej. Osoby znajdujące się w najtrudniejszej sytuacji materialnej będą mogły zostać objęte pomocą pieniężną okresową, a nie jak obecnie doraźną jednoroczną. Ta nowelizacja stanowi dobre uzupełnienie wchodzącej w życie tzw. ustawy dezubekizacyjnej. Bo to pokazuje, że sprawiedliwość dziejowa polega na tym, że daje się tym, którzy walczyli, a odbiera tym, którzy gnębili Polaków – podkreślił w rozmowie z PAP Kasprzyk.

W ramach otwartych konkursów ofert Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych przyznał kilkudziesięciu podmiotom dotację na łączną kwotę 2,25 mln zł (w 2015 r. było to 950 tys. zł) z przeznaczeniem na pomoc opiekuńczą dla kombatantów, organizację uroczystości rocznicowych, a także wydawnictwa poświęcone najnowszej historii Polski.

– Nowością był cieszący się ogromną popularnością konkurs na realizację filmów dokumentalnych i notacji filmowych archiwizujących m.in. relacje ostatnich żyjących świadków historii – zakończył swoją wypowiedź dla Polskiej Agencji Prasowej Jan Józef Kasprzyk.

To dobrze, że na czele instytucji zajmującej się problemami kombatantów i osób represjonowanych stoi tak energiczny, pełen zapału oraz znakomitych pomysłów młody jeszcze człowiek, który doświadczenie organizacyjne zdobywał będąc kilkanaście razy komendantem trudnego logistycznie Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej.

Król Belzebub

Oj, nie mają coś szczęścia do święta Trzech Króli, czyli Epifanii bądź Objawienia Pańskiego politycy opozycji. Nikt rozsądny nie wymaga wprawdzie od nich zbyt wielkiej wiedzy religijnej, historycznej, ani jakiegokolwiek innej, ale sposób w jaki się kompromitują w jego kontekście stanowi kolejny dowód na to, że z obecną władzą chcą walczyć głównie intelektualni impotenci i moralni troglodyci.

Najpierw lider Nowoczesnej Ryszard Petru bredził o święcie Sześciu Króli (widocznie ta liczba skojarzyła mu się z datą 6 stycznia), a następnie poseł Platformy Obywatelskiej Arkadiusz Myrcha zapytany przez dziennikarza TVP Info o imiona monarchów, którzy przybyli do Betlejem oddać hołd nowo narodzonemu Chrystusowi z zadowoleniem wymienił ich aż cztery: Kacper, Belzebub, Melchior i Baltazar.

No cóż, do historii polityki można przejść na różne sposoby. Trudno komukolwiek odmówić prawa do publicznego robienia z siebie idioty, ale członkom opozycyjnych partii zalecałbym jednak nie zabierać głosu w sprawach, na których kompletnie się nie znają, co oznacza, że powinni głównie milczeć. Jeżeli koniecznie chcą natomiast rozśmieszać Polaków swoją bezbrzeżną głupotą, niechaj robią to z większym wdziękiem, a zostaną zapamiętani z taką sympatią, jak choćby niedysiejszy marszałek Sejmu Józef Zych mówiący do posłów:

– Nie pierwszy raz staje mi przed Wysoką Izbą.

Lepsze takie przejęzyczenie od totalnej kompromitacji, zwłaszcza w katolickim kraju.

Dobrze być bezrobotnym Finem

Dwa tysiące losowo wybranych bezrobotnych obywateli Finlandii będzie otrzymywać przez dwa lata od państwa 560 euro miesięcznie niezależnie od tego, czy podejmą pracę, a także bez względu na dochód, stan posiadania oraz status zawodowy – poinformowała „Rzeczpospolita”.

Celem tego eksperymentu jest przetestowanie koncepcji uniwersalnego dochodu podstawowego. Osoby biorące w nim udział nie będą płacić podatku od otrzymywanego od państwa dochodu, nawet jeżeli znajdą inne źródło finanso-

wania. Jeżeli zakończy się powodzeniem, zostanie rozciągnięty na całe fińskie społeczeństwo.

„Istotą wprowadzenia uniwersalnego dochodu jest zapewnienie pracownikom większego komfortu, szczególnie w sytuacji, gdy coraz częściej większa automatyzacja produkcji wypiera ludzi z rynku pracy. Pozwoli on bezrobotnym na podejmowanie pracy bez obawy utraty przywilejów” – czytamy w gazecie.

Podobną zmianę chcieli wprowadzić w ubiegłym roku Szwajcarzy. Według projektu każdy jej dorosły mieszkaniec, bez względu na uzyskiwane dochody, otrzymywałby co miesiąc od państwa nieopodatkowaną kwotę 2,5 tysiąca franków, zaś osoby w wieku do 18 lat – 625 franków. Szwajcarzy zdecydowanie odrzucili jednak tę propozycję w referendum.

Na ratunek kopcowi Kościuszki

Kolejny remont krakowskiego kopca Tadeusza Kościuszki pochłonie 12 milionów złotych – dowiedział się Onet.

Symboliczna mogiła „naczelnika w sukmanie” niebezpiecznie przechyla się i zapada, a obsuwająca się ziemia grozi zerwaniem alejek, co może doprowadzić do katastrofy budowlanej.

„Skarpy od strony południowej są bardzo pofałdowane. We wnętrzu kopca są też ubytki ziemi. Niektóre z nich są głębokie na metr. Wszystkiemu winna jest wilgoć, która sprawia, że kopiec systematycznie się zapada. Zdaniem geologów obiekt może się zawalić, jeśli nie zostaną podjęte żadne działania zmierzające do remontu budowli. Wystarczą intensywne deszcze” – czytamy w portalu.

Stan kopca cały czas monitorują specjalne czujniki i to właśnie one ostrzegają o niebezpieczeństwach grożących wielkiej budowli ziemnej.

Obecnie przygotowywana jest dokumentacja projektowa prac remontowych, którą będą musieli zatwierdzić miejski i wojewódzki konserwatorzy zabytków. Trudno na razie powiedzieć, kiedy rozpoczną się prace na zboczach kopca, którego roczne utrzymanie kosztuje około 200 tysięcy złotych pochodzących ze sprzedaży biletów i z datków.

„Podczas remontu mają zostać uzupełnione ubytki ziemi. Dodatkowo sam kopiec – przy pomocy specjalnego drenażu – ma zostać odizolowany od do-

stawania się wody do jego wnętrza. To w przyszłości ma uchronić przed jego obsuwaniem się” – napisał Onet.

Dyrektor Biura Komitetu Kopca Kościuszki Leszek Cierpiałowski przypomniał w rozmowie z portalem, że ostatni remont zabytkowy obiekt przechodził w 2002 roku, kiedy likwidowano skutki gwałtownych ulew z 1997 roku, które spowodowały, że uległ on poważnym uszkodzeniom. Wydano wtedy 15 mln zł.

Jak zatonął ORP „Orzeł”?

O ile każdy interesujący się historią militarną Polak zna rozślawioną przez film Leonarda Buczkowskiego pt. „Orzeł” z 1958 roku brawurową ucieczkę z Tallina internowanego tam we wrześniu 1939 roku przez estońskie władze polskiego okrętu podwodnego do Wielkiej Brytanii, o tyle tajemnicą spowity jest jego ostatni patrol bojowy, z którego nie wrócił do portu.

I właśnie o tym realizuje obecnie film Jacek Bławut. Zdjęcia mają się rozpocząć w sierpniu lub we wrześniu tego roku. „Orzeł. Ostatni patrol” opowie o dwóch tygodniach poprzedzających zaginięcie okrętu na przełomie maja i czerwca 1940 roku.

„– <Orzeł> w moim filmie ciągle odnosi zwycięstwa, bo każdego dnia pojawia się na arenie inny rodzaj wroga. Wszystko odbywa się w zamknięciu, w poczuciu totalnej klaustrofobii i zagrożenia” – powiedział reżyser „Dziennikowi Polskiemu”.

Koszt filmu wyliczono na 8 milionów złotych, w tym 3 mln od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Scenariusz został już pozytywnie zaopiniowany.

„Zdjęcia plenerowe będą kręcone w Gdyni, Warszawie i Tallinie. Wszystkie sekwencje rozgrywane będą wewnątrz statku powstaną w komputerze. Etatową załogę okrętu stanowiło sześciu oficerów oraz 54 podoficerów i marynarzy. Oficerowie zajmowali stanowiska dowódcy okrętu, zastępcy dowódcy okrętu, nawigatora, oficera broni podwodnej oraz I i II mechanika. Marynarzy na ekranie kreować będą znakomici aktorzy: Adam Woronowicz, Antoni Pawlicki, Dawid Ogrodnik, Tomasz Ziętek, Tomasz Schuchardt i Mateusz Kościukiewicz. Realizatorzy na razie nie chcą jednak zdradzić, który z nich wcieli się w postać komandora podporucznika Jana Grudzińskiego, dowodzącego <Orłem>. Premiera w 2018 roku” – czytamy w gazecie.

Ciekawe, czy Jacek Bławut zdecyduje się przedstawić jakąś konkretną wersję zatonięcia „Orla”, bo historycy nie są zgodni w tej sprawie.

Ukarany za zniewieścienie

A oto kolejny kwiatek, który zakwitł na powiększającej się z dnia na dzień łączce politycznego słusznictwa (political correctness).

Sąd dla nieletnich w Padwie odebrał matce jej 13-letniego syna, ponieważ jest on „zbyt zniewieściały” – poinformowała Polska Agencja Prasowa powołując się na lokalny dziennik „Il Mattino di Padova”.

„Według opieki społecznej takie zachowanie chłopca to rezultat postępowania matki i jej sióstr. Zauważono, że dorasta on niemal wyłącznie w otoczeniu kobiet” – czytamy w depeszy PAP.

W cytowanym przez włoską gazetę orzeczeniu sądu napisano, że chłopiec „w kontaktach z rówieśnikami i dorosłymi jest agresywny, jest prowokatorem, niewychowany i ma skłonność do tego, by zachowywać się w sposób ekscentryczny, robi wszystko, by podkreślić, że jest inny i ostentacyjnie, prowokacyjnie prezentuje zniewieściałe zachowania”, jego relacje z matką uznano za „nacechowane aspektami uzależnienia”, ma poważne kłopoty w kontaktach z innymi i wykazuje „oznaki problemów psychicznych”.

Sędziowie postanowili, że nastolatek zostanie umieszczony w ośrodku wychowawczym daleko od domu, żeby mógł funkcjonować w środowisku innym niż dom matki i aby miał możliwość zastanowienia się nad swymi pragnieniami oraz nad swoim życiem.

„Matka 13-latka zapowiedziała, że odwoła się od tej decyzji” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Całe szczęście, że takich orzeczeń nie wydawały polskie sądy w latach 70 ubiegłego wieku, bo wtedy często podkreślający, że wychowywał się wyłącznie w otoczeniu kobiet (matki i ciotek) Jan Maria Rokita prawdopodobnie nie zaistniałby w życiu publicznym po 1980 roku.

Audio przewodnik po miejscach męczeństwa Polaków w Moskwie

Zajmujące się badaniem zbrodni stalinowskich rosyjskie Stowarzyszenie Memoriał, opracowało spacer po Moskwie w językach rosyjskim i angielskim

śladami represji wobec polskiej ludności za czasów Związku Sowieckiego – poinformowała Polska Agencja Prasowa

Dostępny na stronie <https://izi.travel/en> audio przewodnik opowiada o dziewięciu takich obiektach w stolicy. Można odsłuchać wersji dźwiękowej lub przeczytać tekst o każdym obiekcie oraz obejrzeć związane z nim zdjęcia archiwalne.

„Dzięki tej trasie można poznać w Moskwie miejsca, gdzie znajdowały się obozy dla jeńców wojennych, w tym żołnierzy wojny 1920 roku. Dowiedzieć się można, że dzisiejszy zaułek Staropanski przejął nazwę od rejonu Staryje Pany, gdzie Polacy osiedlali się od XVI wieku. Audio przewodnik opowiada też o historii kościoła katolickiego w zaułku Milutinskim, dziś zmienionego nie do poznania w wyniku zniszczeń i przebudowy” – czytamy w depeszy PAP.

Jest to pierwszy przewodnik poświęcony konkretnej grupie narodowościowej. Powstał przy udziale polskiego Ośrodka „Karta”, który przygotowuje jego wersję w języku polskim.

„Obiekty w <polskim> przewodniku związane są z historią represji i aresztowań przed wrześniem 1939 r. Autorzy sięgnęli do różnych źródeł, w tym do materiałów Memoriału i archiwów. Do przewodnika włączyli np. dwa obiekty upamiętnione w ramach projektu <Ostatni adres>. Wśród nich – dom przy ulicy Miasnickiej 15, gdzie mieszkała polska rodzina Włastowskich. Trzej bracia z tej rodziny zostali aresztowani i zginęli w represjach lat 30” – napisała PAP.

Lektorem audio przewodnika jest szef polskiej sekcji Memoriału Aleksandr Gurjanow.

„Z badań Stowarzyszenia Memoriał wynika, że ofiarą masowych represji do jesieni 1939 roku padło ponad 180 tysięcy Polaków, emigrantów z Polski oraz ludzi, których oskarżono o związki z Polską. Po 1939 roku liczbę ofiar wśród Polaków i polskich obywateli innych narodowości Memoriał szacuje na 530-570 tysięcy ludzi. Jak piszą autorzy audio przewodnika, w latach ZSRR polska społeczność, która żyła w Moskwie przed 1917 rokiem, została faktycznie zniszczona. Dzięki trasie opracowanej przez Memoriał poznać można miejsca będące świadectwem jej istnienia” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Marszałek Koniew, „wyzwolenie” Krakowa i ukradziony zegarek

Dzień 18 stycznia był przez cały okres PRL uroczystości obchodzony jako rocznica wyzwolenia Krakowa spod okupacji hitlerowskiej dzięki cudownemu manewrowi dowódcy I Frontu Ukraińskiego marszałka Iwana Koniewa, który sprytnie zaszedł Niemców od tyłu, czyli od zachodu.

Odbывały się wówczas uroczyste akademie, składano wieńce na grobach i pod pomnikiem żołnierzy sowieckich obok Barbakanu (przeniesionych w 1997 roku na wojskową kwaterę cmentarza Rakowickiego m.in. dzięki staraniom Porozumienia Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie), wypowiadano wiele wzniosłych słów i okrutnie zakłamywano to, co stało się tego dnia w 1945 roku.

Po 1989 roku historycy udowodnili to, o czym od dawna wiedziało wielu obywateli podwawelskiego grodu, a zwłaszcza żołnierzy Armii Krajowej: nie było ani takiego manewru, ani żadnego wyzwolenia, które oznaczałoby przywrócenie status quo ante bellum, jakim nie sposób określać wydarzeń z udziałem Sowietów na ziemiach polskich w latach 1944-45. Można natomiast mówić o wyparciu z miasta Wehrmachtu przez Armię Czerwoną lub o zastąpieniu jednej okupacji drugą.

A mnie zawsze przypomina się przy tej okazji wspomnienie krakowianina (do jego autorstwa przyznaje się wiele osób), który zapisał w swoim pamiętniku pod datą 18 stycznia 1945 roku:

„Obudziłem się około godziny 6.00. Na śniadanie zjadłem marmoladę z buraków i ciemny chleb, popiłem kawą zbożową. Ogoliłem się, ubrałem, posłuchałem w radiu audycji BBC i wyszedłem na miasto. Pierwszy oddział krasnoarmiejców spotkałem około godziny 11.00 na ulicy Floriańskiej. Następny zegarek kupiłem sobie w 1950 roku.”

Powyższy tekst ukazał się pierwotnie na stronie internetowej Radia RMF FM.

Podatek od cienia

W jednej z miejscowości w okolicach Treviso (północne Włochy) wprowadzono podatek od cienia rzucanego na ziemię przez sklepowe szyldy, który natychmiast uznano za najbardziej ekscentryczny w kraju – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

„W ostatnich tygodniach, jak podała włoska prasa, właściciele sklepów w Conegliano Veneto otrzymali wezwanie do zapłacenia podatku, na widok którego przecierali oczy ze zdumienia. Muszą zapłacić kilkadziesiąt euro za to, że ich szyldy rzucają cień na ziemię. Opłatę tę wprowadziła prywatna firma, która ściąga podatki i inne należności zasilające gminną kasę” – czytamy w depeszy PAP.

Nic dziwnego, że handlowcy zbuntowali się podkreślając, że takiego podatku nie ma w całych Włoszech, a prawdopodobnie także na świecie.

„Jednak na złości poprzestali, bo – jak zauważono – ewentualne spory z fiskusem i odwołanie się od nakazu zapłaty kosztowałoby ich dziesięć razy więcej. Zapłacili więc żadaną sumę, by oszczędzić sobie jeszcze większych wydatków i nerwów” – napisała PAP.

Jak napisał przywołany przez PAP dziennik „Corriere della Sera”, ten podatek jest efektem „co najmniej mocno naciąganej” interpretacji jednego z dekretów z 1993 roku.

„Okazało się przy okazji, że obowiązuje także letnia wersja tego samego podatku; od cienia rzucanego przez sklepowe markizy, chroniące przed słońcem” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

„Maluch” dla gwiazdy kina

Światowej sławy aktor Tom Hanks będzie wkrótce posiadaczem Fiata 126 p.

Kiedy opublikował on zdjęcie z „maluchem” na jednym z portali społecznościowych, w Polsce skrzyknęła się grupa ludzi, która postanowiła obdarować go tym najpopularniejszym samochodem jeżdżącym po nie tylko krajowych drogach w ostatnich dziesięcioleciach PRL. Szybko uzbierali odpowiednią kwotę i kupili używanego Fiata 126 p w Suwałkach.

Jak poinformowała „Rzeczpospolita”, inicjatorką tej akcji była Katarzyna Jaskólska z Bielska-Białej, gdzie produkowano fiaty 126 p. Tam też będzie on wyremontowany.

„Auto musiało pochodzić najwyżej z 1975 roku, bo w Stanach Zjednoczonych takie pojazdy są już zabytkami, ale można poruszać się nimi po drogach. Odpowiedniego malucha znaleziono w Suwałkach. Jest z roku 1974 i w bardzo dobrym stanie” – czytamy w gazecie.

Właściciel wycenił go na 8,5 tysiąca złotych, które wyłożył znany rajdowiec i przedsiębiorca Rafał Sonik chętnie wspierający wszelkie inicjatywy promujące Polskę na świecie.

Kupiony „maluch” spędził ostatnie 7 lat w garażu i miał być odrestaurowany, ale jego przyszłość uległa zmianie. Po przywróceniu do stanu używalności zostanie przetransportowany do Los Angeles i przekazany Tomowi Hanksowi wraz z biletem lotniczym do Polski.

Remont i transport odbędą się zupełnie bezpłatnie.

„- Firmy zdecydowały się to zrobić za jeden uśmiech, a zebrane pieniądze, które pierwotnie miały pokryć koszty związane z akcją, w całości będą przekazane na bielski szpital pediatryczny” – powiedziała „Rzeczpospolitej” Jaskólska, która liczy na to, że wielki aktor odwiedzi Bielsko-Białą i zakocha się w niej.

Ciekawe, czy polski Fiat 126 p z tak sławnym kierowcą zrobi furorę na amerykańskich szosach.

Kolęda bez księdza

O nietypowej wizycie duszpasterskiej w Tomkowej na Dolnym Śląsku poinformował portal www.swidnica.naszemiasto.pl.

Z uwagi na chorobę proboszcza tamtejszej parafii zamiast niego wiernych odwiedzały w domach po kolędzie kościelna i kucharka z plebanii, święcąc domy oraz przyjmując datki.

– Pani Marysia i pani Dorota chodziły za księdza, pobierały koperty oraz święciły ludziom domy bez jakichkolwiek uprawnień – powiedzieli portalowi zdumieni taką formą kolędy parafianie.

„Opisują, że kobiety wyciągały pieniądze z kopert w obecności domowników, spisywały, kto ile dał – tak by nikt nie pomyślał, że zabiorą coś dla siebie. Tłumaczyły, że robią to na polecenie księdza ponieważ ten musi zebrać koperty szybko, by do 28 stycznia rozliczyć się z podatku u biskupa” – czytamy na stronie www.swidnica.naszemiasto.pl.

Zbulwersowani wierni zadzwonili do kurii. Po interwencji biskupa proboszcz odwołał dalszą kolędę i został przez poproszony o wyjaśnienie tej sytuacji przez swojego przełożonego.

Warto przypomnieć, że zgodnie z Kodeksem prawa kanonicznego (kan. 529

§ 1), kołęda to wizyta duszpasterza, który „powinien starać się poznawać wiernych powierzonych jego pieczy”, a zatem winien „nawiedzać rodziny, uczestniczyć w troskach wiernych, zwłaszcza niepokojach i smutku, oraz umacniając ich w Panu, jak również – jeśli w czymś niedomagają – roztropnie ich korygując”.

Bulwar to nie ulica, piwo można na nim wypić

Sąd Najwyższy uznał, że na bulwarach Flotylli Wiślanej w Warszawie można spożywać piwo, ponieważ nie są one ulicą, a więc nie podlegają ustawie o wychowaniu w trzeźwości – poinformowała „Rzeczpospolita”.

– Obywatelom wolno to, czego prawo im wyraźnie nie zabrania, a organom władzy wolno tylko to, na co prawo im wyraźnie zezwala – tak SN uzasadnił postanowienie w sprawie odpowiedzi na pytanie czy na schodkach nad Wisłą wolno pić piwo czy też nie.

„SN twierdzi, że sądy, wydając wyroki w takich sprawach, powinny brać pod uwagę węższą definicję ulicy, czyli tę z ustawy o drogach publicznych, bo jest korzystniejsza dla sprawcy wykroczenia. Według niej bulwar nie może być nazwany ulicą i nie podlega ustawie o wychowaniu w trzeźwości. A to oznacza, że na bulwarach Flotylli Wiślanej i kamiennych schodach nad Wisłą można pić piwo” – czytamy w gazecie.

Sprawa trafiła do SN za sprawą Marka Tatały, inicjatora akcji „Legalnie nad Wisłą” (promującej zgodne z prawem spożywanie alkoholu nad brzegiem rzek), który odmówił przyjęcia mandatu za picie piwa w tym miejscu.

„Tatała stanął przed stołecznym sądem rejonowym, który uznał go za winnego. Odstąpił jednak od wymierzenia kary. Sąd posłużył się definicją ulicy zawartą w załączniku do rozporządzenia z 2012 roku. Konsekwencją tego było przyjęcie, że miejsce, o które trwa spór, jest ulicą w rozumieniu ustawy o wychowaniu w trzeźwości. Marek T. zaskarżył wyrok. Powołując się na ustawę o drogach publicznych i plany zagospodarowania przestrzennego, próbował udowodnić, że miejsce to nie jest ulicą. Sąd Okręgowy w Warszawie postanowił zwrócić się z pytaniem do Sądu Najwyższego. A ten dostrzegł niepokojącą praktykę policji i straży miejskiej. Karząc za picie alkoholu w miejscach niedozwolonych, powołują się na zakaz picia w miejscach publicznych, tymczasem powinny je precyzować” – napisała „Rzeczpospolita”.

Sąd Najwyższy mając do wyboru dwie ustawowe definicje ulicy wybrał tę, w której określa się ją jako „drogę na terenie zabudowy lub przeznaczonym do zabudowy”, a taki właśnie charakter mają bulwary Flotyli Wiślanej w Warszawie.

Po tym orzeczeniu należy się spodziewać, że akcja „Legalnie nad Wisłą” rozprzestrzeni się na wiele polskich miast, także tych, przez które płyną inne rzeki.

Rehabilitacja plotki

Z ustaleń naukowców z uniwersytetu w Pawii we włoskiej Lombardii wynika, że plotkowanie nie tylko nie szkodzi bliźnim, ale ma dobroczynne działanie, tworzy więzy i klimat zgody oraz zrozumienia – poinformowała „Rzeczpospolita”, powołując się na dziennik „La Repubblica”.

Trzyosobowy zespół naukowców stwierdził, iż rozsiewanie plotek uwalnia w ludzkim organizmie oksytocynę, nazywaną hormonem przyjaźni, więzi i miłości.

„Plotka ma na celu skonsolidowanie grup społecznych poprzez wykluczenie elementów zewnętrznych i potencjalnych sprawców niestabilności, takich jak osoby rozbijające rodziny, zawsze skazywane na ostracyzm przez plotkujących” – powiedziała cytowanemu przez polską gazetę włoskiemu dziennikowi badaczka Natascia Brondino, która wraz z dwojgiem innych specjalistów poddała eksperymentowi dwie grupy studentek.

Autorzy eksperymentu naukowego zastrzegli, że ograniczyli się do przebadania przedstawicieli jednej płci, aby uniknąć dodatkowego wpływu pociągu fizycznego na poziom oksytocyny.

„Eksperyment dotyczył, jak wyjaśniono na łamach dziennika <La Repubblica>, plotki o niespodziewanej ciąży. Studentki nie wiedziały o tym, że w nim uczestniczą. Zostały podzielone na dwie grupy; w jednej z nich wywołano dyskusję o ciąży jednej ze studentek, a w drugiej o wypadku sportowym. Następnie rozmawiano na neutralny temat. Okazało się, że poziom oksytocyny w ślinie rośnie o 2 procent w czasie rozmowy o kontuzji, a o 50 procent w rezultacie plotkowania o bliźnich. Spada zaś, gdy poruszana jest sprawa zupełnie neutralna.

Potwierdzono jednocześnie dobroczynne działanie samej rozmowy. W cza-

sie każdej z nich obniżał się poziom kortyzolu – hormonu stresu. Już sama rozmowa uspokaja – podkreślają psychiatrzy z Pavii. Zastrzegają zarazem, że klimat zgody chemicznie wywołany przez plotki jest ulotny, bo oksytocyna krótko pozostaje w organizmie” – czytamy w „Rzeczpospolitej”.

Czy po opublikowaniu tych wniosków zaczniemy plotkować bez poczucia winy i z przekonaniem, że pomagamy w ten sposób sobie oraz innym ludziom?

Kapłan w „jaskini grzechu”

Krajowe media, a głównie prawicowe i chrześcijańskie portale internetowe nagłośniły ostatnio wizytę duszpasterską, jaką złożył pewien ksiądz w znajdującej się na terenie jego parafii (100 metrów od kościoła) agencji towarzyskiej, w której został bardzo życzliwie przyjęty. Pracujące w niej dziewczyny nie zatrzasnęły przed nim drzwi, nie wyśmiały go, ale pomodliły się, a jedna z nich uroniła nawet łzę.

Bardzo to budujące, ale nie wiem, dlaczego jest przedstawiane w kategoriach niezwykłego wydarzenia bądź nawet sensacji. Kapłan powinien przecież zjawiać się nie tylko tam, gdzie jest serdecznie oczekiwany i może oczekiwać na spędzenie kilku przyjemnych chwil z wzorowymi, a przynajmniej niekłopotliwymi parafianami. Jego katolickim obowiązkiem jest natomiast nawiedzać także podejrzane miejsca, w których może poczuć się niezbyt komfortowo, bo właśnie do nich trzeba odważnie nieść Dobrą Nowinę.

Nie ma absolutnie nic dziwnego w tym, że ksiądz idzie po kolędzie do „jaskini grzechu”. Bierze w ten sposób praktyczny przykład z Chrystusa, który często jadał z ładacznikami i celnikami budząc podejrzliwość faryzeuszów, czym się kompletnie nie przejmował. Duchowej opieki potrzebują przecież również – a może przede wszystkim – ludzie zranieni, usunięci na margines życia społecznego, wykołajeni, ulegający nałogom, zdemoralizowani, odlegli od przesłania Ewangelii. Nawet jeżeli stali się takimi z własnej woli, trzeba starać się im pomóc niosąc słowa duchowej otuchy i pocieszenia, nie oglądając się na żadne okoliczności, a tym bardziej na nieżyczliwe spojrzenia sąsiadów, którym wydaje się, że są lepsi oraz godniejsi wizyty kapłana.

I nie ma znaczenia, czy po takiej kolędzie alkoholik przestanie pić, dziewczyna z domu publicznego porzuci swoje zajęcie, a narkoman odstawi szkodli-

we substancje. Wrzucone w ziemię ziarno nie musi wzrastać od razu, a bywa że obumiera, jeśli trafi na wyjątkowo jałową glebę. Nie zwalnia to jednak siewców od kontynuowania ich ewangelicznej misji, w której nie ma nic dziwnego, ani nadzwyczajnego.

Ulica niedźwiedzia Wojtki

Sławny niedźwiedź brunatny Wojtek, kapral w 22 Kompanii Transportowej II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (przeszedł z nią cały szlak bojowy), o którym pisaliśmy już kilkakrotnie w Poland. us, został patronem jednej z ulic w Poznaniu, w pobliżu ogrodu zoologicznego.

Rada Miasta podjęła zgłoszoną przez Michała Grzesia z Prawa i Sprawiedliwości uchwałę w tej sprawie jednogłośnie.

Małego niedźwiadka odkupili za kilka denarów i puszek konserw od pewnego chłopca polscy żołnierze w drodze z Iranu do Palestyny. Opiekował się nim żyjący jeszcze profesor Wojciech Narębski.

„– Wojtek miał swój numer służbowy, książeczkę wojskową, a nawet żołąd na papierosy, które uwielbiał zjadać. Walczył pod Monte Cassino. Nosił po trzy skrzynie z pociskami” – powiedział „Głowski Wielkopolskiemu” wnioskodawca.

Właśnie ten widok uwiecznił na rysunku jeden z żołnierzy i wkrótce stał się on symbolem 22 Kompanii.

„Malowano go na ciężarówkach, proporczykach, przypinano do mundurów. Wszyscy byli z Wojtki bardzo dumni. Po bitwie pod Monte Cassino Wojtek wziął również udział w wyzwoleniu Ankony i Bolonii” – czytamy w gazecie.

Po demobilizacji PSZ w 1947 roku niedźwiedź trafił do ogrodu zoologicznego w Edynburgu, gdzie dożył do 2 grudnia 1963 roku. Często odwiedzany przez dawnych towarzyszy broni zawsze radośnie reagował na język polski i nadal uwielbiał zjadać rzucane mu przez kratki papierosy. Nie mógł już natomiast uprawiać z nimi zapasów, ani porywać służącym w II Korpusie dziewczętom suszącej się na sznurach bielizny.

„– Wiadomość o jego śmierci podało ze smutkiem wiele gazet, stacji radiowych i telewizyjnych. Życie kaprała Wojtki stało się bowiem niezwykle częścią historii i sławy polskiego oręcza, a on był jego wspaniałym ambasadorem,

promując je na całym świecie. W opinii angielskiego historyka prof. Normana Daviesa Wojtek robi to lepiej niż wszystkie sztandary, proporce i karabiny” – dodał radny Michał Grześ w rozmowie z „GW”.

Szef klubu radnych Platformy Obywatelskiej w Radzie Miasta Poznania Marek Sternalski zaapelował, aby znalazło się też miejsce na tablicę informacyjną, na której umieszczona zostałaby historia sympatycznego czworonoga.

„– Na początku lutego odbędzie się konferencja, podsumowująca działania edukacyjne ogrodu zoologicznego. Przewidziano także wtedy prelekcję o kapralu Wojtku. Wiosną odbędzie się zbiórka publiczna. Zebrane pieniądze mają być przeznaczone na posąg Wojtki, który stanie obok wejścia do niedźwiedziarni” – powiedział „Głosowi Wielkopolskiemu” zastępca prezydenta Poznania Tomasz Lewandowski, zastępca prezydenta.

O Wojtku powstały już dwie książki, doczekał się także kilku pomników: w Instytucie generała Władysława Sikorskiego w Londynie, w Edynburgu, w Żaganiu oraz w parku im. doktora Henryka Jordana w Krakowie. Był też pierwszym niedźwiedziem uhonorowanym specjalnym bankietem przez szkocki parlament.

„Archeologia” w Auschwitz

Odnalezione w 1967 roku podczas prac archeologicznych w rejonie komory gazowej i krematorium nr III w Birkenau osobiste przedmioty należące do ofiar zostaną po raz pierwszy publicznie pokazane na wystawach w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau oraz w siedzibie UNESCO w Paryżu – poinformowała dyrekcja placówki.

Ekspozycja pod nazwą „Archeologia” została przygotowana z okazji 72. rocznicy wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady, która będzie obchodzona 27 stycznia.

– Przedmioty te są niezwykle cennym dokumentem prowadzonej w obozie przez Niemców zagłady, ale przede wszystkim poruszającym osobistym świadectwem ofiar. To w zdecydowanej większości przypadków ostatnie osobiste rzeczy, które udało się zachować Żydom kierowanym bezpośrednio po selekcji z rampy na śmierć do komór gazowych – powiedziała dziennikarzom szefowa Wystawienia Muzeum Alicja Wójcik.

„Pokazane zostaną m.in. termometry, butelki po lekach czy perfumach, fragmenty butów, sztucce, biżuteria, zegarki, szczotki, fajki, zapalniczki, fragmenty naczyń, guziki, szczyrki, klucze i wiele innych przedmiotów, w których ukryta jest tajemnica i historia osób, które je ze sobą zabrały” – czytamy na stronie internetowej <http://auschwitz.org>.

Większość tych pamiątek była przez ponad pół wieku zdeponowana poza Muzeum i pozostała w zapomnieniu aż do czerwca ubiegłego roku.

„Impulsem do rozpoczęcia trwających wiele miesięcy poszukiwań była analiza filmu <Archeologia> w reżyserii Andrzeja Brzozowskiego, który dokumentował prowadzone wtedy prace. Ze zdjęć wynikało jasno, że wykopano wówczas znacznie więcej obiektów, niż wskazywał na to archiwalny inwentarz Zbiorów. Pracownicy Muzeum zaczęli sprawdzać szczegółowo każdy wątek, choć nie było pewności czy obiekty nie zostały zaprzepaszczone lub rozproszone. Udało się jednak odnaleźć i nawiązać kontakt z ostatnimi żyjącymi osobami uczestniczącymi w tamtym projekcie archeologicznym, aż w końcu dokonano sensacyjnego odkrycia. Historyczne obiekty znajdowały się w 48 kartonach w jednym z budynków Polskiej Akademii Nauk. Zdecydowana większość z nich cały czas znajdowała się w opisanych, indywidualnych opakowaniach wskazujących m.in. miejsce odnalezienia, czy dokładne dane dotyczące obiektu. W czerwcu ubiegłego roku przedmioty powróciły do Miejsca Pamięci” – napisano na stronie <http://auschwitz.org>.

Ekspozycja w siedzibie UNESCO w Paryżu zostanie otwarta 26 stycznia, towarzyszyć jej będzie dyskusja pt. „Edukować dla lepszej przyszłości. Rola historycznych miejsc i muzeów w nauczaniu o Holokauście”, w której udział weźmie m.in. dyrektor Muzeum doktor Piotr M. A. Cywiński. Potrwa do 10 lutego, a partnerem wydarzenia jest Memorial de la Shoah.

W Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau „Archeologia” będzie dostępna od 27 stycznia do 24 lutego w sali wystaw czasowych w bloku 12 od niedzieli do piątku w godzinach 10.00–16.00 w styczniu i 10.00–17.00 w lutym.

Popularny zawód: pucybut

Amerykańskie marzenie ludzi startujących w biznesie, a wyrażające się w znanej formule: „od pucybuta do milionera” wzięło sobie ostatnio do serca

ponad 70 osób w wieku od 21 do 61 lat (także kobiet), ubiegających się o pracę czyszciciela butów na ulicach sycylijskiego Palermo.

Jak poinformował na swoim portalu internetowym „Forbes, wśród kandydatów, którzy odpowiedzieli na ogłoszenie tamtejszego związku rzemiosła, są także absolwenci wyższych uczelni. Przyjętych zostanie 15 z nich, a będą mogli zarobić do 1200 euro miesięcznie.

„Kiedy rozpisywano konkurs na początku stycznia, nie było wiadomo, czy kogokolwiek zainteresuje ta oferta. Jak zauważa się, głód pracy na wyspie jest jednak tak duży, że pucybutami gotowi są nawet zostać absolwenci nauk politycznych i malarstwa, a także bezrobotny geometra. O pracę tę ubiega się też student ostatniego roku ekonomii i finansów oraz absolwentki liceum klasycznego i lingwistycznego. Jeden z kandydatów jest synem sycylijskiego pucybuta” – czytamy w portalu.

Jest to prawdopodobnie efektem przekraczającego 50 procent wskaźnika bezrobocia wśród młodych Sycylijczyków.

„Wybrane w drodze konkursu osoby będą pracować w kilkunastu najważniejszych punktach miasta; od lotniska po stację kolejową. Stanowisko dla czyszciciela butów przewidziano też przed sądem. Wszyscy wybrani przejdą bezpłatny kurs czyszczenia, pastowania i polerowania butów” – napisał „Forbes”.

Cyfrowy ambasador

– Firmy takie jak Google, Apple czy Microsoft stały się nowym typem państw, mają wpływ na Danię podobny do klasycznych państw i musimy się z tym zmierzyć – oświadczył minister spraw zagranicznych Danii Anders Samuelsen zapowiadając w wywiadzie dla „Politiken” powołanie tzw. cyfrowego ambasadora do spraw kontaktów z tymi gigantycznymi koncernami (cytat za „Rzeczpospolitą”).

Jeżeli plan powiedzie się, Dania będzie pierwszym krajem mającym takiego dyplomatę.

„Na razie nie wiadomo, kto będzie odpowiedzialny za kontakty z amerykańskimi firmami z branży nowych technologii. Samuelsen zwrócił uwagę, że firmy takie jak Apple czy Google dysponują zasobami większymi, niż wie-

le państw, z którymi Dania utrzymuje stosunki dyplomatyczne” – czytamy w „Rz”.

Według raportu „Financial Times”, na który powołał się minister wynika, że gdyby Apple i Google były państwami, „załapałyby się” do grupy 20 najbogatszych państw świata.

Euro bez papieża

Na watykańskich monetach euro nie będzie od tego roku umieszczany wizerunek Ojca Świętego – dowiedziała się Informacyjna Agencja Radiowa.

„Państwo Watykańskie wprawdzie nie jest członkiem Unii Europejskiej, ale od początku należy do strefy wspólnej europejskiej waluty i ma prawo bić jej własną wersję” – czytamy na stronie internetowej IAR.

Ponieważ każde państwo należące do strefy euro umieszcza na tej walucie osoby i miejsca z nim związane (na rewersie banknotów i monet), Stolica Apostolska wybrała wizerunek aktualnego papieża, co w 2000 roku próbował udaremnić socjalistyczny rząd Francji twierdząc, że nie powinny to być symbole religijne, bo mogą urażać czyjeś uczucia.

Watykan nie przejął się tym protestem i na pierwszych watykańskich euro, które weszły do obiegu w 2001 roku znalazł się portret Jana Pawła II, a na kolejnych podobizny Benedykta XVI i Franciszka.

„Od tego roku będzie jednak inaczej: zamiast wizerunku papieża na narodowym rewersie umieszczony zostanie herb Franciszka” – napisano na stronie Informacyjnej Agencji Radiowej.

Ciekawe, czy to salomonowe rozwiązanie zadowoli antyreligijnych radykałów i zaciekłych orędowników politycznego śluzniactwa w Europie.

Lista esesmanów z Auschwitz-Birkenau

Instytut Pamięci Narodowej upublicznił zawierającą około 8,5 tysiąca nazwisk listę nazwisk załogi niemieckiego nazistowskiego obozu zagłady Auschwitz-Birkenau.

– To jest dopiero początek. Tą bazą rozpoczynamy realizację dużego projektu. Zaczynamy od KL Auschwitz, ale w dalszych planach mamy rozwinięcie tej bazy również o inne niemieckie nazistowskie obozy koncentracyjne – powie-

dział na konferencji prasowej w Krakowie prezes IPN doktor Jarosław Szarek (cytaty za depeszą Polską Agencji Prasowej).

Jak podkreślił, prezentacja bazy jest też odpowiedzią na używanie przez wiele światowych mediów kłamliwego określenia „polskie obozy koncentracyjne”.

– Proszę bardzo, pokazujemy, kim była ta załoga funkcjonariuszy SS. Co więcej, pokazujemy to w internecie w takiej skali, w jakiej nikt wcześniej tego nie zrobił. Każdy będzie mógł zobaczyć tę bazę – dodał.

Jest ona dostępna w trzech wersjach językowych: polskiej, niemieckiej i angielskiej; szczegółowe dane można na razie przeczytać w języku niemieckim (oryginalne nazwy) i w polskim przekładzie.

Jej tworzenie rozpoczął w 1982 roku Aleksander Lasik w związku z przygotowaniem rozprawy doktorskiej przedstawionej sześć lat później w Instytucie Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

„Pierwotnie baza obejmowała tylko dane funkcjonariuszy SS z KL Auschwitz-Birkenau. Z czasem była powiększana o informacje na temat załóg innych obozów koncentracyjnych i osiągnęła rozmiar 25 tysięcy wpisów, z czego 9686 odnosiło się do załogi SS w KL Auschwitz” – czytamy w depeszy PAP.

Po powołaniu prof. Lasika w 2014 roku w charakterze biegłego historyka, Krakowski Oddział IPN pozyskał utworzoną przez niego bazę dla potrzeb śledztwa dotyczącego zbrodni popełnionych w KL Auschwitz-Birkenau, a prowadzonego przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

„W maju 2015 r. podjęto decyzję o publicznym udostępnieniu bazy na stronach internetowych IPN i rozpoczęto prace nad przygotowaniem jej publikacji. Baza danych <Załoga SS KL Auschwitz> została także udostępniona na stronie internetowej www.truthaboutcamps.eu” – napisała Polska Agencja Prasowa.

ODZNACZENIA DLA DZIAŁACZY NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH

20 lutego w Pałacu Prezydenckim z okazji rejestracji NZS-u Prezydent Andrzej Duda nadał odznaczenia państwowe osobom zasłużonym w tym rekomendowanym przez Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego zostali uhonorowani;

Grzegorz Wilczyński, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Wolności i Solidarności oraz

Piotr Wójcik, Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Wolności i Solidarności.



© Krzysztof Sitkowski / KPRP

1 marca w Pałacu Prezydenckim z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych Prezydent Andrzej Duda nadał odznaczenia państwowe osobom zasłużonym dla niepodległości Polski i osobom pielęgnującym pamięć o tamtych wydarzeniach.

Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w pracy artystycznej i twórczej, za pielęgnowanie pamięci o najnowszej historii Polski odebrał z rąk prezydenta **Jacek Pawłowicz** działacz Konfederacji Polski Niepodległej z Płocka obecnie dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Warszawie na ul. Rakowieckiej.

Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski uhonorowany został Naczelnik Wydziału Orzecznictwa Departamentu Współpracy ze Stowarzyszeniami i Ewidencji Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych **Leszek Czajkowski** działacz Konfederacji Polski Niepodległej i Organizacji Akademickiej „Orzeł Biały”.



W Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” 3 marca 2017 roku odbyła się z inicjatywy Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego ceremonia wręczenia Krzyży Wolności i Solidarności działaczom Konfederacji Polski Niepodległej. Odznaczenia przyznane działaczom opozycji w PRL przez prezydenta RP Andrzeja Dudę w jego imieniu wręczył prezes IPN dr Jarosław Szarek.

To była ta sama walka, o tę samą sprawę, o którą nasi przodkowie walczyli przed 100 laty i dużo wcześniej – przeciwstawiali się niewoli, zaborcom i okupantom, walcząc o niepodległość – mówił do zasłużonych działaczy opozycji w PRL prezes IPN dr Jarosław Szarek, wręczając im Krzyże Wolności i Solidarności.



W uroczystości wziął udział p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.

Jedno z wydawnictw drugoobiegowych Konfederacji Polski Niepodległej nosiło nazwę „6 sierpnia”. Wydawało książki, które miały dać siłę tym, którzy byli kolejnym pokoleniem walczących o niepodległość. Ale siła środowiska niepodległościowego i KPN, brała się właśnie z tej daty, która posłużyła twórcom tego wydawnictwa za jego nazwę. Siła tego środowiska brała się z mocy i symbolu krakowskich Oleandrów i wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej, a tak się symbolicznie składa, że gmach, w którym się znajdujemy jest usytuowany na rogu ulicy Marszałkowskiej i ulicy Oleandrów. Bo siła 6 sierpnia dla środowiska Konfederacji Polski Niepodległej brała się z tego, że wówczas tak niewielu porywało się na rzecz zdawałoby się niemożliwą – 144 Kadrowiaków poszło w bój o niepodległość przeciwko potężne

carskiej Rosji. A Państwo jako środowisko niepodległościowe, choć z początku było Was tak niewielu, wystąpiliście przeciwko systemowi, który podobno w Polsce miał nigdy nie upaść. Ale tak, jak tamto pokolenie strzelców Józefa Piłsudskiego Państwo mieli niewzruszoną wiarę w Polskę Niepodległą. I dlatego, dzięki Państwu możemy dziś spotkać się w wolnej Polsce – mówił składając gratulacje odznaczonym p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.



Krzyże Wolności i Solidarności otrzymali:

Maciej Gawlikowski

Marco Milnikel

Tomasz Szczepański

Krzysztof Bogdan Walta

Jarosław Wartak

Jerzy Marek Wawrowski

Melania Julia Wielechowska

Kazimierz Czesław Wilk

Andrzej Tomasz Zapałowski

pośmiertnie:

Wiesław Stanisław Gęsicki

Jadwiga Goryszewska

Stanisław Jan Mazurkiewicz
Aleksandra Barbara Milnikel
Elżbieta Helena Pacuła

Uroczystość zakończył koncert piosenki historycznej przygotowany dla odznaczonych kolegów przez Leszka Czajkowskiego i Pawła Piekarczyka.



Biogramy osób odznaczonych;

Gawlikowski Maciej. był kolejno: uczniem I Liceum Ogólnokształcącego im. B. Nowodworskiego w Krakowie, uczniem XIV Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie a następnie, z powodu sankcji nakładanych na niego za działalność niepodległościową, pracownikiem kilku zakładów pracy.

Rozpoczął ją już w 1982 r. jako współzałożyciel i redaktor podziemnego pisma Komitetu Samoobrony Młodzieży, która kolportowała ulotki i pismo „Niezależność”.

W kolejnych latach zaangażowany był w rozpowszechnianie wielu podziemnych pism m. in.: „Aktualności”, „Hutnik”, „Tygodnik Mazowsze”, „Myśli nieinternowane” współtworząc strukturę kolportażu wśród uczniów szkół średnich.

Wchodził w skład zespołu redakcyjnego biuletynu „Niepodległość”. Następnie założył Młodzieżową Organizację KPN, która wydawała pismo „Contra”. Nawiązał ponadto współpracę z osobami z wrocławskiej „Solidarności Walczącej” a następnie rozpowszechniał ich pisma na terenie Krakowa.

11 października 1985 r. został zatrzymany w trakcie przyklejania na szybie autobusu MPK w Krakowie ulotki antywyborczej, przewieziony do siedziby WUSW w Krakowie a następnie do jego mieszkania w celu rewizji. Podczas przeszukania, kiedy funkcjonariusze WUSW odnaleźli znaczne ilości literatury podziemnej, zbiegł z mieszkania. Ujawnił się w prokuraturze 5 grudnia tegoż roku.

Od 1988 r. Pan Maciej Gawlikowski był w składzie podziemnej organizacji Wydziału Studenckiego KPN, przemianowanego na Organizację Studencką KPN a następnie na Studencką Grupę KPN. W ramach tej działalności organizował lub współorganizował w Krakowie m. in.: 23 lutego 1989 r. happening w 71. rocznicę powstania Armii Czerwonej; - 27 lutego 1989 r. wiec przy Collegium Maius; 16 kwietnia 1989 r. manifestację po mszy św. na Wawelu z przemarszem do Grobu Nieznanego Żołnierza.

Był członkiem Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN. Współdecydował o losach KPN, jego kształcie, strukturze podczas zebrania Rady Politycznej KPN w 1989 r.

Milnikel Marco w latach 1982-89 współpracował z NSZZ „Solidarność”, Konfederacją Polski Niepodległej i Solidarnością Walczącą. W mieszkaniu jego i jego żony przy ul. Traktorowej w Łodzi mieścił się punkt kolportażu zakazanych wydawnictw i materiałów poligraficznych, a także odbywały się w nim konspiracyjne spotkania. Pan Marco Milnikel był także kolporterem wydawnictw bezdebitowych.

Szczepański Tomasz od 1984 r. był aktywnym działaczem struktur opozycyjnych na terenie Warszawy. Był działaczem Porozumienia Opozycji Robotniczej (w latach 1985-1986), Grupy Politycznej Robotników Bródno (w latach 1986-1987). W 1987 r. zaangażował się w działania zmierzające do reaktywacji Polskiej Partii Socjalistycznej, był uczestnikiem Zjazdu Założycielskiego,

członkiem Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS. Uczestniczył w demonstracjach, organizował i redagował podziemne wydawnictwa „Osiedlowy Biuletyn Informacyjny”, „Międzymorze”, kolportował prasę podziemną i ulotki.

Wielokrotnie zatrzymywany, przeszukiwany i przesłuchiwany. W 1988 r. dwukrotnie skazany przez Kolegium do spraw Wykroczeń na karę grzywny.

W 1989 r. w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu był aktywnym działaczem Bródnowskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarności”.

Walta Krzysztof Bogdan był współzałożycielem i członkiem NSZZ „Solidarność” w Kombinacie Budownictwa Mieszkaniowego - Południe w Warszawie. W okresie stanu wojennego nie zaniechał czynnej działalności związkowej. Kandydat do odznaczenia, w ramach swojej działalności niepodległościowej, kolportował nielegalne wydawnictwa w miejscu pracy. Brał udział w zajściach ulicznych w Warszawie m.in. w dniach: 9.05.1982 r. oraz 12.05.1982 r. W dniu 9.05.1982 r. został zatrzymany za udział w akcji protestacyjnej. Z kandydatem do odznaczenia kilkukrotnie przeprowadzano rozmowy ostrzegawcze. Nakłaniał załogę do wzięcia udziału w strajku protestacyjnym w dniu 10.11.1982 r. Internowany w Ośrodku Odosobnienia Warszawa-Białołęka od 10.11.1982 r. Internowanie uchylono 7.12.1982 roku.

Wartak Jarosław

Pan Jarosław Wartak działalność opozycyjną rozpoczął podczas nauki w szkole średniej w Dąbrowie Górniczej. Polegała ona na malowaniu antysystemowych napisów na murach i akcjach ulotkowych. Następnie od 1981 r., podczas studiów na Uniwersytecie Śląskim, związał się z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów. Po wprowadzeniu stanu wojennego nie zaprzestał prowadzenia dotychczasowej działalności, brał udział w manifestacjach, roznosił opozycyjne gazety i ulotki. Od 1986 r. przeniósł się na Uniwersytet Jagielloński gdzie również włączył się w prowadzenie działalności opozycyjnej.

Wawrowski Jerzy Marek od jesieni 1980 r. był członkiem NSZZ „Solidarność” w Przedsiębiorstwie Gospodarki Maszynami- Budownictwa Warszawa. Po wprowadzeniu stanu wojennego kontynuował działalność związkową

w podziemnych strukturach związku w Zakładzie Eksploatacji Dźwignic. Współorganizował kolportaż wydawnictw bezdebitowych w zakładach budowlanych Warszawy. Był redaktorem ulotek i pism zakładowych oraz w gazetach „Wolna Trybuna” i miesięczniku „Unia”. Od 1986 r. był działaczem Grupy Politycznej „Niezawisłość” i redaktorem pisma „Niezawisłość”. Od 1987 r. po skonfederowaniu się GP „Niezawisłość” z Konfederacją Polski Niepodległej był członkiem KPN. Był redaktorem tekstów zamieszczanych w „Gazecie Polskiej KPN”.

Wielechowska Melania Julia była matką Pawła Wielechowskiego, działacza łódzkiej „Solidarności” i KPN, dwukrotnie internowanego w stanie wojennym. W latach 1983 – 1984 w mieszkaniu Pani Melanii Wielechowskiej organizowane były liczne działania konspiracyjne i spotkania działaczy opozycyjnych. Ponadto mieszkanie było wykorzystywane jako punkt kontaktowy, w którym zostawiano różne materiały drukarskie oraz nielegalne wydawnictwa. W związku z tym w mieszkaniu przeprowadzano częste rewizje. Po wyjeździe Pawła Wielechowskiego do Szwecji w 1985 r., Pani Wielechowska przekazywała działaczom opozycyjnym przesyłki przekazywane przez jej syna, który wspierał finansowo i organizacyjnie działania opozycji w kraju.

Wilk Kazimierz Czesław jesienią 1980 r. był członkiem Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Cieszyńskiej Fabryce Farb i Lakierów. W 1981 r. był członkiem Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Po ogłoszeniu stanu wojennego kontynuował działalność związkową w podziemnych strukturach. Kolportował wydawnictwa bezdebitowe, uczestniczył w manifestacjach w aglomeracji śląskiej. Organizował lokale na działalność poligraficzną. Był współorganizatorem tajnych, a w 1989 r. jawnych struktur Konfederacji Polski Niepodległej na Śląsku Cieszyńskim. W 1988 r. uczestniczył w strajkach górniczych w Kopalni Węgla Kamiennego „Pniówek” w Pawłowicach Śląskich. W 1989 r. był delegatem na organizowany jeszcze w podziemiu Zjazd NSZZ „Solidarność” Regionu Śląsko- Dąbrowskiego w Ustroniu.

Wójcik Piotr już w listopadzie 1981 roku jako osoba działająca w samorzą-

dzie szkolnym w XVI LO im S. Sempołowskiej współorganizował wsparcie dla studentów Wyższej Szkoły Pożarnictwa i był jednym z organizatorów manifestacji uczniów i nauczycieli popierającej ten strajk. W 1982 na początku stanu wojennego poprzez koleżankę z liceum Agnieszkę Dąbrowicką poznał Andrzeja Grabowskiego który jako współpracownik sekcji interwencji „S” Regionu Mazowsze wprowadził go razem kolegami Piotrem Nehringiem, Szymonem Urbańskim i Piotrem Liszkiewiczem w tajniki drukarskie. Drukował (sitodruk) pismo „CEL” (wyszło 4-6 numerów). Wiosną 1983 roku brał udział w drukowaniu statutu „S” dla lubelskich podziemnych struktur solidarności. W latach 1983-84 odbierał od Aleksandry Krajewskiej i jej rodziców i kolportował podziemne pisma między innymi „Kos” i „Tu i teraz”. W październiku i listopadzie 1984 roku był członkiem studenckiej służby porządkowej w kościele św. Stanisława Kostki przed i w trakcie pogrzebu ks. Jerzego Popiełuszki. W tym czasie rozpoczął współpracę z Maciejem Robakowskim który wprowadził go do struktur technicznych drukujących pismo „Kos”. W latach 1985-87 w mieszkaniu rodziców na ul. Zabłocińskiej w W-wie zorganizował punkt składowy książek i pism drugiego obiegu. W latach 1983-88 był członkiem „Bratniaka” na wydziale prawa UW co pomagało mu wspierać kolegów związanych z wydawnictwem „Pokolenie” i pismem „Miś”, Tomaszem Ziemińskim i Janem Szczerbą. Organizował magazyny składowe materiałów poligraficznych i kolportażowe między innymi na ul. Obozowej i Karasia. W latach 1986-87 wraz ze studentami, Antonim Łepkowskim, Rafałem Szczerbą, Witoldem Przytockim był współorganizatorem pisma „Dodruk”. Jesienią 1988 roku na propozycję kolegów – Lecha Zakrzewskiego i Jana Popowskiego przystąpił do odbudowujących się struktur Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Był autorem projektu statutu Komisji Uczelnianej NZS UW.

Zapałowski Andrzej Tomasz w latach osiemdziesiątych XX w. związał się z środowiskiem opozycyjnym. Był aktywnym członkiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów i Konfederacji Polski Niepodległej. Współpracował z Kongresem Solidarności Narodu oraz Federacją Młodzieży Walczącej. Działał w nieformalnym opozycyjnym ruchu wewnątrz ZHP, aż do usunięcia go z jego struktur, wraz z 13. Drużyną Harcerską im. Orląt Lwowskich w Przeworsku za

działalność patriotyczno-religijną.

Organizował kolportaż niezależnych wydawnictw, akcje ulotkowe. Od 1985 r. prowadził działalność kurierską przewożąc bezdebitowe wydawnictwa z Krakowa do Przeworska i Przemyśla. Równolegle prowadził punkt konspiracyjnych wydawnictw w krakowskim akademiku. Drukarz, członek redakcji „Legionu” – podziemnego czasopisma NZS-u. Sporządzał również ulotki i plakaty na potrzeby KPN.

W latach od 1986 do 1989 wchodził w skład Prezydium Tajnej Krakowskiej Komisji Koordynacyjnej NZS. Był również członkiem Grup Specjalnych NZS. W 1988 r. został przewodniczącym struktur NZS podczas strajku okupacyjnego na Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie.

W związku z prowadzoną działalnością był zatrzymywany przez Służbę Bezpieczeństwa. W 1988 r. za udział w patriotycznym wiecu został skazany przez kolegium do spraw wykroczeń na karę grzywny. W 1988 r. zaangażował się w prace na rzecz odtworzenia struktur KPN w Polsce południowo-wschodniej. Został wybrany szefem KPN w Przemyśle. Zastrzeżono mu możliwość wyjazdu za granicę na okres od 9 lutego 1989 do 9 lutego 1991 r., postanowienie uchylono 31 maja 1989 r.

Pośmiertnie Krzyżem Wolności i Solidarności odznaczeni zostali:

Gęsicki Wiesław Stanisław w latach 1981-1987 był członkiem Konfederacji Polski Niepodległej najpierw w Krakowie a następnie w Warszawie. Od 1981 r. brał udział w marszach „Szlakiem I Kadrowej im. J. Piłsudskiego” Kraków – Kielce. Został zatrzymany 9 sierpnia 1984 r. w trakcie ww. marszu i ukarany grzywną. W 1986 r. założył pismo KPN pt. „Nie chcemy komuny”, które redagował i drukował do 1990 r. W latach 1987-1988 był współzałożycielem i animatorem Ruchu Katolickiej Młodzieży Niepodległościowej.

Za próbę rozwieszenia 8 czerwca 1987 r., podczas pielgrzymki do Polski Jana Pawła II, transparentu z napisem „Ojciec Święty błogosław naszą pracę – KPN” zastrzeżono mu możliwość do wszystkich krajów świata..

W latach 1988-1989 był członkiem i koordynatorem Federacji Młodzieży Walczącej na terenie całego kraju. Ponadto był kolporterem wydawnictw

podziemnych, organizatorem demonstracji, koncertów i spotkań poetyckich w Warszawie, m.in. z Przemysławem Gintrowskim, Jackiem Kaczmarem i Piotrem Szczepanikiem.

Goryszewska Jadwiga w czasie II wojny światowej była żołnierzem Armii Krajowej. Jesienią 1980 r. współorganizowała NSZZ „Solidarność” w miejscu pracy- Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. M. Kopernika w Łodzi, a następnie została sekretarzem związku. Od 1982 r. aż do chwili śmierci była członkinią Konfederacji Polski Niepodległej w Łodzi. W KPN również pełniła funkcję sekretarza oraz należała do Kierownictwa Akcji Bieżącej. Kolportowała wydawnictwa KPN, przede wszystkim „Drogę”, a także wydawnictwa NSZZ „Solidarność”. Uczestniczyła w uroczystościach organizowanych przez Konfederację.

Mazurkiewicz Stanisław Jan podczas studiów na Uniwersytecie Warszawskim zaangażował się w działalność opozycyjną w ramach Konfederacji Polski Niepodległej. W roku 1986 współzałożył i został przewodniczącym Akademickiej Organizacji „Orzeł Biały”, zajmował się także redakcją czasopisma „Orzeł Biały”, organizował kolportaż wydawnictw KPN-u, brał udział w manifestacjach patriotycznych i akcjach ulotkowych.

Milnikel Aleksandra Barbara w latach 1982-89 współpracowała z NSZZ „Solidarność”, Konfederacją Polski Niepodległej i Solidarnością Walczącą. W mieszkaniu jej i jej męża przy ul. Traktorowej w Łodzi mieścił się punkt kolportażu zakazanych wydawnictw i materiałów poligraficznych, a także odbywały się w nim konspiracyjne spotkania. Pani Aleksandra Milnikel była także kolporterką wydawnictw bezdebitowych.

Pacula Elżbieta Helena została internowana i osadzona w Ośrodku Odosobnienia w DarłóWKu w okresie od 29.10.82 r do 4.12.82 r. Z zapisów w kartotekach oraz informacji zawartych w materiałach archiwalnych wynika, że Pani Elżbieta Pacula w latach 80. była zatrudniona w Wojewódzkim Urzędzie Telekomunikacji we Wrocławiu jako asystent. Za swoją działalność została internowana i umieszczona w Ośrodku Odosobnienia na okres powyżej 30 dni.



Uroczystości 3 marca 2017 r.

Apel

Szanowni Państwo! Żyje wśród nas wielu ludzi którzy swoim życiem i działalnością na rzecz wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej zasłużyli na wyróżnienie i uhonorowanie ich postawy. Niestety nasza Ojczyzna zachowuje się czasami jak macocha i palcem trzeba jej pokazać, że ta córka, ten syn narażając siebie i swoją rodzinę, bił się o to by była wolna i demokratyczna. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego chce być takim palcem ale bez Państwa pomocy nasze działania będą mało efektywne. Proszę więc serdecznie Wszystkich o dostarczanie nam informacji o osobach które waszym zdaniem zasługują na wyróżnienie i uhonorowanie. Informacje można wysyłać na adres redakcji „Opinii” bądź Instytutu albo na adres emajlowy ihoo@o2.pl.

Michał Janiszewski

DR JERZY BUKOWSKI

OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO LUTY 2017

Obywatel robot

W urzędzie stanu cywilnego belgijskiej miejscowości Haaselt zarejestrowano robota jako dziecko płci żeńskiej – poinformowała Niezależna, powołując się na portal www.hln.be.

Jest on całkiem spory jak na noworodka: waży 28 kilogramów i ma 120 centymetrów wzrostu. Otrzymał akt urodzenia podpisany oficjalnie przez burmistrza Nadę Vananroye.

„Rodzicami Fran Pepper jest dwoje naukowców, szefów wydziałów informatycznych z wyższej szkoły w Limburgii PXL. Robot będzie <dorastać> na kampusie w Hasselt między studentami oraz naukowcami. Otrzyma tam pracę w recepcji, gdzie będzie witać gości” – czytamy w cytowanym przez Niezależną belgijskim portalu.

Pani burmistrz stwierdziła, że Fran jest bardzo komunikatywna i chętnie prowadzi rozmowy.

Tarnów – Pierwszy Niepodległy

Od kilkunastu lat trwa rywalizacja pomiędzy Krakowem, Tarnowem a Zakopanem o to, które z wymienionych małopolskich miast pierwsze odzyskało wolność w 1918 roku. Na czoło tego szlachetnego współzawodnictwa wysunęło się obecnie drugie z nich, którego radni ustanowili 30 października „Święto Miasta Tarnowa – Pierwszego Niepodległego”.

Powołali się na uchwałę, którą podjęli ich poprzednicy wieczorem 30 października 1918 roku o następującej treści: „Rada Miasta oświadcza, że Tarnów oddaje się poleceniom rządu warszawskiego i że organowi rządowemu utworzonemu przez Radę Regencyjną da posłuch”.

W nocy z 30 na 31 października 1918 roku doszło w mieście do łagodnego przewrotu wojskowego.

– Tarnów wywalczył wolność bezkrwawo, bez ofiar, bez jednego nawet wystrzału. Tak zdobyta niepodległość jest powodem do tym większej radości. Jeżeli można uniknąć ofiar, zawsze należy szukać takiej drogi. Wolność zawdzięczamy też przede wszystkim współpracy ponad podziałami. Warto o tym pamiętać, zwłaszcza dzisiaj, w podzielonym świecie i warto brać przykład z tych, którzy potrafili to zrobić w niełatwych przecież czasach – powiedział Polskiej Agencji Prasowej prezydent miasta Roman Ciepiela.

Szczególnie uroczyscie obchodzone będzie to nowe święto w 2018 roku.

– Chcielibyśmy, aby stulecie odzyskania niepodległości miało w Tarnowie wyjątkową atmosferę. Nad jego organizacją pracuje komitet honorowy obchodów – wyjaśniła PAP dyrektor wydziału komunikacji społecznej miasta Tarnowa Maria Zawada-Bilik.

Kraków od dawna świętuje rocznicę rozbrojenia żołnierzy austriackich 31 października, pod Tatrami wspomina się natomiast z dumą Rzeczpospolitą Zakopiańską ze Stefanem Żeromskim na czele istniejącą od 13 października do 16 listopada 1918 roku.

Ku czci legionistów i bohaterów Zadwórze

Organizacje kresowe zwracają się o wsparcie dla inicjatywy budowy pomnika „Legionów Polskich i Bohaterów Polskich Termopil”, który ma stanąć w Przemyśle – poinformował portal internetowy „Naszego Dziennika”.

Z inicjatywą wystąpiły działające w tym mieście Stowarzyszenie Pamięci Polskich Termopil i Kresów im. Ks. Bronisława Mireckiego oraz Klub Inteligencji Katolickiej.

Prezes obu tych instytucji i członek Zarządu Światowego Kongresu Kresowian Stanisław Szarzyński powiedział portalowi, że monument, który zostanie zlokalizowany w wyjątkowym miejscu: przed mostem Brama Przemyśla, przy skarpie w pobliżu skrzyżowania ulicy Zadwórzeńskiej z aleją Wolności, ma upamiętniać bohaterstwo Polaków poległych na Kresach w walce o wolność i niepodległość Polski, abyśmy mogli żyć wolni.

– Żelbetowa konstrukcja i kształt pomnika wzorowany jest w pewnym stopniu na pomniku w Zadwórze upamiętniającym bitwę polskich oddziałów dowodzonych przez kapitana Bolesława Zajączkowskiego z 17 sierpnia 1920 roku przeciwko dziesięciokrotnie liczniejszym bolszewikom. Krwawa potyczka i zatrzymanie wroga pozwoliły wycofać się do Lwowa 13. Dywizji Piechoty oraz innym polskim jednostkom i przygotować się do obrony miasta. W bitwie pod Zadwórzem z armią Budionnego z liczącego ponad czterystu żołnierzy polskiego oddziału poległo 318. Pozostali zaginęli bądź trafili do łagrów sowieckich, skąd powrócił tylko jeden. Za pomnikiem stanie słup graniczny zwieńczony godłem, zaś na bocznych ścianach trójkąta zostaną umieszczone napisy o treści „Polegli, abyśmy mogli żyć wolni, Chwała Bohaterom, Cześć ich Pamięci” – wyjaśnił Szarzyński w rozmowie z „ND”.

„Na pomniku znajdą się obok Zadwórza nazwy innych miejscowości na Kresach: Kostiuchnowka, Dytiatyn, Horpin z datami bitew. Na płycie głównej zostanie umieszczony napis: <Legionistom polskim poległym na Kresach w walkach o niepodległą ojczyznę i bohaterom polskich Termopil – Obrońcom odrodzonej Rzeczypospolitej>. Budowa będzie realizowana ze społecznej zbiórki, która zostanie ogłoszona po otrzymaniu stosownego pozwolenia na budowę” – czytamy w portalu.

Poparcie inicjatywy z ewentualną deklaracją finansowego wsparcia budowy monumentu należy kierować na adres: Prezydent Miasta Przemyśla Robert Choma, ul. Rynek 1, 37-700 Przemyśl.

Stanisław Sarzyński zwraca uwagę, że będzie to pierwszy taki pomnik w Polsce, w dodatku zlokalizowany w wyjątkowym, patriotycznym, kresowym mieście, jakim jest Przemyśl.

– Ten „Świadek Historii” będzie jednocześnie miejscem edukacji o historii, której nie uczyliśmy się w polskich szkołach. Będzie łączył Polaków i Ukraińców: mieszkańców naszego miasta, którzy po Mszy Świętej w kościele pw. Świętego Brata Alberta będą mogli przejść około 800 metrów we wspólnym marszu na uroczystości pod pomnik – powiedział portalowi „Nasze Dzienniki”.

Pomnik wśród domów

Opisany przez „Polskę-Gazetę Krakowską” problem z pomnikiem na wzgórzu Kaim jest bardzo wymowny i może powtarzać się w wielu innych polskich miastach.

Monument wzniesiono według projektu Henryka Nitry w 1915 roku w trakcie działań wojennych w miejscu, w którym mieściła się najdalej na zachód wysunięta linia nacierającej na Kraków armii carskiej. W czasie rozpoczętej 4 grudnia 1914 roku bitwy o podwawelski gród Rosjanie ostrzeliwali stamtąd broń widocznej jak na dłoni twierdzy Kraków wojska austro-węgierskie. Dwa dni później rozpoczął się kontratak, w trakcie którego odbiły one wzgórze i zmusiły Rosjan do wycofania się w kierunku Wieliczki. 8 grudnia bitwa wygasła, a zaledwie rok później państwa centralne ustawiły obelisk upamiętniający odparcie rosyjskiej ofensywy.

Teraz grozi mu zagłada, ponieważ starający się o zezwolenie na budowę domu w tym miejscu inwestor już grodzi teren. Zabudowane mogą też zostać sąsiednie prywatne działki, jako że nie zabezpiecza ich plan zagospodarowania przestrzennego.

Urzędowi Miasta Krakowa nie udało się wytyczyć publicznego dojścia do pomnika poprzez wykup działek i utworzenie ścieżek, a może nawet parku. Kłopot jest także z renowacją sypiącego się zabytku.

„- Pomnik na wzgórzu Kaim stoi na działce, która jest własnością prywatną. Żeby było ciekawiej, jego fragment znajduje się na terenie Wieliczki” – powiedział gazecie Jan Machowski z biura prasowego krakowskiego magistratu.

„P-GK” tak opisała obecną sytuację:

„Teren wokół monumentu wygląda jak plac budowy, a nie miejsce pamięci. Do obelisku prowadzi wąska, nieutwardzona ścieżka, która przechodzi przez grunty prywatne. Radni dzielnicy Bieżanów-Prokocim od wielu lat proponują, żeby do pomnika doprowadzić ścieżkę spacerowo-rowerową z prawdziwego zdarzenia, ale póki co plany spaliły na panewce. Głównym problemem są właśnie kwestie własności terenów.”

Radna miejska klubu Prawa i Sprawiedliwości Aleksandra Dziedzic, która zainteresowała się tą sprawą złożyła już interpelację do prezydenta Krakowa z prośbą o informację, jak można chronić teren wpisany od 1968 roku do rejestru

zabytków. Ma wsparcie ze strony mieszkańców Bieżanowa, którzy przypominają, że takie miejsca powinny być chronione w sposób szczególny, bo toczyły się na nich przecież ciężkie walki i ginęli ludzie, a teraz ktoś chce tam budować domy.

„Urzędnicy podają, że w studium zagospodarowania całego Krakowa wzgórze jest opisane jako tzw. tereny zieleni nieurządzonej, położone w strefach ochrony i kształtowania krajobrazu miasta oraz ochrony krajobrazu warownego. Pomnik zaznaczony jest jako miejsce pamięci narodowej. Jak to możliwe, że wydano decyzję o warunkach zabudowy dla domu na wzgórzu? Magistrat tego nie wyjaśnia. Inwestor nie ma jeszcze pozwolenia budowlanego, więc można zablokować budowę, choć będzie to trudne, bo nie wyznaczono tutaj planu zagospodarowania chroniącego teren. I tak 8-metrowy budynek z garażem może stanąć na działce tuż obok pomnika. Urzędnicy miejsca dopiero pracują nad planem zagospodarowania, który ma ochronić wzgórze. Nie wiadomo, czy zdążą przed kolejnymi budowlami. Choć pomnik stoi na działce prywatnej, Zarząd Zieleni Miejskiej przyznaje, że pracownicy sprzątają tam i koszą wokół trawę. Żadnej koncepcji dla tego terenu gmina nie ma, więc według urzędu, nie można na razie podjąć działań w celu wykupu ziemi” – napisała „Polska-Gazeta Krakowska”.

Dla mnie jest zaś oczywiste, że władze państwowe lub samorządowe powinny w tego typu sytuacjach wykupywać grunty od prywatnych właścicieli. Nie może być bowiem tak, że jeżeli ktoś ma na swojej działce pomnik lub inny historyczny obiekt, to może z nim i wokół niego robić, co mu się tylko żywnie podoba. A kupując teren obciążony historycznym dziedzictwem musi liczyć się z tym, że będzie miał obowiązek dbać o to miejsce.

Porzuceni w szpitalach

To bardzo smutne zjawisko, które odnotowywano do tej pory głównie w okresach świątecznych i wakacji letnich, nasila się ostatnio w Krakowie.

Mam na myśli pozostawianie osób starszych i przewlekle chorych przez ich rodziny w szpitalach po zakończeniu leczenia. Niekiedy domagają się tego sami pacjenci.

– Takie sytuacje nie są jednostkowe. W jednym przypadku Rzecznik Praw Pacjenta powiedział, że chory musi dalej zostać, bo żona nie jest przygotowana. Ona nie jest przygotowana przez dwa miesiące i nie chce zabrać swojego męża.

Takich przypadków mamy dziesiątki – powiedziała Radiu Kraków dyrektor Szpitala im. Jana Pawła II Anna Prokop-Staszecka.

Tacy pacjenci nie tylko zajmują łóżka tym, którzy wymagają leczenia, ale generują też spore koszty nieuzasadnionego dalszego pobytu w placówce szpitalnej.

Lekarze i pielęgniarki podejrzewają, że część kwalifikujących się do wypisu osób woli przebywać w szpitalu, gdzie mają zapewnioną fachową opiekę, aniżeli wrócić do domu, w którym nie będzie miał się nimi kto zająć. Inni chcieliby natomiast znaleźć się we własnym mieszkaniu, ale nie pasuje to krewnym, którzy wymuszają na szpitalnym personelu przedłużenie pobytu.

Tak czy tak nie wystawia nam to zbyt dobrego świadectwa jako społeczeństwa.

Politycznie słuszny triumf weganki w Niemczech

Oto kolejne doniesienie z frontu walki o wprowadzanie do życia publicznego zasad politycznego słusznictwa (political correctness).

„Mieszkańcy miasteczka Limburg an der Lahn w Hesji nie usłyszą już melodii, granej od lat z wieży tamtejszego ratusza. Melodia pochodziła bowiem z ludowej dziecięcej piosenki, która została uznana przez miejscową wegankę za... godzącą w prawa zwierząt” – czytamy w *Niezależnej*.

Wygrywany przez karylion (zespół dzwonów) utwór pt. „Fuchs, Du hast die Gans gestohlen”, czyli „Lisie, ukradłeś gęś” opowiada o psotnym drapieżniku, który wykrada drób z kurnika, w związku z czym zostaje przestrzeżony, że sam będzie upolowany. W tekście znajduje się fragment: „myśliwy dopadnie się cię ze strzelbą”.

Te słowa okazały się niedopuszczalne dla miejscowej weganki, która zaapelowała do magistratu o wydanie zakazu wykonywania utworu, a lewicowy burmistrz Marius Hahn podzielił jej argumentację i nakazał usunięcie melodii.

Portal przypomina, że w Niemczech coraz częstsze jest rezygnowanie z lokalnych tradycji z powodów poprawności politycznej.

„Rok temu pisaliśmy, że Niemcy powoli rezygnują ze sznyci (w ich wieprzowej, a nie cielęcej odmianie) w szkolnych stołówkach. Oficjalne powody to – oprócz troski o zdrowie – względy religijne. Wieprzowiny nie mogą jeść

bowiem muzułmanie – informowało <Deutsche Welle>. Wieprzowina znika z jadłospisów w przedszkolach i szkołach stopniowo, choć wiele stołówek już całkowicie zrezygnowało z tego mięsa” – napisała Niezależna.

Czego możemy spodziewać się w najbliższej przyszłości? Trudno prorokować, ponieważ zasady politycznego słusznictwa rozprzestrzeniają się po świecie w imponującym tempie.

W obronie Batalionów Chłopskich i Władysława Broniewskiego

„Trzeba zawsze uważać, żeby nie wylać dziecka z kąpielą” i „Nadgorliwość bywa gorsza od faszyzmu” – te dwa popularne przysłowia zawsze przychodzą mi na myśl, kiedy dowiaduję się, że w kolejnym mieście w słusznej sprawie dekomunizacji przestrzeni publicznej niektórzy politycy oraz urzędnicy przekraczają granice zdrowego rozsądku, a przy okazji wykazują się nieznajomością najnowszej historii Polski.

Czytelnicy moich tekstów doskonale wiedzą, że wspieram każdą inicjatywę mającą na celu pozbycie się z polskich miast tych patronów ulic, placów, mostów i innych obiektów użyteczności publicznej, którzy jednoznacznie kojarzą się ze zdradą polskiej racji stanu dokonywaną w imię interesów Związku Sowieckiego. Czynię to od dawna, systematycznie, konsekwentnie, często w imieniu Porozumienia Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie, którego liczne apele do najwyższych władz Rzeczypospolitej Polskiej przyczyniły się do przyjęcia przez nasz parlament stosownej ustawy w tej materii.

Równie energicznie i stanowczo protestuję jednak, kiedy jacyś nadgorliwcy chcą posunąć się w walce z komunistycznymi relikami „o jedną ulicę za daleko”. A z taką sytuacją mamy właśnie do czynienia w Tarnowie, gdzie na fali usuwania niegodnych patronów postanowiono pozbyć się Batalionów Chłopskich i Władysława Broniewskiego.

Znakomicie zareagował na to prezydent miasta Roman Ciepela, zapowiadając zorganizowanie prelekcji pt. „Bataliony Chłopskie w służbie Narodu” z obowiązkowym udziałem tych urzędników, którzy bez jego wiedzy i akceptacji sporządzili wykaz 14 wymagających dekomunizacji patronów ulic w mieście.

Jeżeli chodzi o Bataliony Chłopskie, to nikt znający choćby tylko pobieżnie historię Polskiego Państwa Podziemnego w okresie II wojny światowej,

a zwłaszcza jego sił zbrojnych nie powinien mieć wątpliwości, że bardzo dobrze zasłużyły się one w walce o niepodległość ojczyzny, płacąc wysoką daninę krwi w obronie narodowych imponderabiliów. Tarnowscy urzędnicy, którzy najwidoczniej nie wiedzą, że BCh wchodziły w skład Armii Krajowej i zaliczyli je do podporządkowanej Kremlowi sowieckiej partyzantki chyba spędzili czas na wagarach, kiedy w szkole była lekcja na ten temat.

Być może źle uczono ich też o Władysławie Broniewskim, a na pewno nie zapoznali się dokładnie z jego życiorysem przed wpisaniem go na dekomunizacyjną listę. Owszem, został on skutecznie wykreowany przez reżim PRL na czołowego poetę epoki socrealizmu, ale nie przekreśla to jego wspaniałej twórczości (również państwowotwórczej) w okresie międzywojennym, ani udziału w Legionach Józefa Piłsudskiego, w wojnie z Sowietami w 1920 roku i w II Korpusie Polskich Sił Zbrojnych generała Władysława Andersa. Czy mamy go zapamiętać wyłącznie jako autora „Słowa o Stalinie” i innych rewolucyjnych utworów, zapominając o wspaniałych wierszach napisanych wcześniej oraz później? I czy powinniśmy puścić w niepamięć sposób, w jaki rozprawiła się z nim komunistyczna władza w ostatnich, dramatycznych z powodu alkoholowego nałogu latach jego życia?

Dobrze więc, że prezydent Roman Ciampiela wziął w obronę i Bataliony Chłopskie, i Władysława Broniewskiego.

Powyższy tekst ukazał się pierwotnie na stronie internetowej Radia RMF FM.

Szkolne pakiety patriotyczne

Pierwszy edukacyjny pakiet patriotyczny zawierający polskie godło, dwie flagi, szarfy w barwach narodowych oraz pomoce edukacyjne przekazała w Warszawie dzieciom z wileńskiego gimnazjum im. Jana Pawła II minister edukacji narodowej Anna Zalewska – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

– Okazało się, że szkoły, rodzice i nauczyciele potrzebują – wydawałoby się – oczywistych rzeczy: polskiego godła, flagi, mapy, polskich informacji, gier, które będą tym naturalnym, symbolicznym związkiem z Rzeczpospolitą – powiedziała szefowa resortu oświaty podczas przekazania pakietu (wszystkie cytaty za PAP).

W ciągu zaledwie miesiąca MEN dotrze z takimi pakietami do wszystkich polskich szkół na świecie, zarówno działających przy placówkach dyplomatycznych jak prowadzonych przez lokalnych działaczy i społeczności.

Minister zapowiedziała też konkurs „Rodzina Polonijna”, na który zamierza przeznaczyć 1,5 miliona złotych. Poinformowała również, że uczące się w szkołach polskich za granicą dzieci otrzymują w kraju prawo do takim samym ulg (m.in. komunikacyjnych) jakie mają ich rówieśnicy w Polsce.

– Dla nauczycieli pracujących za granicą zespół pracujący w MEN przygotowuje rozwiązania pozwalające zaliczać staż i realizować awans zawodowy, nawet w sytuacji, gdy nie ma wypracowanej liczb godzin wymaganej w kraju. Chcemy nauczyciela polonijnego wprowadzić do Karty Nauczyciela – poinformowała minister Zalewska.

„Szefowa Ośrodka Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą Anna Radecka podała, że w 2016 r. rozesłano do szkół na całym świecie 40 tys. podręczników. Trwają też szkolenia nauczycieli w ramach ośrodka. 566 uczniów uczy się przy pomocy ośrodka przez internet – na odległość. To właśnie ta placówka będzie obsługiwać wydawanie legitymacji dla uczniów szkół polskich za granicą, które zapowiedziała Zalewska” – czytamy w depeszy PAP.

– Do tej pory ośrodek skierował 97 nauczycieli do pracy za granicą w roku szkolnym 2016/2017. W tym miesiącu skierowaliśmy dwie osoby do pracy w Argentynie i jeśli jest tylko takie zapotrzebowanie ze strony szkół, kierujemy nauczycieli po wstępnej kwalifikacji i konkursie przeprowadzonym w ośrodku – powiedziała Radecka dodając, że liczba nauczycieli wzrasta.

Takim inicjatywom MEN można tylko przyklasnąć.

Bohaterski Ukraińiec patronem warszawskiego skweru

Powszechnie uznawany za najwybitniejszego ukraińskiego poetę drugiej połowy XX wieku Wasyl Stus został patronem jednego ze skwerów w Warszawie – poinformował portal Kresy 24.

Urodzony w 1938 roku we wsi Rachnówka w obwodzie winnickim, a zmarły w 1985 roku w łagrze BC-389/36-1 na Kołymie Stus był jednym z przedstawicieli kulturowego ruchu narodowego lat 60. (tzw. szestidesiatników) i ostatnim ukraińskim więźniem politycznym, który zmarł w sowieckich obozach.

Po ukończeniu studiów przez kilka miesięcy uczył ukraińskiego w wiejskiej szkole wiejskiej, a po odbyciu trzyletniej służby wojskowej rozpoczął pracę w Gorłówce. Drukował wtedy pojedyncze utwory na łamach lokalnych gazet i w czasopiśmie „Donbas”.

„W 1963 został asystentem w Instytucie Literatury im. Szewczenki Akademii Nauk USRR. Publikował w tym czasie przekłady Goethego, Rilkego i Garcii Lorki. Do wydawnictwa Mołod’ złożył swój pierwszy tomik wierszy <Kruhowert>, który jednak nigdy się nie ukazał – fala aresztowań, jaka w tym czasie spadła na inteligencję ukraińską, objęła i doprowadziła do skazania i zesłania prawie wszystkich liczących się pisarzy” – czytamy na stronie www.kresy24.pl.

Po zwolnieniu z pracy za pierwszy po II wojnie światowej publiczny protest przeciwko represjom politycznym (4 września 1965 w kijowskim kinie „Ukraina” podczas premiery filmu Siergieja Paradżanowa „Cienie zapomnianych przodków” wzniósł okrzyk „Kto przeciw tyranii – niech wstanie”!) został zwolniony z Instytutu Literatury. Pracował na budowie i jako palacz w kotłowni.

„W tym okresie powstawały kolejne wiersze, przekłady, krytyka literacka. Podejmował nieudane próby wydania swoich utworów w kraju. W 1965 r. w Pradze udało się wydać tłumaczenie wierszy <szestidiesiatników>, w tym wiersze Stusa. Dwa lata później w Nowym Jorku został opublikowany zbiór <Zymowi derewa>. 12 stycznia 1972, podczas kolejnej fali aresztowań, Stus został uwięziony i po rozprawie skazany na 5 lat łagru i 3 lata zesłania za <antysowiecką agitację i propagandę>. Sądzony był jako autor kilkunastu wierszy i artykułów o literaturze ukraińskiej, publikowanych w samizdacie i na Zachodzie. Karę łagru odbył w obozach w Mordowii, a zsyłki (od 1977) na Kołymie, gdzie pracował w kopalni złota” – napisał portal.

W 1978 roku został przyjęty do PEN Clubu, a rok później wrócił z zesłania do Kijowa, gdzie zaangażował się w działalność Ukraińskiej Grupy Helsińskiej pracując przy taśmie produkcyjnej w fabryce obuwia.

„W maju 1980, przed olimpiadą w Moskwie został ponownie aresztowany i skazany na 10 lat więzienia i 5 lat zesłania. Więziony był w obozie WS-389/36-1 w Kuczynie w obwodzie permskim. Zakazano mu widzeń z rodziną,

ostatnie odbyło się wiosną 1981 roku. Przemyczone z obozu na Zachód wiersze Stusa zostały w tym czasie wydane w zbiorze <Z obozowego zeszytu>. 28 sierpnia 1985 Stus po raz kolejny został wtrącony do karceru. Zmarł w nocy z 3 na 4 września 1985 w niewyjaśnionych okolicznościach. Jesienią 1989 roku, po wielu wcześniejszych nieskutecznych próbach, jego ciało zostało przywiezione do Kijowa, a powtórny pochówek stał się wielką manifestacją praw wolnościowych Ukraińców” – napisano w Kresach 24

Bardzo dobrze się stało, że w okresie narastania antypolskich nastrojów na Ukrainie warszawscy radni zdecydowali o nadaniu jednemu ze stołecznych skwerów imienia tego bezkompromisowego twórcy i działacza antykomunistycznej opozycji, a zarazem wielkiego przyjaciela Polski oraz admiratora „Solidarności” w ówczesnej Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej.

Pij mleko, młodo umrzesz

Kilkanaście lat temu ówczesny główny twardziel polskiego kina akcji Bogusław Linda zwracał się do dzieci i młodzieży z filmów oraz plakatów reklamowych słowami: „Pij mleko, będziesz wielki”. Potem w tej samej roli występowały inne osoby publiczne, m.in. nasz najlepszy koszykarz Marcin Gortat.

Dzisiaj ta reklama byłaby niestosowna, ponieważ naukowcy z Uniwersytetu Uppsala w Sztokholmie po przebadaniu 106 tysięcy osób stwierdzili na łamach „American Journal of Epidemiology”, że picie dużych ilości mleka skutkuje przedwczesną śmiercią, zwłaszcza kobiet – poinformowała „Rzeczpospolita” powołując się na serwis thelocal.se.

„Z badania wynika, że kobieta, która wypija co najmniej trzy szklanki mleka dziennie i je raz dziennie warzywa lub owoce jest narażona na wczesną śmierć trzy razy bardziej niż kobieta, która pije nie więcej niż jedną szklankę mleka dziennie i zjada owoce i warzywa co najmniej pięć razy dziennie. Z kolei ryzyko wczesnej śmierci tej ostatniej jest o 60 proc. większe niż kobiety, która je równie często owoce i warzywa, ale nie pije mleka w ogóle. Z kolei w przypadku mężczyzn ryzyko wczesnej śmierci w przypadku wypijania trzech szklanek mleka dziennie jest jedynie o 30 proc. większe niż w przypadku tych, którzy piją mało mleka lub w ogóle go nie piją” – czytamy w gazecie.

Wprawdzie uczeni ze Sztokholmu podkreślają, że jest za wcześnie, aby su-

gerować kobietom ograniczanie picie mleka, to omówiona wyżej reklama nie miałaby jednak dzisiaj racji bytu.

Proces za zdjęcie

W krakowskim Sądzie Okręgowym rozpoczął się proces przeciwko Onetowi wytoczony przez Krystiana Brodackiego w obronie dobrego imienia jego matki Marii Brodackiej – konspiratorki i więźniarki rozstrzelanej przez Niemców podczas okupacji – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

„Sprawa dotyczy opublikowanego 15 marca 2016 roku zdjęcia, przedstawiającego kobiety prowadzone na egzekucję w Palmirach. Ilustrowało ono tekst o romansach Polek z Niemcami i prostytutce podczas okupacji. K. Brodacki na zdjęciu rozpoznał swoją matkę. Od portalu domaga się on przeprosin oraz 150 tys. zł zadośćuczynienia” – czytamy w depeszy PAP.

Na pierwszej rozprawie pełnomocnik Onetu wniósł o oddalenie pozwu, a sąd zdecydował o przesłuchaniu jednego świadka oraz zobowiązał strony do rozważenia możliwości ugody wyznaczając kolejny termin na 27 kwietnia.

– Nie wchodzi w to, czy to, co napisał pan z Onetu, było oparte na faktach, natomiast w zestawieniu z tym zdjęciem było to niedopuszczalne i dowodzące absolutnego braku profesjonalizmu dziennikarskiego. Tu nie chodzi tylko o moją mamę, tu chodzi o obrażenie wszystkich kobiet polskich, które walczyły z okupantem czy też dzielnie się w tym czasie zachowywały – powiedział PAP Brodacki.

W przekazanym PAP piśmie Onet wyjaśniał, że zdjęcie użyte do ilustracji tekstu zostało pobrane z zasobów serwisu Shutterstock i zamieszczone bez wiedzy oraz zgody autora wywiadu, a fotoedytor odpowiedzialny za jego dobór nie zapoznał się z opisem, co spowodowało umieszczenie go w nieodpowiednim kontekście. Fotografia została usunięta niezwłocznie po zauważeniu błędu.

Portal poinformował również, że „dla uczczenia pamięci ofiar fotoedytor odpowiedzialny za dobór zdjęcia złożył kwiaty na cmentarzu w Palmirach”, redakcja opublikowała na stronie głównej obszerny materiał na temat zbrodni, a 25 marca ubiegłego roku oświadczenie, w którym szczegółowo opisano zaistniałą sytuację i przeproszono za nią.

„Maria Brodacka z domu Jaxa-Rożen, wdowa po zmarłym w 1939 r.

w obronie Warszawy Antonim Stanisławie Brodackim, córka generała Wojska Polskiego Władysława i siostra pułkownika WP Stanisława, od pierwszych dni okupacji była zaangażowana w konspirację. Została wydana gestapo przez nianię jej 2,5-letniego syna Krystiana i aresztowana na początku 1940 r. Przeszła okrutne śledztwo, nie wydając nikogo. 14 czerwca 1940 roku została rozstrzelana w Palmirach pod Warszawą, miejscu masowych mordów na Polakach, gdzie Niemcy zabili 2,2 tys. osób” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Nie wiadomo, czy Krystian Brodacki pójdzie na ugodę, ponieważ jest mocno urażony sposobem, w jaki Onet potraktował jego matkę. Wnioskowaną kwotę zadośćuczynienia za straty moralne zamierza przeznaczyć na cele społeczne.

Ta sprawa powinna być ostrzeżeniem dla wszystkich dziennikarzy i fotografów, którzy często zamieszczają pewne artykuły i zdjęcia dla podbudowania jakiejś tezy, a nie biorą pod uwagę wszystkich okoliczności przedstawianych zdarzeń.

Jak skłonić muzułmanów do odwiedzania kościołów?

Duńska Partia Ludowa domaga się, żeby przybywający do tego kraju imigranci (a są to głównie islamiści) obchodzili chrześcijańskie święta, zwłaszcza Boże Narodzenie i Wielkanoc – poinformowała „Rzeczpospolita”.

„– Chodzenie do kościoła, może sprawić, że ci ludzie znajdują się na właściwej ścieżce. Uczestniczenie w mszach może pomóc imigrantom zrozumieć duńską kulturę. Aby ją zrozumieć, trzeba zrozumieć chrześcijaństwo i jego znaczenie dla Duńczyków. Imigrant musi uczestniczyć w tej części naszego życia, by doświadczyć tego, co łączy Duńczyków” – powiedział cytowany przez gazetę Martin Henriksen, który zajmuje się tematyką imigracji w tej anty imigranckiej partii.

Jego wypowiedź wpisuje się w toczoną obecnie dyskusję – również na forum parlamentu – na temat tego, kto może nazywać się Duńczykiem.

Inną opinię prezentują przedstawiciele centrum i lewicy. Laura Lindahl z Sojuszu Liberalnego stwierdziła, że łączenie narodowej tożsamości z religią jest „nieduńskie”, a zdaniem przedstawiciela socjaldemokratów Dana Jorgensena jedną z bardziej duńskich cech jest „nie mieszanie się do tego, co inni myślą i w co wierzą” (cytaty za „Rzeczpospolitą”).

Powrót ciotki Unry

Muzeum PRL-u w Krakowie poszukuje eksponatów na zaplanowaną w czerwcu wystawę pt. „Paczka z Ameryki” prosząc wszystkich, którzy mają jeszcze w domu przedmioty wysyłane po wojnie z różnych krajów do Polski o udostępnienie ich – poinformowała Polska Agencja Prasowa.

Dwie główne fale darów płynęły z USA oraz z innych krajów Zachodu do Polski w latach 40. i 50. oraz w 80. ubiegłego wieku.

Pierwsza była dziełem Administracji Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy (UNRRA). Dostarczano wówczas głównie żywność i leki, ale także ciągniki, maszyny budowlane, ciężarówki. Pamiętam 5-kilogramowe paczki żywnościowe z zapasów wojskowych, które otrzymywały jeszcze w latach 60. drużyny i szczepy harcerskie na obozy. Żartowaliśmy wtedy, że przysłała paczka z Ameryki od ciotki Unry.

W stanie wojennym przysyłane były artykuły pierwszej potrzeby, m.in. mleko w proszku dla niemowląt, cukier, masło, herbata, ser żółty, lekarstwa, proszek do prania.

„Pomoc organizowały instytucje, miasta, gminy, organizacje kościelne, stowarzyszenia, związki zawodowe i osoby prywatne. Przesyłek z Niemiec było tak wiele, że Bundestag 8 lutego 1982 r. zwolnił z opłaty pocztowej wszystkie paczki z pomocą dla Polski. Dary były przywożone także w konwojach z pomocą humanitarną” – czytamy w depeszy PAP.

– Nasza wystawa będzie również opowieścią o towarach, które w PRL były niedostępne, symbolizowały inny styl życia, czy po prostu były lepszej jakości niż te dostępne w kraju. Mamy problem – co nie jest niczym dziwnym – z towarami i opakowaniami po rzeczach, które były w latach 80. zużywane na bieżąco, takimi jak kawa, herbata, odżywki dla dzieci, kosmetyki. Ale liczymy, że np. opakowania po nich, puszki mają w swoich zbiorach kolekcjonerzy i mogliby je nam wypożyczyć. Poszukujemy też obiektów, które mogłyby uzupełnić opowieść takich jak: torby na listy, skrzynki pocztowe, stemple, mundur listonosza, koperty z zagranicy, pudełka po przesyłkach – powiedziała PAP kurator wystawy Karolina Żłobicka.

„Na wystawie pokazane zostaną m.in.: worki, puszki, a nawet łóżko z zasobów UNRRA, odzież, która była przysyłana do Polski w latach 50., 60., 70.

oraz zabawki, artykuły gospodarstwa domowego i zagraniczne płyty” – napisała Polska Agencja Prasowa.

Osoby, które chcą przekazać na wystawę przedmioty proszone są o kontakt e-mailowy z Muzeum PRL-u na adres: historia@mprl.pl.

Cerkiew też nie chce Lenina w mauzoleum

29 stycznia pisałem, że główny rabin Rosji Barel Lazar zaproponował, aby ciało przywódcy bolszewickiego zamachu stanu (mylnie nazywanego rewolucją październikową) Włodzimierza Lenina zostało wreszcie usunięte z mauzoleum na moskiewskim placu Czerwonym, skremowane i pochowane w Petersburgu.

Jego zdaniem należy przenieść wszystkie groby spod murów Kremla, gdzie spoczywają najważniejsi przywódcy sowieccy, m.in. Stalin, na moskiewskie cmentarze, albo do miejsc, skąd pochodzili, a mauzoleum zamienić w muzeum epoki komunizmu.

Informujący o tym w „Gościu Niedzielnym” Andrzej Grajewski przypomniał, że postulaty spopielenia i pochowania w ziemi Lenina pojawiały się już wcześniej, zawsze wywołując ostre protesty komunistów. Za takim rozwiązaniem byli m.in. prezydent Federacji Rosyjskiej Borys Jelcyn oraz patriarcha Moskwy i Wszechrusi Aleksy II.

Nie upłynęło wiele czasu i głos zabrał w tej sprawie jeden z hierarchów rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, kierujący Wydziałem Zewnętrznych Stosunków Kościelnych w Patriarchacie Moskiewskim metropolita wołokołamski Hilarion, który – jak poinformowała Polska Agencja Prasowa – oświadczył, że choć ciało przywódcy bolszewików nie powinno spoczywać na placu Czerwonym, to nie należy się jednak spieszyć z jego pochówkiem, by nie podzielić społeczeństwa.

– Nie ma dla niego miejsca w centrum Moskwy, nie ma miejsca dla tej zabalsamowanej mumii przed murem Kremla, jednak myślę, że jest to kwestia czasu. Nie powinniśmy przyspieszać wydarzeń – powiedział cytowany przez PAP Hilarion podkreślając, że „bezbożne władze”, które przejęły kontrolę nad Rosją w 1917 roku, doprowadziły do zniszczenia „jedno z największych państw chrześcijańskich w Europie”.

„Z sondaży wynika, że postać Lenina wywołuje wśród Rosjan coraz mniej

emocji – w badaniu ze stycznia br. 34 proc. ankietowanych przyznało, że odnosi się do niego obojętnie, a dalszych 12 proc. nie miało zdania” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Skoro w sprawie usunięcia z mumifikowanych zwłok Włodzimierza Lenina w podobnym duchu wypowiedzieli się przedstawiciele dwóch ważnych wyznań, pora na odważną decyzję władz świeckich, zwłaszcza że zbliża się 100. rocznica bolszewickiego przewrotu.

Kolejna szkoła dla ukraińskich dzieci w Polsce

Mimo negatywnej opinii prezydenta Legnicy Tadeusza Krzakowskiego powstanie w tym mieście szkoła podstawowa dla mniejszości ukraińskiej, tak zdecydowała bowiem Rada Miasta – poinformowała „Gazeta Wrocławska”.

Placówka z klasami liczącymi od kilku do kilkunastu uczniów będzie funkcjonować przy Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 4 im. Bohdana Ihora Antonycza z ukraińskim językiem nauczania, a jej utrzymanie będzie dosyć kosztowne.

„– W ciągu kilkunastu ostatnich miesięcy do Polski i Legnicy przyjechała duża grupa Ukraińców. Ta szkoła to szansa nie tylko dla mniejszości ukraińskiej, ale też Legnicy, aby mogła się rozwijać” – powiedział gazecie Bohdan Pecuszok z rady rodziców ZSO.

Krzakowski zachęcał do stworzenia przez mniejszość ukraińską szkoły niepublicznej, która otrzymywałaby subwencję oświatową na każde dziecko.

„– W Legnicy od lat prowadzone jest kształcenie uczniów na poziomie podstawowym, w ramach międzyszkolnego punktu nauczania języka ukraińskiego, kultury i tradycji, finansowanego z budżetu miasta. W ostatnich tygodniach zaproponowaliśmy również szereg alternatywnych rozwiązań. Jednym z pomysłów było utworzenie szkoły niepublicznej, prowadzonej np. przez stowarzyszenie albo osobę fizyczną na prawach placówki publicznej. Przedstawiciele środowiska ukraińskiego stanowczo odrzucili te możliwości i zdecydowanie obstawali przy tym, aby powołać do życia szkołę podstawową prowadzoną i finansowaną przez miasto” – wyjaśnił ten pomysł i reakcję nań na łamach „GW” rzecznik prasowy prezydenta Arkadiusz Rodak.

Decyzja radnych została przyjęta ze zrozumiałą radością przez mniejszość

ukraińską, której reprezentanci podkreślają, że miasto od lat wspiera ich w kulturowaniu rodzimej tradycji i kultury.

Podobne szkoły dla ukraińskich dzieci działają m.in. w Górowie Iławieckim i Bartoszycach (Warmia i Mazury), Przemyślu (Podkarpackie) i w Białym Borze (Zachodniopomorskie).

„Z danych urzędów pracy wynika, że na Dolny Śląsk w ubiegłym roku przyjechało do pracy 121,7 tys. obcokrajowców. Aż 119,5 tys. z nich to Ukraińcy. We Wrocławiu pracę w ubiegłym roku podjęło 62,4 tys. Ukraińców, a w Świdnicy – 18,6 tys. Trzecie miejsce zajmuje Oława: w tym powiecie pracuje aż 5,5 tys. naszych sąsiadów zza Bugu. Sporo Ukraińców było zatrudnionych także w powiatach trzebnickim (4,1 tys.), legnickim (ziemskim i grodzkim, ok. 4 tys.), oleśnickim i wołowskim (po 3,1 tys.), strzelińskim i (po 2,1 tys.). We Wrocławiu do polskich szkół poszło jesienią 484 małych Ukraińców” – czytamy w „Gazecie Wrocławskiej”.

Rosyjskie dementi

„Wierzę tylko w wiadomości zdementowane” – powiedział XIX-wieczny polityk rosyjski, carski generał-gubernator warszawski Aleksander Gorczakow.

Ten słynny bon mot przyszedł mi natychmiast na myśl, kiedy sekretarz prasowy prezydenta Władimira Putina Dmitrij Pieskow uznał jako bezpodstawne i gołosłowne zarzuty pod adresem Moskwy o przygotowywanie przewrotu w Czarnogórze, o czym niedawno pisałem.

– Rosja nie ingeruje w sprawy wewnętrzne innych państw. Z całą odpowiedzialnością oświadczamy, że nie może być mowy o związku Moskwy i strony rosyjskiej z jakimiś wewnętrznymi wydarzeniami w Czarnogórze – powiedział rzecznik Kremla (cytat za Polską Agencją Prasową).

Wyraził też ubolewanie, że „tego rodzaju oskarżenia wygłaszają wysokie rangi przedstawiciele” Czarnogóry i oświadczył iż „są to słowa zbyt poważne, by je wygłaszać, nie popierając ich żadnymi wiarygodnymi informacjami”. Zauważył, że z Czarnogórą Moskwę wiązą „bardzo dobre relacje” (cytaty za PAP)..

Także minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej Siergiej Ławrow określił doniesienia o domniemanym udziale organów rosyjskiego państwa w próbie przewrotu w Czarnogórze jako nie mające żadnych podstaw.

Jest to reakcja na stwierdzenie prokuratora Czarnogóry do spraw przestępczości zorganizowanej Milivoje Katnicia, wedle którego kilka godzin przed wyborami parlamentarnymi 16 października 2016 roku władze jego kraju zapobiegły planowanemu zamachowi stanu mającemu obalić rząd ówczesnego premiera Milo Djukanovicia.

Pod zarzutem działalności terrorystycznej zatrzymano wtedy 20 Serbów, z którymi mieli współpracować nacjonałisci rosyjscy. Prokurator powiedział gazecie „Vijesti”, że w niedoszły zamach zaangażowane były również rosyjskie organy państwowe. Jego zdaniem na czele grupy przygotowującej przewrót stał obywatel Rosji Eduard Szyrokow, którego prawdziwe nazwisko brzmi Szymakow.

„Prokurator oświadczył, że Eduard Szymakow był w 2014 roku zastępcą attaché wojskowego Rosji w Polsce i został wydalony z powodu szpiegostwa” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

I komu tu wierzyć?

Skandal w Pieniężnie

To, że ambasador Federacji Rosyjskiej w Polsce Siergiej Andriejew i attaché wojskowy Valery Nazarow z grupą dyplomatów oraz lokalnych polityków z obwodu królewieckiego złożyli kwiaty w miejscu, w którym przez ponad czterdzieści lat stał w Pieniężnie zdemontowany we wrześniu 2015 roku pomnik sowieckiego generała Iwana Czerniachowskiego, nie budzi mojego zdziwienia. Wymagającym napiętnowania skandalem jest natomiast udział w tej uroczystości Polaków.

Dla Rosjan dowódca 3. Frontu Białoruskiego może uchodzić za bohatera, bo tak budują oni swoją politykę historyczną i może nam się to nie podobać, ale musimy się z tym pogodzić. Jeżeli jednak hołd człowiekowi, który doprowadził do aresztowania Komendanta Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej podpułkownika Aleksandra Krzyżanowskiego-„Wilka” (występującego wobec Sowietów jako generał) i rozbrojenia 8 tysięcy żołnierzy AK, z których wielu przypłaciło to życiem, oddaje obywatel Rzeczypospolitej, to powinna zająć się nim prokuratura, ponieważ takie zachowanie można zakwalifikować jako zdradę stanu.

Obok Rosjan pojawił się zaś tam, gdzie czczono pamięć gen. Czerniachow-

skiego – jak poinformowała Niezależna – Sławomir Zakrzewski ze stowarzyszenia Obóz Wielkiej Polski, który organizował m.in. kilkunastoosobowe protesty przed ambasadą Ukrainy w czasie agresji Rosji na Krym i „spontaniczne” akcje palenia zniczy na grobach Armii Czerwonej.

„Zakrzewski podczas swojego wystąpienia w Pieniężnie skrytykował decyzję polskich władz o likwidacji monumentu poświęconego Czerniachowskiemu. W jego ocenie działanie to było przeciwne <słowiańskim obyczajom>, które nakazują <chronić zabytki>. Nazarov w swojej wypowiedzi dla rosyjskiego portalu Regnum.ru prowokacyjnie zwracał uwagę na fakt, że sympatycy Obozu Wielkiej Polski byli ubrani w polskie mundury” – czytamy w portalu.

Czy w tej sytuacji nie powinien wkroczyć z urzędu prokurator?

Pies w areszcie

Podobno perski król Kserkses kazał wychłostać morze za to, że zatopiło statki jego floty, w średniowieczu całkiem częste były zaś przypadki wytaczania procesów zwierzętom, które w jakiś sposób wyrządziły krzywdy ludziom.

O tych zwyczajach przypomniano sobie ostatnio we Włoszech, gdzie za zniszczenie sześciu samochodów do aresztu domowego trafił... pies.

„Mieszaniec odbywa karę wymierzoną jego właścicielowi, któremu nakazano trzymać pupila w domu. Pies rzucał się na auta, wgniatął karoserię i zrywał tablice rejestracyjne” – napisała Polska Agencja Prasowa powołując się na „La Stampa”.

Włoski dziennik podał, że od wielu tygodni w piemonckim mieście Asti trwał pościg za wandalem, który uszkadzał samochody w jednej z dzielnic.

„Okazało się, że sprawcą tych szkód jest średniej wielkości czworonóg o imieniu Achille. Wpada on w szal na widok samochodu. W co najmniej sześciu przypadkach porysował pazurami karoserię i wgniół ją. Pies rzucił się też na samochód patrolu straży miejskiej, który interweniował, by go powstrzymać, gdy zaatakował po raz kolejny” – czytamy w depeszy PAP.

Co ciekawe, Achille nie jest agresywny wobec ludzi, ale czuje się „panem ulicy” i kiedy tylko widzi przejeżdżający lub zaparkowany obok jego domu samochód przeskakuje przez ogrodzenie i rusza do ataku na niego, zaczynając od zerwania tablicy rejestracyjnej. Nie przepuszcza nawet dużym pojazdom.

„Pies przyłapany na gorącym uczynku został odprowadzony przez funkcjonariuszy do właściciela. Wymierzili mu karę finansową i nakazali bezwzględnie, by nie pozwalał czworonożnemu wrogowi samochodów opuszczać ogrodu” – napisała za „La Stampa” Polska Agencja Prasowa.

Rosjanie znowu zdobędą Reichstag

Minister obrony Federacji Rosyjskiej Siergiej Szojgu zapowiedział w Dumie Państwowej, że kierowany przez niego resort buduje pod Moskwą makietę niemieckiego Reichstagu, której zdobywanie będzie ćwiczyć Junarmia .

Jest to organizacja patriotyczna dla dzieci i młodzieży, która wcześniej funkcjonowała pod nazwą Ruch Młodych Patriotów.

Szojgu dodał, że w powstanie także osada partyzancka w pełnej skali. Na ukończeniu jest już budowa linii frontu z okopami i schronami.

Ciekawe, czy powstające w Polsce jednostki Obrony Terytorialnej będą mieć do dyspozycji podobne obiekty.

Świętowanie 100-lecia niepodległości należy zacząć w Krakowie

Nie byłoby 11 listopada 1918 roku bez 6 sierpnia 1914 roku. Dlatego krakowscy piłsudczycy apelują do najwyższych władz Rzeczypospolitej, żeby ogólnopolskie obchody 100. rocznicy odzyskania niepodległości rozpoczęły się od uroczystości złożenia kolejnych ziem z przesiąkniętych polską krwią pól bitewnych i miejsc kaźni w kopcu Józefa Piłsudskiego na Sowińcu w wigilię daty upamiętniającej początek Czynu Legionowego.

Takie rozpoczęcie zakrojonych na szeroką skalę ceremonii rocznicowych byłoby zgodne z logiką historyczną oraz przypomniałoby rodakom wiekopomne znaczenie wyruszenia w kierunku Kielc garstki „chorych na Polskę” strzelców, których Komendant proroczo pozdrowił w Oleandrach jako przyszłą kadrę armii odrodzonej Ojczyzny.

To właśnie na podniosłej, patriotycznej ceremonii z pełnym ceremoniałem wojskowym po Mszy Świętej i złożeniu kwiatów na sarkofagu Józefa Piłsudskiego w królewskiej katedrze na Wawelu powinni zjawić się przy polskiej Mogile Mogił wieczorem 5 sierpnia przedstawiciele najwyższych władz pań-

stwowych z Prezydentem RP na czele, aby oddać hołd ceniom bohaterskiej przeszłości. Winni też stawić się wczesnym rankiem 6 sierpnia na Oleandrach, a punktualnie o godzinie 9.45 pożegnać uczestników Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej przy obelisku w Michałowicach upamiętniającym przekroczenie przez „kadrówkę” granicy zaborów austriackiego i rosyjskiego.

Uchwałę o powyższej treści podjęli 22 lutego członkowie dorocznego Ogólnego Zebrania Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego przy Towarzystwie Miłośników Historii i Zabytków Krakowa.

Przewodniczący Komitetu

dr Jerzy Bukowski

„Świętości nie szargać”

3 lata więzienia za łamanie praw autorskich grożą mieszkańcowi Szczecina, który sprzedawał kije bejsbolowe z wizerunkiem Małego Powstańca i ze znakiem Polski Walczącej – poinformowało Radio Zet.

Mężczyzna handluje nimi od sierpnia ubiegłego roku, ale twierdzi, że wykonywał je na zlecenie, a w sieci umieścił tylko ich zdjęcia.

Wizerunek Małego Powstańca jest chroniony prawami autorskimi, a „kottwica” ustawą.

W listopadzie ubiegłego roku sąd wymierzył już oskarżonemu karę grzywny w wysokości tysiąca złotych, dalsze śledztwo jest w toku.

„Jak tłumaczył mecenas Stefan Mazurkiewicz, zgodnie z ustawą otaczanie Znaku Polski Walczącej czcią i szacunkiem jest prawem wszystkich obywateli więc każdy może złożyć zawiadomienie na policję o możliwości popełnienie przestępstwa” – czytamy na stronie internetowej Radia Zet.

UFO nad Włochami

10 sygnałów o obecności niezidentyfikowanych obiektów latających otrzymały włoskie wojska lotnicze w ciągu ostatnich dwóch lat – podała „Rzeczpospolita” powołując się na stronę internetową włoskich sił zbrojnych.

W minionych 45 latach zanotowano aż 455 takich sygnałów – wynika z przedstawionej statystyki.

„Najnowsze dane pochodzą z lat 2014-2015 – wyjaśniło włoskie lotnictwo. Rekordowy był rok 2010, gdy informacji od obywateli o niezidentyfikowanych obiektach było 22. Wszystkie wraz ze szczegółami są skrupulatnie zapisywane, a potem publikowane. Danych z ubiegłego roku jeszcze nie zebrano. Informacje te, jak wyjaśniono, pochodzą przede wszystkim od karabinierów, bo to do nich zazwyczaj zwracają się Włosi, gdy coś się wydarzy w ich okolicy. Osoby zgłaszające takie przypadki wypełniają specjalnie przygotowany formularz” – czytamy w gazecie.

Oto niektóre z opisanych w omawianej przez „Rz” informacji przykładów: 15 kwietnia 2015 roku mieszkańiec miejscowości Meolo koło Wenecji zobaczył na niebie czarny owalny obiekt poruszający się ze średnią prędkością, 16 lipca w Bacoli koło Neapolu dostrzeżono kulę unoszącą się 400-500 metrów nad ziemią, w pobliskim Cicciano ktoś odnotował poruszający się w różnych kierunkach kulisty statek powietrzny w kolorze pomarańczowym, a w Pariana di Massa w Toskanii grupa mieszkańców zauważyła kulisty obiekt w kolorze bardzo intensywnego błękitu zaledwie 5 metrów nad ziemią; domniemane UFO widziano też nad Trapani na Sycylii.

„Inne sygnały dotyczą na przykład trzech latających jednocześnie kul czy obiektów w kolorze biało-różowym, czerwonym i żółtym. Zebrane informacje są badane przez lotnictwo we współpracy m.in. ze służbami meteorologicznymi, głównie w trosce o bezpieczeństwo lotów. Gdy okazuje się, że dostrzeżony na niebie latający przedmiot to nie sonda lub mały samolot, wtedy klasyfikowany jest jako niezidentyfikowany obiekt latający” – napisała „Rzeczpospolita”.

Niemiecka telewizja nie chce przeprosić więźnia Auschwitz

Telewizja ZDF złożyła zażalenie na postanowienie sądu w Moguncji nadające klauzulę wykonalności wyrokowi Sądu Apelacyjnego w Krakowie nakazującego jej przeprosić byłego więźnia niemieckiego obozu śmierci Auchwitz-Birkenau Karola Tenderę za użyte przez nią sformułowanie „polskie obozy zagłady Majdanek i Auschwitz” – poinformowało Polską Agencję Prasową wspomagającą od początku procesu sędziwego weterana Stowarzyszenie Pro Patria.

Niemiecki sąd wyznaczył pełnomocnikowi Tendery termin na wypowiedzenie się co do zażalenia zanim zostanie ono przez niemiecki sąd rozstrzygnięte.

Sprawa dotyczy wyroku SA z grudnia ubiegłego roku, o którym pisaliśmy tutaj kilkakrotnie. Zgodnie z nim niemiecka telewizja miała przeprosić Tenderę na swojej stronie internetowej.

„Jak podnosili prawnicy, przeprosiny znalazły się jedynie na odnośniku głównej strony ZDF, miały napis w języku niemieckim <Przeprosiny Karola Tendery>, a po jego kliknięciu najpierw ukazywał się tekst z tłumaczeniem umniejszającym winę ZDF i przerzucającym odpowiedzialność na francusko-niemiecką stację telewizyjną ARTE, zaś dalej pojawiała się grafika z treścią przeprosin. Jak podkreślali prawnicy, ten zabieg spowodował, że przeprosin nie można było wyszukać za pomocą wyszukiwarek internetowych” – czytamy w depeszy PAP.

W tej sytuacji pełnomocnicy byłego więźnia wystosowali w styczniu wezwanie do ZDF o natychmiastowe wykonanie wyroku krakowskiego sądu, czyli prawidłowe przeproszenie ich klienta. W odpowiedzi niemiecka stacja nadesłała wyjaśnienia, w których powoływała się na ograniczenia techniczne i graficzne przy publikacji przeprosin.

– Po konsultacji z fachowcami uznajemy je za absolutnie niewystarczające i kierujemy pisma do sądu w Moguncji – zapowiedział wówczas w rozmowie z PAP prezes Stowarzyszenia Pro Patria, radca prawny Lech Obara.

27 stycznia sąd w Moguncji nadał klauzulę wykonalności wyrokowi Sądu Apelacyjnego w Krakowie.

– To postanowienie zostało obecnie zaskarżone przez ZDF do Sądu Krajowego w Moguncji. W zażaleniu jej prawnicy domagają się odmowy uznania wyroku Sądu Apelacyjnego w Krakowie bądź uznania, że wyrok ten nie jest prawnie wykonalny w RFN. Ewentualnie, domagają się uznania wyroku za wykonany. W uzasadnieniu swojego zażalenia ZDF podnosi m.in., iż uznane przez polski sąd za naruszone dobro, tj. tożsamość narodowa, jest sprzeczne z podstawowym rozumieniem dóbr osobistych przez niemiecki Sąd Konstytucyjny. Innymi słowy, skoro prawo niemieckie nie przewiduje odpowiedzialności na zasadzie dóbr osobistych za wypowiedzi ogólne, nie skierowane do konkretnej osoby, to według ZDF nakazanie przez Sąd Apelacyjny w Krakowie przeproszenie konkretnie pana Karola Tendery należy uznać za oczywiście sprzeczne z porządkiem publicznym RFN. W ocenie prawników

ZDF z ich zażalenia wynika, że wyrok został już wykonany w sposób należyty. Jednak w ocenie prawników Stowarzyszenia Patria Nostra zażalenie ZDF jest bezpodstawne i nie powinno odnieść skutku. Prawu niemieckiemu nie są obce takie instytucje prawne jak dobra osobiste i roszczenie o nakazanie opublikowania oświadczenia o określonej treści w ramach rekompensaty za naruszenie dóbr osobistych. Argumentacja ZDF sprowadza się w zasadzie do merytorycznego kwestionowania prawidłowości wyroku sądu polskiego. Innymi słowy, sąd niemiecki ma ocenić prawidłowość wyroku sądu polskiego. W świetle prawa jest to niedopuszczalne – powiedział PAP oburzony mecenas Obara.

Właśnie takie stanowisko pełnomocników Tendery zostanie wkrótce przekazane niemieckiemu sądowi.

„Stowarzyszenie Pro Patria wskazuje również, że w swoim zażaleniu ZDF stara się <wzruszyć> niemiecki sąd rzekomą krzywdą, jaką poniosła ona wskutek akcji organizowanej przez polskich internautów (#GermanDeathCamps). Chodzi o zainicjowaną w styczniu w internecie akcję publikowania komentarzy i grafik z napisami o <niemieckich obozach śmierci> na stronach portali społecznościowych ZDF i innych niemieckich mediów” – czytamy w depeszy Polskiej Agencji Prasowej.

Dziwię się kierownictwu nie potrafiącej publicznie przyznać się do popełnienia błędu poważnej stacji telewizyjnej. Gdyby w prawidłowy, zgodny z wyrokiem Sądu Apelacyjnego w Krakowie sposób od razu przeprosiła Karola Tenderę, sprawa poszłaby już w zapomnienie. Jej upór powoduje natomiast, że nadal będzie o niej głośno w wielu – nie tylko polskich i niemieckich – mediach, co raczej nie przysłuży się ZDF.

Ukraińcy odrestaurowali pomnik ku czci Polaków

Lokalna społeczność odnowiła zniszczony w styczniu przez nieznanych sprawców pomnik Polaków zamordowanych 22 lutego 1943 roku w Hucie Pieniackiej przez złożony z ukraińskich ochotników do dywizji SS „Galizien” pododdział 4. pułku policyjnego SS – poinformował Polską Agencję Prasową gubernator obwodu lwowskiego Ołeh Syniutka.

– Nie ma niczego silniejszego od ludzkiej inicjatywy i nie ma dziś niczego ważniejszego od przyjaźni między Ukraińcami i Polakami – powiedział Syniutka dziennikarzom PAP i Informacyjnej Agencji Radiowej.

Ujawnił, że na odbudowę pomnika złożyli się mieszkańcy okolicznych miejscowości i oświadczył, że państwo ukraińskie nie było w to zaangażowane finansowo.

– Było mi bardzo miło, kiedy dowiedziałem się, że ludzie, Ukraińcy, pomyśleli, że mają być przykładem tego, jak mają zachowywać się dziś Ukraińcy i Polacy, kiedy mamy do czynienia ze wspólnym, rosyjskim zagrożeniem – podkreślił.

„Gubernator ocenił, że wydarzenia w Hucie Pieniackiej oraz akty wandalizmu na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni pod Kijowem oraz w odniesieniu do konsulatu RP we Lwowie to prowokacja, której celem jest poróżnienie Polaków i Ukraińców” – czytamy w depeszy PAP.

– Jednoznacznie są to prowokacje o takiej samej naturze jak prowokacje wobec ukraińskich miejsc pamięci w Polsce. Jestem przekonany, że stoją za tym rosyjskie służby specjalne, które opracowują scenariusze skłócenia Ukraińców i Polaków – oświadczył Syniutka w rozmowie z polskimi dziennikarzami agencyjnymi i zapowiedział swój udział – razem z ambasadorem RP na Ukrainie Janem Piekło – w uroczystościach 73. rocznicy zbrodni.

„Wiadomość o zniszczeniu pomnika w Hucie Pieniackiej dotarła do opinii publicznej 9 stycznia za pośrednictwem rosyjskich mediów społecznościowych. Opublikowano tam wideo i zdjęcia, na których widniał rozbity kamienny krzyż i zdewastowane tablice z nazwiskami ofiar zbrodni. Część jednej z tablic zamalowano niebieską i żółtą farbą, co stanowi odwołanie do flagi ukraińskiej. Drugą tablicę pomalowano na kolory flagi Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), pod którą umieszczono litery SS. Policja obwodu lwowskiego poinformowała następnie, że pomnik został zdewastowany w wyniku eksplozji materiału wybuchowego. Śledztwo w tej sprawie trwa. Władze Ukrainy uznały incydent za prowokację, której celem jest skłócenie Polaków i Ukraińców” – napisała Polska Agencja Prasowa.

STANISŁAW DRONICZ



W dniu 16 stycznia 2017 roku odszedł na wieczną wachtę **Stanisław Dronicz** pułkownik Wojska Polskiego, redaktor pism niezależnych, działacz opozycyjny w PRL, autor licznych publikacji z zakresu wojskowości, wykładowca akademicki.

W latach 1950–53 uczęszczał do Oficerskiej Szkoły Inżynierii we Wrocławiu,

a w latach 1958–62 studiował na Wydziale Inżynierii i Geodezji Wojskowej Akademii Technicznej. Następnie służył w Szefostwie Wojsk Inżynieryjnych Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (1963–1966) i w Szefostwie Wojsk Inżynieryjnych Ministerstwa Obrony Narodowej (1966–74). W latach 1977–80 wykładał w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie. W 1980 r. został zastępcą komendanta Ośrodka Szkolenia Specjalistów Wojsk Inżynieryjnych w Elku. Mimo kariery w wojsku nigdy nie był członkiem PZPR.

Wczesną jesienią 1981 r., w czasie przysięgi słuchaczy Szkoły Podchorążych Rezerwy w Elku, świadomie opuścił zdanie roty o braterskim przymierzu z Armią Radziecką. Nie został za to bezpośrednio ukarany (władze obawiały się nagłośnienia „kryzysu przysięgowego”), ale wywierano na niego naciski, aby dobrowolnie odszedł z wojska. Kilka miesięcy po wprowadzeniu stanu wo-

jennego na swoją prośbę został przeniesiony do rezerwy. Od 1982 r. zastępca dyrektora ds. technicznych w Zarządzie Ruchu Lotniczego i Lotnisk Komunikacyjnych na Okęciu.

Od 1982 r. do 1985 r. był autorem stałej rubryki w podziemnym piśmie *KOS* zatytułowanej „Oczyrna żołnierzy”, gdzie pisał pod pseudonimem Wallenrod lub W. W latach 1982–1984 był także redaktorem niezależnego pisma *Reduta* adresowanego do żołnierzy. Publikował w nim pod pseudonimem Konrad lub K.

13 kwietnia 1985 r. został aresztowany. Śledztwo przeciwko niemu prowadziła Wojskowa Służba Wewnętrzna. Osadzono go w areszcie śledczym na Mokotowie i odizolowano od świata zewnętrznego (dopiero po roku dostał zgodę na widzenie z żoną). Równocześnie został zdegradowany. W więziennej celi poznał m.in. Adama Hodysza i Leszka Moczulskiego.

12 września 1986 r. na mocy amnestii postępowanie karne przeciwko niemu umorzono i wypuszczono go na wolność.

Mimo, że po wyjściu na wolność nie mógł znaleźć pracy i nie miał środków do życia (w wyniku degradacji utracił emeryturę wojskową) kontynuował działalność opozycyjną. Jeszcze w 1986 r. wstąpił do Konfederacji Polski Niepodległej i wszedł w skład Rady Politycznej. W latach 1988–1992 był redaktorem niezależnego pisma *Honor i Ojczyzna*. W 1988 r. został szefem Sztabu Komendy Głównej Związku Strzeleckiego „Strzelec”, reaktywowanego przez KPN.

Od 1987 r. pracował w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Techniki Geologicznej w Warszawie. W roku 1989 wrócił do służby czynnej w wojsku. W latach 1992–2002 był doradcą Ministra Obrony Narodowej.

W 1999 roku za swoje zasługi Stanisław Dronicz został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

POLSKA WSPÓŁCZESNA

INNOWACYJNOŚĆ ALBO ŚMIERĆ

W okresie działania pierwszej „Solidarności” debata publiczna koncentrowała się na gospodarce. Powszechnie uważano, że jedną z przyczyn jej słabości była uwarunkowana systemowo niezdolność do kreowania i wdrażania nowatorskich rozwiązań. Wydawało się, że w toku przeobrażeń ustrojowych będziemy mieli do czynienia z wybuchem krępowanej w poprzedniej epoce innowacyjności. Tymczasem nic takiego się nie działo i nie dzieje. Problematyka ta nie jest przedmiotem kreowanej przez klasę rządzącą i zależne od niej media debaty publicznej. Stąd świadomość jej znaczenia jest u nas nikła i nic nie wskazuje na to, aby ten stan rzeczy miał się zmienić.

Technika, technologia, produkcja

Przez technikę rozumie się pojedynczą metodę wytworzenia określonego produktu, której pierwotne źródła tkwią w wiedzy i umiejętnościach. Postęp techniczny może być:

- a) egzogeniczny, tj. nie wymagający zwiększenia nakładu czynników produkcji, dokonujący się najczęściej w drodze różnego rodzaju usprawnień organizacyjnych;
- b) endogeniczny, realizowany poprzez tworzenie nowych czynników produkcji co wiąże się z wzrastającymi nakładami kapitału przypadającego na jednego zatrudnionego.

Technologia obejmuje cały zbiór dostępnych metod produkcji. Składające się na nią techniki wytwarzania określają niezbędne do wygenerowania produktu kombinacje zasobów czynników produkcji, przedstawiane w ekonomii

w postaci funkcji produkcji, obrazującej zależność między efektem a nakładami i zasobami czynników. W sensie ścisłym technologię stanowią uprzedmiotowione w narzędziach, maszynach i procesach wytwórczych sposoby produkcji dóbr i usług. W sensie bardziej ogólnym przez technologię rozumie się zbiór procedur pozwalających na przekształcanie określonych zasobów w rzeczy użyteczne. Podstawą zatem jest wiedza oraz umiejętność jej zastosowania do rozwiązywania praktycznych problemów i osiągnięcia użytecznych celów. Długookresowe przemiany strukturalne w gospodarce światowej potwierdzają fakt, że technologia staje się specyficznym towarem w wymianie międzynarodowej.

Zbiór wszystkich technologii przy danych zasobach czynników produkcji wyznacza granice możliwości produkcyjnych. Zależą one więc nie tylko od wielkości takich czynników jak praca, kapitał, ziemia, materiały i surowce ale także od technologii. W sytuacji, kiedy wymienione powyżej czynniki nie ulegają zwiększeniu, wzrost możliwości produkcyjnych jest osiągany tylko dzięki postępowi w technologii. Polega on na odkrywaniu i wdrażaniu nowych, bardziej efektywnych technik, czyli na tworzeniu nowych funkcji produkcji.

Co to jest innowacyjność?

Pod pojęciem tym rozumie się przede wszystkim zdolność i motywację do ciągłego poszukiwania nowych rozwiązań, pomysłów i wynalazków, tworzenia nowych koncepcji oraz prowadzenia badań naukowych i prac rozwojowych. W jego zakres wchodzi także umiejętność adaptacji nowych rzeczy i metod wypracowanych gdzie indziej. Innowacja może polegać na wygenerowaniu nowego produktu (nazywana jest wtedy produktową lub radykalną) albo poddaniu modernizacji dotychczasowego (doskonałąca). Te rodzaje innowacji tworzą nowe rynki. Może też polegać na unowocześnieniu procesu produkcji poprzez zastosowanie nowych metod wytwarzania (określana jest wtedy jako procesowa) czego efektem jest podniesienie jakości wyrobu i obniżenie kosztów. Jeśli produkcja jest procesem, w którym poprzez kombinację pracy ludzkiej, środków i przedmiotów pracy oraz przy użyciu właściwej technologii powstają nowe dobra, to innowacje mogą się odnosić do każdego z wymienionych składników oraz do samej kombinacji. Postęp techniczny dokonuje się poprzez wynalazki, czyli odkrywanie nowej wiedzy, ale samo pojawienie się

nowego rozwiązania nie jest jeszcze innowacją. Staje się nią dopiero wtedy, kiedy znajduje zastosowanie w praktyce a efektem jest korzyść. Innowacje często wymagają inwestycji w postaci maszyn i urządzeń. Na przykład do zastąpienia w rolnictwie pracy zwierzęcia pociągowego pracą ciągnika, nie wystarczała sama wiedza o jego konstrukcji i metodach jego wytwarzania. Niezbędne było także dokonanie określonych nakładów inwestycyjnych. Mamy zatem w takim wypadku do czynienia z wiedzą uprzedmiotowioną w kapitale.

Rozpatrując rzecz z punktu widzenia funkcji produkcji, efekt produkcji powinien wzrastać wraz ze wzrostem nakładów i wykorzystania zasobów czynników. Jeżeli firma zastosuje innowację jej efekt produkcji przy takich samych nakładach i zasobach będzie większy niż w przypadku firmy bazującej na starych technologiach. Przy dalszych wzrostach zaangażowania nakładów i zasobów przez obie firmy na takim samym poziomie efekt produkcji firmy innowacyjnej będzie wzrastał w stosunku do efektu firmy stosującej stare technologie progresywnie. Tak uzyskiwana przewaga pozwoli firmie innowacyjnej na zwiększanie nakładów i wykorzystania zasobów w stosunku do konkurenta a poza tym uzyska ona większe środki na opracowanie i wdrożenie kolejnego nowego rozwiązania. Te dwa czynniki będą się przyczyniały do jeszcze większego wzrostu przewagi firmy innowacyjnej. Innowacyjność jest zatem metodą walki konkurencyjnej. Mierzona jest stopą innowacji definiowaną jako udział nowych produktów w wartości łącznej produkcji przedsiębiorstwa w danym okresie.

W szerszym sensie innowacyjność odnosi się również do organizacji (innowacje organizacyjne), funkcjonowania na rynku (innowacje marketingowe), rentowności produkcji, dynamiki wydajności pracy, produktywności kapitału, efektywności środków przeznaczanych na badanie i rozwój, instytucji i stosunków społecznych czy ustroju politycznego (innowacje ukierunkowanie na kontekst). Innowacyjnością ukierunkowaną na cel jest zdolność do formułowania nowych celów, identyfikacji nowych i obiecujących podejść oraz otwierania nowych dróg zatrudnienia.

Jeśli efekt produkcji jest zależny nie tylko od zasobów czynników produkcji i nakładów, ale jego powiększenie osiąga się także w drodze podniesienia stopnia racjonalności ich wykorzystania poprzez stosowanie nowych rozwiązań, to

gospodarka, która dysponuje mniejszymi zasobami czynników produkcji niż konkurent, a więc tym samym względnie droższymi, może zniwelować dystans w zakresie czynników doskonaląc technologie do tego stopnia, że jej koszty produkcji okażą się względnie mniejsze niż gospodarki, która dysponuje większymi, a więc tańszymi, zasobami czynników. Kraj którego gospodarka posiada przewagę technologiczną – organizacyjną, uzyskuje także przewagi ekonomiczne z tego tytułu w warunkach tzw. wolnego handlu. Dzieje się tak dlatego, że jego produkt na wolnym rynku jest bardziej atrakcyjny cenowo i jakościowo. Wówczas inni, nie posiadając takich atutów, nie są w stanie zniwelować wynikającej z nich przewagi i bardziej opłaca się im kupować, niż ponosić koszty rozwinięcia produkcji własnej na porównywalnym poziomie. Zakupy finansują z reguły z eksportu zasobów surowcowych i wytwórczości sektorów o niższym stopniu zawansowania technologicznego oraz z większej eksploatacji własnych zasobów pracy. Stan taki prowadzi w warunkach tzw. wolnego handlu do dualizmu polegającego na wykrystalizowaniu się gospodarek wiodących i gospodarek peryferyjnych, zależnych od gospodarek wysokiej technologii. Gdy kraje o gospodarkach technologicznie zawansowanych strzegą swojego prymatu, tzw. wolny handel sprzyja umocnieniu i powiększaniu ich przewagi. W tej sytuacji gospodarki zapóźnione, chcąc skutecznie się rozwijać, muszą opanować technologie i organizację wytwórczości na wyznaczonym przez liderów poziomie. Punktem wyjścia procesu jest, przy wykorzystaniu niskich kosztów pracy oraz tych zasobów czynników produkcji, które występują w obfitości, orientacja na imitację technologii obcych. Punktem docelowym jest osiągnięcie zdolności do kreowania własnych technologii i procesów wytwórczych w branżach nowoczesnych na poziomie umożliwiającym skuteczną konkurencję na rynkach światowych. Taki długofalowy proces może mieć miejsce tylko w przypadku konsekwentnego realizowania przemysłowej strategii rozwojowej gdzie polityka gospodarcza państwa ma znaczenie kluczowe. Tak postępowały wszystkie kraje azjatyckie które odniosły sukces.

Według Josepha A. Schumpetera innowacyjność jest synonim przedsiębiorczości. W związku z tym, że jest niezbędna dla powstawania materialnych i duchowych wytworów człowieka a sama należy do ukształtowanego w procesie historycznym zbioru wzorów myślenia i zachowań, jest zjawiskiem kul-

turowym. Gotowość do innowacyjności i jej poziom są pochodnymi poziomu rozwoju.

Dla krajów Europejskich poziom innowacyjności określa się za pomocą indeksu SII (*Summary Innovation Index*). Jest on wynikiem analizy 25 wskaźników charakteryzujących różne jej aspekty z których najważniejszymi są: nakłady krajowe brutto na badania i rozwój (B+R) jako % PKB, liczba zgłoszeń patentowych PCT (*Patent Cooperation Treaty* - układ zrzeszający 148 państw, umożliwia uzyskiwanie patentów w państwach stronach układu w systemie uproszczonym opartym na jednym zgłoszeniu patentowym) na miliard euro PKB wg standardu siły nabywczej, udział wyrobów wysokiej i średniej techniki w eksporcie wyrobów ogółem w %, odsetek mieszkańców w wieku 20–24 lat którzy mają co najmniej średnie wykształcenie, odsetek mieszkańców z wyższym wykształceniem, eksport usług opartych na wiedzy jako % całego eksportu usług, zatrudnienie w działaniach opartych na wiedzy jako % całego zatrudnienia, potencjał naukowo - badawczy. Indeks przyjmuje wartości od 0 do 1. Zwycięzcami rywalizacji gospodarczej mogą być tylko kraje przodujące w zakresie innowacyjności.

Europa – reszta świata

Wraz z rozwojem technologii pojawiło się nowe groźne zjawisko – luka technologiczna. Pod pojęciem „luki” rozumie się zazwyczaj odstęp dzielący w pewnym obszarze daną gospodarkę od wzorca bliskiego w określonych warunkach stanowi idealnemu czyli w praktyce od gospodarek przodujących w skali globalnej. Europejczycy zaczęli sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa jakie ze sobą niesie ok. połowy lat 60-tych XX w. Wiązano je z amerykańskim *kolonializmem technologicznym*. Niezwykle trafnie zagrożenie to przedstawił ówczesny premier Wielkiej Brytanii Harold Wilson w przemówieniu wygłoszonym w 1966 r. w Strassburgu. Stwierdził, że technologiczne zapóźnienie Europy w stosunku do Stanów Zjednoczonych doprowadzi do tego, że *Europa będzie produkować wyroby konwencjonalne, stając się coraz bardziej zależną od amerykańskiego aparatu przemysłowego, w zakresie tego wszystkiego, co jest technologią zaawansowaną i co będzie determinantą wieku przemysłowego, poczynając od lat 1970 – 1980. Stan taki nazwał nowym niewolnictwem przemysłowym.*

Wprawdzie wiele od tamtego czasu się zmieniło a pozycja kilku krajów europejskich pod względem innowacyjności w różnych rankingach jest wysoka, jednak jeśli chodzi o konkurencyjność gospodarek kraje Europy są silnie zróżnicowane. Ostatnie dziesięciolecie przyniosło zauważalne pogłębienie się różnic w tempie rozwoju nie tylko w skali globalnej, ale nawet między krajami już rozwiniętymi, z których część zaczęła wyraźnie tracić dystans do gospodarek najbardziej zaawansowanych. Unia Europejska jako całość w dalszym ciągu charakteryzuje się wolniejszym niż Stany Zjednoczone tempem rozwoju oraz mniejszą zdolnością do tworzenia i absorpcji nowych technologii. Obrazu nie najlepszej sytuacji Starego Kontynentu dopełnia konkurencja coraz bardziej dynamicznie rozwijających się krajów pozaeuropejskich, przede wszystkim azjatyckich. Pod względem poziomu innowacyjności UE już wcześniej została wyprzedzona przez Izrael, Koreę Południową, Japonię, Tajwan, Singapur i Australię. Z krajów europejskich spoza Unii lepsze wskaźniki notuje także Szwajcaria. Jeśli chodzi o procent produktu krajowego brutto przeznaczanego na badania naukowe oraz wdrożenia do gospodarki i społeczeństwa Chiny prześcignęły Unię już w 2012 r. Ich wynik za 2013 rok to 2,02%, wynik UE tylko 1,92%. Z danych Eurostatu za lata 2010 – 2012 wynika, że w większości krajów Unii nastąpił zauważalny odpływ przedsiębiorców od działalności innowacyjnej. Według prognoz analityków banku inwestycyjnego Goldman Sachs po 2040 r. Chiny będą pierwszą potęgą gospodarczą świata a Indie trzecią, po Stanach Zjednoczonych. Mimo, że liderzy innowacyjności UE: Finlandia, Szwecja, Dania i Niemcy plasują się w pierwszej dziesiątce krajów liczonych indywidualnie, Unia jako całość z niej wypadła. Na tle całej OECD – zrzeszającej najwyżej rozwinięte gospodarczo państwa świata, w tym dużą większość państw unijnych, pozycja UE jest wręcz fatalna. Od 2010 r., gdy skończył się globalny kryzys ekonomiczny OECD osiągnęła wskaźnik procentowy nakładów na działalność innowacyjną 2,40. Również jeśli chodzi o ochronę własności intelektualnej (*Intellectual Property Rights*) problem ten jest w Europie znacznie gorzej rozwiązywany niż w USA czy Japonii.

Unia Europejska próbuje przeciwdziałać degradacji, czego wyrazem było przyjęcie tzw. Strategii Lizbońskiej. Jej celem jest stworzenie na obszarze Unii dynamicznie rozwijającej się gospodarki opartej na wiedzy, zdolnej do two-

rzenia nowych miejsc pracy oraz zapewniającej spójność społeczną. Z danych makroekonomicznych wynika, że jak dotychczas nie osiągnięto szczególnie dużego postępu jeśli chodzi o realizację celów odnoszących się do innowacyjności.

Kraje transformacji

Kraje transformacji, a do takich należy Polska, dzieli od gospodarek znajdujących się na tzw. granicy technologicznej, znacząca luka. Bezpośrednio wynika ona z kilkudziesięcioletniej w zasadzie technologicznej autarkii tzw. realnego socjalizmu ale jej kulturowe przyczyny są znacznie głębsze i należy ich upatrywać także w odmiennej niż zachodnia drodze rozwojowej na którą wkroczyliśmy z początkiem epoki nowożytnej. Konwergencja i doganianie krajów rozwiniętych zależą w istotnej mierze od tempa jej redukcji. Dyfuzja technologii i zdolność jej kreowania są zasadniczymi czynnikami determinującym dynamikę luki technologicznej. Dynamika luki zaś zależy w sposób istotny od struktury gospodarki i jej makroekonomicznej absorpcji. Ponieważ różne sektory charakteryzują się różnym potencjałem innowacyjnym i odmiennymi mechanizmami absorpcji, dyfuzji i kreowania wiedzy, to procesy konwergencji u podstaw których leży raczej dynamika luki technologicznej niż zwykła akumulacja kapitału, charakteryzują się odmienną dynamiką w różnych sektorach. Produkt przemysłu przetwórczego ma najbardziej cechy dobra handlowego i jest w najwyższym stopniu przedmiotem obrotu międzynarodowego. Istnieją zatem relacje między procesami innowacyjnymi a polityką makroekonomiczną gdyż absorpcja i tworzenie innowacji dokonuje się w ramach uwarunkowań makroekonomicznych a przewagi technologiczne znajdują wyraz w strukturze obrotów z zagranicą. W przypadku krajów takich jak Polska kluczowe znaczenie ma więc osiągnięcie zdolności do suwerennego realizowania wytwórczości w branżach będących dźwigniami nowoczesności. Tak postępowały kraje azjatyckie które weszły na drogę rozwoju od Japonii poczynając a na Chinach kończąc. My nie.

W ognie Europy

Jak pod wieloma istotnymi względami, tak i pod tym wleczymy się w ognie Europy. Kiedy rozpoczynano badania innowacyjności, zakwalifikowano nas do grupy krajów niemal bez nadziei na poprawę. Ale gdy objęto badaniami Buł-

garię i Rumunię nasza pozycja się poprawiła. W UE w 2007 r. wyprzedzaliśmy tylko Bułgarię, Łotwę i Rumunię. W 2009 r. przesunęliśmy się o jedną pozycję. Pod względem dynamiki indeksu wraz z Czechami, Grecją, Portugalią czy Słowenią zostaliśmy zakwalifikowani przez *European Innovation Scoreboard* do grupy krajów goniących (*catching up*). Według danych za 2015 r., gdzie obok 28 krajów UE pomiarem objęto także 8 krajów nie należących do Unii, w tym Izrael, jesteśmy na szóstej pozycji od końca w ramach UE, przed Litwą, Łotwą, Chorwacją, Bułgarią i Rumunią. Z krajów europejskich spoza UE wyprzedzamy jeszcze Turcję, Macedonię (Była Jugosłowiańska Republika Macedonii) i Ukrainę. Należymy do trzeciej, za liderami innowacji (*Innovation Leaders*) oraz silnymi innowatorami (*Strong Innovators*) grupy tzw. umiarkowanych innowatorów (*Moderate Innovators*). Tak naprawdę, jest to w Europie III liga cywilizacyjna. Liga ta liczy 17 krajów a my zajmujemy w niej piąte miejsce od końca. Całość zamyka IV liga, tzw. skromni innowatorzy (*Modest Innovators*) którą tworzą Bułgaria, Macedonia, Rumunia i Ukraina. Czołówka europejska to Szwecja, Finlandia, Dania, Niemcy, Holandia a spoza UE Szwajcaria. Dzieli nas od niej przepaść. Jeżeli weźmiemy pod uwagę to, że cztery z nich to kraje sąsiadujące z nami bezpośrednio od zachodu i od północy przez Bałtyk oraz to, że nasi południowi sąsiedzi też klasyfikowani są wyżej od nas, po dwudziestu ośmiu latach realizowanej przez liberalno lewicowe „elity” transformacji posiadamy w naszym regionie faktyczny status wyspy ciemniaków. W kontekście tego, że dwa kraje postkomunistyczne, Słowenia i Estonia uplasowały się, pierwszy powyżej środka tabeli, niedaleko za Francją, drugi w jej środku, fakt, że jeszcze 28 lat temu byliśmy krajem komunistycznym, nie może stanowić żadnego dla tych „elit” usprawiedliwienia.

We współczesnej gospodarce, w której wszyscy są powiązani ze wszystkimi, transfer technologii odbywa się poprzez handel zagraniczny, bezpośrednie inwestycje zagraniczne, handel licencjami, migracje ludności oraz alianse strategiczne. Jednak to produkcja wiedzy i wykorzystanie jej w procesach wytwórczych staje się kluczowym czynnikiem i warunkiem efektywności i konkurencyjności, zwłaszcza w skali globalnej. Tymczasem w Polsce szczególnie dramatyczna sytuacja występuje właśnie w obszarze kreacji wiedzy i własności intelektualnej, gdzie żaden ze wskaźników nie sytuuje naszego kraju powyżej średniej UE. Że-

nująco niska w porównaniu ze średnią unijną jest liczba zgłoszeń patentowych PCT. Jeśli chodzi o zgłoszenia określające zdolność przedsiębiorstw do rozwoju nowych produktów w celu osiągnięcia przewag konkurencyjnych nasz wskaźnik w 2015 r. wyniósł zaledwie 0,23683. Wyprzedziliśmy tylko Bułgarię, Rumunię i Macedonię, która ze wskaźnikiem 0,05426 zamknęła stawkę. Średnia UE to 0,62152. Na czele Europy Izrael – wskaźnik 1. Niewiele lepiej jest jeśli chodzi o zgłoszenia patentowe odnoszące się do technologii medycznej i problemów związanych z łagodzeniem zmian klimatycznych. Ze wskaźnikiem 0,24289 zostaliśmy sklasyfikowani na 27 pozycji. I w tym wypadku europejskim liderem jest Izrael – wskaźnik 1 a ostatnia Macedonia – 0. Średnia UE - 0,59795. Okres po 1989 r., zamiast zaowocować wzrostem liczby patentów, przyniósł w Polsce głęboki regres w tej działalności. W rezultacie jako kraj plasujemy się w końcówce europejskich wynalazców.

Źródłem innowacji jest u nas przede wszystkim imitowanie i adaptowanie rozwiązań zagranicznych. Zjawisko naturalne nawet w przypadku krajów rozwiniętych, tym bardziej tak zapóźnionych jak nasz. Podobnie w początkowej fazie rozwoju postępowały Tajwan czy Korea Płd. Zgodnie z hipotezą Alexandra Gerschenkrona kraje mniej rozwinięte mają pewną przewagę płynącą z ich zacofania a wynikającą z możliwości imitacji technologii wynalezionych gdzie indziej, co jest tańsze od ich samodzielnego kreowania. Należy też pamiętać, że imitacja przyczynia się do rozwoju myśli własnej gdyż w większości wypadków nie polega na ślepym naśladownictwie lecz wiąże się z modyfikacjami imitowanych rozwiązań. W latach osiemdziesiątych XX w. Karlheinz Oppenlaender wysunął twierdzenie, że większość innowacji ma charakter imitacyjny, będący reakcją na zmiany popytu, a tylko niektóre mają charakter przełomowy. Konsumenci po prostu wskazują przez swój popyt na konieczność zmian w kierunkach struktury produkcji, na co odpowiedzią jest podaż oferowana przez imitatorów. Problem w tym, że współczesna gospodarka znacznie bardziej opiera się na tworzeniu i wdrażaniu nowej wiedzy, co nazywamy gospodarką opartą na wiedzy. Podmiot wprowadzający innowacje jako pierwszy zdolny jest osiągnąć korzyści niedostępne naśladowcom, jeśli dostatecznie szybko wdroży nowy pomysł w skali międzynarodowej. Gdy postęp wiedzy przyspiesza, przyspieszają też innowacje, a tym samym rosną luki technologiczne proporcjonalnie do

opóźnień imitatorów, którzy nie nadążają za absorpcją nowych technologii. Na globalnej gospodarce opartej na wiedzy zyskują zatem przede wszystkim ci, którzy posiadają zdolność tworzenia w odpowiednim tempie nowych rozwiązań, a dopiero w drugim rzędzie ci, którzy potrafią wykorzystać globalizację do przyspieszenia dyfuzji technologii i tempa rozwoju gospodarczego. Jednak jeśli nie prowadzi się własnych badań naukowych, to zdecydowanie spada także zdolność absorbowania innowacji z zewnątrz, a w przypadku ich niektórych typów jest to po prostu niemożliwe. Samo przyspieszenie dyfuzji technologii już nie wystarcza. Kluczem do sukcesu jest takie przyspieszenie postępu wiedzy i w konsekwencji innowacji własnych, aby wyprzedzić w tej dziedzinie innych. Jeżeli kraj chce wejść do grona liderów innowacji, co jest równoznaczne z wejściem do grupy krajów wysoko rozwiniętych, musi w pewnym momencie osiągnąć zdolność autonomicznego kreowania nowych technologii. Tymczasem jesteśmy oceniani jako jeden z najbardziej imitacyjnych krajów Europy, w którym dominuje odtwarzanie obcych wzorów, kosztem rezygnacji z własnych prób i rozwiązań. Wszystko wskazuje na to, że ta tendencja jest trwała, co już od kilku lat budzi niepokój nawet wśród ekspertów UE, OECD i Banku Światowego. Rzutuje to niezwykle negatywnie na stan świadomości społecznej. Utrwała się przekonanie, że Polacy nie są zdolni do kreowania skutecznych nowych rozwiązań i muszą je importować. Wiążący się z tym nadmierny kult obcych specjalistów pogłębia w sferze mentalnej poczucie intelektualnej satelickości.

Firmy z udziałem kapitału zagranicznego więcej niż polskie współpracują z firmami i instytucjami prowadzącymi badania, głównie zagranicznymi. Zdecydowanie lepiej też absorbują innowacje. Przedsiębiorstwa polskie natomiast w bardzo małym stopniu korzystają z badań. Jeśli już współpracują z firmami czy instytucjami badawczo - rozwojowymi, to głównie krajowymi. Według danych Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości najmniejsze firmy, a według badań prowadzonych w ramach międzynarodowego projektu Global Entrepreneurship Monitor także większe podmioty, przede wszystkim współpracują z innymi partnerami biznesowymi, czyli z tej samej grupy kapitałowej lub z inną, niepowiązaną kapitałowo firmą. Dotyczy to zarówno bieżącego współdziałania jak i współpracy przy tworzeniu innowacji. Ze szkołami wyższymi

obecnie współpracuje tylko 7% małych firm, planuje 12%, z inkubatorami technologicznymi współpracuje zaledwie 2%, planuje 8%. Polskie firmy nie tylko rzadziej niż obce planują współpracę z krajowymi i zagranicznymi jednostkami naukowymi ale i sama wiedza o instytucjach badawczych, rozwoju nauki czy instytucjach szkoleniowych, jest w naszych przedsiębiorstwach niska. Oznacza to, że nasze przedsiębiorstwa są zorientowane na bieżącą działalność, na reagowanie na to co się dzieje i przystosowywanie się, bez należytego zaangażowania w kreowanie bardziej długofalowych strategii rozwojowych. Nie przewidując, co będzie się działo w przyszłości i co należy robić aby przyszłe szanse wykorzystać, ogranicza się a niekiedy zamyka perspektywy rozwoju.

Niezależnie od tego, czy nasze firmy są klasyfikowane jako duże, średnie, czy małe, są wyraźnie mniej innowacyjne niż zdecydowana większość ich europejskich konkurentów. Według danych za lata 2010 – 2012 przedsiębiorstw prowadzących działalność innowacyjną było u nas 23 %, podczas gdy w całej Unii 49 %. Zanotowaliśmy więc spadek z poziomu 28% osiągniętego w latach 2009 – 2011. Wprawdzie wg danych GUS w latach 2011 – 2013 nastąpił niewielki wzrost, ale tylko w przypadku przedsiębiorstw przemysłowych, z 17,7% do 18,4%. Wśród przedsiębiorstw usługowych natomiast wskaźnik ten spadł z 13,9% do 12,8%. A to właśnie zróżnicowana wewnętrznie sfera usług zaczyna odgrywać w epoce gospodarki postindustrialnej czołową rolę i jej znaczenie wciąż rośnie zwłaszcza, że tworzenie wiedzy przyjęło postać odrębnego sektora kreującego własność intelektualną. Wynik Polski jest drugi od końca wśród 28 państw członkowskich UE. Wynik niemal trzy razy lepszy mają Niemcy – 67%. Dla krajów wysoko rozwiniętych, ze zakumulowanym potencjałem innowacyjnym, okresowe spadki odsetka firm innowacyjnych nie są tak groźne jak dla kraju takiego jak nasz, gdzie może to być trudne do nadrobienia. W latach 2006 – 2008 także zajmowaliśmy przedostatnie miejsce, wówczas przed Łotwą a w latach 2008 – 2010 tę sama pozycję, przed Bułgarią. Widać z tego, że antyinnovacyjność jest niezmienną właściwością naszej gospodarki.

Istotne jest także to, czy zdolność do wprowadzania innowacji jest trwałą właściwością firmy, czy tylko okresową. Szacuje się, że do tej drugiej kategorii należy ok. 1/3 przedsiębiorstw. Kreowanie i funkcjonowanie innowacji na rynku jest procesem, którego przebieg wygląda następująco: zidenty-

fikowanie obszaru innowacji, projektowanie udoskonalenia, wdrożenie nowej idei, wzrost popytu na udoskonalony wyrób lub usługę i co się z tym wiąże wzrost zysków, rozpowszechnienie się udoskonalenia wśród konkurentów a tym samym nasycenie rynku nowością, obniżenie się popytu, spadek zysków. Ostatnia faza stanowi impuls do uruchomienia kolejnego procesu innowacji. Jednak prawidłowe funkcjonowanie w cyklu polega na tym, że nie wolno czekać z uruchomieniem kolejnego procesu innowacji na fazę spadku zysków, lecz wchodzić na rynek z następną nowością zanim ona nastąpi. Firma która nie jest w stanie stale generować nowych produktów bądź nie modernizuje dotychczasowych oraz nie udoskonala procesu wytwórczego przegrywa w walce konkurencyjnej czego skutkiem są malejące zyski. To z kolei prowadzi do zmniejszenia a ostatecznie do utraty zdolności wprowadzania innowacji co prędzej czy później musi zakończyć się „zejściem” z rynku.

W procesie podnoszenia poziomu innowacyjności kluczowe znaczenie mają zasoby wiedzy jakimi dysponuje firma, zdolność do ich powiększania, umiejętność zarządzania nimi oraz tworzenie nowej wiedzy. Powiększanie zasobów wiedzy w polskich przedsiębiorstwach odbywa się przede wszystkim poprzez pozyskiwanie jej z otoczenia. Tworzenie zaś nowej ma charakter uzupełniający. Do powoływania zespołów zadaniowych czy projektowych, nie mówiąc już o prowadzeniu prac w ramach własnych komórek B+R, nie przywiązuje się należytej wagi. Od dawna mówi się w Polsce o konieczności budowania gospodarki opartej na wiedzy. W nauce o zarządzaniu taki dział jak zarządzanie wiedzą jest obecny od ponad 20 lat. Tymczasem u nas dziedzina ta dopiero znajduje się w fazie początkowej. Potrzeba zarządzania wiedzą jest wśród polskich menadżerów słabiej odczuwana niż potrzeba zarządzania finansami czy zarządzania marketingowego. Zwykli się skupiać na tym, co daje przewidywalne wyniki w bliskiej perspektywie. Tymczasem sprawne zarządzanie wiedzą daje rezultaty po dłuższym czasie. Tego rodzaju postawa jest związana z praktyką funkcjonowania przedsiębiorstw koncentrujących się na bieżącej działalności a nie przykładających wagi do tworzenia narzędzi pozwalających wykorzystać przyszłe szanse. Powstaje w ten sposób błędne koło. Kadry menadżerskie nie doceniają zarządzania wiedzą bo potrzeby takiej nie generuje praktyka działania firm, praktyka działania firm pozostaje taką bo kadry menadżerskie nie

doceniają zarządzania wiedzą. Nic zatem dziwnego, że polskie przedsiębiorstwa w zakresie porządkowania, utrwalania, magazynowania, transferu i dyfuzji wiedzy są dopiero na początku drogi. Źle rokuje także niski poziom wiedzy o aktualnych i przyszłych partnerach oraz aktualnych i przyszłych konkurentach. Niebagatelne znaczenie dla możliwości wykorzystania szans rynkowych ma także wiedza o warunkach socjokulturowych w jakich działa firma oraz o tym, jak będą się one zmieniały w przyszłości. Tymczasem w naszych przedsiębiorstwach jest ona na poziomie dalekim od standardów obowiązujących w nowoczesnym biznesie.

I wreszcie wiedza o tym, czym jest innowacyjność. W gospodarce polskiej istotną rolę odgrywają firmy małe. Z danych Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości wynika, że podczas badania przeprowadzonego w 2014 r. aż 60% tzw. mikropracodawców zadeklarowało prowadzenie działalności innowacyjnej w ostatnich trzech latach. Jednak na pytanie, czy firma sama coś tworzy lub udoskonala odpowiedzi były już rzadsze. Badanie to nie daje wyobrażenia o poziomie innowacyjności tych firm gdyż nie są one objęte statystyką publiczną mierzącą poziom ich innowacyjności. Pozwala natomiast wejrzeć w świadomość tego typu przedsiębiorców odnośnie tego, czym jest innowacyjność. Zapytani o skojarzenia z terminem „innowacyjna firma” 23% z nich odpowiedziało, że chodzi tu przede wszystkim o nowoczesność, przyszłość, podążanie za duchem czasu. Oczywiście słusznie tylko że jest to poziom wiedzy nie wykraczający poza medialne slogany. Rozwój i doskonalenie przedsiębiorstwa wskazało 17 % co też pozostaje na pewnym poziomie ogólności. Tylko 22,5% odpowiedziało że chodzi o nowe technologie a zaledwie niespełna 10% wskazało na nowe produkty i usługi oraz nowatorskie rozwiązania. Należy też mieć na uwadze to, że w przypadku małej firmy właściciel, z uwagi na jej niewielkie rozmiary, jest mocno zaangażowany w jej bieżącą działalność co prowadzi do jego identyfikacji z przedsiębiorstwem na zasadzie „firma to ja”. Tym samym przenosi on przekonania co do własnej osoby – że jest innowacyjny, na firmę. Ta natomiast w odbiorze zewnętrznym czy efektach działania nie musi wcale taka być. Ponadto, wyobrażenia właściciela o sobie też nie muszą pokrywać się z rzeczywistością. A to właśnie przedsiębiorca, jak uważał Schumpeter, w ostateczności decyduje o wdrożeniu innowacji. Jego inicjatywa i predyspozycje do

podejmowania ryzyka są motorem rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego. Europejski pomiar innowacyjności z 2015 r. nie pozostawia złudzeń. W kategorii wprowadzania jakichkolwiek nowych lub istotnie ulepszonych produktów czy procesów produkcyjnych ulepszanych przez same małe i średnie przedsiębiorstwa zajęliśmy do spółki z Rumunią ostatnie miejsce ze wskaźnikiem 0 przy średniej UE 0,51302. Szwajcaria która jest liderem miała wskaźnik 0,97013. Jeśli chodzi o poziom zaangażowania małych i średnich firm we współpracę z innymi w dziedzinie innowacyjności osiągnęliśmy wskaźnik 0,12232 wyprzedzając tylko Bułgarię, Ukrainę i Rumunię, która zresztą miała wynik 0. Tutaj na czele jest Belgia z wynikiem 1 a średnia UE to 0,42062.

Polska po wstąpieniu do UE, mimo otrzymywanych funduszy unijnych i mimo swobodnego dostępu do unijnego rynku ekonomicznego, naukowego i technologicznego nie dokonała niemal żadnego postępu w zakresie innowacyjności co jest równoznaczne z brakiem postępu w zakresie rozwoju gospodarczego. Zdaniem Schumpetera natura procesu rynkowego wymusza ciągle wprowadzanie innowacji, gdyż w przeciwnym razie gospodarka weszłaby w stan trwałej równowagi z permanentnym przepływem tych samych produktów, a więc nie byłaby w stanie wznieść się na wyższy poziom. Ekonomista ten zwraca uwagę na fakt, że innowacyjność występuje nawet w warunkach rynku monopolistycznego, bowiem przedsiębiorstwa będą zabezpieczać swą pozycję drogą innowacji technologicznych i organizacyjnych, rezygnując z konkurencji cenowej. Innowacje więc powodują wyjście gospodarki ze stanu statycznego i są przyczyną jej dynamizacji. W kontekście tego poglądu oraz poziomu innowacyjności naszej gospodarki po dwudziestu ośmiu latach realizowanego przez liberalno lewicowe „elity” modelu rozwoju dysponujemy gospodarką statyczną i niezdolną do dynamicznego rozwoju. Należy zatem zastanowić się, jakie są tego przyczyny a kwestia ta powinna stać się centralną w poważnej debacie publicznej.

Przyczyny

W czasach poprzedniego rządu Ministerstwo Gospodarki określiło dwie zasadnicze bariery innowacyjności: wysokie koszty prowadzenia badań naukowych oraz niechęć przedsiębiorców do ponoszenia ryzyka związanego z wpro-

wadzeniem nowych rozwiązań i produktów. Takie ujęcie jest zbyt ogólne i nie oddaje w sposób wystarczający złożoności problemu. Najważniejsze przyczyny niskiego poziomu innowacyjności w polskiej gospodarce to:

- a) bariery kulturowe,
- b) sposób kształcenia i wychowywania,
- c) słabość polskiego kapitału i pracy,
- d) niewystarczające narzędzia instytucjonalne i finansowe,
- e) luka organizacyjna,
- f) luka technologiczna,
- g) niska jakość klasy rządzącej,
- h) chora struktura społeczna,
- i) uwarunkowania zewnętrzne.

Antyinnovacyjna kultura

Na poziom innowacyjności w Polsce negatywnie rzutują bariery kulturowe będące dziedzictwem odmiennej od zachodniej drogi rozwoju. Na co dzień najczęściej sobie ich nie uświadamiamy, gdyż mają one bardzo starą genezę i niejako wkomponowały się w naturalny porządek rzeczy. Terminem kultura zwykło się określać ogółu wytworów ludzi – zarówno materialnych, jak duchowych i symbolicznych. Jednak kluczowe znaczenie mają ukształtowane w procesie historycznym wzory myślenia i zachowań, idee, systemy wartości i moralność kierowana przez rozum i obyczaje. Kultura wpływa także na kształtowanie osobowości jednostek. W jej ramach przekazywane są, poprzez kontakt społeczny, określone dyspozycje psychiczne. Istotny jest tutaj poziom ładu na co dzień nie uświadamianego sobie przez uczestników określonej kultury. Wytworzona przez nią konfiguracja wyuczonych zachowań jest przekazywana przez członków danego społeczeństwa z pokolenia na pokolenie. W ten sposób formują się, utrwalają oraz są internalizowane normy i wartości obowiązujące w danej zbiorowości. Epoka nowożytna, w której nastąpiło rozejście się dróg rozwojowych między zachodnią i wschodnią Europą, była jednocześnie okresem, w którym ukształtowały się kulturowe fundamenty współczesnych narodów, a więc także zasadnicze różnice kulturowe między nimi.

Na Zachodzie wymagania, jakie stawiały właściwe rozwijającemu się kapi-

talizmowi metody produkcji oraz wiążąca się z tym ewolucja stosunków społecznych, wpływały na typ kultury, która stawała się nośnikiem takich wartości jak wiedza, innowacyjność, mobilność, przedsiębiorczość, oszczędność, racjonalność i praca. W związku z rozwojem przemysłu i handlu następował postęp w zakresie kultury technicznej i organizacyjnej. Generujące zapotrzebowanie na żywność rozwijające się rzemiosło, wytwórczość manufakturowa, handel, transport morski i miasta pobudzały także rolnictwo krajowe do większej produkcji czemu sprzyjało coraz lepsze wyposażenie techniczne, indukowana przez kulturę wczesno przemysłową innowacyjność w tym sektorze a wreszcie, rozwijana przez siły społeczne związane z pozarolniczą działalnością gospodarczą presja na przekształcanie form ustrojowych w kierunku pro wzrostowym, którymi to formami obejmowane było także rolnictwo. Wreszcie rewolucja agrarna, która poprzedziła rewolucję przemysłową, pozwoliła na osiągnięcie wydajności w rolnictwie na poziomie umożliwiającym zaangażowanie nadwyżek zasobów pracy z tego sektora w przemyśle co zaowocowało rozwojem produkcji fabrycznej. W wytwórczości kapitalistycznej, opartej na pracy najemnej, kluczowe znaczenie mają koszty pracy. Ich obniżanie prowadzi do wzrostu dochodów. Opłaca się zatem podnosić wydajność przez innowacyjność w zakresie produktu i procesu wytwórczego. Jeśli warunki determinujące innowacyjność trwają w danym społeczeństwie odpowiednio długo, staje się ona jednym z istotnych i trwałych elementów w jego zbiorze wzorów myślenia i zachowań.

Rzeczpospolita, od przełomu XV i XVI w., na skutek znakomitej koniunktury na produkty żywnościowe w kraju i zagranicą, zwłaszcza zboże, przyjęła rolniczą orientację wytwórczą a podstawami jej systemu gospodarczego stały się folwark pańszczyźniany i wtórne poddaństwo. Sytuację taką można dość dobrze wytłumaczyć na gruncie neoklasycznego modelu wymiany międzynarodowej Heckschera–Ohlina, przy wszelkich zastrzeżeniach co do szeregu restrykcyjnych założeń, pomijających wiele aspektów istotnych dla wyjaśnienia przyjęcia przez dany kraj specjalizacji międzynarodowej i kierunków handlu, jakie poczynili twórcy tego modelu. Według niego, kraje eksportują dobra, w których produkcji intensywnie wykorzystują swoje najbardziej obfite, czyli względnie tańsze, zasoby czynników. Różnice obfitości zasobów wyjaśniają kierunki specjalizacji międzynarodowej, w której strony uzyskują korzyści z han-

dlu, sprzedając dobra, wytwarzane względnie taniej i kupując te, które same byłyby w stanie produkować względnie drożej. Różnice cen w warunkach autarkii mają bowiem źródło w różnicach kosztów produkcji a te, przy założeniu identycznej technologii, w różnych cenach czynników produkcji wynikających z różnego stopnia rzadkości posiadanych zasobów. W epoce przed fabrycznej, kiedy rolnictwo było decydującą gałęzią gospodarki, kluczowym czynnikiem produkcji była ziemia. Ze wszystkich krajów europejskich Rzeczpospolita była wyposażona w ten czynnik najhojniej. Stosunkowo mała względem obszaru liczba ludności sprawiała, że czynnik ten był względnie tani. Mimo doskonałej koniunktury na produkty rolne, niewystarczająca do pełnego zagospodarowania zasobów liczba ludności powodowała, że duże obszary pozostawały nieuprawiane czego efektem było to, że obok produktów rolnych naszą ówczesną pozycją eksportową były także dobra jakie pozyskiwano z lasów. Kolejnym czynnikiem produkcji była praca. Tutaj sytuacja już nie kształtowała się tak korzystnie i przy niewystarczającej liczbie ludności w stosunku do zasobów gruntów nadających się pod uprawę praca teoretycznie powinna być droga. Jednak szlachta, posiadając dominującą pozycję w strukturze społeczeństwa stanowego przezwyciężyła ten problem rozwijając folwark pańszczyźniany w którym wykorzystywała praktycznie darmową pracę chłopów. Przymusowa praca poddanych nie była wliczana do kosztów produkcji, nie było więc impulsów do zwiększenia wydajności poprzez nakłady na stosowanie nowych rozwiązań. Tak dogodne dla niskich kosztów warunki nie sprzyjały zatem postępowi w zakresie technologii produkcji rolnej. Łatwiej i taniej było zagospodarowywać nowe obszary i zwiększać świadczenia pańszczyźniane niż inwestować w nowe metody upraw, w udoskonalenia prowadzące do intensyfikacji produkcji. Była to gospodarka ekstensywna i to w dwojakim sensie: zarówno jeśli chodzi o obejmowanie uprawą kolejnych niezagospodarowanych obszarów jak i obejmowanie coraz większej liczby chłopów coraz wyższym wymiarem pańszczyzny.

Z odwrotną sytuacją mieliśmy do czynienia w większości krajów Europy Zachodniej. Względnie wysokie koszty produkcji rolnej wynikały po pierwsze z mniejszych w stosunku do liczby ludności zasobów gruntów nadających się pod uprawę, po drugie z tego, że rozwijające się pozarolnicze dziedziny gospodarki czerpały surowce z części majątków ziemskich nastawionych na ich pro-

dukcję, np. w Anglii hodowla owiec dostarczających surowca dla wytwórczości włókienniczej, po trzecie brak pańszczyzny powodował, że praca w rolnictwie kosztowała. W efekcie na Zachodzie wystąpiła tendencja do intensyfikacji produkcji rolnej co polegało na stosowaniu rozwiązań prowadzących do wzrostu wydajności pracy i ziemi. Najsilniej tendencja ta wystąpiła w kraju bodaj najuboższym w nadające się pod uprawy grunty, Niderlandach, później w Anglii, gdzie w XVIII w. dokonana została rewolucja agrarna rozprzestrzeniająca się na pozostałe kraje Zachodu. W efekcie już w XVIII w. między krajami Europy Zachodniej a Rzeczpospolitą zaistniała w rolnictwie poważna luka technologiczna. Towarzyszyła jej luka organizacyjna, gdyż system gospodarczy oparty na folwarku pańszczyźnianym nie posiadał wewnętrznych mechanizmów pobudzających do innowacji.

W kraju, którego gospodarka została zdominowana przez rolnictwo a ustrój kształtował się pod interesy właścicieli majątków ziemskich mieliśmy do czynienia nie tylko z zahamowaniem procesu tworzenia się stosunków kapitalistycznych, ale z recydywą feudalizmu. Konsekwencją tego stanu rzeczy był w dalszej perspektywie upadek miast i miejskiej wytwórczości. Od czasów starożytnych najszybciej rozwijały się te kraje, które miały dostęp do bardziej efektywnych środków komunikacji i transportu oraz intensyfikowały aktywność handlową, co pozwalało na szybkie upowszechnianie się nowych wynalazków. Jednak szlachta, obawiając się powstania silnej klasy handlowo – przemysłowej, która mogłaby zagrozić jej pozycji, wołała w eksporcie produktów folwarku korzystać z usług obcych kupców. Jej świadomość gospodarczą ograniczały ciasne horyzonty majątku ziemskiego a świadomość polityczną egoizm stanowy. To spowodowało, że państwo przez nią tworzone nigdy nie przejęło realnej władzy nad wybrzeżem bałtyckim mimo, że nad częścią tego wybrzeża sprawowało nominalną zwierzchność. Mało tego, nie rozwinięto nawet wewnętrznej sieci komunikacyjnej w stopniu niezbędnym do lepszego wykorzystania możliwości kraju w zakresie produkcji rolnej. W związku z powyższym nie ukształtowały się u nas w epoce nowożytnej wystarczająco silne czynniki społeczne i polityczne zorientowane na rozwój handlu, przemysłu i kapitalistycznych form produkcji. Nie wytworzyły się zatem w naszej kulturze właściwe wytwórczości kapitalistycznej wzory myślenia i zachowań. Wśród elity kształtowały się

skłonności do podkreślania statusu i wygodnego życia. Uwielbiano się procesować, politykować, imponować. W społeczeństwie zasadniczo składającym się z uprzywilejowanej grupy właścicieli ziemskich i ogromnej masy zależnych, ubogich chłopów, mamy z jednej strony lenistwo i dogadzanie sobie, z drugiej beznadzieję; na górze wyniosłą obojętność, ignorancję i arogancję, na dole zaś wiść, chciwość, rozpacz i rezygnację. W takim społeczeństwie nie było wystarczających bodźców do ulepszeń i zmian. Ogólnie struktura wymiany handlowej Rzeczypospolitej wyglądała następująco: eksport – zboże, drewno, popiół, smoła, skóry, futra, wełna, len, konopie, woły; import – stal, narzędzia metalowe, noże, kosy, sierpy, sukna, płótna, barchan, jedwab, wina. Taka struktura wymiany handlowej już wówczas prowadziła do kształtowania się zależności naszej gospodarki od rozwijającej się poza naszymi granicami wytwórczości wczesno przemysłowej. Próby modernizacji kraju, w tym również gospodarki, podjęte w epoce stanisławowskiej, zakończyły się klęską rozbiorów.

W epokę produkcji fabrycznej wkroczyliśmy opóźnieni w stosunku do krajów zachodnich o całą fazę rozwojową. Podstawą naszej gospodarki było w dalszym ciągu głęboko zacofane rolnictwo. Ponadto straciliśmy własną państwowość a wraz z nią szansę na zaprojektowanie i realizację jakiegokolwiek strategii zniwelowania dystansu. Nasze ziemie pozostały obszarem peryferyjnym względem centrów rozwojowych Europy oraz względem centrów gospodarczych naszych zaborców. Na Górnym Śląsku postęp rewolucji przemysłowej opóźniało jego peryferyjne usytuowanie w ramach Rzeszy. W Królestwie polskim przez długi czas przeszkodę stanowił napływ tanich towarów z Rosji. W Galicji brakowało wszystkiego: kapitałów, rynku zbytu oraz polityki Austrio – węgierskiego rządu. O ile na początku XX w rolnictwo w zaborze pruskim osiągnęło wskaźniki wydajności na poziomie czołowych krajów zachodnich o tyle dla zaboru rosyjskiego i Galicji wskaźniki te były prawie dwukrotnie niższe. Bieda na wsi oznaczała płytki rynek na produkty przemysłowe. Nie było więc podstaw dla zadowalająco szybkiego rozwoju przemysłu. Ewentualny eksport na Zachód nie wchodził w grę z uwagi na różnicę poziomu technicznego. Możliwości eksportu na rynek wschodni ograniczała polityka Moskwy. Sytuacja zaczęła się zmieniać na korzyść dopiero w latach 60 – tych XIX w kiedy w zaborze rosyjskim przeprowadzono reformy agrarne których efektem było stopniowe

kapitalizowanie folwarku. Czynnikiem hamującym rozwój była jednak taniość siły roboczej.

Rewolucja przemysłowa jako znacznie w stosunku do Zachodu spóźniona, miała u nas charakter wybitnie peryferyjny a więc charakteryzujący się zasadniczo adaptacją rozwiązań już gdzie indziej wypracowanych a nie kreowaniem rozwiązań oryginalnych. Na jej kulturowy wpływ na społeczeństwo polskie negatywnie rzutowało to, że większość przemysłu znajdowała się w rękach obcych. Wielkie ziemiaństwo polskie, które jako jedyne posiadało wystarczające środki, w przedsięwzięcia przemysłowe angażowało się w niewielkim wymiarze, sporadycznie i okazjonalnie. Stąd też wśród poważniejszych przemysłowców na naszych ziemiach nazwiska polskie można policzyć na palcach przysłówiowej jednej ręki. To sprawiało, że właściwa kulturze przemysłowej innowacyjność jako wzór myślenia i postawa w małym stopniu przenikała do kultury polskiej. Nasza kultura funkcjonowała niejako obok dziewiętnastowiecznego procesu rozwoju produkcji fabrycznej mimo, że taka produkcja na naszych ziemiach, aczkolwiek w mniejszej skali niż na Zachodzie, także się rozwijała. W kontekście decydującej roli przemysłu dla rozwoju cywilizacyjnego tamtej epoki i w przyszłości oznaczało to, że jako naród nie wchodziliśmy w wystarczającym stopniu w posiadanie narzędzi kulturowych niezbędnych do skutecznego funkcjonowania w nowoczesnym świecie.

Po odzyskaniu niepodległości Polska podjęła ogromny wysiłek na rzecz modernizacji. Powstały od zera przemysły będące wówczas dźwigniami nowoczesności takie jak elektrotechniczny, chemiczny, zbrojeniowy i gumowy a w mniejszym stopniu lotniczy, motoryzacyjny, telekomunikacyjny i radio-techniczny. Niezależnie od tego jak oceniać poszczególne aspekty rozwoju w dwudziestolecie międzywojennym, generalnie sprawy szły w dobrym kierunku a przed nami istniała realna perspektywa znalezienia się z czasem w gronie krajów wysoko rozwiniętych. Niebagatelną rolę odgrywało tutaj państwo. Proces modernizacji trwał jednak zbyt krótko, aby na stałe wprowadzić do naszej kultury wartości sprzyjające rozwojowi na miarę XX w. Nie należy zapominać, że było to zaledwie 16 lat normalnej gospodarki. Przed 1922 r. mieliśmy bowiem gospodarkę wojenną i jeszcze nieustalone granice, w roku zaś 1939 wybuchła II Wojna Światowa.

Po przegranej wojnie znaleźliśmy się pod sowiecką okupacją funkcjonując w warunkach nowego ustroju. Tzw. realny socjalizm, odwołujący się do marksizmu i leninizmu, miał w myśl teoretycznych założeń doprowadzić do likwidacji zacofania oraz stworzenia nowej formacji społeczno – ekonomicznej, w ramach której wszystkie sprzeczności rozwoju zostaną przewyciężone. W rzeczywistości nie był zdolny do skutecznej antycypacji tendencji rozwojowych, nie posiadał wewnętrznych motorów innowacyjności, nie kreował nowoczesnej wytwórczości. Zaislniał w epoce węgla i stali i tak długo, jak ta epoka trwała, jako tako się bronił. Jednak wobec wyzwań rewolucji technologicznej, elektronicznej, telekomunikacyjnej i informatycznej okazał się bezradny jak dziecko. W rezultacie światowy kapitalizm najpierw założył światowemu socjalizmowi pętlę na szyję a później ją zacisnął. Jego bilans w Polsce z punktu widzenia szans rozwojowych to przede wszystkim utrata wartościowej części elit przedwojennych jaka ocalała z pożogi i likwidacja mechanizmu reprodukcji elit. System nakazowo - rozdzielczy bowiem nie kreował elit gospodarczych tylko gospodarczych funkcjonariuszy a to istotna różnica. Efektem czterdziestu pięciu lat istnienia tego ustroju jest głębsza niż nam się wydaje sowietyzacja mentalności. W epokę III RP wkraczaliśmy zatem jako kultura wybitnie anty-innowacyjna.

Rozpatrując problem innowacyjności w kontekście barier kulturowych istotne znaczenie ma kwestia pewnych rodzajów wiedzy których poziom i zasięg jest silnie uwarunkowany kulturowo. O ile wiedza deklaratywna, dotycząca koncepcji teoretycznych, faktów czy zdarzeń, jest łatwa do zwerbalizowania i przekazywania, o tyle wiedza proceduralna, stanowiąca zespół umiejętności odnoszących się do konkretnych sytuacji i pozwalających dostrzegać szanse rynkowe oraz wypracowywać sposoby ich wykorzystania, jest często trudna bądź niemożliwa do zwerbalizowania. Podobnie jest w przypadku wiedzy specjalistycznej i wiedzy przedsiębiorczej będącej częścią wiedzy ogólnej. Ta pierwsza dotyczy znajomości specyfiki konkretnego rynku, technicznych aspektów produktu, nabywców, kanałów dystrybucji, itp. Jednak nie każdy, nawet wybitny specjalista, jest dobrym przedsiębiorcą. Tym, co wyróżnia przedsiębiorcę jest przede wszystkim wiedza przedsiębiorcza która może być nabywana tylko przez doświadczenie i obserwację. Dotyczy ona z jednej strony poszukiwania

szans w otoczeniu i ich realizacji, z drugiej umiejętności pozyskiwania akceptacji inwestorów, klientów czy kontrahentów. Gromadzenie wiedzy proceduralnej i przedsiębiorczej odbywa się poprzez relacje społeczne, szczególnie rodzinne, których siła oddziaływania jest w procesie socjalizacji przedsiębiorczej największa, a także poprzez transformację własnych doświadczeń. Jeśli przez całe wieki właściwe przedsiębiorczości wzory myślenia i zachowań zajmowały w naszej kulturze pozycję marginalną, rozpowszechnienie i poziom wymienionych rodzajów wiedzy, kluczowych z punktu widzenia przedsiębiorczości, są daleko niewystarczające.

W rezultacie powyżej naszkicowanych procesów historycznych ukształtowała się dzieląca nas od krajów rozwiniętych wyraźna i głęboka luka mentalna, intelektualna i psychologiczna. Jest ona jedną z kluczowych przyczyn rozbieżności między obiektywną potrzebą innowacji a praktyką i rzeczywistością w tej dziedzinie. Mimo stopniowo wzrastających ilości informacji i poziomu wiedzy na ten temat, luka ta zamiast się kurczyć, raczej się pogłębia. Niski poziom innowacyjności naszej gospodarki nie budzi najmniejszego niepokoju „elit” i społeczeństwa. Nie podejmuje się też żadnych poważnych działań, aby zmienić ten stan rzeczy. Ilekroć jest mowa o stanie finansów publicznych czy konkurencyjności polskiej gospodarki, zarówno ekonomiści jak i przedsiębiorcy wskazują na konieczność zmniejszania kosztów pracy. Niestety, drogę widzą jedną: poprzez redukcję, w taki czy inny sposób, znajdujących się na bardzo niskim poziomie płac i świadczeń pracowniczych. Zupełnie nie biorą pod uwagę możliwości opracowywania i wdrażania rozwiązań w zakresie organizacji i technologii lepszych niż u konkurencji, co jest zdecydowanie skuteczniejszą metodą redukcji kosztów pracy. Ludzie ci w sposób nieuświadomiony posługują się wzorem myślenia ukształtowanym w epoce, w której szlachcic zwiększał dochodowość folwarku nie za pomocą innowacyjności, lecz poprzez zwiększanie obciążeń poddanych. To wskazuje, że innowacyjność nie jest w naszej kulturze wartością istotną. Stanu tego nie zmieniają incydentalne dokonania pojedynczych naukowców czy nawet zespołów. We współczesnym świecie nawet największe talenty nie wystarczają, kiedy funkcjonują w kulturowej i gospodarczej próżni. Ich intelektualne osiągnięcia nie zostaną połączone z przedsiębiorczością zdolną do ich zagospodarowania. W społeczeństwie nieorientowanym na in-

nowacyjność i badania naukowe dokonania ludzi wybitnie uzdolnionych pójdą na marne albo będą wykorzystywane przez innych, nierzadko bez oddania należnego honoru właściwym twórcom. Przewycięzanie barier kulturowych powinno być oczywistym zadaniem elit. Problem ten był jednak położony daleko poza zasięgiem zdolności pojmowania grup które jako elity się firmują. Jesteśmy zatem krajem bez elit a to nie wróży nic dobrego.

Takie będą rzeczpospolite, jakie ich młodzieży chowanie

Optymiści prognozują, że osiągnięcie przez Polskę średniego europejskiego poziomu innowacyjności nastąpi za ok. 20 lat. Perspektywy dogonienia czołówki się nie określa. Nadzieję na przyszłość opierają na tym, że pod względem odsetka mieszkańców w wieku 20 – 24 lat posiadających co najmniej średnie wykształcenie wyraźnie przekraczamy średnią unijną (za 2015 r. wskaźnik 0,84615 co daje 7 miejsce w Europie przy średniej unijnej 0,60969). Naszym atutem ma być także liczba młodych ludzi z wyższym wykształceniem (za 2015 r. wskaźnik 0,67726 przy średniej unijnej 0,56235 co daje 17 miejsce w Europie) . Jeśli jednak przyjrzymy się bliżej jakości nauczania i kształcenia, podstaw do optymizmu będzie znacznie mniej.

Milton i Rose Friedman w książce *Wolny wybór*, wprowadzając rozróżnienie między wykształceniem (*education*) a nauczaniem (*schooling*), formułują taką oto myśl:

Jeśli używać tych terminów ściśle, okaże się, że nie każde nauczanie prowadzi do wykształcenia i nie zawsze wykształcenie jest wynikiem nauczania. Są ludzie, którzy uczyli się intensywnie, a mimo to nie są wykształceni. Są też ludzie głęboko wykształceni, mimo że nie kończyli szkół. Pewien wgląd w jakość edukacji w naszym kraju dają prowadzone od 2000 r. badania kompetencji uczniów (w wieku 15 lat) w ramach programu PISA (*Programme for International Student Assessment*). Są one realizowane w trzech dziedzinach uznanych za ważne w życiu współczesnego człowieka: czytaniu i interpretacji, matematyce oraz rozumowaniu w naukach przyrodniczych (*Reading, Mathematics, Science*). Dla wielu wyniki badań z 2000 r. były szokiem. Okazało się wówczas, że średni wynik polskich uczniów wypadł znacząco poniżej średniej z krajów OECD a także to, że ponad 23% piętnastolatków w Polsce znalazło się poniżej pozo-

mu uznanego w metodologii PISA za poziom minimum. Należy zdawać sobie sprawę, że stan taki trwał od wielu lat.

Badania z 2003 r. wprawdzie wykazały poprawę ogólnego stanu kompetencji naszych uczniów i zasadnicze zmniejszenie odsetka nieosiągających poziomu minimum w czytaniu jednak odsetek uczniów dobrych i bardzo dobrych, zdefiniowanych wedle jednakowych kryteriów dla wszystkich krajów, był w Polsce, we wszystkich trzech badanych dziedzinach, znacznie niższy niż w większości rozwiniętych krajów świata.

Badania z 2006 r. wykazały, że umiejętność rozumowania naukowego, na które składa się rozpoznawanie zagadnień naukowych oraz samodzielne interpretowanie i wykorzystywanie wyników i dowodów naukowych, jest wśród polskich uczniów niższa od przeciętnej dla krajów OECD. Tymczasem właśnie te umiejętności powszechnie uważa się za kluczowe dla budowania innowacyjnej gospodarki opartej na wiedzy. Nieco lepiej polscy uczniowie wypadli w wyjaśnianiu zjawisk w sposób naukowy z wykorzystaniem posiadanej wiedzy. Brało się to prawdopodobnie z nacisku polskiej szkoły na pamięciowe przyswajanie sporych ilości informacji i niewielkiego zakresu wykorzystania samodzielnych eksperymentów naukowych. W rezultacie nasi piętnastolatki gorzej niż ich rówieśnicy z innych krajów radzili sobie kiedy musieli wyjść poza znane sposoby działania, podjąć samodzielne rozumowanie matematyczne lub zaplanować strategię postępowania. Nie była to dobra rekomendacja dla przyszłych innowatorów. Wyniki PISA 2006 pokazały także, że wśród polskich uczniów dobrzy i wybitni stanowili niewielki odsetek, zaś najslabsi, poniżej drugiego poziomu umiejętności w sześciostopniowej skali – stosunkowo wyśoki. Polscy piętnastolatki z lat 2000, 2003 i 2006 są dzisiaj trzydziesto dwu, dwudziesto dziewięć, dwudziesto sześć, latkami. Jakaś ich część ukończyła studia wyższe. To oni w perspektywie najbliższych 30 lat będą główną siłą fachową naszej gospodarki. Ciekaw jestem w jaki sposób pod względem innowacyjności osiągną średnią europejską?

W Polsce badaniami PISA 2006 objęto także uczniów I i II klas szkół średnich. Wydawałoby się, że szkoły przygotowujące do pracy w konkretnych zawodach, wymagających wiedzy technicznej, a więc technika, licea profilowane oraz zasadnicze szkoły zawodowe, będą kładły większy nacisk na wykształcenie

umiejętności rozumowania w zakresie nauk przyrodniczych, niż licea ogólnokształcące. Tymczasem było zupełnie odwrotnie. W teście kompetencji naukowych uczniowie liceów ogólnokształcących znacznie wyprzedzili uczniów techników i liceów profilowanych. Taki stan rzeczy potwierdziło także badanie z 2009 r.

Zresztą dopiero to badanie dało podstawy do przypuszczeń, że istnieje szansa na poprawę poziomu nauczania. Chociaż w dalszym ciągu uczniów osiągających najwyższy poziom kompetencji wg kryterium PISA było u nas bardzo mało, potwierdziło ono ograniczenie odsetka uczniów najslabszych, przede wszystkim w czytaniu. Pozytywny wynik zanotowano także w naukach przyrodniczych. Badanie jednak wykazało już tradycyjnie niski poziom kształcenia matematycznego. Potwierdzają to także wyniki matur z 2011 r. Ok. 1/4 przystępujących nie zdała egzaminu maturalnego w pierwszym terminie z czego najwięcej, bo 21% nie zdało z matematyki. Tutaj też była najniższa średnia. A właśnie wyniki z tego przedmiotu świadczą o całym procesie nauczania z uwagi na to, że jest to język opisu zjawisk stosowany we wszystkich naukach przyrodniczych i technicznych a także wielu humanistycznych. Liderami w tej dziedzinie według badań PISA były Szanghaj, Singapur, Hongkong, Korea Południowa i Tajwan. Korea Południowa, której PKB *per capita* jeszcze pięćdziesiąt lat temu był porównywalny z poziomem biedniejszych krajów Afryki dzisiaj wydaje na edukację i naukę najwięcej na świecie.

Jak wynika z badań Międzynarodowego Stowarzyszenia Oceny Osiągnięć Edukacyjnych (*International Association for the Evaluation of Educational Achievements*) umiejętności naszych studentów pedagogiki w zakresie matematyki i dydaktyki tego przedmiotu należały do najniższych spośród przebadanych krajów. Zdaniem ekspertów Instytutu Badań Edukacyjnych *niski poziom umiejętności studentów pedagogiki wynika przede wszystkim z niskich wymagań kandydatów na studia i jest pochodną braków wiedzy matematycznej*. Pytanie, w jaki sposób tak wykształceni pedagodzy nauczą rozumowania, kreowania wiedzy i umiejętności posługiwania się nią naszych przyszłych innowatorów? Jeśli chodzi o studentów matematyki, aż 25% badanego rocznika miała wyniki poniżej średniej światowej.

Odrębnego potraktowania wymaga dramatycznie niski wynik, jaki w bada-

niach osiągnęli uczniowie zasadniczych szkół zawodowych. Istnieje dość solidnie ugruntowane przekonanie, że w procesie podnoszenia poziomu innowacyjności absolwenci zasadniczych szkół zawodowych nie będą odgrywali żadnej roli. Nic bardziej błędnego. Na przykład doświadczenia japońskiego przemysłu motoryzacyjnego wskazują na istotną rolę bezpośrednich wykonawców w usprawnianiu produkcji. Kiedy japońscy menedżerowie, w wyniku analizy rynku wewnętrznego, odchodzili od amerykańskich metod produkcji masowej i postawili na dywersyfikację, wiązało się to z przestawieniem z maszyn wyspecjalizowanych na uniwersalne, wymagające obsługi przeszkolonej w wykonywaniu wielu zadań. Niezbędna też była umiejętność szybkiego przerzucania się z jednego zadania do drugiego. Przeprowadzenie tej innowacji, jak i wielu innych oraz stosowanie tak elastycznego sposobu produkcji było możliwe między innymi dzięki inteligencji i pomysłowości robotników. Zjawisko takie określa się jako postęp techniczny indukowany. Występuje on gdy pracownicy potrafią w krótkim czasie opanować obsługę nowych maszyn. W japońskich firmach każdy pracownik czuje się zobowiązany, a w zasadzie jest nakłaniany do przedstawiania pomysłów pozwalających zaoszczędzić wysiłek, czas i pieniądze. Propozycje te idą w dziesiątki tysięcy. Wynikają stąd następujące korzyści:

- a) wykorzystuje się te możliwości usprawnień, które nawet jeśli proste, są łatwiej uchwytnie z perspektywy bezpośrednio wykonującego konkretne operacje niż z perspektywy menedżera czy projektanta produktu bądź procesu wytwórczego;
- b) zwiększa się poczucie podmiotowości szeregowych pracowników co sprzyja zwiększeniu spójności kadry kierowniczej z załogą i identyfikacji pracowników z firmą;
- c) tworzy się kultura innowacyjności dzięki czemu wprowadzanie nowych rozwiązań nie natrafia na opory czy niezrozumienie.

Kiedy Amerykanie stanęli w obliczu ataku japońskich firm na ich rynki także zaczęli zmieniać swój stosunek do potencjału innowacyjności tkwiącego w załogach, przedtem nie zauważanego. Na przykład w fabryce ciężarówek Forda w Louisville zastosowano prosty pomysł na który wpadli robotnicy, aby zatrzymywać linię montażową na czas na tyle długi, żeby pracownicy zdążyli opuścić nadwozie na podwozie. Wpłynęło to na większą dokładność montażu

i mniejszą liczbę usterek. Banalne? Ale przekłada się na konkretne pieniądze. Pośpiech rodzi marnotrawstwo a szybkie oszczędności są pochłaniane przez długie naprawy. Jak np. zauważył Lee Iacocca oszczędzenie 7 dolarów na samochodzie przy zabezpieczaniu asfenu przed rdzą w fabryce Chryslera kosztowało potem ok. 100 milionów dolarów. Znacznie większy był koszt utraty zaufania klientów.

W każdym momencie społeczeństwo dysponuje pewnym zasobem wiedzy dotyczącej metod wytwarzania, zapisanym w książkach i dokumentacjach technicznych. Większość jednak wiedzy technicznej to praktyczne umiejętności i kwalifikacje, będące efektem żmudnego zdobywania doświadczenia zawodowego. Najbardziej znany przykład uczenia się przez pracę, tzw. efekt Horndala, pochodzi ze szwedzkiej stalowni. Od momentu jej uruchomienia w 1836 r. przez kolejne 15 lat wyposażenie w maszyny oraz liczba zatrudnionych nie uległy żadnym zmianom. Mimo to przez pewien czas wydajność pracy rosła średnio o 2% rocznie. Kampanie planują i prowadzą generałowie ale wygrywają żołnierze. Warto zatem solidnie uczyć rozumowania przyszłych bezpośrednich wykonawców.

Prawdziwym optymizmem powiało dopiero po badaniach PISA w 2012 r. Polscy uczniowie we wszystkich trzech kategoriach osiągnęli wyniki powyżej średniej OECD. W czytaniu i interpretacji 518 do 496 tj. + 22, w matematyce 518 do 494 czyli + 24 i w naukach przyrodniczych 526 do 501 a zatem + 25. Co ważne, spadła także liczba uczniów osiągających najniższy poziom. W ten sposób Polska uplasowała się w czołówce UE. Istotne jest także to, że zanotowaliśmy duży wzrost w zakresie rozumowania w naukach przyrodniczych. W Unii wyprzedziły nas tylko Finlandia (545) i Estonia (541). Te dwa kraje weszły zresztą do światowej czołówki którą oprócz nich tworzą Szanghaj (Chiny), Hongkong (Chiny) i Singapur, następnie Japonia i Korea Południowa. My znaleźliśmy się w grupie krajów o zbliżonych wynikach: Wietnam, Polska, Kanada, Lichtenstein, Niemcy, Taiwan, Holandia, Irlandia, Australia i Makao (Chiny).

Jednak oprócz blasków były także cienie. Jeśli chodzi o umiejętności wykorzystania komputera w matematyce nasz wynik był o 8 pkt niższy od średniej 23 krajów badanych, jeśli zaś chodzi o czytanie tekstów cyfrowych, nasi

uczniowie osiągnęli 464 pkt przy średniej dla 16 krajów badanych wynoszącej 499 pkt. Także w pomiarze kreatywności uczniów w radzeniu sobie z komputerowymi zadaniami, nie nawiązującymi do wiedzy i umiejętności z przedmiotów szkolnych natomiast wymagającymi zrozumienia mechanizmu działania na podstawie uzyskiwania dodatkowych informacji nie podanych bezpośrednio w zadaniu i wymagającymi interakcji z komputerem nasz wynik był słabszy o 19 pkt od średniego dla 26 krajów badanych.

W badaniach PISA 2015 polscy uczniowie także osiągnęli wyniki powyżej średniej we wszystkich trzech obszarach objętych badaniem: w rozumowaniu w naukach przyrodniczych 10 miejsce wśród krajów UE, w czytaniu i interpretacji 4, w matematyce 6. Jednak ich wyniki były niższe niż podczas edycji z 2012 r. Należy jednak zaznaczyć, że obniżenie wyników zanotowano dla większości krajów OECD. Jeśli chodzi o rozumowanie w naukach przyrodniczych wynik był o 24 pkt gorszy od poprzedniego. W czołówce już tradycyjnie uplasowały się kraje Dalekiego Wschodu, Finlandia i Estonia, a także, co jest pewnym novum, Kanada. W czytaniu i interpretacji średni wynik Polski był gorszy o 12 pkt niż w 2012 r. W związku z tym, że spoza UE wyprzedziła nas także Norwegia, dało to nam piąte miejsce w skali całej Europy. Pierwszą trójkę na naszym kontynencie stanowią Finlandia, Irlandia i Estonia. W skali świata nasi uczniowie osiągnęli trzynasty wynik. Średni wynik z matematyki był o 14 pkt niższy od poprzedniego. Dało to nam ósmą pozycję w Europie a w samej UE wyprzedziły nas Estonia, Holandia, Dania, Finlandia i Słowenia.

W zakresie nauk przyrodniczych w porównaniu z 2012 r. nastąpił wzrost odsetka uczniów najslabszych, z 9% do 16,3%, w matematyce z 14,4% do 17,2%, w zakresie czytania i interpretacji z 10,6% do 14,4%. Towarzyszył temu spadek odsetka uczniów najlepszych: w naukach przyrodniczych z 10,8% do 7,3%, w matematyce z 16,7% do 12,2% oraz w czytaniu i interpretacji z 10,1% do 8,2%. Wygląda na to, że od momentu, w którym uczestniczymy w badaniach, zrazu niewielka tendencja wzrostowa uległa przyspieszeniu by zaowocować całkiem solidnymi wynikami w 2012 r., ale badanie z 2015 r. sygnalizuje tendencję spadkową. Dopiero następne badanie, planowane na 2018 r. pokaże, czy ta tendencja będzie zjawiskiem trwałym.

Edukacja to nie tylko uczniowie ale także nauczyciele. I tutaj niespodzian-

ka. W pierwszym międzynarodowym badaniu środowiska uczenia i warunków pracy nauczycieli TALIS (*Teaching and Learning International Survey*) przeprowadzonym w 2008 r. którym zostały objęte 24 kraje Polska znalazła się w grupie pięciu państw w których co najmniej połowa nauczycieli ma wykształcenie wyższe (w Polsce 94% nauczycieli miało wtedy ukończone studia magisterskie). Na tle postępującego starzenia się kadry nauczycielskiej mieliśmy korzystną strukturę wiekową; ponad 50% nauczycieli nie ukończyło czterdziestego roku życia. Udział naszych nauczycieli w doskonaleniu zawodowym wynosił 90,4% przy średniej 88,5%. W ciągu 18 miesięcy na doskonalenie przeznaczali średnio 29 dni podczas gdy średnia dla badanych krajów wynosiła 15. Znaleźliśmy się wśród dwunastu krajów gdzie w przynajmniej połowie badanych szkół przeprowadza się kontrolę raz do roku. W Polsce, podobnie jak i na Malcie dyrektorzy zdecydowanie częściej niż w innych krajach demonstrowali styl przywództwa zorientowany bardziej na nauczanie niż czynności administracyjne.

Wprawdzie w ciągu ostatnich dwudziestu lat zdecydowanie wzrosła liczba młodzieży odbywającej różne studia, ale po pierwsze, poziom naszych wyższych uczelni jest silnie zróżnicowany, po drugie nie należą one do najlepszych, po trzecie system kształcenia w dużej ich części nie sprzyja rozwijaniu postaw twórczych i samodzielności intelektualnej, po czwarte wreszcie w dalszym ciągu większość kończy uczelnię tylko po to, by przejść przez egzaminy i zdobyć *papier*. Uzyskanie przy pomocy *papieru* wyższej pozycji w hierarchii najczęściej nie jest pojmowane jako zobowiązanie do wytężonej pracy, lecz jako wejście w posiadanie większych uprawnień władczych umożliwiających osiągnięcie wyższych dochodów, podwyższenie statusu oraz zajęcie mocniejszej pozycji w sieci powiązań niezbędnych w robieniu kariery. Taki stan rzeczy jest jedną z istotnych przyczyn wysokiego poziomu impotencji i ignorancji w grupach zarządzających zarówno w obszarze publicznym, jak i w biznesie. O słabości polskiej nauki i szkolnictwa wyższego świadczy chociażby to, że według Eurostatu polskie uczelnie przyciągają doktorantów spoza UE, w tym Amerykanów, Chińczyków, Hindusów, Ukraińców, Białorusinów i Rosjan, blisko trzynastą część rzadziej, niż średnio uczelnie całej Unii. W tej kategorii w badaniu SII z 2015 r. zajęliśmy w Europie ostatnie miejsce ze wskaźnikiem 0,03751 przy średniej

unijnej 0,517441. Liderem jest Szwajcaria ze wskaźnikiem 1. Jeśli chodzi o ilość nowych doktoratów na 1000 mieszkańców w wieku 25 – 34 lata osiągnęliśmy wskaźnik 0,14401 co dało nam 33 miejsce. Uplasowaliśmy się za Macedonią a przed Cyprem, Turcją i Maltą. Średnia UE to 0,55357. Liderami są Szwajcaria, Słowenia i Dania, każdy z tych krajów osiągnął wskaźnik 1. Pod względem naukowych publikacji w ramach międzynarodowej współpracy nasz wskaźnik to 0,11944 i 30 lokata w Europie, średnia UE – 0,23914, lider Szwajcaria – 1, ostatnia Ukraina – 0,00827. Nic zatem dziwnego że dzieła naszych geniuszy rzadko są cytowane. W kategorii publikacje naukowe wśród 10% najczęściej cytowanych mamy 28 miejsce na naszym kontynencie i wskaźnik do indeksu sumarycznego 0,2172 gdzie średnia unijna to 0,64152. Pierwsza Szwajcaria – 1, ostatnia Ukraina – 0,07013.

Boom w kształceniu na szczeblu wyższym w Polsce po 1989 r. ukierunkowany był na specjalistów zarządzania i marketingu, co było w ówczesnych warunkach w pełni uzasadnione dotkliwym brakiem tych specjalistów o zasadniczym znaczeniu dla funkcjonowania gospodarki rynkowej. Niezwykle negatywne zaś było to, że kierunki techniczne i związane z przemysłem studiowało u nas znacznie mniej studentów niż średnio w krajach Unii Europejskiej. Tymczasem to właśnie specjaliści nauk przyrodniczych i politechnicznych (*science and engineering*) odgrywają kluczową rolę w rozwoju procesów innowacyjnych i gospodarki opartej na wiedzy. W połączeniu ze słabą sprawnością matematyczną absolwentów daje to taki efekt, że w kraju trudno znaleźć kompetentnego inżyniera a pracodawcy narzekają, że nowo przyjętego przez pół roku trzeba szkolić, aby był w stanie wykonywać swoje obowiązki. Nawet jeśli absolwent był zdolny miał trudności ze znalezieniem odpowiedniej pracy w krajowym przemyśle. Zdecydowała o tym likwidacja w okresie transformacji znacznej części najbardziej nowoczesnych przemysłów wysokiej techniki pod wpływem zagranicznej konkurencji. Zrodziło to, mimo niewielkiej liczby i niskiego poziomu kształcenia, groźne w swej skali zjawisko asymetrii pomiędzy liczbą kształconych a możliwościami ich zatrudnienia w krajowym przemyśle.

Oprócz tego, że nasz system edukacji jak do tej pory nie generuje wystarczającej ilości mózgów, to kraj nasz, z tej niewielkiej ilości jaką udało się wykształcić, jest systematycznie drenowany przez silniejszych gospodarczo part-

nerów. Znaczenie mają tutaj warunki finansowe, ale nie tylko o nie chodzi. Młody, zdolny, wykształcony człowiek, nie znajduje w polskiej gospodarce takich możliwości rozwoju swoich uzdolnień, jakie oferują mu firmy obce. W przypadku większości z tych, którzy mimo wszystko zostają, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że nie osiągną oni takiego poziomu zawodowego, jaki mogliby osiągnąć, gdyby funkcjonowali w gospodarce wysokorozwiniętej. W rezultacie znaczna liczba tych najcenniejszych specjalistów, zwłaszcza biotechnologów, pracuje zagranicą a nie w kraju. Równocześnie należy podkreślić, że większość specjalistów, którzy opuścili nasz kraj, uzyskała wykształcenie na uczelniach publicznych, finansowanych z kieszeni polskiego podatnika. Problem jakiejś formy rekompensaty za poniesione nakłady społeczne nie został jednak u nas jak dotychczas rozwiązany w przeciwieństwie do szeregu innych krajów w Europie, co stwarza dodatkowe bodźce do dopływu zagranicę. Z drugiej jednak strony, jeśli gospodarka krajowa nie jest w stanie oferować pracy adekwatnej do rodzaju i poziomu wykształcenia oraz uzdolnień, wprowadzenie takiej rekompensaty nie byłoby do końca fair. Nie rozwiązano w polskim systemie edukacyjnym także problemu o kluczowym znaczeniu dla działalności innowacyjnej, a mianowicie selekcji talentów i szczególnie uzdolnionej młodzieży. Zawodzi, bądź go w ogóle nie ma, system wczesnego rozpoznawania talentów i promowania ich kariery zawodowej i naukowej. W rezultacie liczba doktorów, pracujących w naszej gospodarce, jest bardzo niska w stosunku do potrzeb. Skoro zatem nie mamy głów, nie może stanowić zaskoczenia fakt, że nasz wskaźnik dotyczący zatrudnienia w działaniach opartych na wiedzy w roku 2015 wyniósł 0,31138 co dało nam 31 lokatę w Europie. Wyprowadziliśmy tylko Bułgarię, Litwę, Macedonię i Turcję.

Kolejną istotną kwestią jest także to, jak w III RP byli wychowywani młodzi ludzie. Pewien wgląd w tę problematykę dają badanie CIVED (*Civic Education Study*) przeprowadzone w latach 1999–2000 i badanie ICCS (*International Civic and Citizenship Education Study*) z 2009 r. W badaniu CIVED pod względem wiedzy obywatelskiej polscy czternastolatki osiągnęli najlepszy wynik spośród 28 badanych krajów. Zbliżony osiągnęli uczniowie z Finlandii, Cypru, Grecji, Hong Kongu i Stanów Zjednoczonych. Jednak jeśli chodzi o działanie, uczestnictwo, zaangażowanie w sferze publicznej uplasowali się na

ostatnim miejscu. Nie deklarowali przynależności do organizacji ani nie braли udziału w niesformalizowanych formach aktywności społecznej. Badaniem ICCS objęto 38 krajów jednak brak w nim kilku znaczących, w tym Stanów Zjednoczonych i Niemiec, osłabia porównywalność tych wyników z wynikami badania CIVED. Wykazało ono poprawę zaangażowania ówczesnych polskich uczniów w sprawy publiczne. Co ciekawe zaangażowanie to nie przejawiało się w aktywności politycznej, lecz głównie w działalności na rzecz ochrony środowiska naturalnego i w akcjach charytatywnych. Spadł natomiast znacząco, bo aż o 41 pkt, wynik w zakresie wiedzy obywatelskiej.

Cały czas musimy pamiętać, że jeżeli nie wpoi się młodym ludziom podstawowych zasad moralnych, to nawet jeśli zostaną wyposażeni w wiedzę i umiejętności na wysokim poziomie, nie stworzą nowoczesnej gospodarki. Na przykład wysokiej klasy specjalista od budowy dróg, nie zbuduje dobrej drogi, gdyż nad jej jakością przedłoży zysk osobisty osiągnięty np. z kradzieży kruszywa dolomitowego, zastępując ten materiał gorszym. Od ponad dwudziestu lat nasza młodzież wychowuje się w kraju, w którym obowiązuje hasło *pierwszy milion trzeba ukraść*, w którym otwarta pogarda dla własności wspólnej i ukryta dla własności prywatnej wyznacza standardy postępowania klasy rządzącej. Jak wykazuje doświadczenie wielu krajów, które osiągnęły sukces w procesie modernizacji, kapitalne znaczenie ma przywiązanie do wartości narodowych. Tylko taka postawa duchowa pobudza do aktywności na rzecz własnego narodu i państwa. Kosmopolityczny liberalizm, który na wszelkie sposoby wpaja się naszej młodzieży od początku istnienia III RP, narodowi i państwu do niczego nie jest potrzebny. Ludzie o takich przekonaniach nie czują emocjonalnej i duchowej więzi z ojczyzną i rodakami, w praktyce kierując się zasadą *ibi patria ubi bene*. Jedynym ich *bene* są pieniądze i za te zawsze będą gotowi służyć obcym interesom.

Podsumowując, pokolenie które właśnie teraz wchodzi w dorosłe życie bądź dopiero co w nie weszło nie zostało wyposażone w kompetencje intelektualne i kwalifikacje moralne wystarczające do tworzenia społeczeństwa zdolnego do zwycięskiej rywalizacji w istotnych cywilizacyjnie obszarach. A przecież właśnie to pokolenie będzie decydowało o Polsce w perspektywie najbliższych 20 – 30 lat. Od początku transformacji było oczywiste, że trzydziesto kilku milionowy

kraj położony w środku Europy, startujący z niskiego pułapu, ale przecież nie najniższego, może zająć znaczącą pozycję w świecie tylko dzięki najwyższemu poziomowi merytorycznemu i moralnemu swoich obywateli. Poziom taki osiąga się w drodze szeroko rozumianej edukacji. Od początku zatem powinniśmy robić wszystko aby w tej dziedzinie uzyskać światowy prymat. Tymczasem po 27 latach transformacji otrąbia się sukces jeśli w takim czy innym badaniu kompetencji przekraczamy średnią.

Nie tylko młodzież

W 2011 r. zrealizowano badanie PIAAC (*Program for the International Assessment of Adult Competencies*) oceny kompetencji osób dorosłych. Objęto nim reprezentatywną grupę osób w przedziale wiekowym od 16 do 65 roku życia z 24 krajów. Dokonano pomiaru trzech kompetencji: rozumienia tekstu, rozumowania matematycznego oraz wykorzystywania technologii informacyjno-komunikacyjnych (TIK). Kompetencje te uważane są za niezbędne do funkcjonowania we współczesnym świecie, ponieważ umożliwiają odbiór, zrozumienie, przetwarzanie i wykorzystywanie informacji w warunkach gospodarki wolnorynkowej. Wysoki poziom tych kompetencji pozwala na pełne uczestnictwo w rynku pracy i edukacji oraz w życiu społecznym i obywatelskim. Jednocześnie definiowane są one jako kompetencje kluczowe, tj. warunkujące nabywanie nowej wiedzy, nowych umiejętności i kwalifikacji. Ich poziom świadczy o jakości kapitału ludzkiego, potencjale gospodarczym oraz spójności społecznej.

Jeśli chodzi o rozumienie tekstu i rozumowanie matematyczne najlepsze wyniki osiągnęli Japończycy, Finowie i Holendrzy. Powyżej średniej plasowali się także Szwedzi, Norwegowie, Estończycy i Belgowie. Najslabsze wyniki osiągnęli Włosi i Hiszpanie. Różnice między średnimi wynikami poszczególnych krajów były jednak niewielkie. W przypadku Polski umiejętności osób z wykształceniem średnim i zasadniczym zawodowym najbardziej odbiegały od średniej OECD dla odpowiadających im grup wykształcenia. Biorąc pod uwagę cały przedział wiekowy i wykształcenia nasz wynik w dziedzinie rozumienia tekstu okazał się o 6 pkt niższy od średniej. Gorszy wynik uzyskały tylko Włochy, Hiszpania i Francja a porównywalny z naszym Irlandia. W dzie-

dzinie rozumowania matematycznego do średniej brakowało nam 9 pkt. Nasz przeciętny poziom był zbliżony do brytyjskiego i lepszy od irlandzkiego, francuskiego, obywateli Stanów Zjednoczonych, włoskiego i hiszpańskiego.

Bardziej interesujące było zróżnicowanie wewnątrz krajów. Kraje o niewielkim zróżnicowaniu wyników to Czechy, Słowacja, Korea Płd., Cypr, Austria i Estonia. Kraje, w których zaobserwowano względnie duże odsetki o wysokim poziomie umiejętności ale jednocześnie duże odsetki osób o niskim to Kanada, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Niemcy i Australia. Wynik Polski charakteryzował się przede wszystkim dużym udziałem osób o niskim poziomie umiejętności. Jeśli chodzi o rozumienie tekstu prawie jedna piąta populacji dorosłych była na poziomie 1 (wg metodologii PIAAC bardzo niski poziom umiejętności) i poniżej. To wyraźnie większy odsetek niż przeciętnie w krajach OECD. Jednocześnie grupa osób na poziomie 4 i 5 (najwyższe poziomy wg metodologii PIAAC) była u nas relatywnie mniej liczna. Należy jednak zaznaczyć, że w porównaniu z badaniami IALS (*International Adult Literacy Survey*) z 1994 r. zanotowaliśmy i tak widoczny postęp we wszystkich grupach wiekowych.

Warto też podkreślić, że wyniki osób młodych, 16 – 24 lata, były wyższe niż przeciętne wyniki wszystkich osób dorosłych i chociaż prawidłowość tę obserwowano we wszystkich krajach OECD, to w Polsce różnice między generacjami okazały się jednymi z większych. W zakresie rozumienia tekstu i rozumowania matematycznego wyniki młodych Polaków były zbliżone do średniej OECD. Również wykorzystywanie TIK plasowało osoby młode znacznie wyżej niż osoby starsze. Przeciętny poziom umiejętności osób starszych z kolei znacząco odbiegał u nas od przeciętnego poziomu osób starszych w krajach które stanowią czołówkę. Badanie wskazało także na nasze relatywnie niskie umiejętności cyfrowe oraz na niskie zaangażowanie dorosłych Polaków w rozwój kompetencji. Jako ciekawostkę można podać, że w zakresie rozumienia tekstu nasze panie wyprzedziły naszych panów o 6 pkt zaś w zakresie rozumowania matematycznego osiągnęły zbliżony wynik, podczas gdy w większości krajów to mężczyźni mają przewagę.

Z powyższego wyraźnie widać, że nasz faktyczny status proletariackiej masy etnicznej w ramach międzynarodowego podziału pracy jest skorelowany z ak-

tualnym poziomem naszych kompetencji. Tak „wyedukowane” społeczeństwo nie ma szans na stworzenie nowoczesnej gospodarki opartej na wiedzy. Pozostaje wiązać nadzieje z młodymi pokoleniami, które dopiero za jakiś czas zaczną wchodzić w dorosłe życie. Ażeby jednak nadzieje te nie okazały się płonne, podniesienie poziomu edukacji musi być głównym strategicznym celem wokół którego koncentruje się energia wszystkich patriotycznych środowisk, sił społecznych i politycznych. Pod warunkiem oczywiście, że energia ta nie okaże się energią niszczącą.

Biednyś boś głupi, głupiś boś biedny.

Już w połowie lat 1960-tych dochód takiego koncernu jak Genral Motors kształtował się na poziomie 20,7 mld dolarów rocznie. Dochód brutto tego koncernu, podobnie jak np. Standard Oil of New Jersey czy Ford Motor Company, każdej z tych trzech firm osobno, był dużo wyższy niż któregośkolwiek z 49 stanów. W drugiej połowie lat 1960-tych szacowano, że w Republice Federalnej Niemiec właścicielami kapitału rządu 100 – 200 mld DM jest grupa 44 osób. W 2009 r. przychody firmy MAN wynosiły ok. 15 mld euro. Na tym tle przychody np. Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. – narodowego koncernu przemysłu obronnego, sięgające nieco poniżej 1,16 mld euro, wyglądają nader skromnie.

W latach 1980-tych koszt zaprojektowania, badania i uruchomienia produkcji nowego modelu samochodu kształtował się na poziomie 1 mld dolarów. Jeśli miał to być model tak opracowany, aby dawał się produkować i sprzedawać na całym świecie, koszt ten dochodził do 2 mld. W tym czasie przemysł samochodowy w USA wydawał na B+R od 3 do 4% wartości sprzedaży tj. ok. 110 mld dolarów. Współcześnie Toyota, światowy potentat w dziedzinie B+R, przeznacza na badania ok. 7 mld USD rocznie. Według firm farmaceutycznych koszt opracowania i wprowadzenia na rynek lekařstwa lub szczepionki kształtuje się na poziomie ok. 100 milionów dolarów. Największe na świecie wydają na same badania naukowe tyle, ile wynoszą przychody ze sprzedaży całego polskiego przemysłu farmaceutycznego.

Ta garść przykładów z dawniejszych i nowszych czasów uzmysławia, że funkcjonujemy w świecie wielkich liczb i że świat takim był już od dawna.

My oczywiście jesteśmy specjalistami od liczb małych, także w zakresie kwot przeznaczanych na innowacyjność. W takiej sytuacji firma polska nie jest w stanie wprowadzać na rynek nowych produktów tak często, jak firma obca, dysponująca ogromnymi środkami. Pod względem wydatków na B+R liczonych jako % PKB znajdujemy się w końcówce Europy i cały czas do średniej jest nam daleko. Jest to u nas tendencja trwała. W 2006 roku, ostatnim przed napływem funduszy z budżetu UE na lata 2007 – 2013, polska wydawała na badania i wdrożenia 0,89% PKB. Był to wskaźnik ponad dwukrotnie mniejszy niż w całej Unii. Wskaźnik ten zamiast szybko rosnąć w 2013 r. spadł do 0,87%. Przodowali Szwedzi, Finowie, Niemcy, Austriacy i Duńczycy. Z „naszej ligi” Czesi i Węgrzy kierowali na badania i rozwój ok. dwa razy więcej od nas. Rósł także udział nakładów na B+R w krajach rozwijających się, szczególnie w Chinach. Świat nam ucieka w szybkim tempie. Wprawdzie w 2012 r. wśród polskich przedsiębiorstw innowacyjnych zanotowaliśmy wzrost nakładów na innowacje do 1 mln euro na firmę z poziomu 785 tys. euro w 2010 r., co pozwoliło nam się zbliżyć do średniej UE – 1,15 mln euro, ale należy pamiętać, że w tym czasie odsetek firm innowacyjnych spadł u nas o 5%. Natomiast dane GUS z 2013 r. wskazały na spadek wydatków na innowacje w przemyśle o 2,7% w stosunku do 2012 r. zaś w usługach aż o 21 %. W badaniu SII w 2015 r. jeśli chodzi o publiczne wydatki na B+R osiągnęliśmy wskaźnik 0,39729 przy średniej unijnej 0,65229 i liderze Szwajcarii – 1, co dało nam 25 miejsce w Europie. Pod względem wydatków biznesu na B+R zajęliśmy 26 lokatę ze wskaźnikiem 0,16361 przy średniej UE 0,5029. Najwyższy wskaźnik - 1 zanotował przewodzący europejskiej stawce w tej kategorii Izrael.

Odmierna niż w większości krajów europejskich jest w Polsce także struktura wydatków. Około 60 % to wydatki państwowe. Podobnie jak ma to miejsce w Grecji czy Portugalii, które i tak nas wyprzedzają pod względem innowacyjności. Badania prowadzą instytucje państwowe, a nie firmy. Ze środków państwowych duża część idzie na badania podstawowe. Konsekwencją jest słaba aplikacja nowoczesnych rozwiązań do procesu wytwórczego. W większości krajów europejskich te stosunki kształtują się dokładnie odwrotnie. Struktura finansowania B+R w Polsce nie spełnia zatem założeń Strategii Lizbońskiej zgodnie z którymi 2/3 nakładów na tę dziedzinę powinno pochodzić z sektora prywatnego.

Nakłady na innowacje działających w Polsce firm z większościowym udziałem kapitału zagranicznego nie różnią się specjalnie od nakładów firm krajowych. Od początku wieku do 2006 r. wydatki przedsiębiorstw na innowacyjność wzrosły u nas z ok. 11,5 do 16,5 mld złotych rocznie. Wzrosła też liczba firm angażujących się w innowacyjne projekty, od podstaw budujących struktury naukowo-produkcyjne i usługowe, inwestujących w badania, sięgających aktywnie po środki publiczne, także z UE, prowadzących własne laboratoria, tworzących platformy komunikacji z ośrodkami badawczymi i akademickimi, posiadających długookresowe strategie i osiągających znaczne sukcesy w skali międzynarodowej. Należy jednak pamiętać o tym, że ten stosunkowo duży wzrost nastąpił z niskiego poziomu wyjściowego. Zaś liczony jako procent przychodów firm ze sprzedaży udział ich nakładów na badania naukowe nawet się w tym czasie nieznacznie zmniejszył. Dane na temat Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka potwierdzają, że jeśli już firmy w Polsce zajmują się innowacjami, to rzeczywiście im to wychodzi. Ich wyniki po realizacji projektu i w okresie jego trwałości są bardzo dobre, zarówno jeśli chodzi o wzrost wprowadzanych innowacji po zakończeniu projektu jak i rozwój działów B+R czy nawet wzrost zatrudnienia. Jednak po innowacyjne projekty w POIG sięgały firmy, które już w swojej historii miały styczność z innowacjami i ta grupa jest w dalszym ciągu niewielka. Nakłady inwestycyjne w środki trwałe wciąż dominują w naszych przedsiębiorstwach nad nakładami na B+R. Również udział środków z zagranicy jest u nas mniejszy niż w UE. Jeśli chodzi o poziom innowacyjności t.zw. mikrofirm, nie jest on objęty statystyką publiczną. Trudno też uchwytne są dane dotyczące środków na B+R jakie przeznaczają koncerny międzynarodowe w poszczególnych krajach. Nie publikują one bowiem takich informacji tylko podają sumę zbiorczą. Niektóre firmy europejskie, działające w skali globalnej, są w stanie przegonić wskaźniki makroekonomiczne macierzystego kraju. Nie ulega wątpliwości, że centra badawcze tego rodzaju firm odgrywają i będą odgrywać coraz większą rolę w gospodarce Polski.

Ta grupa firm innowacyjnych, jaka się w Polsce pojawiła, nazbyt często nie potrafi przebić się ze swoimi innowacyjnymi projektami przez bariery finansowe. Słabość kapitałowa naszych przedsiębiorców jest jedną z istotnych przyczyn ich „niechęci” do inwestowania w innowacje, szczególnie odnoszące się do

produktu. Jest to bowiem najbardziej ryzykowny typ inwestycji. Dokonując jej trudno mieć pewność, czy nowy produkt osiągnie sukces rynkowy. W przypadku firmy dysponującej dużymi środkami ryzyko jest mniejsze z uwagi na to, że zaangażowanie odpowiednich funduszy zwiększa prawdopodobieństwo trafienia z innowacją zaś ewentualne straty z nietrafionej są w stosunku do wielkości środków jakimi dysponuje firma procentowo mniejsze. Ponadto firma taka ma możliwość inwestycji w kolejne innowacje z których ileś przyniesie zysk i straty te zostaną odrobione. Dla polskiego przedsiębiorcy ryzyko jest daleko większe i w sposób naturalny broni się przed nim. Z drugiej strony wymogi rynku zmuszają go do innowacji. Poszukuje zatem rozwiązań najmniej ryzykownych a więc najmniej kosztownych. Stara się konkurować na rynku nie jakością czy nowoczesnością produktu lecz jego niską ceną. Inwestuje więc w innowacje odnoszące się do procesu wytwórczego w celu obniżenia jego kosztów. Z tych najmniej kapitałochłonne jest utrzymywanie na niskim poziomie płac bądź ich realne obniżanie lub zwiększanie obciążeń pracowników poprzez faktyczne zwiększanie czasu pracy bez pieniężnego ekwiwalentu z tego tytułu. Czas pracy jest jednym z elementów jej organizacji. Jednak innowacyjność organizacyjna nie polega na jego prostym zwiększeniu. Tego rodzaju metoda z reguły nie prowadzi do podniesienia jakości czy klasy produktu w tempie wyznaczanym przez wymogi współczesnej rywalizacji gospodarczej. Wydatkowanie przez pracownika więcej energii niż jest to określone z perspektywy osiągnięcia przez organizm ludzki optimum wydajności powoduje, że w ostatecznym rozrachunku jest on mniej efektywny, pracuje gorzej i wolniej. Przy takim zwiększaniu nakładów pracy produkcja, od pewnego momentu rośnie coraz wolniej, przyrosty produkcji o kolejne jednostki są coraz mniejsze a jej maksimum znajduje się na niskim poziomie. Z innowacją w zakresie organizacji pracy mamy do czynienia wtedy, kiedy w wyniku jej zastosowania pracownik jest w stanie wykonać więcej w jednostce czasu przy mniejszym wydatku energetycznym. Proste natężenie eksploatacji siły roboczej, metoda głównie stosowana przez zarządców folwarków, nie ma nic wspólnego z innowacyjnością. Część przedsiębiorstw w Polsce dotarła już do granicy swoich możliwości rozwojowych w dotychczasowym kształcie i niektórzy pracodawcy stopniowo uświadamiają sobie, że dalsze obniżanie kosztów w taki sposób nie przyniesie oczekiwanych

efektów a wręcz pogorszy sytuację firmy. Jednak jeszcze zbyt wielu nie rozumie tej prostej i oczywistej prawdy. Jako że przedsiębiorca taki nie nadąża za wymogami jakości musi dalej „uatrakcyjnić” swój produkt poprzez dalsze obniżanie kosztów itd. Chyba, że znajdzie sposób na skuteczne innowacje produktu przy małych nakładach co pozwoli mu wyrwać się z tej spirali.

Ze słabością polskiego kapitału idzie zatem w parze słabość polskiej pracy. Co jakiś czas w mediach pojawiają się informacje, że Polacy są jedną z najwięcej pracujących nacji europejskich. Jednak o sile pracy decyduje jej wydajność. A pod tym względem osiągamy poziom znacznie niższy niż na Zachodzie. Na jeszcze niższym poziomie utrzymują się płace. Jednym z kluczowych elementów polityki prorozwojowej jest zawsze tworzenie warunków dla jak najbardziej racjonalnego zagospodarowania i powiększania kapitału ludzkiego. W kraju rozporządzającym dość dużymi zasobami taniej siły roboczej istnieje naturalna tendencja do maksymalnego wykorzystywania jej taniości i osiągania zysków przez maksymalizację jej eksploatacji. Taka tendencja występuje w Polsce. Tymczasem jest to najlepsza droga do utrwalenia i pogłębienia dystansu. Nie chodzi o to, żeby człowieka zmęczyć, ale o to, żeby jego wysiłek dał optymalny efekt. O efektywności zaś decyduje przede wszystkim organizacja i praca coraz nowocześniejszego i wydajnego sprzętu. Kraje nadganiające, słabe kapitałowo, muszą znaleźć sposób na uruchomienie i zastosowanie najnowocześniejszych technik które z kolei są najbardziej kapitałochłonne. Aby zmniejszyć koszty trzeba gospodarkę kapitałem ludzkim podnieść na najwyższy poziom. Ponadto nie da się osiągnąć wysokiej wydajności bez ścisłej zależności między ilością i jakością włożonej pracy a korzyściami i pozycją w społeczeństwie. Tymczasem u nas taka zależność jest bardzo słaba. Z badań OECD wynika, że wskaźniki związane z innowacyjnością i wiedzą są wszędzie na świecie silnie skorelowane z poziomem dobrobytu. Z drugiej strony wzrost dobrobytu jest pochodną poziomu innowacyjności i wiedzy. Trudno jest skokowo zwiększyć nakłady na B+R bez większej zamożności a zarazem trudno tę zamożność osiągnąć bez większych nakładów na wiedzę. Bieda ma także swoje konsekwencje kulturowe które stanowią kolejną barierę. Nie oznacza to jednak, że sytuacja jest bez wyjścia. Kraje takie jak Finlandia czy Korea Płd. startowały także z niskiego poziomu zamożności. Jednak dokonały skokowego postępu i w ciągu 10–15 lat zameldowały się w gronie krajów najwyżej rozwiniętych.

O ile coraz więcej ludzi w Polsce zaczyna sobie uświadamiać, że bazując tylko na taniości siły roboczej i imitowaniu technologii, nie będziemy się dalej rozwijać, o tyle świadomość tego, że samo zwiększanie nakładów na B+R też nie załatwi wszystkiego, jest już mniejsza. Ograniczenie się do tego rodzaju aktywności nie przełoży się na rynkowe produkty i usługi. Jak trafnie zauważają autorzy Raportu PARP z 2015 r. *Innowacyjna przedsiębiorczość w Polsce. Odkryty i ukryty potencjał polskiej innowacyjności*, ***Kluczem i ogromnym wyzwaniem dla obecnej polityki rozwojowej jest przemodelowanie obecnego paradygmatu rozwojowego w kierunku dużych cywilizacyjnych projektów, angażujących partnerów z wielu stron i przede wszystkim odpowiadających na identyfikowane potrzeby społeczne.***

Instytucjonalne i finansowe uwarunkowania innowacyjności

Rewolucja przemysłowa w Anglii rozpoczęła się od branży bawełnianej stanowiącej, w porównaniu z sukiennictwem, stosunkowo nową gałąź wytwórczości. Dziedzina ta, nie zorganizowana w cechy i nie podlegająca reglamentacji rządowej, była szczególnie narażona na konkurencję zagraniczną, zwłaszcza ze strony masowo importowanych tkanin indyjskich. Dlatego też w tym przemyśle bardzo ostro dała się odczuć potrzeba wynalazków technicznych w interesie produkcji własnej. Pierwszego udoskonalenia dokonał w 1733 r. mechanik John Kay wynajdując tzw. latające czółenka które podwoiło tempo pracy tkacza. Innowacja ta upowszechniła się dopiero po ok. dwudziestu latach. W rezultacie jej upowszechnienia przędzalnicy nie mogli nadążyć z produkcją przędzy. Zapotrzebowanie na nią skłoniło przedsiębiorców angielskich do poszukiwania udoskonaleń technicznych również w przędzalnictwie. W związku z tym Brytyjskie Towarzystwo Popierania Sztuk i Przemysłu wydało w 1761 r. specjalna odezwę, w której obiecywało nagrodę za wynalezienie mechanicznej maszyny przędzalniczej. W odpowiedzi na tę odezwę tkacz i cieśla James Hargreaves skonstruował mechaniczną przędzarkę, którą nazwał od imienia swej córki „spinning Jenny”. Za pomocą tej maszyny można było pracować równocześnie na osiemnastu wrzecionach, co stanowiło ogromny skok w rozwoju produkcji przędzalniczej. Prawa Hargreavesa do wynalazku zostały zabezpieczone patentem z 1769 r.

Na podstawie tego przykładu z początków przemysłu fabrycznego, można

wskazać czynniki sprzyjające innowacyjności wśród których należy wyodrębnić podstawowe i wspomagające:

1) podstawowe:

- a) rozwój nowej gałęzi wytwórczości; właśnie nowe branże są z reguły najbardziej innowacyjnogenne, gdyż duże zapotrzebowanie na nowe, wcześniej nie istniejące produkty, pobudza rozwój wytwórczości najsilniej a ponadto dziedziny te rozpoczynają dopiero historię rozwoju właściwych im technik wytwarzania i nie są jeszcze krępowane organizacyjnymi i technicznymi dogmatami w takim stopniu jak dziedziny stare;
- b) silna konkurencja wymuszająca potrzebę udoskonaleń; brak konkurencji sprzyja stagnacji gdyż wygodniej jest funkcjonować wg starych, znanych schematów niż trudzić się nad poszukiwaniem i wdrażaniem nowych rozwiązań;
- c) istnienie produkcji własnej i wynikających z tego własnych interesów; aktywność intelektualna na rzecz produkcji i interesów obcych jest bardzo słaba i w zasadzie ma miejsce tylko w szczególnych okolicznościach;

2) wspomagające:

- a) istnienie instytucji (w tym wypadku to Brytyjskie Towarzystwo Popierania Sztuk i Przemysłu) tj. organizacji osób wyposażonych w zasoby, działającej dla realizacji określonego celu, tutaj wspierania innowacyjności, i posługującej się zasobami, w tym wypadku środkami finansowymi, dla osiągnięcia celu;
- b) zapewnienie bezpośrednich korzyści, zwłaszcza finansowych, i zabezpieczenie praw rzeczywistemu twórcy innowacji; bez nich tego rodzaju aktywnością mogą zajmować się tylko entuzjaści – amatorzy a to zbyt mały potencjał z perspektywy potrzeb gospodarki.

W krajach czołówki innowacyjne przedsiębiorstwa od dawna mogły liczyć na pomoc państwa. Dla gospodarki jest bowiem korzystne ratowanie firmy, która nawet jeśli zanotowała kosztowną wpadkę, rokuje nadzieje na przyszłość. Kiedy np. firma Toyo Kogyo poniosła straty w wysokości 55 mln dolarów w związku z nieudanymi pracami nad silnikiem Wankla, uzyskała pomoc japońskich władz i banku Sumiti. Dzięki temu przetrwała kryzys a w pierwszej połowie lat 80-ych notowała wzrost sprzedaży na poziomie 13% rocznie. Cza-

sami zdarza się, że innowacja która początkowo wydaje się nietrafiona, później może okazać się rewolucyjnym hitem. Kiedy naukowcy z Bell Labs, placówki badawczej będącej oddziałem Bell Telephone Company, opracowali swój największy wynalazek – tranzystor, uznano, że ta technologia nie odegra większej roli ani w telekomunikacji, ani w innych dziedzinach. Oferowano ją zatem wszystkim chętnym za 25 tys. dolarów. Niebawem okazało się, że stała się ona podstawą nowej gałęzi przemysłu – elektroniki użytkowej.

Te dwa historyczne przykłady pokazują, że innowacyjności nie można ujmować w reguły oparte na wąsko rozumianej kalkulacji strat i zysków. Warto też pamiętać, że każda nietrafiona innowacja przyczynia się do powstania trafionej. Poprzez bowiem eliminację kolejnych fałszywych tropów zawęża się zbiór kierunków poszukiwań przez co zwiększa się prawdopodobieństwo znalezienia właściwego rozwiązania. Dlatego też ta sfera aktywności gospodarczej wymaga elastycznego podejścia przejawiającego się w tworzeniu uwarunkowań instytucjonalnych i finansowych uwzględniających szerszą perspektywę i dłuższy horyzont czasowy. Istotne jest także budowanie kontekstu kulturowego, w którym poszukiwanie nowych rozwiązań będzie wartością samą w sobie, niejako autonomiczną wobec liczonego w pieniądzu bezpośredniego zysku.

Jak wiadomo, nakłady na naukę i innowacje nie mają charakteru liniowego. Oznacza to, że ich wzrost nie zawsze skutkuje odpowiednim wzrostem efektów. To sprawia, że działalność innowacyjna jest zawsze związana z wysokim stopniem ryzyka. Dlatego też bez chociażby częściowego zabezpieczenia przed tym ryzykiem nie można zapewnić intensyfikacji działalności innowacyjnej. Dotyczy to zwłaszcza inwestorów prywatnych, którzy ryzykują własnym majątkiem. W krajach wysoko rozwiniętych pojawił się nawet nurt myśli ekonomicznej zwany ekonomią innowacji. Impulsem dla jego powstania było wejście w życie w 1994 r. układu NAFTA, na mocy którego utworzono strefę wolnego handlu, obejmującą Kanadę, Meksyk i Stany Zjednoczone. Liberalizacja odnosiła się również do przepływu usług profesjonalnych ale nie przyniosło to spodziewanych efektów. Ekonomia innowacji miała dociec przyczyn porażki w tym zakresie. Uznaje ona, że czynnikami produkcji w gospodarce innowacyjnej są kapitał społeczny, kapitał twórczy, kapitał intelektualny i przedsiębiorcy. Innowacja jest przyrostem wiedzy w odniesieniu do czasu, w którym ów przyrost

się dokonuje. Zależność funkcyjna między innowacją a czasem uwzględnia zarówno sam przyrost jak i jego tempo (funkcja dwukrotnie różniczkowalna). Zasób wiedzy przybiera zatem postać podobną do instrumentu finansowego gdzie można sprawdzać efekty jego wykorzystania. Takie podejście pozwala badać prawdopodobieństwo występowania efektów poszczególnych komponentów wiedzy w procesie jej użytkowania. W ten sposób dokonuje się rynkowa alokacja wiedzy. Przedsiębiorcy mogą wybierać optymalny zestaw komponentów wiedzy, kierując się jej przewidywaną efektywnością i ceną jej nabycia. Dysponując narzędziem prognozowania efektywności wiedzy, można kierować fundusze finansowe na te prace badawczo rozwojowe, które z największym prawdopodobieństwem przyniosą najlepszy rezultat.

W świecie cywilizowanym także instytucje studialno – konsultungowe, takie jak np. Rand Corporation w USA, odgrywają w gospodarce doniosłą rolę. Doradzają nowe rozwiązania od szczebla rządu aż do szczebla firm. Stanowią motor napędzający procesy innowacyjne.

Jak wynika z badań Instytutu Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk otoczenie instytucjonalne i instrumenty polityki proinnowacyjnej w naszym kraju nie spełniają oczekiwań przedsiębiorstw. Przygotowanie projektów utrudnione jest przez liczne niedogodności i bariery biurokratyczne oraz znaczne koszty. Alokacja funduszy publicznych i prywatnych nie jest zorientowana na zindywidualizowane potrzeby najbardziej innowacyjnych firm. Można odnieść wrażenie, że ekonomia innowacji pozostaje u nas dziedziną głęboko nieznaną. Polityka proinnowacyjna jest postrzegana jako niespójna i nie uwzględniająca dynamiki dokonujących się przemian. Obserwuje się także niezdolność wykorzystania mechanizmów mnożnikowych, wynikających z wykorzystania działań dużych koncernów. W Polsce funkcjonuje sporo centrów usługowych Business Process Outsourcing wśród których są także centra badawczo-rozwojowe. Ich działania nie są jednak do końca rozpoznane. Dotyczy to także nakładów. Nie wszystkie wydatki na ten cel są odpowiednio ewidencjonowane – zwłaszcza w małych i średnich przedsiębiorstwach. Prawie co czwarta spółka na GPW inwestuje w badania, brak jednak na ten temat danych kosztowych.

Barierą są również problemy z wdrożeniem już wypracowanej innowacji oraz jej rozpropagowaniem. Wiąże się to ze znacznymi kosztami. Jednak

w chwili obecnej polski system bankowy nie jest przygotowany na finansowanie innowacyjnych a co za tym idzie nierzadko ryzykownych przedsięwzięć. Decyduje o tym słabość oraz niedofinansowanie naszej nauki, ale także niechęć banków, zwłaszcza ich zagranicznych oddziałów działających w Polsce, do finansowania projektów miejscowych. Istotny wpływ na taki stan rzeczy ma także wyjątkowo słaby u nas rozwój kapitału ryzyka (*Venture capital*) który służy właśnie do finansowania ryzykownych projektów. Dostęp do niego jest u nas znacznie bardziej ograniczony niż w wielu krajach UE. Jeśli chodzi o tę kwestię nasz wskaźnik w pomiarze innowacyjności z 2015 r. wyniósł 0,1502. Jest ponad dwa razy mniejszy niż średnia UE – 0,32677 i blisko 5 razy mniej niż wskaźnik lidera w tej kategorii – Estonii (0,70845). W efekcie wiele wartościowych odkryć nie wychodzi poza laboratoria a często nawet poza umysły wynalazców. W ten sposób tracimy wymierne korzyści na rzecz tych, którzy dla swoich innowacji dysponują odpowiednimi narzędziami finansowo – organizacyjnymi.

Dość powszechnie uważa się, że droga do uzyskania patentu w Polsce jest wyjątkowo żmudna, trudna oraz kosztowna i nie zawsze zapewnia dostateczną jego ochronę. Długi czas niezbędny na realizację procedur powoduje, że w chwili uzyskania patentu warunki jego wdrożenia zmieniają się tak dalece, iż mają miejsce przypadki odstąpienia od jego realizacji. Sytuacja taka nie do końca jednak tłumaczy występujący w Polsce regres w tej dziedzinie, gdyż procedury w różnych krajach są bardzo zbliżone i tam nie stanowi to aż takiej przeszkody jak u nas. Równocześnie patentowanie zagranicą jest bardzo drogie. Na jego sfinansowanie stać tylko firmy bogate i bardzo silne. U nas zaś takich firm jest wyjątkowo mało. Większość z nich, to podmioty z udziałem kapitału zagranicznego. Te zaś swoje potrzeby patentowe zaspokajają w macierzystych krajach własnych central. Inną przyczyną jest to, że od ponad dwudziestu lat wyraźnie zmniejsza się znaczenie patentów indywidualnych na rzecz zespołowych a tutaj najlepsze wyniki osiągają wielkie korporacje. Natomiast polskie firmy, które przecież takimi korporacjami nie są, nie najlepiej sprawdzają się w działaniach zespołowych.

W latach sześćdziesiątych XX wieku zwrócono uwagę na popytowe stymulowanie procesu innowacyjności gospodarki. Jacob Schmookler utrzymywał,

że popyt rynkowy ma wpływ na ujawnianie się innowacji. Skłonność nabywców do zakupu produktów wynika z ich chęci, determinowanej preferencjami, oraz ich możliwości ekonomicznych, determinowanych siłą nabywczą. W kraju takim jak nasz chęć niewątpliwie istnieje. Siła nabywczą jest natomiast stosunkowo słaba co sprawia, że bariera popytowa ma znaczący wpływ na niski poziom innowacyjności. Dodatkowo negatywnie wpływają niekorzystne proporcje na naszym rynku wewnętrznym pomiędzy wyrobami wytworzonymi przez producentów krajowych a importowanymi. Im większa bowiem rola importu w zaspokajaniu popytu wewnętrznego, tym mniejsze zapotrzebowanie na innowacje własne. Tendencję pro importową wzmacnia jeszcze wysoki stopień ryzyka działalności innowacyjnej. Import wydaje się znacznie bezpieczniejszy niż opracowywanie i wdrażanie własnych nowych rozwiązań.

Wydaje się, że jeśli chcemy w masowej skali uruchomić krajowy potencjał kreatywności i innowacyjności, samo przemodelowanie istniejących schematów nie wystarczy. Niezbędne jest zaproponowanie nowego podejścia uwzględniającego nie tylko wyzwania czasu teraźniejszego ale także umożliwiającego antycypację wyzwań jakie będzie niosła ze sobą przyszłość.

Luka organizacyjna

Odpowiedzią na wyżej przywołane dramatyczne wystąpienie Harolda Wilsona z 1966 r. był referat Roberta S. MacNamary wygłoszony w lutym 1967 r. na seminarium naukowym w Jackson, w którym została sformułowana teza, że to, co Europejczycy nazywają *luką technologiczną*, jest tylko jednym z symptomów *luki organizacyjnej*, czyli opóźnienia w zakresie organizacji działalności, przede wszystkim gospodarczej, i zarządzania, które degraduje Europę w skali światowej.

Sama technologia, określająca uporządkowany zbiór operacji, wymusza działania zorganizowane. Im bardziej złożony produkt, im więcej spełnia funkcji, im doskonalszy, tym większy jest zbiór technik niezbędnych do zastosowania przy jego produkcji. Jego wykonanie wymaga stosowania rozległej wiedzy przy wytwarzaniu zarówno poszczególnych elementów jak i przy ich skomponowaniu w funkcjonalną całość. Jest chyba oczywiste, że w przypadku zdecydowanej większości nowoczesnych produktów, opieranie się na wiedzy jedne-

go człowieka jest niemożliwe. Rozwój cywilizacji technicznej wymusza zatem działania zorganizowane także w zakresie innowacyjności. Istotne rozwiązania coraz rzadziej są dziełem nawet genialnych, ale pracujących w odosobnieniu jednostek, lecz zespołów specjalistów realizujących długofalowe programy badawcze z myślą o osiągnięciu celów strategicznych dla poszczególnych dziedzin gospodarki. Co najmniej 80 – 90% nowych wyrobów jest wynikiem wynalazków i odkryć w nauce i ośrodkach B+R. Prace takie wymagają dużych nakładów i szerokiej kadry fachowców. Na Zachodzie uświadamiano to sobie od dawna. Już w 1869 r. Werner Siemens zatrudnił absolwentów najlepszych uniwersytetów do pracy w zespole badawczym z zakresu elektroniki, zwanej wówczas nauką niskich napięć, wychodząc z założenia, że jest to oddzielna, przyszłościowa dyscyplina, wykorzystująca sobie tylko właściwe technologie. Tym śladem podążyły wkrótce inne wielkie firmy i nowoczesne branże. Model ten obowiązywał jeszcze do niedawna. Obecnie produkt i proces wytwórczy kreuje się dokonując syntezy technologii właściwych różnym dziedzinom. Np. współczesny przemysł farmaceutyczny korzysta z technologii kojarzonych z genetyką, mikrobiologią, biologią molekularną czy elektroniką medyczną, a więc takich, których nie sposób wypracować w samym laboratorium chemicznym. Postęp w branży motoryzacyjnej zależy od informatyki i elektroniki a w hutnictwie od technologii związanych z materiałoznawstwem i fizyką ciała stałego. Macierzyste programy i instytucje badawcze już nie wystarczają. Firmy z danego sektora muszą nawiązywać współpracę z zewnętrznymi instytucjami, przejmować udziały w wyspecjalizowanych spółkach lub podpisywać umowy z wydziałami badawczymi różnych uczelni.

Jak wiadomo, nauka w Polsce jest wybitnie niedofinansowana. Oprócz tego, jest wręcz izolowana od gospodarki. W przeciwieństwie do szeregu krajów, jak Finlandia, Szwecja, Dania które w perfekcyjny sposób zgrały programy badawcze z potrzebami własnego przemysłu, w Polsce nie rozwiązano tego problemu a związek nauki z praktyką jest absolutnie niedostateczny. Brak zatem u nas konsorcjów naukowo przemysłowych funkcjonujących skutecznie w wielu krajach, m.in. USA, które odgrywają ważną rolę w zwiększaniu innowacyjności nie tylko gospodarki, ale i samej nauki. Należy do tego dodać brak strategicznej integracji różnych dyscyplin naukowych wokół centralnie

ustalonych priorytetów, co w zasadniczy sposób utrudnia realizację projektów innowacyjnych, wymagających współdziałania różnych dyscyplin i jest źródłem ich niedorozwoju. Ciągłe reorganizacje władz na szczeblu państwowym, odpowiedzialnych za stan techniki i działalność innowacyjną, prowadzą wręcz do chaosu w tej dziedzinie. Nie stworzono u nas takich organów jak ministerstwa technologii, które w wielu krajach okazały się bardzo skuteczne jeśli chodzi o koordynację programowania i wdrożeń nowych technologii. Dlatego też prace badawcze kończące się efektem wdrożeniowym są w Polsce niemal dwukrotnie mniejsze niż średnio w UE i trzykrotnie mniejsze niż w USA i Japonii. Warto w tym miejscu przytoczyć wskaźnik odnoszący się do ekonomicznego efektu aktywności innowacyjnej w zakresie zatrudnienia, eksportu i sprzedaży ze względu na działalność innowacyjną osiągnięty przez nas w badaniu z 2015 r. Wynosi on 0,30099, co dało nam 30 miejsce w Europie. Średni wskaźnik UE to 0,57285 zaś lidera Irlandii – 0,77732. Jak widać, mimo zapowiedzi Donalda Tuska, zieloną wyspą się nie staliśmy.

Polskie firmy w niewystarczającym stopniu stosują metody umożliwiające podnoszenie innowacyjności, które mieszczą się w najogólniej rozumianej sferze organizacyjnej. Fuzje, przejęcia, strategiczne alianse, stała współpraca z konkurentami czy zmiany własnych struktur organizacyjnych w celu poprawy pozyskiwania informacji i gospodarowania wiedzą już posiadaną nie są u nas popularne. Nie docenia się także znaczenia kultury organizacyjnej a to właśnie od niej zależy dyfuzja wiedzy w firmie. Dokonuje się ona bowiem w ramach bezpośrednich kontaktów między pracownikami czemu sprzyja wzajemne zaufanie. Efektem zaś jest wzrost kreatywności oraz innowacyjności pracowników. Jej podnoszenie nie wymaga zasadniczo dużych nakładów, wymaga zaś odpowiedniej świadomości kadry kierowniczej. Wzrostowi innowacyjności sprzyja także zarządzanie przez partycypację. Niestety, w polskiej gospodarce ciągle przeważa model autokratyczny, przybierający nierzadko wynaturzoną postać. Pracownicy zobowiązani są do bezwzględnego podporządkowania się obowiązującym procedurom i do wykonywania ściśle określonych czynności. Stosowanie takiego modelu praktycznie pozbawia ich możliwości zgłaszania wynikających z własnych doświadczeń i przemyśleń propozycji usprawniających. Trwałość modelu autokratycznego wynika między innymi z wadliwych

mechanizmów kształtowania hierarchii. Status przypisany, którego źródłem jest pełniona funkcja, nazbyt często u nas nie pokrywa się ze statusem rzeczywistym, mającym swoje źródło w rzeczywistej fachowości. W takiej sytuacji wykraczająca poza obowiązujące standardy aktywność merytoryczna podwładnego jest często postrzegana i odczuwana przez szefa jako kwestionowanie jego statusu rzeczywistego a tym samym swoista delegitymizacja statusu przypisanego. W świetle teorii interakcji G.C. Homansa i rozważań A. Malewskiego o konsekwencjach rozbieżności czynników statusu, w zachowaniach ludzi istnieje tendencja do usuwania rozbieżności między statusem przypisanym a rzeczywistym. Trudniej jest usunąć tę rozbieżność poprzez podniesienie statusu rzeczywistego do poziomu przypisanego. Łatwiej, wykorzystując uprawnienia władcze, osiągnąć to przez stosowanie autokratycznego modelu zarządzania, który eliminuje możliwość ujawnienia się tej rozbieżności. Stąd też myślący pracownicy są w Polsce nierzadko represjonowani za to, że są myślący. A właśnie organizacje, w których autorytet pracownika bazuje na wiedzy eksperckiej a nie na statusie, są zdecydowanie bardziej innowacyjne niż organizacje oparte na zasadzie absolutyzacji statusu.

W trakcie swojego funkcjonowania firma nieustannie śledzi i bada istotne zmiany zachodzące w otoczeniu. Informacje o tych zmianach wiąże z normami operacyjnymi kierującymi jej zachowaniami. Jeśli owe normy czy standardy pozostają niezmiennie, firma może utrzymać tylko taki kierunek, który jest przez nie określony. W sytuacji, kiedy jej normy i standardy stają się nieadekwatne do zmian otoczenia, nie jest w stanie podjąć skutecznych działań i jest dystansowana przez rywali. Stąd też istnieje konieczność nieustannego korygowania norm operacyjnych i standardów tak, aby nadążać za zmianami otoczenia. To z kolei wiąże się ze zmianami organizacyjnymi. Właściwą postawą jest jednak nie nadążanie za zmianami otoczenia, ale działanie wyprzedzające, polegające na antycypowaniu tych zmian i odpowiednio wcześniejszym przygotowywaniu norm operacyjnych i standardów pod kątem przyszłych uwarunkowań. Tempo zmian we współczesnym świecie jest tak wysokie, że firma, aby utrzymać się na powierzchni, musi praktycznie funkcjonować w warunkach permanentnej zmiany organizacyjnej. Takie funkcjonowanie w sposób skuteczny jest sztuką niezwykle trudną i wymaga wysokiego poziomu fachowości oraz inteligencji

zarówno gremiów zarządzających jak i pracowników. O ile w Polsce coraz więcej firm osiąga zdolność do zdobywania informacji o zmianach otoczenia i wiązania ich z własnymi normami operacyjnymi i standardami, o tyle zdolność do korygowania tych norm i standardów pozostaje w dalszym ciągu poza zasięgiem zdecydowanej większości. W ten sposób firmy, nawet jeśli funkcjonują na obranym kursie, tracą szanse jakie niosą ze sobą zmiany otoczenia i przyszłe uwarunkowania. Polską gospodarkę od gospodarek rozwiniętych dzieli także luka w obszarze zastosowań zaawansowanych rozwiązań branży elektronicznej. Szczególnie widoczne jest to w sferze kompetencji, przywództwa i zarządzania.

Luka technologiczna

Na niski poziom innowacyjności naszej gospodarki wpływ ma także to, że dominują w niej przemysły określane eufemistycznie jako „dojrzałe” a więc takie, które przestały być już dźwigniami nowoczesności. Jak wynika z badań pięciu tysięcy przedsiębiorstw prowadzonych przez prof. Annę Wziętek-Kubiak zarówno dla branż wysokiej technologii jak farmacja, elektronika, IT i branż niskiej technologii jak przemysł spożywczy, odzieżowy czy meblarski na podstawie danych z okresu do 2006 r., na początku tego wieku firmy w Polsce przechodziły od innowacji odnoszących się do produktu do innowacji w zakresie procesu wytwórczego. Taka postawa była charakterystyczna dla przedsiębiorców zaczynających innowacyjność i była to metoda walki na rynku poprzez obniżkę kosztów a nie podnoszenie jakości produktu bądź generowanie nowego. Tendencja ta spowodowała, że staliśmy się gospodarką produkującą głównie „stare” i niedrogie wyroby, tzn. takie, które zostały już wdrożone kilka lat temu i kończą swój cykl życia. Nowe zaś są produkowane w krajach rozwiniętych, często macierzystych krajach firm produkujących „stare” wyroby u nas. Wprawdzie z danych CIS (*Community Innovation Survey*), w którym zbierano informacje o 25 tysiącach przedsiębiorstw z 27 krajów Europy, wynikało, że w Polsce w 2006 roku sprzedaż nowo wprowadzonych na rynek produktów dała ok. 5 % przychodów firm ze sprzedaży, co lokowało nas w europejskiej czołówce pod względem wprowadzania nowych produktów, ale jak wskazuje niska jednostkowa wartość polskiego eksportu owe nowe produkty pojawiały się w ramach tego samego niskiego technologicznie segmentu. Nic zatem

dziwnego, że tak ukształtowaną w procesie transformacji gospodarkę polską charakteryzuje niższa od średniej unijnej aktywność eksportowa w zakresie towarów wysoko przetworzonych i wyprodukowanych przy zastosowaniu nowoczesnych technologii. Wg badania z 2015 r. w tej dziedzinie znajdujemy się w dalszym ciągu poniżej średniej UE na 18 pozycji w Europie. Ze wszystkich naszych wskaźników ten i tak należy do lepszych gdyż jest tylko nieco ponad 1,2 razy mniejszy od średniego. Znacznie gorzej jest z eksportem usług opartych na wiedzy gdzie zajmujemy 27 lokatę a nasz wskaźnik jest ponad 2 razy mniejszy od średniego UE. Cały czas zatem dominuje u nas produkcja o niskiej wartości dodanej, cechująca się intensywnym wykorzystaniem siły roboczej, charakteryzująca się wysoką zawartością importu w eksporcie oraz usługi nie wymagające dużej wiedzy. A właśnie struktura gospodarki w ostatecznym rezultacie określa popyt na prace badawczo rozwojowe i działania innowacyjne, decyduje, czy sprzyja ona postępowi technicznemu, czy firmy chłoną innowacje i rezultaty badań naukowych. Im wyższy w jej ramach jest udział tych dziedzin gospodarki, w których nakłady na B+R osiągają najwyższy poziom – tym wyższe jest zapotrzebowanie na nowe rozwiązania. Rozwój gospodarki światowej polega na dokonywaniu zmian technologicznych produkcji. Mają one zasadnicze znaczenie w procesach dynamiki wzrostu, określają postać handlu międzynarodowego i są przedmiotem transgranicznej wymiany towarowej. Zgodnie z koncepcjami ekonomicznymi bazującymi na teorii kosztów komparatywnych, odwołujących się do różnic w poziomie technologii krajów biorących udział w globalnej wymianie towarów, struktura handlu międzynarodowego warunkowana jest luką technologiczną i cyklem życia produktu. W Polsce, wyeliminowane w toku transformacji autonomiczne procesy produkcyjne zostały w dużym stopniu zastąpione przez należące do zachodnich korporacji fabryki – montownie. Istotą ich działania jest składanie produktów gotowych z elementów importowanych, które z kolei reeksportuje się na Zachód. Tego rodzaju wytwórczość nie generuje odpowiednio silnego zapotrzebowania na innowacyjność. Po 1989 r. udział dużych zakładów o największym popycie na innowacje i zdolnych do ich samodzielnego finansowania spadł w naszej gospodarce gwałtownie. Zmiany struktury przebiegały na rzecz wzrostu udziału małych firm w przemyśle, które dają najwięcej miejsc pracy, ale które na ogół

nie prowadzą działalności innowacyjnej. Te zaś zakłady duże, które przetrwały, w większości przypadków stały się własnością zagraniczną i mniej korzystają z krajowego zaplecza B+R. Nieuchronnym tego następstwem jest szybkie kurczenie się wartościowej intelektualnie kadry naukowo technicznej a także obniżenie jej poziomu. Utrwalenie takiego stanu rzeczy prowadzi do cywilizacyjnego zapóźnienia co obniża zdolność do innowacyjności i w sposób drastyczny redukuje szanse na przyszłość.

Niska jakość klasy rządzącej i chora struktura społeczna

Klasa rządząca III RP ukształtowała się w wyniku zapoczątkowanej pod koniec lat 80-ych transformacji ustrojowej. Jej sens można oddać słowami z powieści *Lampart* Tomasiego di Lampedusy: *czasami trzeba zmienić wszystko, by wszystko pozostało po staremu*. Swoją analizę procesów transformacyjnych zawartą w książce *Postkomunizm* Jadwiga Staniszkis rozpoczyna od stwierdzeń: *Mniej więcej połowa członków elity władzy i pieniądza w Polsce zajmowała w czasach komunizmu stanowiska kierownicze, jedna trzecia – wykonywała zawody „specjalistów”, a tylko 11 procent plasowało się na niższych szczeblach drabiny społecznej. (...) Dokonała się rewolucja polityczna, a właściwie już przed rozpoczęciem zakończyła społeczną. Hierarchie dawnego reżimu przetrwały, choć mechanizmy ich reprodukcji są już odmienne.*”

Przeobrażenia ustrojowe nie pociągnęły za sobą istotnych zmian w składzie klasy rządzącej. Decydujący głos w obszarze władzy realnej mieli postkomuniści, ale niezależnie od tego, w jakim stopniu obecna „elita” wywodzi się z dawnej nomenklatury a w jakim z dawnego obozu solidarnościowego czy opozycji demokratycznej, wszystko to są dzieci starego systemu. Porozumienia w Magdalence i przy „okrągłym stole” oznaczały przede wszystkim zgodę najbardziej zbliżonej do władzy części opozycji na mentalne i moralne standardy realnego socjalizmu, na logikę siły i moralność kliki. Zmiana zatem form ustrojowych bez zmiany tych standardów zaowocowała stworzeniem ładu budowanego według takiej logiki i na takim fundamencie moralnym. Zależności z epoki PRL transformowały się w nowe formy klientelizmu biurokratycznego w sferach polityki, biznesu, sądownictwa, kultury i mediów, rozwijanego przez partie odpowiedzialne za przemiany. Mechanizmy awansu, działające według

logiki sytuacji i moralności alfonsa, są dopasowane do potrzeb i zdolności „elity”. Te pierwsze są oczywiście ogromne, te drugie mierne. W rezultacie wytworzył się w Polsce model charakteryzujący się silnym związkiem sfery gospodarczej z układami politycznymi. Tak ukształtowana klasa rządząca zamieniła realny socjalizm na kapitalizm zależny, czerpiąc korzyści z uwłaszczenia się na majątku narodowym, z usytuowania w strukturach władzy i gospodarki oraz z pozycji strażników gospodarczej zależności kraju. Jednocześnie przewaga ekonomiczna nad pozostałymi klasami społecznymi jaką dzięki temu osiąga umacnia jej pozycję w sferze politycznej i ekonomicznej co sprawia, że jest ona silnie zmotywowana do utwierdzania mechanizmów generujących wzrost tej przewagi. Usiłuje przy tym wmówić społeczeństwu, i jak dotychczas czyniła to skutecznie, że jest to jedyna realna droga rozwoju. W tego rodzaju porządku rzeczywista wiedza i umiejętności, operatywność i kreatywność, autentyczna przedsiębiorczość czy praca, nie są czynnikami sprawczymi sukcesu. Liczą się powiązania w ramach tzw. układu na różnych jego poziomach.

Demoliberalna i postkomunistyczna „elita” III RP wiele o modernizacji mówi, niewiele rozumie, jeszcze mniej na jej rzecz robi. Tak ochoczo manifestująca swój eurointernacjonalizm a polskość traktująca w najlepszym razie jako zesłaną przez zły los przypadłość, relacje z Unią i jej czołowymi krajami czy Stanami Zjednoczonymi kształtowała zgodnie z silnie zakorzenionymi w mentalności satelickimi wzorami myślenia i zachowań. Od pewnego czasu można zaobserwować podobną tendencję w stosunkach z Rosją. Poza zasięgiem jej zdolności pojmowania jest to, że siłą Zjednoczonej Europy, jeśli już w niej jesteśmy, buduje się przede wszystkim poprzez budowanie siły własnego kraju. Długofalowe myślenie i systematyczne działanie nie jest - najogólniej mówiąc - jej najmocniejszą stroną. Ponadto status elity kompradorskiej w pełni zaspokaja jej aspiracje. Ugruntowuje więc i pogłębia peryferyjny i zależny charakter naszej gospodarki.

Na użytek propagandy klasa ta uporczywie lansuje skrajnie neoliberalne mity i stereotypy na temat roli rynku i komercjalizacji w nauce. Przykładem może być tu przekonanie, że rynek – pozostawiony sam sobie – zapewni rozwój nauki i działalności innowacyjnej. Jest to sprzeczne z nowoczesnym rozumieniem procesu rozwoju, który wyznacza kluczową rolę czynnikom społecznym,

humanistycznym i kulturowym. Poglądów klasy rządzącej III RP w tej dziedzinie nie podziela większość rządów a nawet Bank Światowy. Właśnie bowiem nauka i działalność B+R jest obszarem, nawet w USA - kraju postrzeganym jak wzorzec liberalizmu gospodarczego - gdzie rynek jest wspomagany przez państwo. Nie powinien zatem budzić zdumienia fakt, że ani w parlamencie, ani w sferze publicznej nie było poważnej debaty na temat nauki, postępu technicznego, długookresowej modernizacji kraju. Nie cieszyła się też zainteresowaniem promocja nowych technologii ani w dotychczasowych rządach, ani w wystarczającym stopniu w biznesie, gdzie świadomość jego roli w tej dziedzinie zdaje się być niewielka. Również w ramach rozmaitych urzędów państwowych ta kluczowa dla rozwoju nowoczesnej gospodarki problematyka zajmowała jak dotychczas pozycję marginalną.

Odziedziczona po PRL struktura społeczna charakteryzuje się niespotykanymi w nowoczesnym świecie sztywnymi przedziałami klasowymi. Równość praw ma tylko charakter formalny i jest pozorna. Społeczeństwo polskie nie jest społeczeństwem równych szans. Nawet jeśli ktoś spoza grup dominujących osiągnie jakiś sukces w sferze gospodarczej i chce dalej rozwijać swoje przedsięwzięcie, jeśli nie uda mu się wejść w sieć powiązań polityczno – gospodarczych, prędzej czy później odbije się od szklanego sufitu. W niewielu krajach Unii Europejskiej w tak dużym stopniu jak w Polsce dziedziczy się biedę, status społeczny, pozycję ekonomiczną, dostęp do rzeczywistego wykształcenia czy kariery. Tworzymy społeczeństwo wewnętrznie zamknięte i wręcz doskonale otwarte na wszelkiego rodzaju penetracje zewnętrzne, od penetracji importowej poczynając (np. w piętnastolecie 1995–2010 wzrosła z 25% do 50%), poprzez polityczną i agenturalną (bezprecedensowy chyba w całych naszych dziejach rozwój agentury obcych wpływów), na penetracji wszelkich ideologii rozkładowych kończąc.

W takim klimacie politycznym i w ramach takiej struktury społecznej myśl śmiała i nowatorska nie ma najmniejszych szans. Jak długo nie będziemy w stanie wyłonić rzeczywistej elity narodowej oraz stworzyć, opartych na wysokich standardach moralnych i merytorycznych, mechanizmów jej reprodukcji, tak długo nie będziemy w stanie podjąć skutecznej rywalizacji z czołówką cywilizacyjną. Będziemy skazani na bycie pawiem, papugą, klientem i czymkolwiek

jeszcze innych nacji, na małpowanie a nie nawet naśladowanie, gdyż małpowanie tym się charakteryzuje, że jest naśladowaniem bez rozumienia sensu tego, co się naśladuje.

Uwarunkowania zewnętrzne

Każdy, kto nawet pobieżnie obserwuje rozwój stosunków międzynarodowych doskonale wie, że funkcjonujemy w gronie coraz bardziej otaczających nas odwiecznych przyjaciół i wielokrotnie wypróbowanych sojuszników. Wszyscy oni nie myślą o niczym innym, jak tylko o wyręczaniu nas w trudzie wytwarzania co bardziej zaawansowanych technologicznie produktów i świadczenia wymagających wyższego poziomu wiedzy usług. Nie leży bowiem w interesie naszych przyjaciół i sojuszników, aby w ok. 40 milionowym kraju nad Wisłą i Odrą wyrosła w krótkim czasie choćby tak silna, dynamiczna i niezależna gospodarka, jak np. południowo koreańska. Nie leży w ich interesie, ażeby taka gospodarka stała się czynnikiem stymulującym rozwój gospodarczy całego regionu Europy Wschodniej. Wówczas bowiem region taki wyemancypowałby się spod obcych wpływów gospodarczych i politycznych i stał się kolejnym niewygodnym konkurentem na rynkach światowych. Na domiar złego kraje regionu osiągnęłyby realną podmiotowość na arenie międzynarodowej i z ich interesami należałoby się na serio liczyć.

Oprócz tego rodzaju względów w grę wchodzi także interesy bardziej bezpośrednie. Jak na początku XXI w. twierdził szef Opla, Carl Peter Forster, polscy pracownicy wytwarzali produkty tej samej jakości jak niemieccy. Ich zarobki stanowiły jedną piątą zarobków pracowników niemieckich. W tym samym czasie płace robotników zatrudnionych przy produkcji wiązek kablowych do samochodów ciężarowych MAN w Bawarii kształtowały się na poziomie 15 euro za godzinę. W Starachowicach stawka godzinowa za taką samą pracę wynosiła 3 euro. Z perspektywy stosunków niemieckich, gdzie udział kosztów zatrudnienia przy produkcji samochodów wynosi przeciętnie 18% całkowitych kosztów, pracownik w Polsce jest niemal tak tani, jak przysłowiowy chłop pańszczyźniany. Jest przy tym pełen entuzjazmu, pracuje dobrze, gdyż cieszy się, że w ogóle ma pracę. Cieszy się również nasza klasa rządząca, bowiem problemy wynikające z bezrobocia i nędzy mas nie przyprawiają jej o ból głowy.

W nieustannym, warunkowanym systemowo dążeniu do akumulacji wielki kapitał stale poszukuje sposobów na obniżenie kosztów wytwarzania. Jedną z istotnych metod jest przenoszenie produkcji do obszarów peryferyjnych, będących strefą niższych płac i gorszych warunków pracy. Praktyka taka możliwa jest dzięki przewadze kapitałowej, organizacyjnej i technologicznej. W interesie sfer wielkiego kapitału krajów wysoko rozwiniętych jest utrwalenie takiego stanu rzeczy. W ten sposób obszary cywilizacyjnie peryferyjne stają się strefą kolonializmu technologicznego w których nie ma miejsca na rodzimą innowacyjność. Ludzie z tych obszarów mają sprawnie realizować procedury wytwórcze opracowane w krajach obszaru metropolitalnego.

Konsekwencje

Ażeby je właściwie określić, należy uświadomić sobie czym jest innowacyjność w procesie rozwoju cywilizacyjnego i jaki jest historyczny sens porażki na tym polu.

Trwałe zacofanie

Alvin Toffler ujmuje dzieje ludzkości w trzy fale rozwoju. Pojawienie się każdej z nich wiąże się z zasadniczymi innowacjami w sferze środków wytwarzania, co rodzi skutki jeśli chodzi o poziom i sposób życia człowieka. Według ogłoszonej w 1960 r. teorii Walta W. Rostowa każde społeczeństwo w drodze do nowoczesności przechodzi pięć stadiów rozwoju cywilizacyjnego, opartych na kryterium postępu technicznego. Przejście ze stadium gospodarki i społeczeństwa tradycyjnego, charakteryzującego się dominacją rolnictwa, słabym postępem technicznym, niską wydajnością pracy, hierarchiczną strukturą społeczeństwa, skupieniem władzy w rękach posiadaczy ziemskich, do gospodarki wkraczającej na drogę nowoczesności, wiąże Rostow z odkryciami Izaaka Newtona. Odkrycie podstawowych praw mechaniki zachęcało do badania natury i wykorzystywania odkrytych praw w konstruowaniu nowych, coraz doskonalszych urządzeń. Postęp w rozwoju narzędzi produkcji sprzyjał doskonaleniu metod produkcji rolnej i rozwojowi produkcji manufakturowej. To z kolei skutkowało rozwojem handlu światowego. Przemiany te pociągały za sobą zmiany w strukturze społecznej i stosunkach politycznych, sprzyjające

rozwojowi gospodarczemu. Ustalało się racjonalne podejście do gospodarowania a w państwach Zachodu kształtowały się formacje, takie jak np. merkantyści, kameraliści czy fizjokraci, forsujące programy rozwoju społeczno – gospodarczego. Przejście do stadium startu wzrostu gospodarczego (*take off*) przypada na okres, w którym zastosowano maszyny włókiennicze, napęd parowy czy kolej żelazną. W efekcie wzrasta wydajność w przemyśle i rolnictwie a przemysł fabryczny zaczyna dominować nad rzemiosłem i manufakturą. To tzw. wielkie pchnięcie (*big push*) charakteryzuje się wzrostem akumulacji kapitału i inwestycji oraz kształtowaniem się warunków politycznych i instytucjonalnych dalszego wzrostu. Przejście do stadium społeczeństwa dojrzałości (*drive to maturity*) polega na wdrażaniu nowoczesnych technologii, podnoszeniu wykształcenia, specjalizacji siły roboczej i objęciu rozwojem mniej dotychczas ważnych sektorów gospodarki. I wreszcie ostatnie, wg Rostowa, stadium społeczeństwa konsumpcji masowej (*age of mass consumption*), kiedy gospodarka osiąga zdolność produkowania praktycznie wszystkiego, co chce. Przemysł ciężki traci znaczenie na rzecz środków konsumpcji, większość społeczeństwa uzyskuje dochody umożliwiające zaspokojenie potrzeb a polityka ekonomiczna tworzy państwo dobrobytu.

O ile teorie Tofflera i Rostowa odnoszą się do długotrwałych faz rozwojowych, obejmujących całe epoki historyczne a nawet, zwłaszcza dla wcześniejszych okresów istnienia ludzkości, więcej niż jedną epokę, o tyle perspektywa określana przez t.zw. długie cykle Kondratiewa (nazwa nadana przez Josepha A. Schumpetera), mieści się w horyzoncie czasowym jednego pokolenia a same cykle odnoszą się do epoki industrialnej, chociaż niektórzy próbują odnosić je także do czasów przedindustrialnych. Swoje ustalenia opublikował Kondratiew w wydanej w 1925 r. pracy *Długie cykle*. Po jej przetłumaczeniu na język angielski w 1935 r. teoria ta wzbudziła ogromne zainteresowanie na Zachodzie. Znalazła zastosowanie w pracach Schumpetera, analizach francuskiej szkoły historycznej skupionej wokół czasopisma *Annales*, zwłaszcza u Fernanda Braudela, czy analizach systemów – światów Immanuela Wallersteina. Samemu Kondratiewowi na nic to się jednak zdało, gdyż w związku z zarzutami o tzw. lewackie wypaczenia kolektywizacji został w 1930 r. skazany w pokazowym procesie i zesłany do łagru w którym zakończył życie, być może rozstrzelany w 1938 r.

Odkrycia długich cykli dokonał Kondratiew na podstawie badań gospodarek Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec dla okresu od 1780 do 1920 r. Przedmiotem jego analiz były szeregi statystyczne cen hurtowych, płac, kursów akcji, obrotów handlu zagranicznego, produkcji i konsumpcji węgla, surówki żelaza oraz ołowiu a także dane demograficzne. Na ich podstawie stwierdził, że w badanym przez niego okresie gospodarki wymienionych krajów przeszły dwa i pół cykli rozwojowych z których każdy trwał średnio ok. 56 lat liczonych między dwoma szczytami rozwoju. Po śmierci Kondratiewa badania nad jego długimi cyklami podjęli inni. Bodaj jednym z pierwszych był Simon Kuznets (przed emigracją do Stanów Zjednoczonych – Siemion Kuznietzow) który w 1940 r. nieco inaczej periodyzował cykle Kondratiewa a także prognozował następne.

Cykliczność rozwoju gospodarki wiązał Kondratiew przede wszystkim z istotnymi wynalazkami technicznymi. Dokonywano ich zawsze w okresach, kiedy po przekroczeniu szczytu rozwoju następowała tendencja spadkowa. Stanowiły one podstawę kolejnej fazy rozwoju. I tak np. od ok. połowy XIX w mamy do czynienia z erą kolei opartej na napędzie parowym, pod jego koniec zaczyna rozwijać się elektryczność, lata międzywojenne to dynamiczny rozwój motoryzacji. Epoka w której my żyjemy została zdeterminowana przez mikroelektronikę z całą serią wynalazków na niej opartą i mających masowe zastosowanie. Innowacje tego rodzaju były motorem napędzającym przyszłe ożywienie gospodarcze związane z wieloletnimi inwestycjami przez owe innowacje pobudzanymi. Na cykliczność gospodarki wpływ mają także zjawiska w sferze pieniężnej takie jak inflacje i deflacje oraz ważne wydarzenia polityczne, szczególnie wojny. Jednak czynnikiem decydującym są okresy wzmożonego postępu technicznego.

W świetle teorii Tofflera, Rostowa i Kondratiewa kultury, które przodują w zakresie innowacyjności odnoszą długofalowy historyczny sukces, zarówno w horyzoncie czasowym jednego pokolenia jak i epoki historycznej a nawet dłuższym, stając się wiodącymi w procesie cywilizacyjnego rozwoju. Ponadto, wykorzystując przewagę w danej fazie rozwoju, tworzą potencjał który otwiera szansę wygrania kolejnej fazy, wiążącej się z kolejną falą nowych odkryć i wynalazków. Zachodzi bowiem największe prawdopodobieństwo, że właśnie

w tych kulturach owe odkrycia i wynalazki się pojawiają i najpełniej zafunkcjonują. Kulture, w których innowacyjność nie jest istotnym elementem zbioru myślenia i zachowań, są skazane na wieczny niedorozwój bądź zacofanie, co musi mieć swoje negatywne konsekwencje społeczne i polityczne, zarówno w aspekcie wewnętrznym jak i zewnętrznym.

Z perspektywy Polski refleksja nad teoriami rozwoju nie prowadzi do optymistycznych wniosków. Kraj który wlecze się w ogonie innowacyjności i nie dąży skutecznie do zmiany tego stanu rzeczy jest przegranym nie tylko teraz, ale przegrywa także przyszłość. Biorąc pod uwagę tendencje rozwojowe w skali globalnej i to, co się dzieje w Polsce, jest niemal pewne, że nasz cywilizacyjnie peryferyjny i satelicki status zostanie utrwalony, jeśli nie pogłębiany.

Zależność technologiczna i peryferyzacja

Istnieje strategiczny konflikt interesów między krajami – innowatorami a krajami – imitatorami, do jakich w najlepszym razie się zaliczamy. Innowatorzy uzyskują przewagi ekonomiczne i czerpią korzyści z innowacji w postaci dodatkowego zysku do czasu pojawienia się imitatorów, a gdy dojdzie do pełnego upowszechnienia imitacji, dyfuzji, nadzwyczajne korzyści innowatorów zanikają i stają się udziałem wszystkich. W tym czasie, tj. od pojawienia się innowacji do jej upowszechnienia, mamy do czynienia z luką między innowatorami a potencjalnymi imitatorami. Jednak w grze o eliminację tej luki imitatorzy mają w stosunku do innowatorów atut wynikający z tego, że łatwiej, taniej i szybciej jest kopiować niż kreować nowe rozwiązania a zatem szybciej się dogania niż ucieka. W interesie zatem innowatorów jest, żeby korzyści wynikające z istnienia luki nigdy nie ustały. Dążą więc do tego, aby potencjalni imitatorzy nie osiągnęli zdolności do szybkiej imitacji. W przypadku relacji między krajami innowatorzy wpływają w tym kierunku na ład społeczny, gospodarkę, układ polityczny, elity, kulturę itp. krajów – imitatorów. Starają się destruktywnie oddziaływać na wszystkie czynniki sprzyjające zniwelowaniu dystansu technologicznego. Strategicznym celem polityki innowatorów jest taka kontrola nad procesami jakie zachodzą u imitatorów, aby ci postępowali zawsze za innowatorami. Wykorzystując swoją przewagę ekonomiczną, polityczną a jeśli trzeba i militarną, kraje wiodące posługują się elitami komprador-

skimi, w celu hamowania procesów rozwojowych potencjalnych imitatorów. Fakt, że kwestia istnienia i konieczności przezwyciężenia luki technologicznej i organizacyjnej przez cały okres III RP nie jest strategicznym celem działań kolejnych rządów i centralnym punktem debaty publicznej kreowanej przez „elity”, świadczy najdobitniej o ich kompradorskim charakterze. Tymczasem obiektywnym interesem takich krajów jak Polska, jest jak najszybsze przezwyciężenie luki i dzięki atutowi ekonomicznemu wynikającemu z niższych kosztów odebranie dotychczasowym innowatorom ich przewag ekonomicznych oraz przechwycenie korzyści. Tak np. w sposób konsekwentny postępowały i postępują kraje azjatyckie. Jeśli weźmiemy pod uwagę to, że problem dotyczy nie tylko najbardziej żywotnych interesów gospodarczych i rozwoju ale wręcz funkcjonowania w świecie jako podmiot a nie przedmiot, między krajami zaopóźnionymi a rozwiniętymi istnieje obiektywnie nieprzezwycięzalna sprzeczność strategicznych interesów.

Rozpatrując rzecz dalej z perspektywy innowatorów samo zabezpieczenie się przed imitatorami przez blokowanie możliwości ich rozwoju nie jest jedyną metodą ochrony własnych interesów i, zwłaszcza w dłuższym czasie, nie zawsze skuteczną. Innowatorzy, aby trwale utrzymać przewagę technologiczną, muszą osiągnąć tempo generowania kolejnych innowacji wyższe, niż tempo imitacji dokonywanych przez imitatora. Wykorzystują więc swoją przewagę nie tylko do hamowania procesów rozwojowych imitatorów ale także do kreowania nowych innowacji zanim imitatorzy zdążą poprzednie innowacje zaabsorbować. W ten sposób, stosując obie strategie, innowatorzy stale utrzymują korzystną dla siebie przewagę a imitatorzy nieustannie podążają za nim nie mogąc przezwyciężyć luki. Jeśli innowatorom udaje się trwale utrzymywać taki stan rzeczy, uzależniają egzystencję imitatorów od swojego przywództwa technologicznego a w konsekwencji ekonomicznego i politycznego. Jednocześnie w społeczeństwach imitatorów utwierdza się świadomość, że taki stan rzeczy jest naturalny a innowatorzy tak oddziałują za pośrednictwem elit kompradorskich na kulturę tych społeczeństw, żeby nie wykształciły się w nich postawy proinnowacyjne, lecz żeby imitacja i naśladownictwo były właściwymi dla tych kultur wzorami myślenia i zachowań. W ten sposób utrwała się zależność cywilizacyjną, fundament zależności ekonomicznej i politycznej.

Zależność ekonomiczna i polityczna

Szeroko rozumiana innowacyjność stanowi także jedną z kluczowych przesłanek ekspansji gospodarczej. Generuje bowiem nadwyżki możliwości wytwórczych i kapitału. Nadwyżki te osiągają w pewnym momencie taki poziom, że aby je w sposób racjonalny wykorzystać, aby miały sens ekonomiczny i nie zostały zamrożone, należy je zagospodarowywać w drodze ekspansji na kolejne obszary czy sfery. Zamrożenie nadwyżek potencjału jest nieracjonalne gdyż oznacza posiadanie niepracujących czynników produkcji. Straty ponoszone z tego tytułu są dwójakiego rodzaju. Pierwszy to koszt utrzymania niepracujących nadwyżek. W takiej sytuacji racjonalnym ekonomicznie posunięciem byłaby ich redukcja. Drugi to utrata zysków które można byłoby osiągnąć, gdyby nadwyżki potencjału wytwórczego były zaangażowane. Niezaangażowanie nadwyżek w ekspansję gospodarczą skutkuje następnie ich erozją a szczególnie szkodliwe jest to, że z czasem także erozją mechanizmów je generujących. W takiej sytuacji zamiast rozwoju w pierwszej fazie następuje zastój, w drugiej regres. Jeśli motor napędzający innowacyjność przestaje działać, skutkiem jest atrofia samej innowacyjności jako właściwości kulturowej i stopniowy wzrost dystansu do tych, którzy dla swoich nadwyżek znajdują racjonalne ekonomicznie ujęcie. Jedyną zatem sensowną strategią jest zagospodarowywanie nadwyżek potencjału wytwórczego w drodze ekspansji gospodarczej a ekspansja ta jest nieuchronną konsekwencją innowacyjności.

Kraje, które przegrywają na polu innowacyjności, nie generują odpowiednich nadwyżek potencjału wytwórczego i tym samym nie są zdolne do ekspansji gospodarczej. Stają się natomiast obiektem ekspansji krajów innowacyjnych. Tracą podmiotowość i zostają zepchnięte do poziomu instrumentu gospodarowania realizowanego przez innych. Popadają w zależność nie tylko techniczną, technologiczną, organizacyjną ale i ekonomiczną. Ich egzystencja w coraz większym stopniu zależy od krajów nad nimi górujących. Te, z racji swoich bieżących i długofalowych interesów dążą do utrwalenia i pogłębienia tej zależności i wychodząc z przewagi gospodarczej, ustanawiają nad krajami mniej zawansowanymi w rozwoju hegemonię polityczną. Bez względu na to, kto jaką pozycję w gospodarkach krajów peryferyjnych zajmuje, czy jest to pracownik najemny, menadżer, czy prywatny właściciel jakiejś firmy, z per-

spektywy suwerenów wszyscy oni są tylko różnego rodzaju podporządkowaną im siłą roboczą.

W Polsce oczywiście mamy do czynienia z sytuacją pod tym względem wyjątkowo złą. Jesteśmy jednym z obiektów ekspansji gospodarczej krajów wysoko rozwiniętych a w zakresie surowców energetycznych także Rosji. Funkcjonują u nas mechanizmy, które blokują kreowanie nadwyżki potencjału wytwórczego umożliwiającej zajęcie miejsca w grupie krajów rozwijających ekspansję gospodarczą. Jeśli nawet mamy do czynienia z postępem w zakresie technicznym, technologicznym i organizacyjnym względem poprzedniego systemu, to postęp ten nie jest zasadniczo generowany przez nas, lecz jest importem a jego tempo jest bardzo niskie. To sprawia, że nie prowadzi on do zmniejszenia dystansu względem państw wysoko rozwiniętych w tempie określonym przez wymogi współczesnej rywalizacji gospodarczej.

Obserwując długofalowe tendencje w gospodarce światowej wyraźnie widać, że mamy do czynienia z nowym podziałem rozwojowym w skali globalnej. Z jednej strony obszar hegemoniczny tworzony przez kraje wysokich technologii i gospodarki wiedzy, kraje innowacyjne, z drugiej obszar satelicki tworzony przez kraje tzw. dojrzałych dziedzin wytwórczości i taniej siły roboczej. Należy liczyć się z tym, że w perspektywie historycznej będzie to podział trwały, gdyż przewaga obecna ułatwi krajom wysoko rozwiniętym przechodzenie do kolejnych stadiów rozwoju cywilizacyjnego, gdy w tym czasie kraje pozostające w poprzednim stadium, będą przechodziły do faz, które kraje rozwinięte będą miały już za sobą. Charakter procesów rozwojowych w Polsce wskazuje wyraźnie na plasowanie się w ramach tego podziału w grupie krajów trwale zapóźnionych i zależnych w każdym aspekcie istnienia.

*„Pieniądzom trzeba rozkazywać, a nie służyć”
Lucjusz Anneusz Seneka*

Panu Prezesowi i Radzie Polityki Pieniężnej Narodowego Banku Polskiego pod rozwagę

Od lat znam nowo mianowanego prezesa NBP, pana profesora Adama Głapińskiego. Bywało, że często, również w gronie kilku członków Rady Polityki Pieniężnej, dyskutowaliśmy na tematy ekonomiczne.

Kierując się szacunkiem dla nich, wewnętrznym przekonaniem „że tak trzeba”, a tym bardziej nadzieją, że nowe obowiązki wypełniać pragną w myśl zasady „pro publico bono”, pozwalam sobie przedstawić niniejszy szkic im oraz wszystkim, którym dobro Polski leży na sercu – pod rozwagę.

Teoria ekonomii stoi dziś ponownie wobec konieczności identyfikacji i opisu czynników oddziałujących na proces tworzenia produktów, a jednocześnie powinna na nowo przebadać procesy podziału wytworzonych dóbr, mechanizmy i kryteria tego podziału, ich wpływ na kierunek i dynamikę zmian gospodarczych a także społecznych i politycznych. Ponieważ podział dokonuje się dziś zarówno w odniesieniu do produktów pracy, jak i zasobów kapitału i przyrody głównie za pośrednictwem pieniądza – stąd prosty wniosek – rola pieniądza we współczesnej globalnej gospodarce gwałtownie wzrosła. Jeśli tak, to z tym większą uwagą przeanalizować należy jak funkcjonują instytucje i ludzie, którzy pieniądź kreują.

Najważniejszą instytucją odpowiedzialną za pieniądź w Polsce jest Narodo-

wy Bank Polski. Prześledźmy zatem, jak ze swych konstytucyjnych i ustawowych obowiązków NBP się wywiązuje.

Kreacja pieniądza

Z mocy prawa NBP jest jedynym i wyłącznym emitentem pieniądza w Polsce. Tym pieniądzem jest polski złoty. Jak wygląda i przebiega proces tworzenia pieniądza przez NBP? Faktycznie polega on na skupie dewiz od instytucji państwowych, banków oraz kantorów w zamian za wydrukowane i wprowadzone na rynek złotówki. Tyle ile dewiz, na przykład pochodzących z dotacji unijnych, po kursie dnia minister finansów zamienia na złotówki, taką równowość w złotówkach otrzyma. O rozmiarach emisji polskiego pieniądza decydują w znacznym stopniu banki i instytucje zagraniczne, które dokonują wymiany dewiz w Polsce. Można nawet ostrzej powiedzieć, że NBP tak mocno podkreślający i broniący swej niezależności wewnątrz kraju jest bez mała całkowicie zależny od podmiotów zagranicznych. Z punktu widzenia teorii ekonomii należy stwierdzić, że NBP wyzbył się swojej uprzywilejowanej funkcji tzw. dochodu z senioratu upodabniając się do centralnego kantoru wymiany walut.

Ktoś jednak rolę kreatora pieniądza przejął. Kto i dlaczego? Tę rolę przejęły banki komercyjne na mocy obowiązującego prawa, gdyż to one otrzymały przywilej kreacji kredytu czyli właśnie pieniądza i to na dodatek w myśl obowiązujących reguł praktycznie „z niczego”. Bo wiedzieć należy, że przeżytkiem jest podręcznikowa opowieść o kreowaniu przez banki kredytu ze środków zdeponowanych przez obywateli i podmioty gospodarcze. Dziś kredyt to zapis na koncie dłużnika, a troską banku jest zabezpieczenie środków do wysokości tzw. rezerwy obowiązkowej, która u nas wynosi 3,5%. Tak kreowany pieniądź nie uwzględniający jednocześnie rozmiarów środków wynikających z oprocentowania kredytu, a zatem kosztów obsługi długu jest wstępem do narastania i kumulacji zadłużenia od gospodarstw domowych poprzez przedsiębiorstwa do państwa włącznie.

Bez powrotu NBP do roli realnego emitenta pieniądza w Polsce i to w wielkości odpowiadającej pracy wykonanej przez społeczeństwo oraz zużytem do tego czynnikom materialnym i niematerialnym nie możemy marzyć

o likwidacji długu publicznego, o przywróceniu zdrowych relacji i kalkulacji ekonomicznych, o wyzwoleniu się z uścisku międzynarodowych instytucji finansowych.

Zagadnienie jest tym bardziej kluczowe, że od szeregu lat Bank Rezerwy Federalnej w USA i Europejski Bank Centralny prowadzą politykę stymulowania gospodarki poprzez druk i emisję pieniądza (tzw. ilościowe luzowanie) na niewyobrażalnie wielką skalę. Robią to z zupełnie innych powodów i przyczyn niż powinien to robić NBP, ale nie ulega wątpliwości, że prowadzona od lat w Polsce polityka silnego pieniądza nie odzwierciedlająca potrzeb gospodarki przypomina tę, którą realizowano za czasów II Rzeczypospolitej ze wszystkimi tego negatywnymi konsekwencjami ekonomicznymi, społecznymi i politycznymi dla międzywojennej Polski.

Kwestią drugą jest kredytowanie przez NBP wydatków budżetu państwa. Wiem, już słyszę ten krzyk – „to niedozwolone, to zakazane prawem, na to nie ma zgody MF, Banku Światowego, UE i wszystkich świętych”. Wypada zatem zapytać, dlaczego to co jest zabronione wobec polskiego państwa, polskiemu bankowi centralnemu jest dozwolone wobec papierów dłużnych budżetu Stanów Zjednoczonych czy innych państw. Dlaczego nie możemy finansować własnego długu, a możemy finansować zadłużenie innych państw? Czas najwyższy postawić tę kwestię na forum Unii Europejskiej i Europejskiego Banku Centralnego. A jeśli tam nie uzyska się zrozumienia, tym bardziej należy w sposób przemyślany przywrócić kreację pieniądza na miarę potrzeb gospodarki przez NBP. W myśl zasady... „bo jak nie my, to kto”.

Dynamika gospodarcza

Drugim obowiązkiem NBP powinna być troska o dynamikę gospodarczą w średnim i długim dystansie czasu. Podkreślam ten obowiązek z całą mocą w przeciwieństwie do akcentowanego przez władze NBP obowiązku troski o „utrzymanie stabilnego poziomu cen”. Bez rozwijania tego wątku powiem tylko, że fakty – utrzymująca się od dłuższego czasu deflacja, sprzeczna z własnymi założeniami NBP świadczy o błędnym rozumieniu swoich zadań i obowiązków oraz wynikającym stąd aplikowaniu błędnych rozwiązań.

W kształtowaniu dynamiki gospodarczej NBP ma trzy podstawowe narzędzia-

dzia: kreację pieniądza, stopę procentową, kurs walutowy. O pierwszym już pisałem. Omówmy dwa pozostałe. Stopa procentowa w Polsce powinna sprzyjać napływowi kapitału oraz skłonności do oszczędzania, a jednocześnie stymulować inwestycje. Tak jednak nie jest. Po pierwsze NBP nie potrafi wymusić na bankach takiego oprocentowania depozytów i lokat, by było to opłacalne dla obywateli. Po drugie „podażanie” za przykładem banków zachodnich co do wysokości stopy procentowej wobec narastających napięć w świecie nie sprzyja napływowi kapitału zagranicznego, który uznaje, że ryzyko inwestowania w Polsce jest zbyt wysokie. A po trzecie oprocentowanie i dostępność kredytów inwestycyjnych w Polsce są na tyle utrudnione, że wielu przedsiębiorców powstrzymuje się z decyzją podjęcia inwestycji.

Realizowana od kilkunastu lat polityka stabilizacji kursu walutowego jest niekorzystna dla eksporterów, a jednocześnie przyczyniła się do powstania bez mała 700-tysięcznego zbioru zadłużonych we frankach szwajcarskich. Polityka kursu walutowego powinna być zawsze atrakcyjna dla polskich eksporterów, bo to jest główne narzędzie w walce z zagraniczną konkurencją. Najlepszym przykładem są tutaj Chiny – dziś mocarstwo ekonomiczne, o dynamice gospodarczej, o której my nawet nie próbujemy marzyć – 7-10% rocznie. Otóż w roku 2015 po pierwszych oznakach spowolnienia eksportu Chiny dokonały dewaluacji juana, by właśnie wesprzeć rodzimych eksporterów.

Polityka wobec banków

Na chwilę obecną NBP wcieliło się w rolę obrońcy, protektora banków komercyjnych. Nagradza je za bezczynność, nieróbstwo, po prostu lenistwo. O co chodzi? Wolne środki zgromadzone przez banki mają służyć do kreowania kredytu są lokowane na procent w NBP pod pretekstem tzw. nadpłynności. Za tak zamrożone pieniądze NBP płaci hojną ręką pokaźną prowizję bankom komercyjnym, a przecież już filozof Bacon mówił – „pieniądz jest jak nawóz, nie przyniesie plonu, jeśli go nie rozrzucić”. Polityka NBP w tym względzie jest sprzeczna z interesem podmiotów gospodarczych i gospodarstw domowych, a służy wyłącznie bankom komercyjnym.

Moim zdaniem potrzebna jest zmiana ról. **NBP powinno stymulować i wymuszać na bankach kreację kredytu. By tak się stało należy przejść**

od dodatniego do ujemnego oprocentowania deponowanych w NBP przez banki środków. To banki powinny ponosić koszty i płacić do NBP za swą beczynność jeśli tam lokują swoje depozyty.

Drugim elementem, narzędziem w relacjach z bankami jakie posiada NBP jest stopa rezerwy obowiązkowej. Wynosi ona obecnie 3,5%. Uważam, że banki inwestycyjne a także banki spółdzielcze mogłyby być zwolnione z rezerwy obowiązkowej, bądź mogłaby ona zostać obniżona do poziomu preferencyjnego jako premia za aktywną politykę kredytową. Polityka równego traktowania dużych i małych, silnych i słabych banków z reguły skutkuje uprzywilejowaniem tych pierwszych.

Trzecim elementem polityki NBP wobec banków, który powinien ulec radykalnej zmianie jest przyzwoleń na transfer zysków filii banków zagranicznych w Polsce. Nie waham się nazwać takiej polityki sabotażem, gdyż oznacza to wywóz kapitału z Polski, kraju zacofanego i niedoinwestowanego. Jest to tym bardziej naganne, że banki zagraniczne w Polsce nagminnie stosują tzw. kreatywną księgowość, fałszując zawyżając koszty swej działalności, w efekcie zaniżają zyski i tym sposobem także transferują środki zagranicę. Regułą banków komercyjnych jest dopisywanie zysku bilansowego do kapitałów własnych. Dzięki temu rośnie wartość i kurs jego akcji na giełdzie, zarabiają akcjonariusze. Przeciwny proceder, który ma miejsce w Polsce od lat to dowód niemocy NBP i siły zagranicznego kapitału w Polsce.

Niemoc NBP przejawia się także w polityce lokowania rezerwy dewizowej. Osiągnięta stopa zwrotu z rezerw walutowych w 2015 roku wyniosła 0,9%. Nie można tego wyniku uznać za korzystny. Oznacza on bowiem, że po uwzględnieniu zobowiązań NBP wobec MFW następuje realny transfer środków zagranicę a zatem saldo jest ujemne.

Prezes NBP, prof. Adam Glapiński z chwilą objęcia swego urzędu zadeklarował gotowość włączenia Komisji Nadzoru Finansowego w struktury NBP. Decyzję taką uznać należy za słuszną, gdyż jeśli chce się kontrolować i oddziaływać na banki w trosce o rodzimą gospodarkę, bezpieczeństwo klientów oraz samych banków trzeba mieć do tego narzędzia i robić z nich użytek. Przede wszystkim jednak trzeba mieć odwagę do podejmowania decyzji i brania odpowiedzialności za stan sektora bankowego.

O ład na rynku pieniężnym

Od wielu lat obowiązuje, z kosmetycznymi jedynie zmianami, ustawa Prawo bankowe i Prawo dewizowe. Życie już dawno je zdezaktualizowało. Pierwszy z brzegu przykład: wywóz z Polski kwoty większej niż 15 tysięcy euro i przywóz do Polski kwoty powyżej 10 tysięcy euro wymagają zgłoszenia i zgody NBP. Ciekaw jestem, kto dziś przestrzega tych zapisów. NBP ma przywilej wydawania indywidualnych zezwoleń na obrót dewizowy. Pytanie brzmi: ile takich zezwoleń zostało wydanych, czym to zostało uzasadnione. Bezpośrednio z prawa dewizowego wynika kantorowy obrót dewizami. Dziwi, że część banków w Polsce nie chce prowadzić wymiany walut, choć w bez mała wszystkich państwach europejskich jest to działalność zastrzeżona dla banków.

Skala obrotu kantorowego według NBP wynosi około 150 miliardów złotych rocznie. Moim zdaniem dane te są zaniżone, a obrót kantorowy jest znacznie większy i szybko rośnie. Można mówić nawet o drugim, niekontrolowanym przez państwo obiegu pieniądza, który służy finansowaniu i rozrachunkom szarej strefy, transakcjom importowym głównie z państw azjatyckich, niekontrolowanemu transferowi dewiz z Polski przez obcokrajowców pracujących w Polsce, głównie Ukraińców oraz tezauryzacji dewiz w myśl zasady, że pieniądź gorszy wypiera pieniądź lepszy. Zasilanie systemu kantorowego odbywa się przez Polaków pracujących zagranicą, przez turystów odwiedzających Polskę oraz, o dziwo, przez system bankowy. Brak wiedzy i kontroli obrotu kantorowego oznacza, że istnieje część gospodarki, która działa według reguł przez siebie wytworzonych ukrywając obroty, dochody, transferując zyski zagranicę, mówiąc wprost – anarchizując gospodarkę. To powinno nas dziwić i niepokoić, niestety doszliśmy już do momentu, że ten stan rzeczy zaczynamy postrzegać jako normalność.

Osobnym elementem rynku finansowego są parabanki i instytucje lichwiarskie. Oprocentowanie pożyczek przez nie udzielanych przekracza często kilkadziesiąt, a bywa że i sto procent rocznie. Tymczasem stary, żydowski dowcip mówił, że już pobieranie procentu w wysokości dziewięciu od sta jest Bogu niemiłe. Ponieważ jednak patrzy On z góry, z tej perspektywy cyfra dziewięć wygląda jak sześć, a taką stopę procentową gotów jest zaakceptować.

Rola parabanków i instytucji lichwiarskich niestety rośnie. Tajemnicą poli-

szynela jest fakt, że są one ekspozyturami banków i zagranicznych instytucji finansowych, zaś paradoksem to, że zostały wprowadzone na polską giełdę, ścigały kapitał z rynku polskiego, by następnie lichwiarskim oprocentowaniem zubażać najczęściej tych, którzy już są biedni, zaciskać na nich pętlę zadłużenia a zarobione środki transferować.

Co jest potrzebne

Na koniec pozwolę sobie przedstawić dwa postulaty pod adresem NBP. Nie mam wątpliwości, że wywołają zdziwienie, a może nawet sprzeciw. Uważam jednak, że milczeć w obu poniższych sprawach – to najgorsze rozwiązanie.

NBP powinien podjąć zdecydowane działania na rzecz utworzenia sieci banków komunalnych. Zadaniem tych banków powinna być obsługa instytucji państwowych i samorządowych oraz przedsiębiorstw będących własnością Skarbu Państwa i samorządów. To, że do chwili obecnej takich banków nie ma, a konta samorządów i wielu państwowych przedsiębiorstw są w bankach zagranicznych jest potwierdzeniem tezy, że nie chcemy być gospodarzem we własnym domu.

Polska potrzebuje także tzw. pieniądza lokalnego. Potrzebują go struktury regionalne, samorządy. Dzięki pieniądзом lokalnym, które świat zarówno słabiej jak i wysoko rozwinięty zna i stosuje, następuje aktywizacja ludności, przyspiesza rozwój gospodarczy. Moim zdaniem, choć to paradoks, właśnie NBP powinien inicjować, wspierać, edukować, przygotowywać i pomagać przede wszystkim samorządom w uruchomieniu waluty lokalnej.

Większość ekonomistów zgadza się, że przyszłość gospodarki światowej to kilka walut globalnych, w tym z pewnością z państw azjatyckich, a nie tylko USA oraz rosnąca liczba walut krajowych i pieniędzy lokalnych. Marzy mi się, by NBP zarówno sprawę banków komunalnych, jak i pieniędzy lokalnych potraktował jak swoją misję.

A jeśli na dodatek przy NBP powstałaby instytucja na wzór dawnego Rządowego Centrum Studiów Strategicznych, która zgromadziłaby najtęższych polskich ekonomistów mających odwagę rzetelnie zabierać głos w sprawach polskiej gospodarki i jej miejsca w gospodarce światowej i jeszcze łączyłaby prace analityczne i syntetyczne to nie mam wątpliwości, że zarówno Pan Pre-

zes, jak i członkowie Rady Polityki Pieniężnej NBP mogliby mówić o dobrze wykonanej robocie. Właściwego znaczenia, na jakie niewątpliwie zasługuje, nabrałaby nazwa Narodowy Bank Polski - prawdziwie Narodowy, prawdziwie Bank, prawdziwie Polski.

ROK 2017 OCZAMI POLSKIEGO PRZEDSIĘBIORCY

Co przyniesie Polsce i Polakom rok 2017? Czy upłynie pod dobrą czy złą gwiazdą? W kalendarzu chińskim jest to rok Koguta. Czy więcej w nim będzie piania i stroszenia piór, czy walki na uzbrojone w ostre noże szpony, tak jak nakazuje dalekowschodni rytuał?

Co przyniesie kolejne dwanaście miesięcy przedsiębiorcom? Jestem jednym z nich – polskim przedsiębiorcą. Wyczuwam i z odbytych rozmów wiem, z jak wielkim niepokojem właściciele małych i średnich firm zastanawiają się, co ważnego z ich punktu widzenia wydarzy się w 2017 roku. I dlatego dla samego siebie i całej polskiej braci przedsiębiorców spróbuję dokonać analizy, wybiec w przyszłość, opisać kierunek i przebieg wydarzeń. Uważam, że cztery czynniki będą decydowały o tym, co przyniesie rok 2017.

Na pierwszym miejscu stawiam „spuściznę roku 2016”, metodę rządzenia i skalę zaciągniętych zobowiązań finansowych, które przyjdzie realizować przez następne lata. Dołączyć do tego należy niepokojące zjawisko spowolnienia dynamiki gospodarczej.

Na drugim miejscu umieszczam walkę o władzę – przenoszenie i rozszerzanie pól konfliktów na coraz większe obszary, coraz to nowe grupy społeczne.

Trzecim czynnikiem o rosnącym znaczeniu i wpływie na rozwój wypadków w wymiarze politycznym, ekonomicznym i społecznym będzie kumulowanie realnej władzy i decyzji w rękach kasty urzędniczej, finansjery.

Jako czwarty czynnik wymienić należy uwarunkowania zewnętrzne (międzynarodowe i globalne), na które wpływ mieć będziemy znikomy, a których dynamika i nieprzewidywalność staje się regułą.

W spadku po starym roku

Po przejęciu władzy, podkreślmy- władzy bez mała absolutnej (prezydent, jednopartyjny rząd, wynikający stąd przywilej obsadzania swoimi ludźmi

wszystkich instytucji w państwie, NBP, część mediów) Prawo i Sprawiedliwość być może w przyпыłwie pychy i triumfalizmu, być może w wyniku błędnych kalkulacji, a najprawdopodobniej w łącznym efekcie powyższych i innych powodów rozpoczęło realizację swoich obietnic wyborczych. Niepełna lista tych, które zostały wprowadzone w życie przedstawia się następująco:

- 500+
- 12 złotych na godzinę
- płaca minimalna 2000 złotych
- wiek emerytalny 60 lat dla kobiet, 65 dla mężczyzn
- mieszkania na wynajem
- darmowe leki dla seniorów

Wierność programowi wyborczemu to postawa godna najwyższej pochwały, tym bardziej w czasach, gdy słowo polityka stało się „dęte, a nie święte”. A jednak obietnice wymagają, by zostały oparte na fundamencie mądrej, sprawnej strategii ekonomicznej. Literatura dostarcza wielu przykładów do czego prowadziła polityka oderwania celów od środków, którymi się dysponowało. Określana jest ona jako polityka woluntarystyczna. Wyznaczenie ambitnych, z pewnością słusznych celów i przystąpienie do ich realizacji bez uprzedniego przygotowania narzędzi, mechanizmów, całej partytury działań ekonomicznych przypomina jednak stawianie wozu przed koniem. Co gorsza, na wóz naładowano dodatkowy bagaż, wóz zapada się po osie, a woźnica strzelając z bata krzyczy – wiśta, wio!

Mój zarzut wobec rządów PiS w roku 2016 dotyczy zatem metody rządzenia. Powinna ona polegać na dogłębnym, dokładnym uporządkowaniu i ustaleniu kolejności działań w myśl prakseologicznej zasady – wpierr zestawienie środków, a następnie wyznaczenie maksymalnego celu możliwego do osiągnięcia i wynikającego stąd długookresowego trendu. Stało się odwrotnie i już dziś zaczynają się ujawniać negatywne efekty popełnionych błędów. Wskażę najważniejsze: spadek rozmiarów inwestycji, głównie prywatnych w wielkościach absolutnych, spadek tempa wzrostu PKB, spadek dynamiki, a być może i wolumenu eksportu. Spadek inwestycji to dla Polski, państwa zacofanego gospodarczo, społeczeństwa na dorobku – wiadomość najgorsza z możliwych. Oznacza bowiem, miast nadrabiania dystansu, jego utratę do najszybciej roz-

wijających się gospodarek światowych. Polska bez szybko rosnących inwestycji cofa się, skazuje na zagładę i to w perspektywie dwóch bądź kilku pokoleń. Za spadek inwestycji odpowiedzialność ponoszą rządzący, gdyż to oni wysyłają sygnały do przedsiębiorców co do perspektyw, przewidywanych zysków, wsparcia w walce konkurencyjnej na rynkach globalnych. Rok 2016 upłynął w atmosferze nagonki na przedsiębiorców, oskarżania ich o łamanie prawa, niepłacenie podatków, straszenie kontrolami i inspekcjami. Niestety, zapowiedzi na rok 2017 ze strony rządzących w stosunku do przedsiębiorców są być może nawet bardziej zniechęcające do inwestowania. Przecież Państwowa Inspekcja Pracy zapowiada zaostrzenie kontroli rozliczania czasu pracy i wynagrodzeń w firmach budowlanych, ochroniarskich i innych. O kilkadziesiąt procent mają podrożeć ubezpieczenia pojazdów i nieruchomości. Już drożeją paliwa, lada chwila wzrosną ceny energii i tylko patrzeć, jak rząd sięgnie do towarów obłożonych podatkiem akcyzowym. A przecież stawka 12 złotych na godzinę i płaca minimalna wynosząca 2000 złotych – efekt dwóch ustaw uchwalonych przez rządzącą większość to będą dodatkowe czynniki podnoszące koszty funkcjonowania przedsiębiorstw, pogarszające ich rentowność, komplikujące życie przedsiębiorcom. Stąd nie dziwota, że wielu spośród nich powstrzymuje się od inwestowania, zastanawia jak przetrwać w pogarszających się okolicznościach.

Wielkie nadzieje wiążą odpowiedzialni za gospodarkę w rządzie z funduszami unijnymi. Uważam, że jest kardynalnym błędem przypisywanie magicznej mocy funduszom unijnym i traktowanie ich jako remedium na rozwój gospodarczy. Ani ich skala, ani towarzyszące im uwarunkowania co do reguł wykorzystania, a tym bardziej fakt, że będą mała relatywnie i w wielkościach absolutnych w kolejnych latach nie powinno zostawić złudzeń, że należy liczyć na własną energię, potencjał, tworzyć własny kapitał.

Fundusze unijne i ich podział już są, a w roku 2017 będą w jeszcze większym stopniu przedmiotem konfliktu, walki o władzę i wpływy w ugrupowaniu rządzącym. W efekcie podział niewiele będzie miał wspólnego z rachunkiem ekonomicznym, a o wiele więcej z podziałem łupów. Przykładem niech będzie kolej, która otrzyma w 2017 roku ogromne środki na inwestycje, około 26 miliardów złotych. Cóż z tego, skoro wydatkowane będą one w sposób nieskoordynowany (przykładem dworzec w Łodzi, wylotówki z Warszawy)

z innymi koniecznymi inwestycjami modernizacyjnymi, co oznacza, że z powodu „wąskich gardeł” w modernizacji linii kolejowych i innej infrastruktury, w szybkości i efektywności przewozów kolejowych nie nastąpią większe zmiany przez szereg lat. Piszę o tym, by ci spośród rządzących, którzy karmią się i karmią innych złudzeniem, że inwestycje z funduszy unijnych ożywią naszą gospodarkę w 2017 roku i następnych zeszli na ziemię i przestali wierzyć w fikcję. Inwestycje unijne mają jeszcze dodatkowy aspekt. Wymagają uprzedniego finansowania ze środków własnych - budżetowych bądź samorządowych. Napięty budżet 2017 roku pod dużym znakiem zapytania stawia to właśnie pierwotne samofinansowanie.

Spadek tempa wzrostu PKB w 2016 roku i spadek eksportu to zjawiska bardzo niepokojące. Nawet jeśli przyjąć, że część winy należy złożyć na kreatywną księgowość i eksport fikcyjny dla osiągnięcia zwrotu VAT-u, jaki realizowano w roku 2015, to i tak dla budżetu państwa jest to zła wiadomość.

Przyjęty do realizacji budżet na rok 2017, obym się mylił, jest zbyt optymistyczny po stronie dochodów, a zatem trudny będzie do zrealizowania. Założone tempo wzrostu gospodarczego w wysokości 3,6% odniesione do niskiej podstawy roku 2016 nie może być powodem do dumy. Niska dynamika gospodarcza uniemożliwi szybkie i radykalne zwiększenie wpływów podatkowych. Uważam, że wpływy podatkowe na rok 2017 z podatku VAT są przeszacowane. Co więcej, wprowadzone zmiany w systemie rozliczania VAT, przykładowo w budownictwie, skutkować będą pojawieniem się zatorów płatniczych, brakiem pieniędzy w firmach budowlanych, wynikającym z nieotrzymywania bądź opóźniania zwrotów z urzędów skarbowych, a w konsekwencji konfliktami i stagnacją w całej branży. Rząd po cichu liczy na znaczne, dodatkowe wpływy z zysku z NBP. Ale pamiętać należy, że nawet jeśli tak się stanie, to pojawiają się one na koncie budżetu państwa dopiero na koniec roku budżetowego, a nie w jego trakcie.

Po stronie wydatków realizacja obietnic wyborczych w 2017 roku, czyli celów społecznych kosztować będzie budżet państwa około 40-50 miliardów złotych. Tak rozdęte wydatki socjalne nakładają na ministra finansów dodatkowy obowiązek uzyskiwania wpływów podatkowych systematycznie i w określonej wysokości, by mógł on dysponować niezbędnymi środkami w dokładnie wy-

znaczonym momencie. Dyscyplina podatkowa, czyli mieć wpływ z podatków zgodne z założeniami na dany dzień, to warunek „być albo nie być” dla ministra finansów.

Szczególny niepokój budzi we mnie fakt rozbudzenia i podsycania przez rząd postaw roszczeniowych różnych środowisk. Jeśli płaca minimalna będzie wynosić dwa tysiące złotych trudno sobie wyobrazić, by dziś wykwalifikowani i doświadczeni robotnicy, technicy nie zaczęli się upominać o podwyżkę płac. Kolejne grupy zawodowe im lepiej zorganizowane, tym silniej i hałaśliwiej występować będą z roszczeniami płacowymi. A przecież nad rządem zbierają się chmury za sprawą konfliktów w górnictwie, służbie zdrowia, oświacie, służbach mundurowych. W roku 2017 rząd stanie wobec narastającej presji na wzrost płac, a najgłośniejsze upominać będą się ci, co do których można mieć wątpliwości, czy podwyżki im się należą. Ale na tym właśnie polega ich sprawność – reagują stanowczo, bo mają siłę.

Walka o władzę

Obecny układ rządzący jest zgubny. Jarosław Kaczyński posiada pełnię władzy, podkreślmy – pełnię władzy ustawodawczej i wykonawczej będąc jednocześnie osobą nie ponoszącą żadnej odpowiedzialności za efekty rządzenia. To wypacza, demoralizuje, wynaturza struktury polityczne i urzędnicze całego państwa.

Jarosław Kaczyński we własnym ugrupowaniu PiS „zarządza poprzez konflikty”, głównie personalne, kreuje je, by zachować przywilej bycia arbitrem, do którego należy ostatnie zdanie. Wywoływanie konfliktów na zewnątrz z różnymi środowiskami społecznymi, politycznymi, gospodarczymi, zawodowymi ma z kolei służyć dyscyplinowaniu własnych szeregów i zamykaniu ust ewentualnym krytykom, gdyż wobec wroga zewnętrznego należy zachować jedność. Zdezorientowanej opinii publicznej rozniecanie sporów ma udowodnić, że istnieje i jest możliwy wyłącznie podział dwubiegunowy „albo my, albo oni, którzy już byli”. Jest to próba budowania bezalternatywnego świata politycznego dla przeciętnego Polaka. Jest wielkim nieszczęściem narodu i państwa, że udało się wsączyć w bez mała wszystkie struktury społeczne od rodzin przez wspólnoty zawodowe i religijne na środowiskach kibicowskich kończąc po-

działy, wrogość a nawet nienawiść w imię haseł i ideologii głoszonych przez dwa obozy polityczne: PiS i PO.

Przykładem niech będzie konflikt z dziennikarzami w Sejmie. Jeśli media są czwartą władzą (niektórzy twierdzą, że jak nie pierwszą, to drugą) to w sytuacji, gdy już ma się konflikt z władzą trzecią, czyli sądowniczą szukanie nowego, potężnego wroga uznać należy za głupotę do potęgi. A przecież mając władzę nad państwowym radiem i telewizją PiS ogranicza swobodę pracy dziennikarzy w Sejmie stwarzając nieodparte wrażenie o ograniczaniu swobody dostępu do informacji, „własnym” dziennikarzom utrudnia pracę i ... zarobienie na kromkę chleba, co skwapliwie wykorzystują media nieprzychylne rządowi.

Można mieć poważne obawy, że konflikt między PiS i PO ma doprowadzić do polskiej kolorowej rewolucji i polskiego Majdanu, gdzie każda ze stron ma nadzieję, że wyjdzie z niego zwycięsko. Na pewno przegranymi będą naród i państwo.

Siła urzędnika

Zaostrzanie się konfliktu politycznego w Polsce skazuje rządzących – czy tego chcą, czy nie – na rosnące uzależnienie się od resortów siłowych i ogromnej kasty urzędniczej. W efekcie model rządzenia, który coraz wyraźniej przyjmuje PiS to model etatystyczny oparty na urzędnikach podejmujących decyzje dotyczące najważniejszych spraw w gospodarce i polityce społecznej. Eliminowana jest bądź spychana na margines inicjatywa i aktywność społeczna oraz przejawy autentycznej samorządności. Taki układ władzy w długim dystansie jest dla Polski konfliktogenny i zabójczy, gdyż blokuje bądź niszczy energię obywateli, wspólnot, ich poczucie godności i odpowiedzialności.

Znamiennym przykładem i dowodem braku przygotowania do przejęcia władzy, swoistego kompleksu jest fakt, że wśród 232 posłów PiS w sejmie ani jeden, powtarzam – ani jeden, nie ma zawodowego przygotowania ekonomicznego, a co dopiero makroekonomicznego, bądź akademickiego upoważniającego do zabierania głosu w sprawach gospodarczych. Ten fakt skutkuje uzależnianiem się rządzących od wszelkiej maści doradców, firm eksperckich i lobbystów, a nade wszystko urzędników. Pamiętać jednak należy, że mądry urzędnik na pierwszym miejscu stawia poczucie własnego bezpieczeństwa i ko-

rzyść. Nigdy nie będzie sugerował trudnych, ryzykownych decyzji jeśli miałoby to zagrozić jego karierze.

Dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby w roku 2017 wobec napięć i niemożności uwiarygodnienia rządu w oczach wyborców dobrymi rozwiązaniami ekonomicznymi pan premier Mateusz Morawiecki został oskarżony o nieudacznictwo i ... rzucony na pożarcie, czyli zdymisjonowany.

Co to znaczy dla polskiego przedsiębiorcy?

Przytoczone powyżej argumenty skłaniają do wniosku, że rok 2017 dla większości małych i średnich przedsiębiorców będzie bardzo trudny. Z jednej strony rosnąć będą koszty, z drugiej zaś można mieć obawy, czy rosnąć będzie popyt krajowy i zagraniczny. Brak strategii gospodarczej dotyczącej przemysłu rzutować będzie na rozmiary inwestycji i ich efektywność. W sytuacji ogromnych zobowiązań socjalnych może dojść do napięć w budżecie państwa, co przy niestabilnej sytuacji politycznej doprowadzić może do konfliktów społecznych na dużą skalę.

Rząd nie chce uczynić z wielkiej rzeszy małych i średnich polskich przedsiębiorców swoich sojuszników, gdyż żadna z ustaw na to nie wskazuje, a ze środowiskiem tym nie konsultuje się rozwiązań gospodarczych i ekonomicznych. Rząd musi zatem przyjąć do wiadomości, że ogromny potencjał tkwiący w tej grupie społecznej pozostanie niewykorzystany, co gorsza, może zostać zmarnowany.

JEDNOLITY PODATEK NA ŁOPATKACH

Jednolity podatek to pomysł sprzed lat. Dziś „podejście” pod ten pomysł rozpoczęła ekipa „dobrej zmiany”. Jeśli byli rządzący i obecnie rządzący proponują to samo, należy zastanowić się skąd nagle taka zgodność idei, o co naprawdę chodzi. Moim zdaniem trzeba jednak wykazać czujność, by nie znaleźć się w sytuacji, „że aż strach się bać”.

Sam pomysł jednolitego podatku jest prosty i czytelny. Obywatel miast płacić podatek od dochodu do Urzędu Skarbowego i osobno składki na świadczenia społeczne do ZUS, odprowadza łączną kwotę według ustalonej formu-

ły do wskazanej instytucji państwowej. Podkreślmy, że obywatel praktycznie przestaje rozróżniać, co jest podatkiem czyli zobowiązaniem wobec państwa, a co jest składką na świadczenia społeczne, których on powinien być beneficjentem, a państwo gwarantem. Jeśli tak, to pytanie brzmi: jaka myśl przyświecała pomysłodawcom? Odpowiedzi udziela Paweł Wojciechowski, główny autor pomysłu, który o sobie mówi, że nosił się z nim „od ponad dziesięciu lat”. Za najważniejsze uważa:

- zwiększenie progresji dochodowej
- zmniejszenie zróżnicowania obciążeń między różnymi formami zatrudnienia
- radykalne uproszczenie systemu

Pawłowi Wojciechowskiemu należy podziękować za szczerość, stawia bowiem sprawę jasno. Nowy system opodatkowania powinien zwiększyć obciążenie najwyżej zarabiających, zaś za pośrednictwem budżetu odebrane środki finansowe powinny być przekazane grupom najuboższym. Uproszczenie zaś systemu ma polegać na tym, że płaci się wszystko jednorazowo w jednym urzędzie. Uzasadnienie tego pomysłu najjaśniej sformułował przewodniczący sejmowej komisji finansów publicznych poseł PiS Jacek Sasin (z wykształcenia historyk) – „Bogaci powinni płacić więcej – to wynika z elementarnego poczucia sprawiedliwości społecznej”. Jak widać na wydziale historycznym UW uczyli pryncypialnie nawet po 1989 roku, doktryna marksistowska miała się dobrze, nauka nie poszła w las, a ... w posła Sasina.

Sprzeczność podstawowa

Ponieważ koncepcja jednolitego podatku całkowicie mi nie odpowiada, podejmę tu próbę wykazania fundamentalnych sprzeczności, które niesie ten pomysł a także przedstawię szczegółową analizę jego najważniejszych uchybień.

Podatek dochodowy jest daniną płaconą przez obywatela państwu jako instytucji. Obywatel akceptuje zarówno państwo, jak i płaconą mu daninę, w większym czy mniejszym stopniu utożsamiając się i z instytucją i ze swoją powinnością. Funkcje i obowiązki wykonywane przez państwo i jego instytucje uznaje za ważne i potrzebne. **Podatek ma być zatem wydatkowany zgod-**

nie z szeroko rozumianym interesem obywatela, z reguły za jego wiedzą. Wpływ obywatela na wysokość kwot, ich strukturę, czas wydatkowania jest praktycznie żaden. Ogranicza się do aktu wyborczego i decyzji opartej wyłącznie na przedwyborczych obietnicach tej czy innej partii.

Natomiast składki na świadczenia społeczne ze swej istoty i treści są częścią dochodu obywatela potrącaną po to, by sfinansować ryzyka, które mogą mu się przydarzyć teraz i w przyszłości, jak choroba bądź wypadek, a także by jego starość była zabezpieczona w postaci funduszu emerytalnego. **Należy zatem powiedzieć, że składki są wypracowane przez obywatela, są jego własnością i jemu przynależą. Państwo pozostaje wyłącznie depozytariuszem i gwarantem, że należne świadczenia nie zostaną zmarnowane, a obywatel będzie mógł w pełni z nich korzystać znając zakres i wysokość. Podkreślam - składki na świadczenia społeczne to własność obywatela.** Jeśli tak, to ich przeznaczenie jest zdeterminowane: składka zdrowotna powinna iść na zdrowie, emerytalna – na emeryturę. Zgoda, że obecnie w dużym stopniu składki są marnotrawione, bądź źle wydawane. Ale czy zmiana powinna iść w kierunku zatarcia różnicy między składką a podatkiem? **Ujednolicony podatek fałszuje rolę państwa jako instytucji stojącej na straży praw i pieniędzy podatników. Ujednolicony podatek czyni nieczytelnym co obywatel jest winien państwu, a co państwo jest winne obywatelowi. Jeśli podatek to zobowiązanie obywatela wobec państwa to składki na świadczenia społeczne są zobowiązaniem państwa wobec obywatela. Moim zdaniem misją państwa w stosunku do naszego społeczeństwa nie mającego jeszcze w wielu wypadkach „genetycznego nawyku” kalkulowania według reguł gospodarki rynkowej jest edukowanie obywateli: za co płać, na co płać, komu, ile, i co im się z tego tytułu należy. Jednolity podatek takich odpowiedzi nie udziela. On je kamufluje, a przez to miast edukować, ogłupia i szkodzi.**

Pojawia się także niebezpieczeństwo zawłaszczania przez państwo środków, które z definicji powinny być przeznaczone na ochronę zdrowia bądź zabezpieczenie emerytalne. Pojawia się także niebezpieczeństwo graniczące z pewnością, że zawłaszczane środki pójdą na sfinansowanie wydatków ważnych z punktu widzenia rządzących, ale niezgodnych z interesem obywatela.

Ilość ryzyk związanych bądź wynikających z ogromu kwot, jakimi obracałby zarządzający jednolitym podatkiem gwałtownie wzrasta i stawia pod znakiem zapytania wypłacalność systemu w przyszłości.

Analiza szczegółowa

Dokonajmy szczegółowej analizy. Bez mała 25 milionów Polaków płaci podatek dochodowy. 23,8 miliona deklaruje dochody niższe od 85 500 złotych rocznie i płaci według stawki 18%. Daje to budżetowi około 35 miliardów złotych, co stanowi 75% wpływów z PIT. Około 3% podatników, nieco ponad pół miliona Polaków zarabia więcej niż 85 500 rocznie i 32% kwoty oddaje do budżetu, czyli około 12 miliardów złotych. Wśród zarabiających więcej jest grupa o dochodach ponad 120 tysięcy złotych rocznie – i to oni „wpadli w oko” rządzących i wspomnianego wcześniej posła Sasina. Czemu? Bowiem w myśl obowiązującego prawa od kwoty ponad 120 tysięcy złotych nie płaci się dodatkowej składki na ubezpieczenia społeczne. Posłowi Sasinowi nie podoba się, że „zarabiający 120 tysięcy złotych i więcej rocznie nie płacą już dodatkowej kwoty na ZUS”. Pomysł więc polega na tym, by dochód ponad 120 tysięcy złotych rocznie opodatkować w takiej wysokości, by uzyskane środki były co najmniej równe nieściągniętej składce na ZUS. Według szacunków Pawła Wojciechowskiego tą drogą uzyska się około 7 miliardów złotych.

Pierwsza wątpliwość, którą trzeba tu podnieść dotyczy efektu dochodowego. Nawet jeśli przyjąć, że 7 miliardów złotych założone przez autorów projektu zostanie skutecznie ściągnięte, to spytać należy, jaką kwotę otrzyma obywatel z pięciomilionowej grupy najuboższych Polaków zarabiających mniej niż 13 000 złotych rocznie. Otóż będzie to kwota około 110 złotych miesięcznie. Moim zdaniem efekt polegający na spłaszczeniu różnic w dochodach między zamożnymi i ubogimi będzie iluzoryczny i niezauważalny. Podsycone zostaną natomiast nastroje konfrontacyjne, roszczeniowe, sprzeczności i animozje społeczne.

Wątpliwość druga dotycząca jednolitego podatku jest poważniejszej natury. Już teraz przedsiębiorcy, najczęściej z południa Polski, przerejestrowują swoje firmy do Czech bądź na Słowację – gdzie system podatkowy jest prostszy i bardziej przyjazny. **Uważam, że proceder „wyprowadzania” firm zagranicę**

będzie postępował i nasili się, jeśli nowe regulacje zostaną wprowadzone w życie. Przy takim scenariuszu jest bardzo wątpliwe, by wpływy podatkowe wzrosły. Przeciwnie, sądząc że spadną i to znacznie.

Kolejnym argumentem, który należy uwzględnić, a który pomysłodawcy przemilczają bądź pomijają jest wpływ nowej ustawy na skłonność do oszczędzania. Skłonność ta jest funkcją wysokości dochodów. **Opodatkowanie wyższych dochodów obniży skłonność i możliwości oszczędzania grup zamożniejszych ze wszystkimi tego konsekwencjami dla inwestycji i dynamiki gospodarczej.** Zwolennicy nowego pomysłu odpowiedzą zapewne, że zwiększone dochody rodzin najuboższych przełożą się na zwiększoną skłonność do konsumpcji, a w konsekwencji zwiększony popyt i obroty handlu. Pytam – to czemu pieniądze z ustawy 500+, którym rządzący przypisywali podobną zdolność, nie zdynamizowały gospodarki, co gorsza, tempo wzrostu spada. Przyczyn tego zjawiska jest wiele, między innymi struktura konsumpcji, w której dobra z importu odgrywają doniosłą rolę. Wprowadzając ustawę 500+ rząd po części przyjął na siebie obowiązki „akwizytora” banków i sieci handlowych – gdyż to one na ustawie zarobiły najwięcej. Jest to jednak temat na osobną analizę.

Autorzy pomysłu za wielką zaletę uznają uproszczenie systemu podatkowego. Trudno mi się z tym zgodzić, gdy po przeczytaniu ich deklaracji dowiaduję się, że stawek podatkowych będzie nie dwie jak obecnie, a od czterech do siedmiu lub ośmiu. Czy na tym ma polegać prostota? Co więcej, w chwili obecnej mamy takie formy opodatkowania dla przedsiębiorców, jak ryczałt i karta podatkowa. Korzysta z nich kilkaset tysięcy małych firm. Można obawiać się, że ujednolicony podatek te formy rozliczenia po prostu zlikwiduje. Przecież termin „jednolity” ma czytelną treść – taki sam dla wszystkich. Osobnym tematem jest definicja kosztu uzyskania przychodu dotycząca środowisk naukowych i twórczych, a na dziś określona na 50% przychodu. Jednolity podatek ten szczególny przywilej powinien znieść. Czy będzie to słuszne i zgodne z interesem środowiska naukowego i twórczego? Odpowiedź jest krótka – zdecydowanie nie. Co zatem zrobi ustawodawca?

Dochodzimy teraz do kwestii ogólniejszej natury. Proponowana zmiana ma objąć zarówno przedsiębiorców, jak i pracobiorców. Co najmniej kilkanaście

milionów podatników powinno zatem zostać przeszkolonych w posługiwaniu się nowym prawem podatkowym. Pojawia się pytanie – kto weźmie na siebie trud przeszkolenia i nauczania, skąd wygospodarowane zostaną na to środki finansowe, ile czasu na to potrzeba, jak wiele błędów i nieporozumień przyniesie życie.

Wrzucenie przedsiębiorców i pracobiorców do jednego worka podatkowego jest wielkim błędem, ponieważ komuna przez dziesięciolecia wybijiała nam z głowy i obrzydzała postawy inicjatora działalności gospodarczej, sylwetkę przedsiębiorcy. To jest zawód, a ja śmiem twierdzić, że we współczesnej Polsce to jest misja i powołanie, które trzeba wspierać, krzewić, wyróżniać a państwo powinno się o kreatywnego i uczciwego przedsiębiorcę troszczyć. Tymczasem połączenie jednych i drugich oznacza całkowity brak zrozumienia różnic między obydwojma zawodami i znaczenia przedsiębiorców dla pomyślnej przyszłości naszej Ojczyzny.

Wyłączeni z systemu

Kolejna wątpliwość dotyczy grup społecznych, które mają własne, odrębne systemy emerytalne i systemy płacenia składek na świadczenia społeczne. Są to: służby mundurowe, wymiar sprawiedliwości, rolnicy należący do KRUS. Przytoczmy dane. Dotacja do systemu emerytalnego w 2016 roku wyniosła dla: służb mundurowych - 15,2 miliarda złotych, wymiaru sprawiedliwości – 2 miliardy, KRUS – 18,2 miliarda złotych. Dziś do jednego emeryta trzeba dołożyć z budżetu państwa (bo ze składek nie starcza) 10 tysięcy złotych, do rolnika emeryta 16,2 tysiąca złotych, emeryta mundurowego 38 tysięcy złotych, emeryta sędziego i prokuratora – 55 tysięcy złotych rocznie. I tu wypada zadać główne pytanie – czy powyższe grupy społeczne zostaną objęte ujednoliconym podatkiem? Wszystko wskazuje, że nie. Rząd zatem pod hasłem polityki prospołecznej odwraca uwagę opinii publicznej od tych grup (nie dotyczy to większości rolników), które były, są i pozostaną uprzywilejowane w sensie dochodowym i podatkowym. **Budowanie autorytetu przez władzę na „wdzięczeniu się” do resortów siłowych, prokuratorów i sędziów to schemat znany z komunistycznej i balcerowiczowskiej przeszłości. Stosowanie go dla wszystkich rządzących kończyło się tak samo – porażką polityczną.**

Ukryte zagrożenie

Czy jest jednak cel, o którym się nie mówi, który moim zdaniem przyświeca rządzącym? Sądzę, że jest. Wobec rosnącego i przybierającego na sile zjawiska podejmowania jednoosobowej działalności gospodarczej, gdzie suma narzutów na dochód odprowadzanych bądź to jako podatki, bądź składki jest niższa od pracy na tzw. etacie, **rząd chce praktycznie zlikwidować tę formę działalności zrównując obciążenia jednoosobowego przedsiębiorcy z pracownikiem na etacie. Tą drogą według niektórych szacunków rząd chce ściągnąć nawet kilkanaście miliardów złotych wpływów do budżetu. Nie jest zatem prawdą, że system pozostanie „neutralny”, czyli to co odbierze bogatym dołoży biednym. Przeciwnie, nowy system uderzy przede wszystkim w małe i średnie polskie firmy, a najbardziej w początkujących, jednoosobowych przedsiębiorców.** Wzrost liczby jednoosobowych firm to efekt ułomności systemu podatkowego i jego pazerności w stosunku do pracownika etatowego. Władze, miast szukać rozwiązania korzystnego dla obywatela i przedsiębiorcy, upatrują swoją szansę w bardziej opresyjnym podejściu do podatników. Co więcej, praktycznie zlikwidowany zostałby w ten sposób obecnie obowiązujący 19% liniowy podatek nałożony na jednoosobową działalność gospodarczą.

Jestem zdeklarowanym obrońcą polskiego małego i średniego przedsiębiorcy dlatego uważam, że wszelkie pomysły rządzących pogarszające sytuację tej grupy zawodowej trzeba ujawniać, upubliczniać a przede wszystkim stworzyć front sprzeciwu i ... zwyciężyć.

Poważnym zarzutem wobec jednolitego podatku jest fakt, że pomija on całkowicie problem dynamiki gospodarczej. Jedną z funkcji i zadań systemu podatkowego powinno być właśnie kreowanie dynamiki gospodarczej. System winien zachęcać do oszczędzania, inwestowania, tworzenia nowych miejsc pracy, pomysłowości i wynalazczości. W rządowej propozycji na ten temat nie ma nic.

Nie ma także nic, albo przeciwnie, usunięto wszystkie elementy w postaci zwolnień, ulg, które miałyby na celu realizację zadań społecznych, a zwłaszcza wsparcie potrzebujących w chwili, gdy znajdują się w kłopotach.

Jednolity podatek penalizuje bogatych argumentując, że zamożniejsi „bar-

dziej korzystają z instytucji państwowych” zatem w większym stopniu powinni uczestniczyć w ich finansowaniu. Mówiąc nieco obrazowo – policjant bardziej broni bogatego niż biednego. Pogląd ten przy bliższej analizie trudno uznać za poprawny. Bogatych stać na zamknięte osiedla, prywatną służbę zdrowia a fakt, że zawód ochroniarza wykonuje około 300 tysięcy osób (policja ma około 100 tysięcy etatów) dowodzi, że słabe, źle rządzone państwo coraz częściej wycofuje się z funkcji, które kiedyś były dla niego zastrzeżone, jemu przypisywane. Państwo stosuje modną dziś metodę o okropnej angielskiej nazwie „outsourcingu”, czyli mówiąc z polska spychania obowiązków na innych. Jeśli tak jest, a jest – to wskazanie przez rządzących na bogatych jako tych, których należy dodatkowo opodatkować jest dowodem, że władza nie kieruje się troską o obywatela i państwo, a troszczy jedynie o fundusze potrzebne do utrzymania pasożytniczej biurokracji, urzędników, struktur „tajnych, widnych i dwupłciowych”.

Sumując

Pomysł” jednej elity” na podatek „jednolity” jest gorzej niż zły i cieszyć należy się z faktu, że nigdy jako spójnej koncepcji nie uda się go wprowadzić. Możemy odetchnąć. Podjęcie prac nad nim wystawia rządzącym jak najgorsze świadectwo – braku przygotowania, braku koncepcji, nieliczenia się ze zdaniem niezależnych ekonomistów. Samo nagłośnienie idei jednolitego podatku zwarzyło atmosferę społeczną, zasiało niepewność, pogorszyło nastroje wśród przedsiębiorców. Coraz częstsze głosy wśród samych rządzących mówiące o potrzebie wycofania się z pomysłu dowodzą, że niektórzy próbują iść „po rozum do głowy”. Oby na dodatek zaczęli pytać i słuchać tych, którym dobro Polski leży na sercu.

TUZIN ZŁOTYCH ZA GODZINĘ

We współczesnym świecie możemy mówić o trzech źródłach dochodów. Pierwszym źródłem są wyniki badań naukowych i związane z tym patenty, wynalazki bądź po prostu pomysły i talent. To one przynoszą największe dochody, są najwyżej cenione, dają to, co ekonomiści nazywają zyskiem nadzwyczajnym. Drugim źródłem dochodów jest własność kapitału. Mam tu na myśli nieru-

chomości, przedsiębiorstwa, akcje i udziały, zgromadzone na lokatach pieniądza. Ekonomisci mówią tu o należnym zysku z kapitału. Trzecim źródłem dochodów są dochody z pracy, tej fizycznej i tej umysłowej. One też są podstawą późniejszych wypłat rent i emerytur.

Dramat Polski dziś polega na tym, że za bezcen wyprzedaliśmy fabryki, banki, handel, a często nieruchomości czyli kapitał. Nabyły go zagraniczne firmy, przedsiębiorcy i to w ich ręce, do ich kieszeni trafia zysk z kapitału. Co gorsza, zagraniczni właściciele fabryk zlikwidowali działające przy przedsiębiorstwach ośrodki naukowo-badawcze, instytuty, zespoły ludzi, których zadaniem było opracowywanie wynalazków, nowych technologii, po prostu wymyślanie. Dziś jesteśmy państwem- kuriozum w Europie, o najmniejszej liczbie zgłaszanych patentów. Zatem zysk nadzwyczajny, ten najbardziej wydajny ekonomicznie nam się nie należy.

Staliśmy się przede wszystkim najemnymi pracownikami, często w zagranicznych firmach, często produkujących wyroby lub komponenty, które wymagają dużo nisko kwalifikowanej robocizny, co gorsza, nisko opłacanej. Efektem jest, że połowa pracujących Polaków, czyli około 8 milionów nie zarabia 2400 złotych miesięcznie, a około 1,5 miliona zarabia mniej, niż 1400 złotych miesięcznie.

Czy zatem ustawowe podniesienie stawki godzinowej płacy do 12 złotych brutto za godzinę to dobre rozwiązanie?

Odpowiedź tych, którzy bezpośrednio skorzystają z podwyżki będzie prosta – dlaczego tak mała podwyżka? Dlaczego nie więcej? I możemy powiedzieć, że będą mieli rację.

Z drugiej strony odpowiedź tych, którzy wypłacą podwyżkę – przedsiębiorców, najczęściej polskich małych i średnich będzie – a skąd mam na to wziąć pieniądze? To, co państwo daje pracownikowi idzie z mojej kieszeni. Podwyżka dla pracownika to dla mnie podatek. A często przedsiębiorca doda – jedynie państwo na tym zarobi, bo do płacy 12 złotych za godzinę brutto ja będę musiał jako przedsiębiorca dorzucić 2 złote narzutów z tytułu podatków i składek. Co gorsza, z ustawy wynika, że będę musiał prowadzić biurokratyczną dokumentację: ile, kiedy, gdzie, kto przepracował, bo jeśli nie dopilnuję dokumentacji, to kontrola Państwowej Inspekcji Pracy nałoży na mnie wysoką

grzywnę. A zatem, tym kto najwięcej na podwyżce stawki godzinowej zyska będzie urząd skarbowy.

I pracownik i pracodawca adresując pretensje do rządu mają rację. Dlaczego? Bo rząd swym działaniem zachowuje się jak lekarz, który nie leczy przyczyny choroby, a jej objawy. Bo przyczyną niskich dochodów Polaków jest złamanie świętej zasady własności mówiącej, że majątek narodowy powinien być w dominującym stopniu w polskich rękach, a nie tak jak ma to miejsce obecnie – jest własnością kapitału zagranicznego.

Błąd rządu polega też na tym, że arbitralnie ingeruje w stosunki między pracownikiem a pracodawcą – wchodzi „między wódkę a zakąskę” ustalając wysokość płac. Tymczasem jego rolą jest skupić się na tworzeniu takich mechanizmów i reguł, by popyt na pracę rósł i wymuszał na pracodawcy wzrost płac, tak jak się to dzieje na przykład w informatyce.

Ustawa o „tuzinie złotych za godzinę” pewnie uspokoi sumienia rządzących, będą mogli powiedzieć – „troszczymy się o najuboższych”. Ale my powinniśmy dopowiedzieć, że uspokajanie sumienia kosztem małego i średniego polskiego przedsiębiorcy to błąd. Co gorsza, narzucanie wyższej stawki godzinowej bezpośrednio zachęca i prowadzi do rozszerzenia sfery pracy niedeklarowanej, na szaro bądź czarno.

Ustawa „tuzin złotych za godzinę” ma także dodatkowe skutki ekonomiczne i społeczne. Po pierwsze – wzrost płacy minimalnej podnosi koszty produkcji najczęściej w polskich małych i średnich przedsiębiorstwach pogarszając ich konkurencyjność na rynku wewnętrznym i w eksporcie. Po drugie – wzrost kosztów produkcji w dobie deflacji czyli spadku cen własnych wyrobów – czego doświadcza wielu polskich przedsiębiorców – pogarsza rentowność przedsiębiorstw, obniża zyski, zdolność do inwestowania i rozwoju, a także prowadzi do spadku podatku dochodowego płaconego budżetowi.

A po trzecie – to uważam za szczególnie ważne – **ustawa o „tuzinie złotych za godzinę” wrzuca do jednego worka pracodawców polskich i zagranicznych przeciwstawiając ich polskim pracownikom. I tym oto sposobem polski mały i średni przedsiębiorca jest konfliktowany z polskim robotnikiem i pracownikiem, jakby to on był głównym winowajcą niskiego poziomu płac i dochodów, a nie dominujący u nas kapitał zagraniczny.**

Sumując uważam ustawę „tuzin złotych za godzinę” za bardzo ułomną, odwracającą uwagę od istoty problemu, sprzyjającą wzrostowi antagonizmów społecznych i działań nielegalnych. Nie tędy droga do naprawy Rzeczypospolitej.

Kto chce nam odebrać gotówkę?

Kiedy rząd w ostatnich tygodniach wystąpił z inicjatywą ustawy ograniczającej obrót gotówkowy między przedsiębiorcami do kwoty 15 000 złotych dla jednej faktury, mój nos wyczuł, że będą następne pomysły w tej tonacji. Ponieważ nie chciałem straszyć, krakać i wywoływać wilka z lasu – milczałem. I oto niestety moje przewidywania spełniły się w myśl zasady, że jak jest źle to może być zawsze gorzej czyli... wilk wyszedł z lasu sam. O kim mowa?

O Panu senatorze Grzegorz Biereckim, przewodniczącym komisji Finansów Publicznych, prezesie SKOK. Wspierany przez świętę prześwietnych doradców pan prezes raczył być udzielić wywiadu, w którym stwierdził co następuje: „Obrót gotówkowy powinien być ograniczony do codziennych, podstawowych zakupów (...) Stale zwiększa się powszechność kart płatniczych, od września, wskutek wdrożenia unijnej dyrektywy o podstawowym rachunku bankowym, wszyscy Polacy będą mieli dostęp do taniego w użytkowaniu konta, do dziesięciu przelewów ma być to usługa darmowa.”

Wypada mi w tym miejscu grzecznie zapytać pana prezesa czy kiedy będę chciał dać na tacę w kościele większą kwotę gotówką, co przecież zostanie zakazane, czy pan prezes łaskawie pozwoli mi skorzystać z darmowej usługi w SKOK – o ile parafia będzie miała konto.

Wypada też zapytać, jak rozwiązany zostanie problem obcokrajowców chcących wymienić dewizy na złotówki, ale nie życzących sobie rozliczenia poprzez karty płatnicze.

Należy też jednoznacznie poinformować, że wszystkie kantory wymiany walut ulegną likwidacji.

Argumenty przemawiające za pomysłem pana prezesa i jego prześwietnych doradców, przez niego przedstawione – brzmią bojowo: „(...) mamy do czynienia z dużą szarą strefą. To zaburza konkurencję, bo ten, kto płaci ludziom

pod stołem albo unika opłat ZUS czy na ochronę zdrowia może taniej zaofertować swoje produkty i usługi. Trzeba rozważyć ograniczenie w Polsce obrotu gotówkowego. To jest najlepszy sposób ograniczenia szarej strefy.”

Logika pana prezes jest porażająca. A mianowicie: za główną przyczynę istnienia szarej strefy w Polsce uznaje... obrót gotówkowy, istnienie pieniądza papierowego. Wniosek, który wyprowadza brzmi – zlikwidujmy obrót gotówkowy, a radykalnie ograniczymy bądź zlikwidujemy szarą strefę.

Ta logika pozwala mi zakwalifikować pana prezesa do grona ekonomistów, którzy niczym przysłowiowy lekarz z powieści Haszka o Szwejkę wszystkie choroby leczył... lewatywą.

Jeśli pan prezes chce konsekwentnie trzymać się przyjętej logiki, powinien „pójść za ciosem i postawić kropkę nad i”. Co mam na myśli? Czekam na obwieszczenie przez niego decyzji partii i rządu o całkowitej likwidacji i zakazie obrotu gotówkowego w Polsce. Ot co!

Ze swej strony przewiduję, że reakcją na taką decyzję byłoby spontaniczne powstanie „pieniądza gotówkowego drugiego obiegu”, którym najprawdopodobniej byłyby dewizy, a dominowałby dolar. Powstałby „niezależny, samorządny obrót gospodarczy”. Gwarantuję, że rozrost szarej strefy i czarnorynkowego, nieewidencjonowanego obrotu gospodarczego zaskoczyłby największych optymistów. A przecież w myśl terapii zaproponowanej przez pana prezesa... szara i czarna strefa powinny zniknąć.

Sądzę, że sprawa ograniczenia obrotu gotówkowego – pomysł i marzenie bankierów i banksterów to sprawa poważna, przedstawmy zatem nasze argumenty przemawiające przeciw.

Zło, patologię, chorobę a takimi jest istnienie szarej strefy w myśl podstawowej zasady lekarskiej należy leczyć nie szkodząc – primum non nocere. Leczenie należy zacząć od wskazania przyczyn oddzielając je od objawów. Moim zdaniem istnienie szarej strefy to w decydującej mierze efekt złego prawa gospodarczego, złego systemu podatkowo-kursowego, złego systemu kreacji pieniądza i wadliwego działania instytucji państwowych. Ograniczyć i to radykalnie szarą strefę można i należy, ale tylko pod warunkiem zastosowania instrumentów ekonomicznych i prawnych zachęcających i motywujących do ujawnienia obrotów i dochodów przez przed-

siębiorców i obywateli, a nie stosując przymus administracyjny i zakazy, strasząc karami.

Należy zapytać pana prezesa czy swój pomysł uzgodnił tylko ze swoimi prześwietnymi doradcami, czy tak jak nakazują reguły demokracji skonsultował go z bezpośrednio zainteresowanymi konsumentami i producentami. Z pewnością nie. Należy on zatem do grona tych przedstawicieli władzy, którzy „zawsze wiedzą lepiej i nie muszą nikogo pytać”.

Ograniczenie radykalne obrotu gotówkowego oznacza ograniczenie wolności gospodarczej, zaś przymus dokonywania zakupów za pośrednictwem banków i instytucji finansowych oznacza na dodatek radykalne naruszenie prawa do prywatności. Coraz częściej ostatnio te niezbywalne prawa człowieka są ograniczane, a nawet łamane. Dzieje się tak pod pretekstem obrony przed terroryzmem, bądź też pod pretekstem troski o budżet państwa. Pan prezes swym działaniem chce dopisać kolejną kartę. Takie zachowanie, taka postawa cechuje z reguły przedstawicieli władzy, która nie potrafi rządzić w imieniu i dla dobra obywateli, decyduje się zatem na rządy ... dla dobra własnego.

Wątpię, by pan prezes nie rozumiał, że przymus obrotu bezgotówkowego poprzez banki radykalnie rozszerza wiedzę tych instytucji o obywatelach, kontrolę nad obywatelami. Wiedza powzięta o klientach banków, wnioski z niej wynikające będą z pewnością konsekwentnie wykorzystywane do „strzyżenia obywateli”. A banki potrafią to znakomicie robić.

Ograniczenie obrotu gotówkowego to potężny cios wymierzony w handel bazarowy i giełdowy. A zatem w polskich małych i średnich handlowców. Może to oznaczać likwidację wielu tysięcy rodzinnych firm. A ponieważ przegraliśmy z kretesem wojnę z zagranicznymi firmami o dominację w handlu wielkopowierzchniowym to obrona ostatniego bastionu w polskich rękach – handlu w małych sklepach i na prowincji powinna być priorytetem działania rządu. Polscy mali i średni handlowcy nawet jeśli – zmuszeni „przez życie” do częściowego działania w szarej strefie – w Polsce płacą podatki, dokonują zakupów, inwestują. W przeciwieństwie do nich zagraniczne sieci handlowe podatków w Polsce nie płacą, a ogromne zyski transferują za granicę.

Istnienie szarej strefy w Polsce to także efekt błędnej, należy powiedzieć zgubnej dla państwa i obywateli polityki NBP i banków. Trudny pieniądź, drogi kredyt, deflacja to zjawiska będące efektem braku emisji pieniądza stosownie do dynamiki i potrzeb gospodarki. **NBP emituje pieniądź tylko na pokrycie wymiany dewiz na złotówki, a to oznacza niedobór „gotowego grosza” na rynku. Szara strefa dzięki której cyrkulacja, obrót pieniądza zostaje przyspieszony, zwielokrotniony to właśnie naturalna samoobrona podmiotów gospodarczych przed brakiem pieniędzy na rynku. O dziwo, o tym by pan prezes interweniował w NBP nie słyszeliśmy.**

Ograniczenie, bądź likwidacja obrotu gotówkowego radykalnie spowolni wzrost gospodarczy. Zacytujmy filozofa F. Bacona „pieniądz jest jak nawóz, nie rozrzucony nie przynosi plonów”. Likwidacja gotówki to likwidacja pewnej formy gospodarowania i narzucanie, wymuszanie innej. Każdy przymus w gospodarce to zło, choć bywa, że konieczne. Ale ten nowy przymus, nałożony na wszystkich obywateli, ostrzegam, może być... niebezpieczny nawet dla władzy.

Pora zadać (przepraszam damy) bardzo kobiece pytanie – ale właściwie o co chodzi? Otóż uważam, że pan prezes i prześwietna świta doradców doskonale wiedzą o co chodzi i komu to służy. A służy bankom i instytucjom bankowym, jak SKOK-i. One będą jedynymi depozytariuszami pieniędzy, one będą dyktowały reguły gry, zarabiały na wszystkim tyle, ile uznają, że należy, oczywiście kosztem obywateli i przedsiębiorców. Deklarowana troska o budżet ze strony pana prezesa to mówiąc językiem młodzieżowym „pyszna ściema”.

Propozycja radykalnego ograniczenia obrotu gotówkowego to od dawna marzenie prezesów największych banków. Dotąd nie mieli oni odwagi zgłosić tego pomysłu publicznie, zatem pan prezes ich usłużnie wyręczył, czyli zrobił „za nich, dla nich”.

A przecież pan prezes znakomicie rozumie, że to rozwiązanie będzie skutkowało zwiększeniem zysków banków kosztem obywateli i przedsiębiorców, a następnie zwiększeniem wywozu, transferu pieniędzy z Polski przez banki.

Wypada zapytać, **czy na tym ma właśnie polegać tak nagłaśniana idea repolonizacji banków i gospodarki? Jeśli tak, to polscy przedsiębiorcy powinni zdecydowanie powiedzieć – dość! A ja wzywam – polscy przedsiębiorcy organizujmy się i organizujmy samorząd gospodarczy.**

ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI

MYŚLI NIEPOPRAWNE

45 lat panoszenia się w Polsce marksizmu oraz już 27 lat bliskiego mu współczesnego liberalizmu powoduje, że zbyt wielu Polaków dzisiaj zapomniało o zdrowej staropolskiej zasadzie wolności – **Polak na zagrodzie równy wojewodzie**. Zbyt powszechne są za to naleciałości poddańczej mentalności rosyjskiej, jak np. ciszej jedziesz, dalej zajedziesz. Postawa pierwsza rozumiana głęboko stanowi, że masz swój własny pogląd na sprawy i potrafisz go bez względu na skutki wyznawać czynem. Natomiast serwilistyczna postawa druga promuje tzw. niewychylanie się. Polacy rozdarci są również na kolejnym polu; **czy wolność oznacza prawo do tzw. róbtka co chceta, czy też zasadę – żyj i daj żyć innym**. Pierwszą część tego dylematu promuje demokracja liberalna, natomiast postawy w drugim ujęciu kształtuje klimat wolności odpowiedzialnej, budowanej na prymacie uniwersalnych wartości niezależnie od tego, ilu ludzi w danej chwili je wyznaje. I problemy te dotyczą z równą mocą życia jednostki, jak i całego państwa. Szkodliwie wobec ludzi zachowuje się myślący marksistowsko jeden człowiek, jak i zdemoralizowane socjalistyczną lub liberalną demokracją państwo. Skutkiem tego w wielu ludziach tkwi niedobry syndrom zawsze bezkrytycznego popierania tzw. „swoich” bez względu na to, co by oni nie robili. Powoduje to często także stan pomieszania z poplątaniem. Środowiska uznawane za prawicowe forsują rozwiązania lewicowe, a środowiska lewicowe rozwiązania prawicowe.

Ja jestem oczywiście zwolennikiem takiego kraju, w którym życie człowieka wyznaczają Boże uniwersalne zasady wolności odpowiedzialnej zarówno w życiu indywidualnym, jak i zbiorowym. I marzę, aby takim krajem była moja ukochana Polska. Ale niestety, mój kraj od takich warunków dzieli jeszcze

ogromna przepaść. Każdy, kto mnie zna wie gdzie, jak i dlaczego rozkładają się dzisiaj moje polityczne sympatie i antypatie, co publicznie jasno wyrażam, ale w moim świecie **najważniejsze jest co kto mówi, a nie kto to mówi**, ponieważ nie ma ludzi, którzy

mają patent na czynienie dobra, a kto uważa inaczej jest osobą niebezpieczną. Stąd nie jest niczym niezwykłym, że moi rodacy podobnie jak w innych narodach jednym tchem w jednej sprawie uważają słusznie, a w innej niesłusznie. W naszym chrześcijańskim kręgu cywilizacyjnym każdy człowiek jest bowiem ułomny i dlatego o tym, czy w danej chwili czyni on dobro lub zło, w pierwszym rzędzie decyduje nie opinia władzy i prawo stanowione przez ludzi, ale dane przez Boga ludziom uniwersalne wartości Dekalogu. Uznaje się dość powszechnie, że jakość stanowionego w Polsce prawa jest niska, a jest tak przede wszystkim dlatego, że elity sceny politycznej są źle wybierane oraz nie oceniają one, czy to prawo jest zgodne z prawem 10 Przykazań. O jego wartości ma decydować jedynie orzeczenie grupki sędziów Trybunału Konstytucyjnego, czy jest ono lub nie jest zgodne z Konstytucją. A co, jeżeli i jej zapisy w wielu wypadkach nie spełniają zasad Prawa Bożego?

Dajemy sobie narzucać pogląd zdemoralizowanych duchowo elit, że zbiorowość ludzi, jaką jest państwo, ma żyć według norm bliskich tym elitom, choć obojętnych wobec danego wszystkim prawa naturalnego lub wręcz będących jego zanegowaniem. **Czy np. progi podatkowe progresywnego podatku dochodowego są zgodne z przykazaniem „Nie kradnij”? W mojej opinii nie są**, a słyszymy na każdym kroku, że taki podatek jest wymogiem rzekomej sprawiedliwości społecznej? (pojęcie marksistowskie). Żyjemy podobno w wolnej Polsce, a ciągle akceptujemy wiele innych wrośniętych w naszą rzeczywistość rozwiązań marksistowskich. Np. zamiłowanie do nadmiernej w naszym życiu roli państwa, zwłaszcza w sferze gospodarczej oraz nauki, kultury i oświaty czy opieki medycznej, a także za normalność mamy uważać tzw. rozdział Kościoła od państwa (w przedwojennej II Rzeczypospolitej księża byli nawet posłami). Trójpodział władzy państwowej jest u nas wyłącznie liberalną fikcją na papierze. W przeciwieństwie do Polski przedwojennej, ciągle jest brak surowej i osobistej odpowiedzialności finansowej oraz karnej wszystkich urzędników władzy rządowej i samorządowej za podejmowane lub niepodejmowane przez nich decyzje.

Szkodliwym jest wodzowski charakter partii politycznych (wódz potrzebuje posłusznych mu oficerów i armii żołnierzy, a nie światłych partnerów), złem jest dyscyplina partyjna parlamentarzystów i niemożność ich odwołania przed upływem kadencji oraz brak zakazu łączenia funkcji, finansowanie partii z budżetu państwa, przepisy i procedury urzędów oraz instytucji, które nakazują traktować obywatela przede wszystkim jak petenta i osobę podejrzaną. Podobnie, wbrew temu co deklarują politycy, obowiązują prawa, które dyskryminują rodzimy sektor prywatny i uniemożliwiają swobodny rozwój klasy średniej, która zawsze jest fundamentem wolności i wolnego rynku (tyle wolności, ile własności), a bez uczciwego powodu ekonomicznego w niezawinionej przez siebie ogromnej biedzie utrzymywana jest olbrzymia większość narodu. Stąd, kiedy w krajach Zachodu na najwyższym poziomie są głównie prywatne firmy, uniwersytety i szkoły niższe, szpitale, instytuty i wiele innych całych sektorów życia społecznego, a z reguły najgorsze z nich są te tzw. publiczne, u nas na ogół ciągle jest odwrotnie, co jest pielęgnowaną przez elity państwowe patologią, a nie normalnością. Właściciele kapitału zagranicznego, a zwłaszcza krajowego żadna władza nie musi wzywać do inwestowania, a przez to do tworzenia nowych miejsc pracy i rozwoju gospodarczego. Jeżeli w kraju istnieją ku temu obiektywnie sprzyjające warunki, oni sami chętnie to robią, bo pieniądź tworzy pieniądź. Co to znaczy, że w wolnej Polsce dla przyciągania tylko gruppek inwestorów, państwo utrzymuje specjalne strefy ekonomiczne na wyjątkowych warunkach? To też jest korupcyjogenna i dyskryminująca innych patologia. **W warunkach normalności jak na Zachodzie, cała Polska ma być jedną wielką i uczciwą dla każdego strefą ekonomiczną!**

Nie mówię już o ciągle obecnych w naszym życiu np. Urzędach Stanu Cywilnego, czy o tytułach profesorskich jako stopniach naukowych lub o sądownictwie karnym, w którym zamiast obywatelskiej ławy przysięgłych, jedyną wyrocznią jest niewybieralny sędzia. Nic potem dziwnego, że w polskich sądach jest tyle niesprawiedliwości. Mógłbym długo jeszcze tak mnożyć dalsze przykłady.

Bez względu na to kto rządzi, nasza Polska nie będzie lepszym krajem, dopóki rządzący tego wszystkiego nie zmieniają, czyli dopóki nie przywrócą normalności. Punktem odniesienia są najlepsze rozwiązania w krajach Zachodu. **Nasi politycy i inni mędrcy nie muszą wymyślać na nowo prochu ani koła.**

Wszystko albo już kiedyś w Polsce było, albo ciągle jest gdzie indziej. Tylko aby narodowi służyć, a nie nim rządzić, trzeba mieć właściwą pokorę i chcieć z dostępnych owoców korzystać. Przecież naszym elitom z ust nie schodzą slogany, że Polska jest zapóźniona i chce gonić inne kraje. **Ludzie, którzy narodowi służą, są mężami stanu, natomiast politykami są ci, którym interes własny i partyjny myli się z narodowym lub państwowym i myślą kategoriami od wyborów do wyborów** (siebie). I o kim my na ogół słyszymy w mediach i gdziekolwiek indziej? O politykach, a Polska i Polacy czekają na mężów stanu. Trudno jednak o takie autorytety w warunkach, jakie wyżej trochę opisałem.

PEŁZAJĄCY ZAMACH STANU

16 grudnia 2016 roku władze państwowe i Polacy uroczystie czcili pamięć zastrzelonych i rannych w obronie wolności i „Solidarności” górników Kopalni „Wujek” w trakcie dokonanej tam przez komunistów 35 lat temu masakry, a ja ze studia TVP Katowice byłem gościem specjalnego programu TVP Info, który tej zbrodni był poświęcony. Sejm Rzeczypospolitej natomiast pracował w tym czasie nad przyjęciem dwóch najważniejszych ustaw; ustawy budżetowej oraz ustawy o (nareszcie) zmniejszeniu zbrodniczym esbekom ich sowi-tych emerytur do poziomu średniej emerytury z ZUS. I wówczas transmisja naszego programu została przerwana, aby telewizjów przenieść do parlamen-tu, gdzie tak zwana opozycja totalna przemocą zablokowała pracę Sejmu, ale ustami Grzegorza Schetyny oskarżyła... Marszałka Izby, że to on rzekomo chce wprowadzić pełzającą dyktaturę(?). Co za perfidia z piekła rodem, ponieważ **to właśnie ta „opozycja” przy wsparciu jej forpoczty pod nazwą Komite-tu Obrony Demokracji, od dawna nieustannie łamie zasady demokracji i prowokuje pełzający zamach stanu.** Wzniecaniem zamieszek na ulicach i w parlamencie chcą doprowadzić do obalenia wybranej w demokratycznych wyborach władzy państwowej.

Ponieważ póki co celu tego osiągnąć nie mogą, dzisiaj te wilki w owczej skór-ce beczelnie łżą, że do niczego rzekomo by nie doszło, gdyby Marszałek nie wy-kluczył z obrad pajacującego na sejmowej mównicy posła PO. Kłam temu zadaje

np. wcześniejsza wypowiedź posła Kłopotka z PSL co będzie się działo, czy też posła Liroya o wcześniejszym zamówieniu przez „opozycję” do Sejmu... tysiąca kanapek, albo wcześniejsze zgłoszenie przez KOD demonstracji pod Sejmem. Ale zostawmy te kłamstwa prowokatorów samym sobie. **W demokracjach zachodnich nie istnieje pojęcie opozycji totalnej i nie ma przyzwolenia na taką destrukcyjną działalność.** Istnieje jedynie prawo dla opozycji merytorycznej szanującej reguły demokracji. Zatem **siły społeczne, które w Polsce ogłosiły się opozycją totalną, a których celem jest uniemożliwianie rządzenia prawowitym władzom, chyba, że będą one wykonywały ich wolę, same odbierają sobie tytuł do bycia opozycją w wolnym kraju.** Kim i czym więc one są? Są grupą ludzi, którzy pod szyldem rzekomej opozycji podjęli wywrotową działalność antypaństwową. Weszli zatem na drogę przestępczą,

która podlega odpowiedzialności karnej. I musi to wiedzieć każdy dorosły Polak, który świadomie lub nieświadomie w tym uczestniczy. Trzeba to publicznie już mówić, choć nikt jeszcze z tego powodu nie ponosi żadnych konsekwencji.

Trzeba wyraźnie akcentować różnicę, że czym innym jest uczestnictwo w wydarzeniach, które mieszczą się w ramach demokratycznego porządku, a czym innym uczestnictwo w wydarzeniach, które poprzez uliczne i inne burdy prowadzą do „wypowiadania posłuszeństwa prawowitej władzy”. Tzw. opozycja bowiem prowokuje jednoznaczne działania wywrotowe, a gdy się one nie udają, cynicznie twierdzi, że nie to mieli na myśli lub nie o to rzekomo im chodzi, ale o... bla, bla, bla. Co więcej, mają oni również ciche przyzwolenie i z pewnością inną pomoc ze strony różnych sił za granicą, w tym liberalnych mediów i elit Unii Europejskiej. Świadczy o tym wiele; medialne relacje i komentarze np. w Niemczech lub BBC, albo pokrętna wypowiedź szefa Rady Europejskiej, Donalda Tuska. Apeluje on do władz Polski, aby „respektowały społeczeństwo i Konstytucję”(?) Tymczasem taki apel zasadny jest, ale pod adresem tzw. opozycji! Obok strategii, bardzo czytelna jest również jej taktyka działania. Rzekomo powstała spontanicznie pod wpływem chwili okupacji sali plenarnej Sejmu, towarzyszyła duża ilość gdzieś od razu „cudownie” wydrukowanych kartek i baner z napisem „wolne media”, a nawet dużo biało-czerwonych chorągiewek w rękach okupujących Sejm wywrotowców. Albo treść

skandowanych haseł i jakiś szczeniak udający pod Sejmem rannego. Ta oprawa wydarzeń skierowana jest przede wszystkim na odbiór za granicą! Przepraszam bardzo, ale ci ludzie na naszych oczach stają się wrogami wewnętrznymi, współpracującymi z i na rzecz naszych wrogów zewnętrznych. Można to jeszcze ciągle bagatelizować, robić polityczne uniki, ale kiedy państwo zareaguje właściwie, tzn. broniąc swojego bytu i losu narodu przed totalnym dążeniem do jego zniewolenia? Czy dopiero wtedy, kiedy nie daj Boże gdzieś dojdzie do tragedii? Wówczas może już być za późno. Ta udająca opozycję łobuzeria nie miałaby żadnych skrupułów z nami, jeżeli tylko dostałaby swoją szansę. A my, czy nawet wtedy, kiedy prowadziliby nas pod ścianę, będziemy mówili, że – spokojnie, nie damy się sprowokować? Ja na takie rozwiązania oczywiście się nie piszę, bo nie jestem niewolnikiem politycznej poprawności. Ponadto, bardzo chciałbym się mylić, ale stawiam tezę, że WYWROTOWE PRÓBY DOPROWADZENIA DO OBALENIA OBECNYCH WŁADZ ZE STRONY TEJ PSEUDO OPOZYCJI, KOD-U I INNYCH, NIGDY SIĘ NIE ZAKOŃCZĄ! PRZECIEŻ ONI JAWNIE SIĘ NAZYWAJĄ OPOZYCJA TOTALNA. A to oznacza, że DIALOG I JAKIEŚ USTALENIA Z OBECNIE RZĄDZĄCYMI SĄ DLA NICH TYM SAMYM, CZYM DLA KOMUNISTÓW W PRL BYŁ ICH DIALOG I USTALENIA Z „SOLIDARNOŚCIĄ”. I **albo wygra wolna Polska, albo „będzie tak, jak było”**.

Nieprzypadkowo po 27 latach przepychanek w III RP, po ciemnej stronie mocy już bez żenady stoją wszyscy razem. Obok części byłej i obecnej opozycji oraz pewnych mediów i innych środowisk, jest esbecja i wojskowe pachołki Jaruzelskiego i Kiszczaka, drugie i trzecie pokolenie esbeków, a nawet ze Szwecji dołączył się bezkarny zbrodniarz stalinowski, Stefan Michnik. **Niech nas nie zwiodą syrenie głosy tych, co głoszą, że to pomyłka i rzekomo się odcinają od pułkowników Mazgułów. Pamiętajmy o chowaniu przez nich Jaruzelskiego i innych z najwyższymi wojskowymi i państwowymi honorami. Tamci na lata zatrzymali rozwój Polski stanem wojennym, a potem pokłosem okrągłego stołu było obalenie rządu Jana Olszewskiego, czy upadek pierwszej władzy PiS-u i moim zdaniem zlikwidowanie części najwyższych władz państwowych pod Smoleńskiem. To są wilki w owczej skórze, które wraz z wilkami z zagranicy prą do konfrontacji, aby nie dopuścić do ist-**

nienia Polski rzeczywiście wolnej i dostatniej. Ale metodą sowiecką czekają, abyśmy to my w akcji obrony pierwsi ich przyskrzynili, gdyż wtedy oni będą „męczennikami”, a ich zewnętrzni sponsorzy będą ich przedstawiali na arenie międzynarodowej jako rzekome „ofiary faszystowskiej dyktatury”, czy tym podobne brednie.

Oni będą stale parli do przodu, a my niestety, kroków do tyłu lub w bok stale robić nie będziemy mogli. Póki co jest to jeszcze możliwe i kupujemy czas na pogłębianie procesu rozliczenia się kraju z komunizmem oraz na odbudowanie w nim podstaw gospodarczych, aby Polacy mieli w Ojczyźnie powodzenie, pracę i chleb. Naszą wielką szansą jest też prezydentura Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych. Czyńmy wszystko co możliwe, aby był on chętny bronić naszej wolności i pomyślności z determinacją podobną tej, z jaką broni on tych wartości w Ameryce.

CO TO JEST LEWACTWO?

Ostatnio w internecie zobaczyłem pewną wypowiedź i cytuję jej fragment: *„(...) za lewaków nr 1 uchodzą liberałowie, wyznawcy wolnego rynku, podatku liniowego i innych takich rozwiązań, kompletnie sprzecznych z lewicową wizją świata. (...) chaos pojęciowy nam się robi coraz większy”*. Wiem, że w Polsce wielu ludzi myśli podobnie. Dlatego też pozwolę sobie na małe, ale fundamentalnie ważne wyjaśnienie. Niestety, ale to autor powyższego cytatu i osoby jemu podobne, mają w głowie pojęciowy chaos na temat dzisiejszego stanu rzeczy w sprawach politycznych. Współcześni liberałowie już od bardzo wielu lat nie są tym, czym byli kiedyś i najlepiej jest to widoczne w najpotężniejszym państwie Zachodu i świata, czyli w USA. Każdy normalny tam człowiek wie, że liberałowie to też lewica, a prawica to przede wszystkim konserwatyści. Oczywiście nie mamy do czynienia z jakimś po bolszewicku monolitem, ale istnieje całe spektrum odcieni tego, co jest po lewej i tego, co po prawej stronie sceny politycznej. Dlatego w Ameryce nie każdy republikanin jest konserwatystą i nie każdy liberał jest socjalistą lub komunistą, ale generalnie są to dwie ideowo różne od siebie rodziny polityczne.

Wspólnym mianownikiem obozu lewicowego, jest różnie interpretowana ideologia marksistowska; czyli m.in. miłość do internacjonalizmu, negacja prawa naturalnego, stały rozrost tak zwanych praw człowieka i jednocześnie pobłażliwość dla ludzi łamiących prawo. Ponadto, lewicę cechuje sprzeciw wobec kary śmierci dla zbrodniarzy i zgoda na zabijanie niewinnych dzieci nienarodzonych, czy sprzyjanie wszelkim formom moralnych i kulturowych dewiacji. Ponadto, mają też awersję do narodu w zamian za wolę budowania społeczeństwa multi-kulti, które ma być poddane stale rozbudowywanej i nadrzędnej roli państwa. Lewicę cechuje także brak poszanowania dla własności prywatnej i wolnego rynku oraz dla klasy średniej.

Natomiast wspólnym mianownikiem obozu konserwatywnego, jest dążenie z różnym skutkiem do bycia wolnym, wiernym Bogu i zasadom tradycyjnych wartości. Chodzi też o to, aby w życiu narodu, a nie jakiejś masy społeczeństwa otwartego, rola państwa była ograniczona do niezbędnych potrzeb. Jednocześnie jednak państwo te ma być silne, sprawne, sprawiedliwe i odpowiedzialne przed ludźmi. Jest też umiłowanie patriotyzmu, świętość i nadrzędna rola własności prywatnej w życiu ludzi oraz dążenie do istnienia zasad wolnego rynku. Między liberałami i resztą lewicy a konserwatystami, znajdują się zaś ludzie niezdecydowani, choć w Polsce i Europie szumnie uważani za jakieś rzekome centrum. Szczerze mówiąc uważam, że z pojęciowym i politycznym chaosem mamy dziś do czynienia nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Tylko to tłumaczy bowiem fakt, że np. Niemiec albo włoscy chadecy – jako niby prawica – świetnie politycznie współpracują z taką lub inną lewicą. Jest tak, bo po obu stronach wśród nich panuje ideowe pomieszanie z poplątaniem.

Muszę jednak powiedzieć, że choć z dużo mniejszym zamieszaniem w tej mierze mamy już dziś do czynienia również w Stanach Zjednoczonych. I dlatego ludzie w USA i w Europie mają coraz bardziej dość tego ideowego kuglarstwa po obu stron politycznego establishmentu. Stąd mamy do czynienia z Brexitem oraz innymi coraz poważniejszymi działaniami w Europie, a także zwycięstwo w walce o władzę Donalda Trumpa w USA. Świat zaczął się zmieniać. Dlatego wracam do postawionego przeze mnie w tytule pytania: co to jest lewactwo? Określenie to dla mnie jest skrótem myślowym na całą lewicę. Lewactwo, to dzisiaj znaczący lewica w każdej swojej postaci. Tak to oceniam z konserwatyw-

nego punktu widzenia. Z pewnością zupełnie inne i pokrętne wywody będą na ten temat robili... sami lewacy. Jednocześnie uważam, że współczesny liberalizm, a dokładnie neoliberalizm jest pomostem dla dokonania procesu konwergencji, który ma doprowadzić do przeistoczenia konserwatywnej białej gwiazdy amerykańskiej wolności i czerwonej gwiazdy marksistowskiego zniewolenia, w jedną gwiazdę różową. Proces ten zaszedł już tak daleko, że – jak powiedział to w kampanii wyborczej Donald Trump – system globalnej władzy (tej różowej) jest już ustawiony i ma on do dyspozycji nieskończoną ilość pieniędzy oraz – w związku z tym – ogromne możliwości wpływu. Najgorsze w tym jest to, że jesteśmy w rękach inteligencji, która w swojej większości jest intelektualnie skorumpowana.

Widać to w mediach, na prawie każdym uniwersytecie i innej uczelni oraz wśród największych międzynarodowych korporacji, grup finansjery i innych instytucji. Jednak świat zaczął się zmieniać dzięki buntowniczej postawie pozostałej części społecznej, wspieranej przez nie upadłą część elit. I wierzę głęboko, że nie poddamy się bez walki o wolność dla wszystkich, a nie tylko dla wybranej kasty nietykalnych, która wszystkim innym szykuje niewolę. Walka ta będzie jednak miała nieprzewidywalne dla nas zawirowania, zwłaszcza na arenie międzynarodowej, które – ku naszemu zdumieniu – będą szły również w poprzek lub wbrew naszym dotychczasowym wyobrażeniom i doświadczeniom. Już teraz symbolizuje je pewna zbieżność postaw antyliberalnych sił w USA, Europie Zachodniej i... Rosji.

Nas jest dużo więcej aniżeli lewactwa w Polsce, w Europie i na świecie, choć ono stoi na lepszych pozycjach. Docelowo to my jednak wygramy. My, ludzie myślący konserwatywnie, ponieważ wbrew pozorom, mamy w sercach i rękach broń potężniejszą od ich nieprzebranych fikcyjnych pieniędzy oraz układów i kłamstw. Jest nią wiara w Boga, chęć bycia wolnym oraz wierność prawu naturalnemu i tradycyjnym wartościom chrześcijańskim. Sądzę jednak, że walka między naszym krajowym, europejskim i globalnym lewactwem z jednej strony, a nami jako pozostałą częścią narodów, będzie stale przybierała na sile, aż do ostatecznego rozstrzygnięcia. Liczą się więc każde ręce na pokładzie. Nie mów, że nie interesuje Cię polityka, bo chcesz tylko spokojnie żyć. Tak się już nie da, ponieważ lewacka polityka interesuje się Tobą i każdym z nas. Dla nich nie masz prawa żyć w pokoju i szczęśliwie realizować swoje marzenia, ponieważ tę stronę życia oni rezerwują wyłącznie dla siebie.

KARNAWAŁ I KOMINTERN, CZYLI ŻYDŁO Z WORKA

Karnawał w plenerze

Chorągiewki, bębenki, wuwuzele, pochody błaznów. Karnawał. Na czele – Zchłopakról Kijowski – kabacik ma czerwony, ale trochę sraczkowaty, okularki intelektualne ale też w głupawym kolorze. Kolczyk w nosie, siwe kłaczki związane w koński ogon. Karnawał. Aktywistki wiekowe, przechodzone przez partyjne pochody, przeleciane przez partyjne złoty ale tu są młode, pyskate i aby tę młodość podkreślić bluzgają wyrazami uchodzącymi powszechnie za młodzieżowe. Tu kiepska reżyserka jest wielka, głupawy polityk mądry, wieloletni donosiciel szlachetny – karnawał przecież.

Zchłopakról nie tak całkiem z chłopa, raczej z lędźwi działacza ZSLu, dziad Kijowski chłop nie byle jaki, nawet stan wojenny uchwalał, przez lata sztandarem towarzystwa polsko radzieckiego niczym kłonicą potrzasał. Za Zchłopakrólem - Mazguła w zielonym bereciku – taki zombi stanu wojennego, ale w duszy liryczny, za ścieżkami zdrowia wzdychający, bo jak nazwa wskazuje – zdrowe były. Zwłaszcza dla tych, co katowali. A że paru księży zabito – sami się napraszała, o czerwonej władzy źle mówili.

Pochody karnawałowe dni ostatnich, przełomu 2016/2017 roku na tyle były hałaśliwe i barwne, że przesłoniły nie tylko to co miały przesłaniać, nie tylko pamięć masakry z roku 1981 i masakry z 1970, ale także z rozpędu popsuły nastrój Bożego Narodzenia. To się nazywa oświnianie świętości. Pobity został nawet rekord „Gazety Wyborczej”, która w 50 rocznicę Powstania Warszawskiego rozpętała medialną nagonkę na powstańców, którzy rzekomo mordowali Żydów zamiast Niemców. Tegoroczne pomysły były równie cyniczne. Grupka zachodniopomorskich „koderastów” zamieściła fotkę obrazującą pa-

nujący w kraju terror: rządę więźniów ubranych w łagrowe kostiumiki, prócz koderastów – aktywiści z Platformy i Nowoczesnej, wszyscy w twarzowych pasiakach. Fotkę rozesłali po świecie internetowym – nie rozumiejąc, że zdjęcie działa w obu kierunkach: jeżeli fotka mówi, że jest jak było w obozach to mówi też, że w obozach było jak jest teraz. Niemcy nie byli tacy źli, w Auschwitz było hecnie.

Zabawą karnawału staje się także śmierć. Indywidualna i zbiorowa. Jakiś tłusto ubrany pajac kładzie się ostrożnie na jezdni, egzaltowane kretyнки robią fotki, pajac wstaje i dumny odchodzi a minę ma jak Diduszko – tyle, że Wojtek. A że ta fotka potem miała w świecie dokumentować bestialstwo polskiego rządu... Fajny numer! Karnawał!

Pod Sejmem wyrasta cmentarz – parodia. Trudno powiedzieć dlaczego jest to parodia cmentarza żydowskiego. Na macewach dane o „ofiarach” polskich władz: w grobach leży i WOLNOŚĆ MEDIÓW, i WYŻSZA KWOTA WOLNA OD PODATKÓW, i ANTYKONCEPCJA AWARYJNA – pewnie chodzi o tę na telefon. Oczywiście swoje macewy mają PRYWATNOŚĆ, SPRAWIEDLIWOŚĆ a także ... KARTY TELEFONICZNE. Rozumiem, że karnawał, świętości nie ma nawet na cmentarzu, ale dlaczego macewy? i co na to Żydzi wszystkich partii? Ech, coraz mniej Żyda w Żydzie!

Karnawał pod zadaszeniem

Karnawałowy charakter miały także obrady w Sejmie – a to dzięki wygłupom opozycji. A gdy władza próbowała być poważna i usunęła nawet jednego z błąznących, bodaj posła Szczerbkę, czy Dziurkę - opozycja poszła na całość zajęła główną salę i ogłosiła strajk. Oczywiście karnawałowy. Zamiast siedzieć, cierpieć, głodować – wpadała na chwilę coś podjąć (szlagierem kulinarnym był wigilijny pasztet), pstryknąć sweet-fotkę, zaśpiewać baranim głosem równie baranią piosenkę... Rotacyjny strajk okupacyjny połączony był z rotacyjną głodówką i zasłużonym odpoczynkiem. Bogatsi, ci z Nowoczesnej jeździli z wystrzałowymi ciałami do ciepłych krajów, Schetyny średniego sortu - tylko z własnymi brzuchami na narty, najbiedniejsi – dyrdali kilka ulic dalej na ruskie pierogi i setę. Po drodze rozdawali autografy, brzydsze baby – zdjęcia. Z młodości.

Źydło z worka

Coraz bardziej bojowe bębny, coraz głośniejsze wuwuzele, karne szeregi lemingów z fundacji dożywianych przez Sorosa, ekolodzy też muzikalni nady-mający żabki przy pomocy równie ekologicznych słomek. Zacni uczeni z niewidzialnego kolegium, mieszkańcy równie niewidzialnej, lecz dobrze płatnej otwartej Rzeczypospolitej (małymi literami!) , stypendyści różnych maści i fundacji) – wszystko szło w marszach KODu – trudno powiedzieć karnawał to jeszcze czy coś więcej.

Może skutek odwilży spod sztucznych karnawałowych kwiatów zaczęło wyłazić coś brudnego i cuchnącego. Przede wszystkim starzy ubecy. Przynajmy sprawiedliwie: kilku zrobiło coś naprawdę dobrego dla Polski i zdechło – wielu jednak zdecydowało wziąć przedtem udział w karnawale. Najgroźniejszą z karnawałowych imprez nie był marsz paru tysięcy lemingów dowiezionych z prowincji (kiedyś tak dowożono na Święto Trybuny Ludu z serdelkami), najgroźniejszy był wiec ubeków i innych „mundurowych” pod pomnikiem AK.

Protestowali przeciw pozbawieniu ich części przywilejów (stąd druga nazwa: Komitet Obrony Dochodów) ale protestowali po chamsku i brutalnie - jakby znów prowadzili przesłuchania. Był nawet taki, który groził, że nie wszyscy oni zdali broń... Dzięki karnawałowi robionemu przez głupią opozycję mogli się zleźć pod pomnik, policzyć, wymienić adresy prywatne i firmowe. A firmy wcale nie karnawałowe tylko gangsterskie, ochroniarskie z zagranicznymi kontaktami. Błazenkowie strajkujący rotacyjnie w Sejmie oczywiście znaleźli czas, by się do byłych służb powdzińczyć. Bo może oni nie są tacy byli, może wróć... Spod karnawałowych kwiatuszków wypłynęły kałuże strachu.

czyli drugie dno

Również i wygłupy opozycji na Sali Sejmowej miały nie tylko na celu rozba-wienie wyborców. Protestujący posłowie mieli za zadanie zablokować uchwa-lenie budżetu a także obronić przywileje emerytalne dawnych ubeków – stąd właśnie była ta złowieszcza manifestacja „mundurowych” i groźenie niezdaną bronią. Młodszy, głupszy o intelektach myszek i innych insektów mogli tego nie kumać, ale starzy wyjadacze wiedzieli po co biegną się wdzięczyć do esbeków.

Ten karnawał był lepiej zorganizowany od poprzednich – dlatego trwał tak długo. Nie przypadkiem posłowie zaczęli domagać się zwołania „alternatywnej” (na pozór karnawałowej sesji Sejmu), nie przypadkiem tego dnia do Wrocławia przyleciał z Brukseli były premier Tusk. Nie przypadkiem też wysiadł przekaz telewizyjny – w czasie, gdy urzędująca premier Rzeczypospolitej wygłaszała przemówienie do Polaków.

Zaczynał się przewrót, którego widzieliśmy tylko karnawałowy czubek. Akcja była przygotowana sprawnie: jak przed laty, gdy zaszczuwano prezydenta Kaczyńskiego tak i teraz uruchomił się telewizyjno- internetowy przemysł pogardy. Nie całkiem rodzimy, często były to filie zagranicznych wytwórni nienawiści. Trzeba przyznać, że. Widzowie widzieli tylko karnawałowy barwny efekt końcowy. W akcji brały zarówno płatne ciotki od szeptanej propagandy, jak cwani agenci wpływu i swojscy „pożyteczni idioci”. Karnawał był kolorową nadbudową na solidnym, i głęboko ukrytym fundamencie.

Zamiast analiz sięgających do źródeł sowieckich a może do pism Sun Cy – jeden cytat, ze stycznia 2016: Wojciech Czuchnowski (z GW) napisał:

sprzeciw wobec rozkazów wydawanych przez Macierewicza i jego ludzi jest obowiązkiem przyzwoitego Polaka i żołnierza. Namawiam do tego. Mam nadzieję, że w wojsku znajdują się ludzie z charakterem.

To jedno z pierwszych wezwań. W następnych dniach i w „Wyborczej” i w innych opozycyjnych mediach pojawiały się teksty – jeśli nie wzywające do buntu, to podrywające autorytet rządu RP. Wbijano społeczeństwu przekonania, iż rząd nie jest polski, tylko „pisowski”, że PiS sprawuje władzę nielegalnie bo głosowała na niego mniejszość Polaków - zapominając, że na PO głosowała znacznie mniejsza mniejszość. Jako przeciwrząd próbowano wylansować Trybunał Konstytucyjny, twór jeszcze wymyślony przez Jaruzelskiego w stanie wojennym, w którym nominaci PO mieli 14 stanowisk na 15. Nie zatwierdzenie przez prezydenta dodatkowo i „na zapas” wybranych trzech kandydatów PO przedstawiano w Polsce i w Unii jako zamach na swobody demokratyczne, ba jako łamanie konstytucji. Polscy targowiczanie domagali się kar dla Polski, może nawet wyrzucenia z Unii.

W tej sytuacji KOD zdobywał coraz większe wpływy. Nikt, zwłaszcza głupi posłowie (a takich większość gdy posłowie i ich wyborcy bez cenzusu) nie pytał

skąd powstała z niebytu organizacja ma środki na budowanie struktur i na dowożenie z terenu ludzi na manifestacje do Warszawy. Zanim zaczął się karnawał w Sejmie – KOD opanował sferę wirtualną, propagandową i sterroryzował psychikę zbiorową Polaków. Odbyla się kradzież tradycji: KOD zaczął się posługiwać patriotycznymi symbolami, odwoływać do „Solidarności” a zwłaszcza do KORu. Bywanie na wiecach stało się znakiem przynależności do elity i wyrazem nowoczesności. Wspomagały ten nastrój media – filmując i fotografując – a o to głównie chodzi uczestnikom takich imprez. KOD był to dobry „lans”, poprzez KOD pchali się na telewizyjne szkło różni przegrani politycy – uczciwi jak Wałęsa, trzeźwi jak Kwaśniewski, śliczni jak Kalisz z Michnikiem do kupy. I jak ona. Kijowski był nadmuchiwany jak wspomniana już żabka. Uchodzące za Michnikową „czerezwyczajkę” Towarzystwo Dziennikarskie (Blumsztajn, Żakowski, Ordyński) wymyśliło *Nagrodę Wolności* i pierwszym laureatem obwołało właśnie naszego Mateusza z siwym ogonem za *godną najwyższego uznania obywatelską aktywność, a w szczególności za zorganizowanie w niebywale krótkim czasie (...) pokojowych protestów setek tysięcy Polaków w obronie wolności i demokracji*. Plotka głosiła, że nagrodę wręczano w toalecie - ze względu na zaległości alimentacyjne laureata.

Kijowski został tym Zchłopakrólem na pokaz, mniej widowiskowy ale może nawet ważniejszy był ów zombi w zielonym berecie. 29 listopada 2016 pułkownik Mazguli zamieścił na Facebooku list otwarty

Ja, zwykły żołnierz rezerwista, w Dniu Podchorążego, wzywam Was, do okazywania szacunku dla każdego Obywatela Rzeczypospolitej Polskiej, przedstawiciela Narodu Polskiego, któremu przysięgaliście – każdego, bez względu na sort i czas, w którym się urodził! Wzywam do przeciwstawienia się łamaniu Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, w tym do ochrony Trybunału Konstytucyjnego, jako gwaranta jej przestrzegania. Wzywam Was do interwencji w sprawie obrażania munduru, do poszanowania naszej historii i umacniania wojska. Wzywam Was do odrzucenia ideologii wiary smoleńskiej i zachowania świeckości armii!

Obrażanie munduru to jak rozumiem obniżka esbeckich emerytur. Cały tekst został odebrany jako wezwanie do buntu i to w imię materializmu i świeckości. Kto nie wierzy – niech poczyta umieszczone w Internecie odpowiedzi na mazguli apel:

Zbych (wtorek , 29 listopada) *Tylko kiedy i gdzie mamy się stawić jesteście gotowi*

Konrad (29 XI) *Rozkazuj Pułkowniku! Ojczyzna w potrzebie! Krwi nie poskąpi nikt.*

Choraży (30 XI): *Panie Pułkowniku. Jestem również w pańskiej armii. Czekam tylko na rozkaz kiedy stajemy do walki. Zawsze marzyłem a takim dowódcy.*

Był głos krytyczny jakiegoś „Anonimowego:

Zdegradować Mazgułę do stopnia st. szeregowy

Ale szybko dano mu odpór: i kilkanaście odpowiedzi w stylu:

Ludwik..rocznik 1943 ! (29 XI)

JESTEŚ KANALIĄ I BUCEM PIS-dzielskim !

Ja (29 XI) : KURIA TWOJA MAĆ tchórze smoleński i ZDRAJCO

krzysulek12 (29 XI): *Oczywiście twoim bohaterem jest ten zdrajca kukliński*

A także bardziej dosadnie:

żołnierz (30 XI); *Chętnie bym ci wyrwał tchawicę, za te gówna co ci z pyska lecą... nawet byś nie zdążył pierdnąć ze strachu...*

W ciągu kilku pierwszych dni na portalu „polityczek” pojawiło się 6736 głosów gardlujących za Mazgułą a tylko 293 przeciw. Ci pierwsi (na razie nie wszyscy) poszli potem pod pomnik AK.

3 grudnia 2016 roku Mateusz Kijowski opublikował apel:

Stop dewastacji Polski.

Niemal dokładnie rok temu, 12 grudnia, protestowaliśmy po raz pierwszy przeciwko paraliżowaniu prac Trybunału Konstytucyjnego i łamaniu Konstytucji przez rząd i Prezydenta. Dziś wiemy, że rok rządów Prawa i Sprawiedliwości to przede wszystkim czas metodycznego niszczenia Polski, jej stosunków z sąsiadami i wizerunku na świecie. To czas podporządkowywania partyjnym interesom niemal wszystkich publicznych instytucji: sądów, prokuratury, służby cywilnej i wojska.

Dalej następowało wezwanie: :

wzywamy wszystkich – obywatelki i obywateli, nauczycieli, rodziców, pracowników służby zdrowia, górników, rolników, przedsiębiorców, twórców i dziennikarzy, sędziów, prokuratorów, policjantów i wojskowych, a także organizacje pozarządowe, partie polityczne i samorządy, organizacje związkowe, samorządy zawodowe – by się temu wspólnie przeciwstawili.

Dziś nadeszła chwila, by wypowiedzieć posłuszeństwo tej władzy.

13 grudnia wyjdźmy na ulice wszystkich polskich miast i miasteczek i pokażmy, że nie zgadzamy się na niszczenie Polski. Zaprotestujmy przeciwko aroganckiej wszechwładzy PiS. Ale też pokażmy, że potrafimy być razem. I nie dajmy się, jak pamiętnego 13 grudnia '81 roku, ustawić przeciwko sobie.

Ostatnie zdanie było próbą reinterpretacji historii – żeby nie drażnić esbeckich sojuszników. Zbrodnia komunistów została przedstawiona jako efekt czyjejś manipulacji – zapewne masonów i Żydów, tych od macew.

A potem patetyczny finał:

Nie oddamy kultury, edukacji, praw kobiet, praw pracowniczych, samorządów, organizacji pozarządowych, mediów, gospodarki.

Dość kompromitowania Polski na arenie międzynarodowej! Dość tłamszenia wolności i demokracji! Dość tego szaleństwa!

Podpisali m. in.: aktywista (od 1981 r.) ZNP Sławomir Broniarz, b. działacz „Solidarności” Władysław Frasyniuk, b. piękność Krystyna Janda, niedoszła piękność Marta Lempart - inicjatorka Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, podpisały rzecz jasna także Kijowski z Mazgłą i Petru ze Schetyną, a także zawodowy antyklerykał Krzysztof Pieczyński, także szef Fundacji Batorego, Aleksander Smolar a jako ukoronowanie listy – Lech. Wałęsa. Tajni i jawni agenci dawnych służb, partyjni aferzyści i karierowicze. Zabrakło tylko b. działacza PO Cyby. Trudnodostępny. Na razie.

Trzecie dno

Jeśli to miał być karnawał, to wymknął się spod kontroli. Sejm niby miał być karnawałowy, zdobiony kretyńskimi śpiewkami posłanki owad ale już pod Sejmem było mniej zabawne. Tłum warczący i porykujący jak zwierzę, dyszący wręcz pragnieniem linczu. Z gmachu wychodzi posłanka, twarze wykrzywiają się w nienawiści, drapieżnie wyciągnięte ręce jakby chciały ją szarpać. Inna posłanka zostaje napadnięta w swoim okręgu, inny poseł otrzymuje telefon: *zgwalcimy twoją córkę...*

Fotografia błazenka wylegującego się pod Sejmem była przeznaczona na Zachód, jako dowód iż w Polsce morduje się opozycję. Przypadkiem ktoś nakręcił film z całej inscenizacji. Jakaś dłoń rzuca świecę dymną, mężczyzna się

kładzie, dym zaczyna się rozwiewać, do leżącego podbiegają rozhisteryzowane osoby... Sekwencja po sekwencji - propagandowa intryga wzięła w łeb.

Spod tegorocznego karnawału wystaje jednak konstrukcja sprawdzona już w polityce. To konstrukcja „Frontów Ludowych”, które przeciw „zgniłym demokracjom” jednoczyły lewicę różnych maści. Były one wynalazkiem VII Zjazdu Kominternu (1935), a konkretnie Stalina. Wcześniej europejscy komuniści mieli nakaz zwalczania konkurencyjnych ruchów lewicowych (jako „socjalfaszystowskich”) - teraz dostali nakaz łączenia się z nimi w sojusze – w celu zdobycia władzy. Mordowanie sojuszników następowało potem. Tak było np. w Hiszpanii. Najpierw Front Ludowy zdobył władzę, potem komuniści zaczęli wyrzynać różnych socjalistów, anarchistów i republikanów, potem była krwawa wojna domowa w której obie strony straciły dziesiątki tysięcy ludzi. Wygrała Rosja, która ukradła skarb Hiszpanii.

W Polsce także mieliśmy do czynienia z akcją Kominternu – był nią zorganizowany we Lwowie II Antyfaszystowski Kongres Kultury Polskiej - 1936. Do organizatorów należeli Aleksander Dan (Wentraub), Marian Naszkowski i Jarosław Gałań (Hałań – później autor głośnego pamfletu *Pluję na papieża*);. Na plan pierwszy wypchnięto takich luminarzy jak filozof Kotarbiński, poeta Broniewski, malarz Jonasz Sterni inni pożyteczni idioci a nastrój podgrzewały feministyczne krzykaczki Wasilewska z Bristigerową – urodą i jazgotem podobne do dzisiejszych feministek. Zjazd występował przeciwko sanacyjnym, demokratycznie wybranym władzom, oczywiście w obronie kultury i wzywał *do walki przeciw sanacyjnym ciemnościom ludu, zdrajcom narodu, podżegaczom wojennym*. Coś nam to przypomina?

Jednoczenie marginesu

Kultura jest dziełem pracy zbiorowej, świat ludzki to w gruncie rzeczy dzieło pracy zbiorowej poczynszy od gospodarki, aż po najwyższe wartości kulturowe i sakralne, od kopalń po świątynie, posągi wiersze i modlitwy. Takiego świata nie da się stworzyć siłami jednostki muszą go tworzyć zbiorowości, narody - oczywiście nie całe. Zawsze się znajdzie grupa pasożytów, konsumentów kultury, znajdują się nienawistnicy, zwolennicy innych pomysłów – wtedy powstają inne projekty kulturowe. Narody tworzą swe ojczyzny ale są także przez swą

twórczość kształtowane, kulturę można oczywiście zastąpić inną i naród będzie już innym narodem. Chrześcijanie nie byli już Rzymianami, Szwajcarzy – nie są Francuzami czy Niemcami. Bywają jednak sytuacje w której nie ma innej propozycji w których chęć pasożytowania na danej kulturze, albo nawet chęć jej zniszczenia jest jedynym motorem działania zbiorowości. Inaczej mówiąc: każda kultura wytwarza swój margines: tworzą go zaniedbani, odrzuceni i tacy, buntownicy. Gdy dochodzi do konfliktu marginesu z kulturą – dowództwo przejmują buntownicy. Coś takiego stało się w końcu XVIII wieku we Francji, na początku XX – w Rosji.

Obecnie w Polsce mamy już duży margines, obserwujemy wysiłki jednoczenia. Żadna z grup opozycyjnych nie ma programu pozytywnego, nie chce mieć – bojąc się, że taki program utrudni jednoczenie. Więc siłą jednoczącą jest nienawiść. Poza tym – jak dotąd - margines nie ma swojego Lenina. Ale to może się zmienić.

Współcześni nasi politycy nie potrafią wyznaczyć jednoczących zadań, zmieniających tłum na wspólnotę, uczących dumy z pracy i obligujących do obrony jej owoców. Polaków kiedyś zjednoczyła ogromna praca historyczna: humanizacja obszarów między Karpatami a Bałtykiem. Potem konstruowano Rzeczpospolitą Obojga Narodów – była domem Polaków, ale także Przedmurzem Europy. Piłsudski próbował stworzyć Federację Miedzymorza - może było za wcześnie, może warto do tej idei powrócić – pamiętając, że praca tworząca taką szerszą wspólnotę musi odbywać się na wielu poziomach jednocześnie: ekonomicznym, oświatowym, kulturalnym nawet sakralnym. To praca wymagająca wysiłku ale i wielkiej mądrości. To program maksimum – nie dorosły do niego nawet polskie elity.

Wróćmy jeszcze do programu minimum – do karnawału.

Program minimum: łowy na Owsiaaka

Na koniec parę zdań o przyszłości, a to znaczy także o młodzieży. Ona także wzięła udział w karnawale. Oczywiście nie z przyczyn politycznych, tym bardziej nie z wyczucia racji stanu – na to po prostu jest za głupia. To efekt nie tylko „platformerskiej” edukacji, to efekt wielu lat zaniedbań, tępoty nauczycieli i rodziców, selekcji negatywnej rządzącej naszą kulturą od czasów PRL.

Także efekt konsumpcyjnego stosunku do życia (nie tylko do kultury), który stał się obowiązującą modą III RP.

Naprawa tej sytuacji wymaga lat, lecz nasze ersatz–elity już poczuły się zagrożone, już chcą blokować reformy, obalać rząd, może nawet sprzedać niepodległość.

Tymczasem karnawał będzie wracał, za każdym razem weźmie w nim udział młodzież – bo po prostu młodzież tak ma. I nie da się zlikwidować karnawału narzekaniami na Kijowskiego czy Owsia. W ich miejsce przyjdą inni błazenkowie, będą wabić, tumanić, rozśmieszać – a uczestnicy karnawału pójdą za nimi, bo poczują się w tym marszu lepsi. Idioci poczują się mędrkami, najbrzydsze feministki – pięknosciami, ekologowie zbawcami przyrody i zamiast żabek będą nadymać samych siebie. Taka jest istota karnawału. Co gorsza: życie polskie od lat staje się karnawałem. Zamiast autorytetów – celebryci, zamiast twórczości – małpowanie, głupi (przeważnie) posłowie wybierani przez głupi (przeważnie) elektorat – jako Władza. Kombinatorzy jako geniusze ekonomiczni, artyści nadrabiający skandalami brak talentu, naukowcy nadrabiający brak wiedzy „prowokującymi” poglądami. Kapuś sprzed lat patetycznie pouczający cały naród i cynik mianujący zbrodniarzy „ludźmi honoru”. To prawdziwy polski karnawał.

Karnawał 2016/2017 był może próbą puczu – lecz jeszcze nie mógł odnieść poważnego zwycięstwa. Był zbyt karnawałowy, liczba błaznów przeważała nad liczbą wściekłych frustratów przybyłych z marginesu. Karnawał zniszczył próbę puczu – jak rdza przeżera żelazo. Tym łatwiej, że charakter naszych polityków nie z żelaza, a z czegoś o wiele bardziej miękkiego. Ale jeszcze nie należy się cieszyć. Karnawał się powtórzy bo taka jest jego istota. I wcale nie jest pewne, że ubecy zdążą wyzdychać a my zdążymy wychować mądrą młodzież, że podniesiemy poziom władzy wprowadzając cenzus wykształcenia dla rządzących i dla ich wyborców. Na razie trzeba przyjąć to, co jest; że życie społeczne przenosi się w rzeczywistość wirtualną, że w manipulowaniu ludźmi wygrywają „narracje” nad prawdą – zwłaszcza jeśli fałszerze mają więcej rezonatorów. No i, że póki co – nastawienie drugiego policzka kończy się otrzymaniem ciosu w mordę. Ringu historii nie zmienimy, nie uciekniemy, musimy na nim wygrać. Karnawał można pokonać jedynie lepszym karnawałem. Obóz władzy nie ma na

to pomysłu: jest za poważny, nie ma dobrych błaznów i w ogóle lekceważy grę w sferze wirtualnej i postępującą teatralizację Realu – a to znaczy lekceważy przyszłość.

Rząd nie zadbał o stworzenie, czy choćby o pozbieranie resztek elit, nie zadbał o rezonatory w postaci choćby gazet. Nie ma gazety codziennej podtrzymującej kontakt władzy ze społeczeństwem, przekładającej na codzienną polszczyznę – polską rację stanu. Nie ma tygodnika kulturalnego prezentującego tę rację stanu w kulturze i tworzącego więź między społeczeństwem a elitami. Polityk, który nie wzmocni sektora państwowego, to znaczy wspólnotowego, polskiego – narazi polskie firmy na przegraną z gangami złodziei i prawników, minister, który nie stworzy sieci teatrów, pism i wytwórni filmowych prezentujących polską rację stanu – wydaje Polaków na łup racji obcych. Animator kultury, który znając morale naszych elit zamiast grubej koperty wtyka im medalionik „Gloria artis” – powinien zmienić zawód.

Jak najszybciej – bo sprawa robi się pilna. Bo karnawał powróci. Problem komu będzie do śmiechu.

„WOLNOŚĆ JEST WSZYSTKIM”

Strach na Majdanie

Ma około 50 lat, włosy już miejscami siwawe, ale sylwetka szczupła, wysportowana. Jest wysoki. Nazwijmy go „Igor”.

Mówi, że czuł dużo większy strach niż w Afganistanie. Wiedział, że jak go złapią w Kijowie, to zabiją, gdyż złapanych „Afgańców” Berkut mordował. „Wiedziałem też, że nie mam po co wracać do domu, gdy wygra Janukowycz, bo czekać tam będzie na mnie śmierć lub 15 lat więzienia. Gdy wyjeżdżałem do Kijowa to pożegnałem się żoną”.

Korzenie

Pochodzi z terenów Ukrainy prawobrzeżnej i jest w 1/4 Polakiem. Babka ze strony matki była polską szlachcianką. Ale o tym dowiedział się przypadkiem, gdy Ukraina była już wolna, od krewnego, który pracował w cerkiewnym archiwum i badał korzenie rodziny. Nie powiedziała mu o tym ani babka, ani rodzice (choć zapewne o tym wiedzieli). W Związku Sowieckim rodzina trzymała w tajemnicy informację o polskich korzeniach, bo to mogło zaszkodzić. „Nikt nie wiedział. Bali się!” – mówi. Mogło być to przeszkodą w karierze wojskowej ojca, mogło też utrudniać życie Igorowi. Pytam – „Dlaczego?”. Wyjaśnia: – „Na Polaków patrzono w Związku Sowieckim podejrzliwie. Polacy zawsze chcą być wolnymi. Macie u nas opinię buntowników, ludzi niepokornych, niezdolnych do życia w niewoli”.

Ojciec Igora był zawodowym żołnierzem narodowości ukraińskiej, chociaż czuł się obywatelem sowieckim. Brał udział w interwencji sowieckiej na Węgrzech jako żołnierz desantowy. O służbie na Węgrzech opowiadał potem

nieraz synowi. Podkreślał, że nie strzelał do Węgrów. Stacjonował też w Niemczech wschodnich krótko przed wyprowadzeniem stamtąd wojsk sowieckich.

Chociaż „polska” babka była katoliczką, mama Igora wyznawała prawosławie. On sam także został ochrzczony w cerkwi prawosławnej. Jednak przez długi czas nie praktykował. Dopiero po Majdanie po raz pierwszy wypowiadał się u księdza greko-katolickiego. Wcześniej chodził jednak do kościoła rzymsko-katolickiego w miejscowości, w której mieszkał. Mówi, że chodzą do tego kościoła zarówno Polacy mieszkający w tym mieście, jak i Ukraińcy. Jednym z powodów tych wizyt są organy, które są w świątyni katolickiej i koncerty muzyki organowej.

Afganistan

Gdy skończył szkołę średnią dostał powołanie do wojska. W Związku Sowieckim – inaczej niż w Polsce – studia nie reklamowały od służby wojskowej. Dostał przydział do Afganistanu. Nie miał na to żadnego wpływu. Zapomniałem zapytać, czemu ojciec – przecież zawodowy wojskowy – nie pomógł mu, aby nie trafił do Afganistanu. Zapewne nie mógł. A może nie chciał? Nie rozmawialiśmy o tym.

Była to już sama końcówka – dwa ostatnie lata obecności sowieckiej w Afganistanie (1987-1989). Trafił do jednej z prowincji w środkowej części kraju.

Na moje pytanie odpowiada, że mieli tam pod dostatkiem uzbrojenia. Nie było też żadnych kłopotów z zaopatrzeniem.

„Byliśmy sowieckimi okupantami” – przyznaje.

Służył w piechocie. Był ranny. Jechali samochodem i wpadli ma minę. Wylecieli w powietrze. Mieli szczęście, bo wszyscy przeżyli. Po dwóch dniach w szpitalu wrócił do służby.

„Strach był” – przyznaje. Sowieci (których w Afganistanie określano słowem – „szurawi”) radzili sobie ze stresem przy pomocy używek: pili bimber („braszku”), palili „trawkę”.

Mimo wojny handlowali z afgańską ludnością. Sprzedawali im na przykład metalowe łuski od pocisków czołgowych, z których tamci wyrabiali różne przedmioty, np. samowary.

„Szurawi” rozmawiali nieraz z Afgańczykami (tłumaczami byli Tadžycy, słu-

żący w Armii Czerwonej), pod sam koniec – także z „duchami” czy „duszmanami” – jak Sowieci nazywali afgańskich partyzantów. Wtedy już nie walczyli z nimi intensywnie. „Nie lubili nas. Chcieli, żebyśmy szybko stamtąd wyszli. Mówili, że nie będą do nas strzelać, ale ponaglali, abyśmy szybciej wracali do domu”.

Co zaskakujące, gdy opuszczali Afganistan dowództwo poleciło, aby zostawili mudżahedinom swoją broń. Darmo. Zostawili tam nie tylko karabiny, ale także wozy opancerzone i czołgi.

Igor opuścił Afganistan tydzień przed ostatnimi sowieckimi żołnierzami, słynną drogą przez Most Przyjaźni na granicznej rzece Amu-Daria.

W Związku Sowieckim stosunek zwykłych ludzi do weteranów z Afganistanu był bardzo dobry. Byli zapraszani do szkół i opowiadali dzieciom o tym, jak walczyli w obcym kraju. Przyznaje jednak, że nie wszystko można było opowiedzieć na takich spotkaniach.

Upadek Związku Sowieckiego

Po powrocie z Afganistanu zaczął studia humanistyczne. Pytam, jak je pogodził z tym co przeżył na wojnie. Mówi, że nie miał z tym żadnych problemów. U niego w rodzinie były tradycje humanistyczne. Podkreśla, że pochodzi z inteligenckiej rodziny.

Gdy był studentem upadł Związek Sowiecki i zaczęła się niepodległa Ukraina. Miał już wtedy żonę i dziecko.

Żona pochodzi z Zachodniej Ukrainy – z terenów historycznej Rusi Czerwonej. Jej dziadek – gdy przyszli tam Sowieci w 1939 r. – został osadzony w więzieniu a potem wywieziony na Sybir. W 1941 r. wstąpił do Armii Andersa, walczył w Afryce z Rommlem i brał udział w bitwie pod Monte Cassino. Po II wojnie światowej wyjechał do Ameryki i tam umarł. Natomiast jego żona i dzieci zostały na terenach Związku Sowieckiego.

Igor po studiach przeniósł się do wschodniej Ukrainie (gdzie żona dostała pracę), na Zaporozże. Pytam go, czy w 1991 r. czuł się Ukraińcem. Odpowiada przecząco. Czuł się obywatelem Związku Radzieckiego. „Czy to oznacza, że Ukraińcem zostałeś trochę przypadkowo? Gdybyś mieszkał na terenie, który po 1991 roku byłby częścią Rosji to byłbyś Rosjaninem?”. Potwierdza, że to był

przypadek, ale, że – gdyby znalazł się w Rosji – to przeniósłby się do Ukrainy, tak, jak zrobiło to wielu byłych obywateli sowieckich narodowości ukraińskiej. „Dlaczego”? – pytam. – „Bo my chcemy żyć we własnym domu” – odpowiada. – „Ale przecież czuliście się obywatelami sowieckimi”. – „Wszystko jedno – mówi – decydowała ukraińska krew. Wszyscy starali się wyjechać na Ukrainę”. Wróciło dużo ludzi, jak ocenia, liczba powracających z Rosji do Ukrainy szła w setki tysięcy osób. Ukraińcy wracali nawet z Dalekiego Wschodu, czy z Sybiru. – „No chyba, że ktoś miał mieszkanie w Moskwie lub Petersburgu...”.

Majdan

Na Majdan przyjechał na początku lutego 2014 roku. Nie znał nikogo. Znalazł namiot sztabu. Wszedł i się zapisał. Dostał przydział do ósmej sotni. Byli tam ludzie z różnych rejonów Ukrainy, choć większość sotni złożona było z ludzi pogrupowanych według kryterium terytorialnego – zwykle z tej samej oblasti lub tego samego rejonu. Sotni było 80 – 100. W każdej było 30-40 ludzi. W jego sotni było 5 „Afgańców”. Zajmowali się ochroną wewnętrzną Majdanu – wyławiano tituszków, prowokatorów. W grupach po około 10 osób patrolowali Majdan. Miał wojskowe spodnie, kurtkę i hełm, które przywiózł ze sobą z domu. Na obchód Majdanu zabierali kije bejsbolowe. Gdy spotykali kogoś podejrzanego na Majdanie, doprowadzali do sztabu i tam go przesłuchiwali.

Spali na materacach rozłożonych na deskach, w namiocie, który był rozbity koło wysokiej kolumny na środku placu. Był mróz. Wielu obrońców Majdanu chorowało, panowała grypa...

18 lutego jego sotnia poszła pod gmach parlamentu. Po drodze były dwie barykady, które zbudował Berkut z autobusów i innych samochodów. Obie udało im się spalić, mimo że Berkut z dachów zrzucił granaty a snajperzy strzelali plastikowymi kulami. Wtedy został po raz pierwszy ranny, w plecy.

Od strony Parku Mariańskiego ruszyła potężna chmara Berkutu. Ludzie uciekali w panice. Igor był wśród tych, którzy osłaniali ich odwrót. Koło budynku banku centralnego zbudowali własną barykadę, aby opóźnić marsz Berkutu. Potem cofnęli się na drugą barykadę. Wreszcie wrócił na Majdan.

W trakcie nocnego szturmego berkutowcy spalili namiot ich sotni, a ta część

placu, gdzie był ich namiot została zajęta przez Berkut. Dowódca sotni kazał im iść do domu. Igor nie posłuchał. Z jego sotni zostało ich tylko dwóch. Dużo ludzi uciekło wtedy z Majdanu. Zostało ich niewielu, ale ci, którzy zostali byli zdecydowani na śmierć. Nikt się nie cofał. Spali w innym namiocie.

Był w grupie, która spaliła BTR. Najpierw jechała armatka wodna, za nią transporter. Z tyłu piechota. Było zimno i armatka nie zdawała egzaminu. Jako broń mieli koktajle Mołotowa oraz ładunki wybuchowe domowej roboty (petardy obwiązane gwoździami), które nazywali „bimbami”, gdyż tak kiedyś określił je premier Azarow – zaufany człowiek Janukowycza. Podkreśla, że koktajle Mołotowa to była straszna broń przeciwko transporterom i armatom wodnym. Jak spalili BTR, to piechota (Berkut), która szła za nim uciekła. Zniszczona została także armatka wodna, która zresztą nie spisywała się dobrze na mrozie.

Potem walczył na barykadzie. Jako narzędzie walki używali specjalnie przygotowanych na Majdanie „sapek” – kopaczek z długą drewnianą rękojeścią (ok. 1,5 metra). Taka broń, gdy uderzało się nią od góry na szturmujących barykadę berkutowców, była bardzo skuteczna. Trudno się dziwić – przed ciosem kopaczką w głowę czy w plecy milicyjny hełm nie stanowił dobrej ochrony...

Za atakującym Berkutem szli strzelcy. Wtedy jeszcze ciągle strzelali plastikowymi kulami a nie ostrą amunicją. Igor miał kamizelkę kuloodporną i kask, więc większość kul nie zrobiła mu krzywdy, ale kilka strzałów snajperów było celnych. Dostał w szyję, ramię, w bok – wszystkie rany miał z jednej strony ciała – tej, którą stał przodem do atakujących. Potem stracił przytomność. Zabrali go do wysokiego budynku związków zawodowych na Majdanie (tego, który potem spłonął). Tam był szpital. Chirurg wyciągnął mu z szyi kulę o średnicy 9 mm i zaszył ranę. Potem Igor wrócił na barykadę. Jeszcze raz podkreśla, że byli gotowi na śmierć. Nikt już nie uciekał: ani mężczyźni, ani kobiety.

Przyznaje, że niektórzy powstańcy mieli broń palną, ale twierdzi, że była to wyłącznie broń myśliwską i że strzelano do Berkutu śrutem. Pochwala to. Mówi: „Ciężko było ich trafić, bo mieli kaski, kamizelki kuloodporne. Ale chodziło o to, aby ich wystraszyć. Wiedzieliśmy, że im bardziej ich wystraszymy, to ich będzie mniej, a nas więcej!”.

W „czarny czwartek”, 20 lutego, był na ul. Instytuckiej. Stał przy baryka-

dzie pod mostem, zaraz przy wejściu na Majdan. Widział, jak ci, którzy biegli przed nim upadli. Padali bez krzyku. „To była szybka śmierć od kuli snajpera”. Krzyczał, aby ludzie nie biegli Instytucką, bo jest pod ostrzałem snajperów. Było ich co najmniej dwóch. Jeden z lewej strony ulicy (patrzac od strony Majdanu), w pokoju w gmachu ministerstwa finansów (strzelał przez okno), drugi z drugiej strony, w hotelu Europejskim. Nie złapano ich.

Pytam go, czemu Berkut uciekał przed nimi. Odpowiada: „Bali się!”. – „Ale przecież to oni mieli broń!”. – „Bali się! – powtarza – Wiedzieli, że jeżeli ich dopadniemy, to zabijemy”.

Co teraz będzie z Ukrainą?

Pytam go o przyszłość Ukrainy. – „Co teraz będzie z Ukrainą”. – „Nie wiem. Ale powrotu do Związku Sowieckiego i do Putina nie będzie. Krew się przelała. Choćbyśmy mieli zginąć do ostatniego – nie zgodzimy się! U nas są dobrzy ludzie, chcą pracować. Ukraina będzie żyć normalnie. Mamy nadzieję, że Zachód nam pomoże. Bez ich pomocy nie damy rady”. Jest optymistą.

Pytam go, o co walczył. „Przyjechałem na Majdan, bo chciałem usunąć Janukowycza, chciałem, żebyśmy weszli do Europy, żebyśmy mogli żyć normalnie, żebyśmy stali się obywatelami świata. Tak jak wy, jak Niemcy. Nie chcemy siedzieć w rezerwacie. Janukowycz mógł podróżować po świecie, a nam ciężko było wyjechać. Chcemy, żeby nasze dzieci były wolne, żeby mogły pracować i uczyć się, gdzie będą chciały”. Mówię mu, że my jesteśmy rozczarowani sytuacją w Polsce, na co odpowiada: „Dla nas wasze życie jest bardzo dobre. Ale ja rozumiem, że wy porównujecie się do Anglii, Francji i w porównaniu do nich wam żyje się gorzej. Ale u was jest wolność. Czujecie się ludźmi. Bo wolność dla człowieka jest najważniejsza. Wolność jest wszystkim. O nią walczyliśmy na Majdanie!”.

HISTORIA

WYKŁĘTY PIŁSUDCZYK x2

W styczniu minęła 70 rocznica aresztowania ppłk. Wacława Lipińskiego

Harcerz, Legionista Komendanta Józefa Piłsudskiego, oficer Wojska Polskiego. W wolnej Ojczyźnie wybitny historyk. Podczas bohaterskiej walki o Warszawę w 1939 r. był szefem propagandy przy dowództwie obrony stolicy. Rozpoczętej wówczas walki o niepodległość Polski nie zaprzestał do chwili aresztowania przez komunistów w 1947 roku. Dwa lata później został zamordowany. Po 70 latach od tamtych chwil władze Warszawy nie chcą uhonorować swojego obrońcy...

Pierwsza konspiracja

„Są ludzie i są prace ludzkie tak sile i tak potężne, że śmierć przewyciężają i żyją i obcuja między nami” – te słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego doskonale potwierdził swoim życiem Wacław Lipiński.

Urodził się 28 września 1896 r. w Łodzi, w rodzinie mocno zaangażowanej politycznie. Na jego postawę wpłynęła głównie matka, która włączyła się w działalność niepodległościową w ramach Polskiej Partii Socjalistycznej. W „polskim Manchesterze” Lipiński rozpoczął swoją drogę do Niepodległej w 1912 roku. Został wówczas jednym z kierowników ruchu skautowego w „Handlówce”, później wziął czynny udział w pracach „Zarzewia”. 12 października 1914 r. wstąpił – z dowodzoną przez siebie grupą harcerzy – w szeregi strzelców Józefa Piłsudskiego. Przechodząc cały szlak I Brygady pozostawił po sobie niezwykle cenne zapiski z frontu, które drukiem wyszły w wolnej Polsce pod tytułem „Szlakiem Pierwszej Brygady”.

Podczas Wielkiej Wojny obywatel „Socha” (pseudonim legionowy) pisał wiele. Głównie o sprawach bieżących, ale zdarzały się i teksty historyczne. Do aktywności pisarskiej zachęcił go inny wybitny historyk i publicysta Leon Wasilewski. To dzięki niemu Lipiński, po uczestnictwie w wyprawie wileńskiej i łotewskiej, w październiku 1919 r. został kierownikiem propagandy i prasy w dowództwie frontu litewsko-białoruskiego.

W wolnej Polsce dr mjr Wacław Lipiński pracował głównie w Wojskowym Biurze Historycznym. W tym czasie publikował wiele prac naukowych, popularnonaukowych i publicystycznych. Niemalą rolę odegrał także przy rozbudowie Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski (później Instytutu Józefa Piłsudskiego) oraz pisma instytutu „Niepodległość”.

Podczas obrony granic w 1939 r. przydzielono Lipińskiego do Szefostwa Propagandy Naczelnego Wodza. Jednak po krótkim tam pobycie przeniesiony został na stanowisko szefa propagandy Dowództwa Obrony Warszawy. Wspólnie z prezydentem miasta Stefanem Starzyńskim podtrzymywał na duchu obrońców starożytnych murów stolicy. O skuteczności pracy legionowych towarzyszy broni świadczy fakt, że wychodząca wówczas prasa wszystkich nurtów politycznych opowiadała się za koniecznością nadania im godności honorowych obywateli miasta.

Dru ga k onspiracja

Po kapitulacji Warszawy Wacław Lipiński oraz Stefan Starzyński postanowili nie schodzić do podziemia i zostać w stolicy, ponieważ *pozostanie nasze (...) i dzielenie nadal losu jej mieszkańców będzie miało niezmiennie ważne znaczenie moralne*. Lipiński objął stanowisko dyrektora muzeum Piłsudskiego w Belwederze, dzięki czemu zdołał uratować i zabezpieczyć 72 skrzynie materiałów Instytutu Józefa Piłsudskiego oraz wiele innych cennych źródeł z okresu obrony Warszawy. Jednak Niemcy nie zamierzali biernie przypatrywać się legalnej działalności obrońców stolicy i postanowili aresztować Prezydenta Starzyńskiego i płk Lipińskiego.

Pułkownik zdołał uciec na Podhale, skąd na polecenie władz podziemia skierował się 19 marca 1940 r. do Paryża. Jednak „nowe” czynniki polityczne nie pozwoliły mu na przyjazd do Francji, która niedługo potem spektakularnie

uległa potęgde niemieckiej. Po spotkaniu z marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym W. Lipiński wrócił do kraju.

Od 1942 r. współtworzył Konwent Organizacji Niepodległościowych – ruch, który w części podporządkował się Armii Krajowej. Przez dwa lata KON wiernie służył imponderabiliom, a za głównego wroga Polski uznał ZSRS. Wacław Lipiński był w tym czasie redaktorem „Myśli państwowej”, organu prasowego Konwentu. 23 lutego 1944 r. został aresztowany przez Gestapo. Prawdopodobnie przez swoje antysowieckie nastawienie zostaje zwolniony i z racji na bezpieczeństwo odsunięty na jakiś czas z działalności podziemnej.

Walka do samego końca

Po przegranej wojnie Wacław Lipiński pozostał w kraju. Cały ruch niepodległościowy – w tym środowisko piłsudczykowskie – był zatomizowany. Lipiński próbował rozmów z Kazimierzem Moczarskim o centralizacji ośrodków, acz bezskutecznie. Jako zadeklarowany piłsudczyk, w imię wolnej Polski, musiał pójść na duży kompromis. W lipcu 1945 r. nawiązał kontakt z Włodzimierzem Marszewskim, członkiem ZG Stronnictwa Narodowego.

Pod koniec 1945 r. liderzy, wydawałoby się przeciwnych sobie ruchów, w marcu 1946 r. – po konsultacjach z Zrzeszeniem Wolność i Niezawisłość – powołali Komitet Porozumiewawczy Organizacji Polski Podziemnej (później Komitet Porozumiewawczy Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej). Komitet nie miał władz, ani przewodniczącego. Jednak widocznym liderem był w nim Lipiński. Podczas rozpracowywania zauważyli to nawet komuniści, którzy w „Informatorze o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944-1956” pisali: *Rolę inspiratora politycznego KPOPP pełnił W. Lipiński.*

KPOPP wystosował, piórem Lipińskiego, memoriał do Rady Bezpieczeństwa ONZ. Wykazano w nim całkowite podporządkowanie Polski ZSRS oraz informowano Zachód o łamaniu porozumień międzynarodowych przez TRJN. Nalegano w nim na interwencję dyplomatyczną oraz wprowadzenie międzynarodowej kontroli przy wyborach do Sejmu, a także wymuszenie, aby możliwość startu w nich miały wszystkie siły polityczne w kraju.

W marcu 1946 r. W. Lipiński powołał Stronnictwo Niezawisłości Narodo-

wej, które wchodziło w skład KPOPP. W czerwcu wzywał do bojkotu referendum i stwierdził, że zostało ono narzucone społeczeństwu przez *quislingowski rząd agentury moskiewskiej w czasie, gdy więzienia i obozy koncentracyjne pełne są naszych najbliższych (...) nie czas na komedię głosowania, które zresztą nie będzie mieć żadnego znaczenia, dopóki na ziemiach naszych panuje zbrojna przemoc Moskwy*.

Niepokorny do końca

Najbliżsi przyjaciele i towarzysze walk legionowych, którzy pozostali na emigracji, namawiali Wacława Lipińskiego do wyjazdu z „Polski Ludowej”. *Wyjazd mój w tych okolicznościach byłby dla mnie zupełnie niemożliwy: to tak, jakbym 3 lipca (1916 r. – ASL), na dzień przed Kostiuchnowką wyjechał w pilnych sprawach do Kowala* – pisał w odpowiedzi z 6 stycznia 1947 r. ppłk Lipiński. Dzień później, razem z innymi członkami Komitetu Porozumiewawczego, został aresztowany.

Osadzono go najpierw w areszcie na Mokotowie. Pokazowy i mocno nagłośniony w prasie proces KPOPP i III ZG WiN odbył się w Warszawie w dniach 3-27 grudnia 1947 r. Akt oskarżenia Lipińskiego dotyczył wspomnianego wyżej memoriału do ONZ oraz rzekomego szpiegostwa na rzecz „imperialistycznych mocarstw”. „Dziennik Polski” z 5 grudnia 1947 r. podawał, że oskarżony Lipiński dysponował sumą 700 dolarów i 50.000 zł i otrzymywał stałe wynagrodzenie z zagranicy. Rozprawę prowadził ppłk sędzia Franciszek Szeliński, sędziami ławnikami byli mjr Markiewicz i Liwicki. Oskarżenie poparł pierwszy zastępca Naczelnego Prokuratora WP płk Stanisław Zarkao – Zarakowski. Wacława Lipińskiego bronił adwokat Maślanko.

Wiele źródeł potwierdza, że Wacław Lipiński zachował podczas procesu niepokorną i godną naśladowania postawę. Jak pisał obecny na rozprawie korespondent „New York Times” Sydney Gruson 28 grudnia 1947 r.: *Lipiński energicznie odrzucał wytaczane przeciwko niemu oskarżenia, a przewod sądowy nie był w stanie udowodnić mu utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z brytyjskimi lub amerykańskimi dyplomatami (...) Przyznał się do organizowania opozycji wobec obecnego rządu. Z kolei tajemniczy autor rocznicowego artykułu o Pułkowniku, który został zamieszczony w „Ameryka Echo” 2 lipca 1961 r., przytaczał*

słowa Lipińskiego: *Pracowałem w podziemiach, gdyż w Polsce nie ma wolności politycznej, i dalej: jako Polak, jako obywatel, jako człowiek nie czuję się winny.*

Wyrok zapadł 27 grudnia 1947 r. Lipiński i Marszewski skazani zostali na karę śmierci. Jak wspomina Wacław Jędrzejewicz w XVIII tomie „Niepodległości”: *W czasie procesu i wyroku robiliśmy w Nowym Jorku starania by Stany Zjednoczone poczyniły kroki do zmiany tych surowych kar (...) Podobno odpowiednia amerykańska interwencja miała miejsce w Warszawie.* W kwietniu 1948 r. Najwyższy Sąd w Warszawie zmienił wyrok dr Lipińskiemu na dożywocie.

Został przewieziony z Mokotowa do owianego złą sławą więzienia we Wronkach. Tam 4 kwietnia 1949 r. został odnaleziony w celi martwy. Rodzinie przekazano informację, jakoby umarł śmiercią samobójczą przez powieszenie. Jednak w 1984 r. do Zarządu Instytutu J. Piłsudskiego w NY przyszedł list napisany przez Edwarda Cieślę, który także przebywał w tym czasie we Wronkach. Wskazywał on, że na kilka dni przed śmiercią Lipiński spotkał się z rodziną i był w pełni sił duchowych. Cieśla był we Wronkach stolarzem i zeznał, że Lipiński był osadzony z kryminalnymi recydywistami, którzy dla swobodniejszych warunków byli w stanie zrobić wszystko. Korytarzowy Tadeusz Łeda Szelał miał być współwinny zamordowania Pułkownika. Inna relacja odnaleziona w Studium Polski Podziemnej mówi, że zabójstwa mieli dokonać byli gestapowcy.

Wersje się różnią, ale jedno jest pewne – wszystko wskazuje na to, że ppłk Wacława Lipińskiego zamordowano z inspiracji komunistów. Dodatkowo trzeba przy tym pamiętać o jednym fakcie, szczególnie charakterystycznym dla komunistów w tamtym czasie – rodzina nie widziała ciała.

Jak wspominał na łamach II tomu „Niepodległości” (1950 r.) mjr Feliks Libert, dr Lipińskiego oskarżono *o prawdę treści jego życia, którą była walka o niepodległość.* Według niektórych jego śmierć była symbolicznym końcem politycznej działalności piłsudczyków w kraju. Natomiast Józef Mackiewicz w wydawanym przez siebie piśmie „Lwów i Wilno” w 1947 r. wspominał: *W moim głębokim przekonaniu Wacław Lipiński winien przejść do historii polskiej jako bohater narodowy. Jego postawa na procesie była unikatem za żelazną kurtyną.* Chyba się z tym zgodzimy.

Warszawa a.d. 2017 mówi nie

Zatrzymujemy tu siły niemieckie bardzo poważne, wiążemy ich, zadajemy im ogromne straty. Muszą się oni ponad wielki wysiłek zdobywać, żeby utrzymać ten stan posiadania, jaki dotychczas zdobyli. Musimy tę walkę i tę wojnę prowadzić nadal (...) Musimy dlatego, aby koniec był zwycięski pracować i oddać dla tego celu wszystkie nasze siły, oddać dla tego celu zwycięskiego cały swój wysiłek. I chociaż jest chwilami bardzo nawet ciężko, musimy zachować spokój, musimy zachować pogodną twarz, bowiem na pewno zwycięstwo będzie po naszej stronie – mówił do Warszawiaków 22 września 1939 r. ppłk Wacław Lipiński, który na stanowisku szefa propagandy Dowództwa Obrony Warszawy, wspólnie z heroicznym prezydentem miasta Stefanem Starzyńskim, wspierał obrońców stolicy.

Za tę pomoc ówczesni mieszkańcy miasta – współcześni zapewne też – są mu bardzo wdzięczni. Niestety inaczej na tę kwestię patrzą urzędnicy Ratusza. Dwa dni po 70. rocznicy aresztowania Pułkownika, 9 stycznia 2017 r., z ramienia stowarzyszenia Pokolenia Niepokornych wystosowałem do Prezydent m.st. Warszawy Pani Hanny Gronkiewicz – Wąltz pismo z prośbą o podniesienie tematu ewentualnego nadania ppłk Lipińskiemu tytułu Honorowego Obywatela miasta.

24 stycznia otrzymałem odpowiedź, w której podziękowano za „przypomnienie” postaci Pułkownika oraz napisano, że *zgodnie z przyjętą zasadą Rada Miasta przyznaje tę godność przede wszystkim osobom żyjącym*. Przysłano mi także uchwałę nr XII/222/2015 z 28 maja 2015 r., w której nie doszukałem się informacji, jakoby tytuł ten nadawano wyłącznie osobom żyjącym.

Wystarczy także wziąć do ręki wydaną przez miasto w 2016 roku broszurę pt. „Honorowi Obywatele m.st. Warszawy”, aby przekonać się, że były w historii miasta trzy przypadki, gdzie miano Honorowego Obywatela otrzymywały postacie, które już odeszły na wieczną wartę. To są bardzo zasłużone dla naszej historii osoby – przywoływany już wielokrotnie Stefan Starzyński, płk Witold Pilecki oraz Prezydent RP Lech Kaczyński. Święte nazwiska dla wielu z nas. Dlaczego nie ma do nich dołączyć ppłk dr Wacław Lipiński?

Tak o pracy Wacława Lipińskiego pisał w II tomie „Niepodległości” (1950 r.) mjr Feliks Libert: *Ile i w jak wielkiej mierze na wytworzenie i zachowanie tak wspaniale niezłomnej postawy ludności warszawskiej zaważyła ówczesna dzia-*

talność Lipińskiego współ z działalnością jego przyjaciela z czasów legionowych Stefana Starzyńskiego, prezydenta m. Warszawy, w czasie jej obrony mianowanego Komisarzem Cywilnym przy Dowództwie Obrony – świadczy fakt, że wychodząca wówczas w Warszawie prasa bez różnicy kierunków politycznych zapowiadała konieczność wniesienia po wojnie wniosku o nadanie godności honorowych obywateli Warszawy przede wszystkim Starzyńskiemu i Lipińskiemu. Wniosek został wniesiony. Może za kilka lat znów ktoś się nad nim pochyli...

METAMORFOZA „SYMPATYKA”

Kilka uwag o KPN w Łodzi na podstawie relacji Tajnego Współpracownika Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Piotrowski”

Historia sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Sympatyk”¹ zakończyła się wraz z wprowadzeniem stanu wojennego, internowaniem Wojciecha Szostaka, a następnie podpisaniem przez niego deklaracji o zaniechaniu wrogiej działalności. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa uznali to za wystarczający powód do zamknięcia sprawy sygnowanej tym kryptonimem. Równolegle otworzyli jednak nową – tym razem była to praca agenturalna.

Działalność Tajnego Współpracownika o pseudonimie „Piotrowski” rozpoczęła 5 stycznia 1982 roku. Tego dnia miał złożyć pierwsze swoje doniesienie. Tak przynajmniej wygląda sprawa z perspektywy dokumentacji zachowanej w teczce pracy agenta. Zarejestrowany został przez lokalny Wydział III WUSW pod nr 45323. Oficjalnie fakt ten został zaakceptowany 8 stycznia 1982 r². Oficerem prowadzącym był porucznik R. Durczyński.

Pierwszą osobą, która pojawiła się w informacji przekazanej funkcjonariuszowi łódzkiej bezpieki, wspomnianemu R. Durczyńskiemu, był Krzysztof Woźniak. Ten działacz łódzkiej NSZZ „Solidarność”, związany ze środowiskiem KORu. Akurat ukrywał się przed poszukującymi go funkcjonariuszami

¹ Zob.: K. Chylak, *Kryptonim „Sympatyk”. Krótka historia aktywności działacza Konfederacji Polski Niepodległej Wojciecha Szostaka*, „Opinia Nurtu Niepodległościowego” 2016, nr 10, s. 129–139.

² AIPN, Łd, sygn. 0255/4, *Dziennik rejestracyjny sieci agenturalnej*; ibidem, *Kartoteka „zniszczeniowa” b. Wydziału „C” WUSW w Łodzi, Piotrkowie Tryb., Sieradzu, Skierniewicach*.

SB. Wcześniej miał przyciągać do swego środowiska działacza łódzkiej KPN Wojciecha Szostaka. *Notabene* nie był w tym zbyt skuteczny. TW „Piotrowski” nie zastawszy w domu K. Woźniaka przeprowadził jedynie krótką rozmowę z jego matką. Nic z niej nie wynikało. Nie była to więc cenna informacja dla bezpieki. Wątek ten zresztą zszedł na plan dalszy³.

Ważniejszą była sprawa łódzkiej Konfederacji Polski Niepodległej. W tym przypadku związki TW „Piotrowski” ze środowiskiem działaczy były nie małe. Funkcjonariusz prowadzący mógł więc liczyć na bardziej interesujące i przydatne w jego pracy informacje. Nie przeliczył się. Rzecz dotyczyła działalności Zbigniewa Rybarkiewicza, lidera łódzkich struktur KPN i Komitetu Obrony Więźniów za Przekonania. Także i on starał się pozostawać poza wiedzą bezpieki. Jak wspominał, wraz z siostrą ukrywał się w mieszkaniu matki jednej ze swoich współpracownic i współliderki organizacji – Aleksandry Więckiewicz (Kozłowskiej). Trwało to tylko kilka dni. Po powrocie do pracy szybko został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia⁴. Nim to się stało i wydano drakański wyrok⁵ udało mu się skontaktować z W. Szostakiem. I to właśnie z tego spotkania pozostała notatka.

Łódzka KPN w wyniku wprowadzeniu stanu wojennego uległa dezintegracji. Wielu działaczy zostało zatrzymanych, inni nie bardzo wiedzieli jak zareagować na bieżące wydarzenia. Jak to wspominał Z. Rybarkiewicz: „w Łodzi i całym kraju panował chaos i dezorientacja”⁶. Zdecydował on jednak nie zaprzestawać działalności i był, jak notował por. R. Durczyński, „w pełni chęci tworzenia nowej struktury KPN”. Miała to jednak być grupa o wiele węższa, a główną rolę miała odgrywać Bożena Bińkowska – siostra Z. Rybarkiewicza⁷.

Na kolejnych dwóch spotkaniach łódzka bezpieka pozyskała informa-

³ Ibidem, sygn. 0040/364, k. 10.

⁴ Z. Rybarkiewicz, *Wspomnienia*, [w:] *Łódzka KPN. Od PRL do Niepodległości*, red. K. Chylak, M. Michalik, Łódź 2012, s. 60.

⁵ Z. Rybarkiewicz 27 stycznia 1982 r. skazany został przez Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy na 1,5 roku więzienia na podstawie za zorganizowanie 14 grudnia 1981 r. strajku na terenie MPK w Łodzi. Zob.: AIPN, Ld, sygn. pf 86/8; ibidem, BU, sygn. 738.

⁶ Z. Rybarkiewicz, op. cit., s. 60.

⁷ AIPN, Ld, sygn. 0040/364, k. 10.

cję o aktywizacji Kazimierza Lubery, który miał utrzymywać ścisły związek z B. Bińkowską. Na tym spotkaniu zdarzyła się dla nowego TW dość nieprzyjemna sytuacja, bowiem wspomniany K. Lubera oskarżył go o współpracę z SB. Funkcjonariusze bezpieki zaniepokoiли się, że TW „Piotrowski” „postanowił etapami sam się zdekonspirować, aby go uznać nieprzydatnym”⁸. Podejrzewania te okazały się niesłuszne. Nowy współpracownik był lojalny. Sprawa nie pojawiła się już więcej w dokumentacji pozostałej po łódzkiej bezpiece.

Wkrótce TW „Piotrowski” powiadomił też o działaniach kolejnego członka KPN – Stanisława Szymańskiego. Przekazał niebezpieczną dla tego ostatniego wiadomość o kolportowaniu przez niego czasopisma „Przedwiośnie”. Powstało ono z inicjatywy A. Więckiewicz (Kozłowskiej)⁹. Łódzcy funkcjonariusze pozyskali też informację o niejakej Ryszardzie Aludzie, zamieszkałej przy ul. Leśmiana, która miała być, jak to ujęto, „wtajemniczona w sprawy KPN”¹⁰. Prawdopodobnie chodziło mu o działaczkę NSZZ „Solidarność” Halinę Aludę¹¹. Oprócz tego w doniesieniach TW o pseudonimie „Piotrowski” pojawiały się nazwiska rodziny Bartyzelów i Moczulskich. Wiadomości te były jednakowoż mało znaczące.

W czasie jednego z pierwszych spotkań, co należy zaznaczyć, regularnie odbywających się z funkcjonariuszem prowadzącym, TW „Piotrowski” przekazał informację o istnieniu listy członków łódzkich struktur KPN. Porucznik R. Durczyński zanotował: „TW jest w posiadaniu informacji, że Rybarkiewicz prowadził ścisłą ewidencję członków KPN. Sporządził specjalną listę, którą otwierał z numerem pierwszym Wojciech Szostak”¹². Potwierdza to poniekąd w swych wspomnieniach Z. Rybarkiewicz, twierdząc jednak, że była to lista działaczy KOWzP. Według jego relacji przepaść miała ona w czasie pacyfikacji siedziby NSZZ „Solidarność” w grudniu 1981 roku. Trudno z całą pewnością orzec czy wpadła ona w ręce funkcjonariuszy. Faktem jednak było, że notujący

⁸ Ibidem, k. 17.

⁹ Ibidem, k. 30, 34, 37.

¹⁰ Ibidem, k. 28.

¹¹ Zob.: *Noty biograficzne łódzian zasłużonych w działaniach opozycji antykomunistycznej w latach 1976-89*, <http://www.slownik-niezalezni dlakultury.pl/>; AIPN, Ld, sygn. 084/6, t. 1, k. 70.

¹² AIPN, Ld, sygn. 0040/364, k. 15.

doniesienie TW oficer SB nie wykazał zbytniego zainteresowania tym faktem. Miało to miejsce na początku drugiej dekady stycznia 1982 r.

Z lektury akt TW „Piotrowski” można zauważyć także rysujący się konflikt w strukturach KPN. W czasie gdy lider organizacji Leszek Moczulski znalazł się w więzieniu działalnością organizacji kierowała jego żona Maria. Stan ten nie budził zadowolenia wśród części działaczy¹³. Wydaje się, że znajdowało to również odbicie w środowisku łódzkim. Szczególną rolę w tym odgrywała A. Więckiewicz (Kozłowska). W tym przypadku przecinało się kilka spraw. Z jednej strony były to generalne wyobrażenia o organizacji i jej przywództwie ale, jak się wydaje, większe znaczenie miały sprawy lokalne. Chodzi tu przede wszystkim o zawężenie grona współpracowników przez Z. Rybarkiewicza, z drugiej zaś, o ambicje poszczególnych liderów.

„W marcu 1982 roku nastąpiło zupełne rozluźnienie, a później zerwanie kontaktów między Olą Kozłowską, a Bożeną Bińkowską, zaś rozbitcie łódzkiej KPN stało się faktem” – tak sprawę widział Z. Rybarkiewicz. Takie też informacje pozyskała łódzka bezpieka. Oficer prowadzący, 30 czerwca 1982 r. zanotował relację TW „Piotrowski”: „członkini Kierownictwa Akcji Bieżącej na terenie Łodzi Kozłowska Aleksandra ps. „Ola” ponownie wróciła do działalności w KPN. Pod nieobecność Rybarkiewicza, opracowuje ona obecnie nowy statut KPN. Na tym tle między nią a siostrą Rybarkiewicza doszło do zerwania znajomości. Bińkowska zarzuca jej, że chce ona przejąć, będąc autorką nowego statutu, kontrolę nad całą organizacją”¹⁴. Problem próbowano rozwiązać na poziomie centralnym, ale i tu nie znaleziono zrozumienia. Relacjonował to TW „Piotrowski”: „Kilka dni temu była u niej [Marii Moczulskiej – przyp. aut.] Bińkowska (siostra Rybarkiewicza) skarżąc się na Kozłowską. Została ona przyjęta chłodno. Moczulska jej wręcz oświadczyła, że to ją nie obchodzi, bowiem łódzkie środowisko KPN nie jest warte zaufania i niech sobie robią co chcą”¹⁵.

Tajny Współpracownik o pseudonimie „Piotrowski” stał się źródłem informacji o nowym szefie lokalnej struktury KPN Januszu Ficnerze. Dekonspiracja

¹³ Ibidem, k. 30–31,

¹⁴ Ibidem, k. 51–52.

¹⁵ Ibidem, k. 59.

dokonała się niejako przypadkiem w początkach stycznia 1983 r. Porucznik R. Durczyński w informacji operacyjnej notował relację z jednego ze spotkań W. Szostaka z B. Bińkowską: „O wiele istotniejszy charakter miało zdarzenie, które nastąpiło pod koniec tej rozmowy. Otóż do mieszkania Bińkowskiej wszedł młody mężczyzna przedstawiając się jako Fiszer. Zmieszał się na widok gości u Bińkowskiej. Przebywał bardzo krótko, zamienił kilka zdań z Bińkowską i wyszedł. Po jego wyjściu Bińkowska zwróciła się do Szostaka stwierdzając, że ten co przed chwilą wyszedł jest aktualnym szefem KPN-u w Łodzi. Został mianowany bezpośrednio przez Rybarkiewicza”¹⁶. Jak się okazało fakt ten nie był znany łódzkiej bezpiece. Owszem, J. Ficner, jeszcze w grudniu 1982 roku był przesłuchiwany ale rozmowa miała charakter ostrzegawczy i prowadzona była tak aby „dać mu do zrozumienia, że interesuje nas jego związek z Kozłowską”¹⁷.

W informacji tej padło kilka szczegółów, które przeczą dotychczasowemu stanowi wiedzy na temat roli Janusza Ficnera. Oczywiście zakładać należy, że funkcjonariusz notując, bądź dyktujący TW, przekreślił nazwisko¹⁸. Fakt sprawowania kierownictwa łódzką strukturą KPN, albo może lepiej zrębami struktury, w czasie przebywania Z. Rybarkiewicza w więzieniu potwierdzają relacje uczestników tamtych wydarzeń. Zgodnie o tym piszą wspomniany Z. Rybarkiewicz jak i A. Więckiewicz (Kozłowska)¹⁹. W świetle tej notatki zastanowić należy się nad związkiem ówczesnego szefa KAB z rywalizującymi grupami w KPN. Przebywający w więzieniu w Hrubieszowie Z. Rybarkiewicz wskazuje, że był on powiązany z A. Więckiewicz (Kozłowską) i dopiero w marcu 1983 r. wobec zbliżającego się terminu jego wyjścia z więzienia miał nawiązać kontakt z B. Bińkowską. Data sporządzenia wspomnianej informacji operacyjnej – 5 stycznia 1983 r. – przeczy temu twierdzeniu. Być może lidera łódzkiego KPN zawiodła pamięć, być może nie był on o wszystkim informowany.

¹⁶ Ibidem, k. 73.

¹⁷ Ibidem, k. 74.

¹⁸ Wykluczyć należy pomyłkę z innym działaczem KPN w Łodzi Henrykiem Herszelem, który już wówczas nie mógłby być określony jako „młody mężczyzna”. Zadania, jakie w następstwie tego otrzymał TW „Piotrowski” – „nawiązanie bliższego kontaktu z Ficnerem” – potwierdzają przyjętą hipotezę.

¹⁹ Z. Rybarkiewicz, op. cit., s. 66; A. Więckiewicz (Kozłowska), *Piątka z polskiego*, [w:], ibidem, s. 186.

Drugim elementem było zanotowane twierdzenie B. Bińkowskiej o nominacji jakiej J. Ficnerowi miał udzielić sam Z. Rybarkiewicz. O tym fakcie także ten pierwszy nic nie wspomina. Czyżby tak ważna informacja umknęła z jego pamięci? Wydaje się to wątpliwe. Wyraźnie bowiem wskazuje J. Ficnera jako współpracownika A. Więckiewicza (Kozłowskiej), ale też i jego lojalne zachowanie w sierpniu 1983 r., kiedy to złożył rezygnację z czasowo pełnionej funkcji²⁰. Sprawa ta jest trudna do jednoznacznego rozstrzygnięcia.

W jednym z dokumentów pojawia się też ciekawe twierdzenie o jednym z czołowych działaczy NSZZ „Solidarność” Andrzeju Trautmanie. Nie był on członkiem KPN, jednak znane są jego relacje z Pawłem Wielechowskim i Z. Rybarkiewiczem, a więc ważnymi aktywistami KPN, zwłaszcza w zakresie działalności wydawniczej. Inspektor Jerzy Lewsza, 1 lutego 1983 r., zanotował następujące informacje przekazane przez TW „Piotrowski”: „Kilka dni temu wyjechał z Polski do Szwecji Trautman. Jest on uważany przez opozycję za „agenta” SB, przy czym nie są to wyłącznie domysły, ponieważ /potwierdziła to również w rozmowie z Szostakiem Bińkowska/ pewność ta wynika z informacji od „kogoś” z KW MO, kto jest „ich” człowiekiem²¹. Więcej, notował dalej funkcjonariusz: „z tego, co Szostak dowiedział się od Bińkowskiej wynika, że Trautman starał się o wizy w dwóch innych ambasadach, ale oni wszędzie wysyłali listy, że jest agentem SB i dostawał odmowę²²”. W świetle tej informacji zadziwiająca jest późniejsza współpraca w Szwecji z emigrującymi tam P. Wielechowskim i Z. Rybarkiewiczem²³. Czyżby siostra nie przekazała liderowi łódzkich struktur posiadanej wiedzy? A może obaj zlekceważyli ostrzeżenia. Trudno dziś sądzić o tej sprawie z całą pewnością.

Ostatni dokument w teczce pracy TW „Piotrowski” datowany jest na dzień 31 marca 1983 r. W ostatnim zdaniu pada stwierdzenie o podejrzeniu W. Szostaka o związki z SB. Wiadomość o tym miał rozpowszechniać nie utrzymujący

²⁰ Z. Rybarkiewicz, op. cit., s. 66.

²¹ AIPN, Ld, sygn. 0040/364, k. 78.

²² Ibidem.

²³ Zob.: Z. Rybarkiewicz, op. cit., s. 96-101; P. Wielechowski, *Byliśmy lekko porąbani. Rozmowa z Pawłem Wielechowskim*, [w:] ibidem, s. 247-251.

już kontaktu z KPN S. Szymański²⁴. Być może ten właśnie fakt przyspieszył zakończenie ponad rocznej współpracy TW „Piotrowski” z łódzką Służbą Bezpieczeństwa.

Teczka pracy TW „Piotrowski” zawiera kilka ciekawych informacji. Nie mają one jednak charakteru przełomowego. Mogą stanowić podstawę do weryfikacji kilku znanych relacji z tamtych czasów. Być może tylko na zadanie pytań i otwarcie kolejnego etapu poszukiwań oraz poszerzania wiedzy o łódzkiej KPN. TW „Piotrowski” nie brał udziału w większych akcjach organizowanych przez łódzką bezpiekę, nie otrzymywał zleceń działań dezintegracyjnych czy dezinformacyjnych. Można uznać, że nie wyrządził łódzkim strukturom KPN większych szkód. Jego doniesienia mogły co najwyżej służyć do weryfikacji pozyskanych już przez łódzką SB informacji. Nie były też zbyt szczegółowe.

Stałym elementem, który przewija się w dokumentacji jest poszukiwanie sposobu na uzyskanie niezbędnych dokumentów potrzebnych do wyjazdu z kraju. Na ile one stanowiły o motywacji TW do podjęcia współpracy z SB trudno przesądzić. Wydaje się jednakowoż, że mogła to być jedna z ważniejszych przyczyn utrzymywania kontaktu z funkcjonariuszami bezpieki²⁵. Na pierwszym dokumencie w teczce pracy TW „Piotrowski” znalazła się odręczna notatka przełożonego oficera prowadzącego: „wykorzystać jakąś drobną okazję by mu pomóc”. Mowa była o skorzystaniu z faktu trudnej sytuacji rodzinnej nowo pozyskanego agenta. „Aktualnie – notował funkcjonariusz – TW pracuje cały czas na nocnej zmianie. Stwarza to mu możliwość sprawowania opieki nad rodziną w dzień pod nieobecność żony przebywającej w pracy”²⁶.

Istotniejszą mogła stać się, mimo wszystko, chęć wyjazdu za granicę, która jak można przypuszczać była powiązana z sytuacją rodzinną. Wojciech Szostak chęć emigracji przejawiał jeszcze przed wybuchem stanu wojennego. W sierpniu 1981 r. złożył w urzędzie odpowiedni wniosek. Celem podróży miała być Austria²⁷. Decyzja władz nie była dla wnioskodawcy pozytywna. Na drodze stała przeszkoda nie do pokonania. Zakaz opuszczania PRL. W uzasadnieniu

²⁴ AIPN, Ld, sygn. 0040/364, k. 80.

²⁵ Ibidem, k. 27, 32, 36, 38, 50, 52, 67,

²⁶ Ibidem, k. 10.

²⁷ Ibidem, Ld, sygn. 533/135108, k. 5–6.

zapisano: „aktywny uczestnik tzw. Konfederacji Polski Niepodległej, cechuje go zdecydowanie negatywne stanowisko do ustroju socjalistycznego. Zajmuje się drukiem jak i kolportażem literatury bezdebitowej”. Wskazany powód z oczywistych względów nie został ujawniony. Wnioskodawcę poinformowano jedynie o odmowie z „powodu tzw. innych ważnych względów państwowych”. Dopominający się o wyjaśnienie, co to właściwie znaczyło został zignorowany²⁸.

Wojciech Szostak w niedługim czasie po opuszczeniu ośrodka dla internowanych ponownie wnioskował o paszport. Był to marzec 1982 r. Tym razem planował wyjazd na stałe do Kanady. Uzasadnienie podania było dość szczególne: „Jestem członkiem założycielem KPN. W dniu 1 grudnia zostałem internowany. W dniu 23 grudnia zostałem zwolniony z ośrodka odosobnienia, po podpisaniu zobowiązania do przestrzegania porządku prawnego w PRL. W tej sytuacji nie chcąc szkodzić organizacji, która mi zaufała i nie mogąc działać w myśl własnych przekonań, a jednocześnie chcąc wypełnić podpisane przy zwolnieniu zobowiązanie, proszę o pozwolenie mi na opuszczeniu kraju wraz z rodziną”. Okazało się jednak, że niecodzienną było tylko z pozoru²⁹.

Funkcjonariusz łódzkiej „bezpieki”, Zenon Tabaczkiewicz, opiniujący wniosek W. Szostaka na potrzeby procedury prowadzonej przez Wydział Paszportów KW MO w Łodzi, w konkluzji, pozytywnie odniósł się do prośby niedawnego figuranta sprawy o kryptonimie „Sympatyk”. Argumentując wskazał na bierną postawę w czasie internowania i nie włączanie się w aktywność polityczną osadzonych. Jednakowoż podkreślił, że W. Szostak po uwolnieniu na nowo podjął współpracę ze środowiskiem KPN, w tym zwłaszcza często utrzymywał kontakty z Marią Moczulską. Oficer rozwinął jedynie wątki podjęte przez wnioskującego, a co za tym idzie w pełni potwierdził ich wiarygodność. Rzec się działa w sierpniu 1982 r³⁰.

Ostatecznie W. Szostak i jego rodzina otrzymali wizę do Francji. Dnia 20 maja 1983 r. poprzez port w warszawskim Okęciu udali się całą rodzi-

²⁸ Ibidem, k. 12, 19.

²⁹ Ibidem, k. 21–24.

³⁰ Ibidem, k. 31.

ną na emigrację³¹. Zbieżność z zakończeniem pracy przez TW „Piotrowski” i pojawieniem się w środowisku pogłosek o współpracy W. Szostaka z „bezpieką” nie wydaje się przypadkowa. Wraz z wyjazdem miała się zakończyć historia TW „Piotrowski”. W ewidencji zapisano, bowiem: „współpracę rozwiązano z powodu wyjazdu na stałe do Francji”. Teczkę pracy złożono do archiwum po ponad trzech latach. Lokalny Wydział „C” KWMO w Łodzi w dniu 5 listopada 1986 r. zewidencjonował ją pod numerem 54 061, 17 grudnia tego roku nadano jej sygnaturę archiwalną 43 588/I. Zanotowano również, że teczkę personalną zniszczono protokołem brakowania 987/89 a więc 1989 r.³².

Pobyt na obczyźnie nie przypadł do gustu niedawnemu aktywiście KPN. Podzielił los wielu. Nie można jednak powiedzieć, że został pozostawiony samemu sobie. Na lotnisku czekali na niego pracownicy Czerwonego Krzyża, od razu otrzymał 500 franków zapomogi. Po czterech tygodniach rodzina Szostaków trafiła do ośrodka dla emigrantów zlokalizowanym w Lure niedaleko Belfort, tuż przy granicy ze Szwajcarią. Cały czas wspierana finansowo przebywała tam cztery miesiące, by 13 października przenieść się do niedużej, znajdującej się w pobliżu, miejscowości Delle. Tam W. Szostak otrzymał mieszkanie oraz pracę. W prywatnej firmie, w której był pracownikiem fizycznym. Pierwszy kontrakt zawarto z nim na pół roku, po czym, po przedłużeniu, otrzymał dużo gorsze warunki. Motywacja do dalszego pobytu szybko opadła i już 7 lutego 1985 r. zameldował się w polskim konsulacie w Paryżu prosząc o możliwość powrotu do kraju. Przekraczając po raz kolejny polską granicę, tym razem z zachodu na wschód miał stwierdzić, że „demokracja tam nie jest taka jaka sobie wyobrażał oraz” – jak zanotowali funkcjonariusze – miał być „negatywnie nastawiony do sytuacji społeczno-ekonomicznej we Francji”. „Przy okazji

³¹ Ibidem, k. 54. Informacja zawarta na stronie internetowej Stowarzyszenia Wolnego Słowa (*Noty biograficzne łodzian zasłużonych w działaniach opozycji antykomunistycznej w latach 1976–89*, <http://www.slownik-niezalezni dlakultury.pl>) wydają się być niezgodne ze stanem faktycznym.

³² AIPN, Ld, *Kartoteka „zniszczeniowa” b. Wydziału „C” WUSW w Łodzi, Piotrkowie Tryb., Sieradzu, Skierniewicach*; ibidem, *Dziennik archiwalny teczek personalnych i wyeliminowanej agentury*.

– informowali przełożonych – dokonano fotokopii adresów z notesu i listu do znajomego z Anglii”³³.

Powrót W. Szostaka do kraju nie został odnotowany ani w dokumentacji sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Sympatyk”³⁴ ani też w teczce pracy TW „Piotrowski”. Brak jest też jakichkolwiek śladów jego aktywności w środowiskach łódzkiej opozycji. Po powrocie W. Szostaka z emigracji, i przeprowadzeniu przez funkcjonariuszy Wydziału II działań sprawdzających zapisano „Były TW [...] współpracę rozwiązano dn. 87.02.28 z powodu braku możliwości”³⁵. Faktycznie jednak, brakuje jakichkolwiek śladów współpracy już po wyjeździe do Francji.

W dzienniku rejestracyjnym sieci agenturalnej znajduje się jeszcze jeden zapis dotyczący W. Szostaka. Otóż dnia 2 marca 1987 r. zarejestrowano sprawę operacyjnego sprawdzenia, której nadano kryptonim „Pierre”, nr 54 749. Wszczął ją Wydział II WUSW, a więc zajmujący się kontrwywiadem. Czy rzeczywiście podejrzewano W. Szostaka o kontakty z obcymi służbami, czy też było to tylko rutynowe działanie trudno powiedzieć. Materiały nie zachowały się. Sprawę zakończono z dniem 23 grudnia 1988 r., teczkę TW „Piotrowski” zwrócono Wydziałowi III, a materiały „Pierre” przekazano do archiwum. Dokumentację wybrakowano – jak wynika z tych skąpych zapisów – protokołem 97/88, a więc jeszcze w tym samym roku. Wydaje się zatem, że nic niepokojącego nie odkryto – ale to tylko przypuszczenie³⁶.

Na koniec warto jeszcze odnotować, że W. Szostak przez kolejne kilka lat mieszkał w Łodzi. Pracował w tamtejszej Wytwórni Filmów Oświatowych przy ul. Kilińskiego 210. Kilkakrotnie składał wnioski o paszport, którego nie otrzymywał. Ostatni taki złożył 3 kwietnia 1989 r.³⁷. Czy wówczas wyjechał za granicę czy może nieco później? Trudno z całą pewnością orzec, bowiem jest to ostatni z dokumentów tego zbioru akt.

³³ Ibidem, Ld, sygn. 533/135108, k. 54–55.

³⁴ Zob.: K. Chylak, op. cit., s. 129–139.

³⁵ AIPN, Ld, *Kartoteka „zniszczeniowa” b. Wydziału „C” WUSW w Łodzi, Piotrkowie Tryb., Sieradzu, Skierniewicach*.

³⁶ AIPN, Ld, sygn. 0255/5, *Dziennik rejestracyjny sieci agenturalnej*.

³⁷ AIPN, Ld, sygn. 533/135108, k. 68–86.

Podsumowując, jak się wydaje, nie pozbawionym argumentów będzie stwierdzenie, że ani figurant operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Sympatyk” nie był zbyt rzutkim działaczem KPN, ani też Tajny Współpracownik o pseudonimie „Piotrowski” nie stanowił cennego źródła informacji dla łódzkiej „bezpieki”. Jak się okazuje nie był też zadowolonym z wybranej drogi emigrant, który opuścił Polskę w maju 1983 r. Wszystkie te historie łączy jedna osoba – Wojciech Szostak, syn wysokiego rangą oficera Armii Krajowej, legionisty, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej i powstania warszawskiego. Paradoks to niezwykły.

POCZĄTEK DRUGIEGO OBIEGU

Wydarzenia Czerwca – 1976

Początek drugiego obiegu to wydarzenia z czerwca 1976 roku. Poświęcono ich omówieniu wiele publikacji. Najważniejsze z nich zostały opublikowane przez Instytut Pamięci Narodowej: „Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych. Wybór, wstęp i opracowanie Jerzy Eisler, Warszawa 2001” oraz „Paweł Sasanka: Czerwiec 1976. Geneza – przebieg – konsekwencje, Warszawa 2006”.

Wydarzenia czerwca 1976 roku dla potrzeb tego artykułu omawiam w skrótovej formie. Na końcu tego rozdziału zamieszczam bibliografię publikacji, które wykorzystałem przy jego pisaniu.

Wypadki z czerwca 1976 roku, obok wydarzeń z lat 1956, 1968, 1970, 1980-1981, na trwałe weszły do historii polskich kryzysów.

W rezultacie wydarzeń z grudnia 1970 roku na Wybrzeżu w kierownictwie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nastąpiły zmiany. Pierwszym sekretarzem KC PZPR został Edward Gierek, któremu społeczeństwo udzieliło poparcia, wyrażającego się w słynnym „Pomożemy!”, wypowiedzianym przez stoczniovców.

Pierwszym „manewrem gospodarczym” Gierka było dokonanie w 1971 roku znacznych podwyżek płac przy jednoczesnym przygotowaniu „pędu do wzrostu”, realizowanego w latach 1971–1975. Gwałtownie zwiększało się spożycie i wysokość inwestycji, z których pierwsze zapewnić miało bodźce do wzrostu wydajności pracy, drugie zaś umożliwić wprowadzenie nowoczesnych, zachodnich technologii. Środki finansowe z Zachodu miały pozwolić na nad-

wyżkę importu konieczną do realizacji obydwu celów w perspektywie średnioterminowej, podczas gdy na dłuższą metę nowe urządzenia miały wydajnie produkować dostateczną ilość towarów eksportowych na spłatę kredytów. W tym czasie realizowano najbardziej ambitny program inwestycyjny – w latach 1971–1975 wynosił 19,5 proc rocznie, więc niemal 2,5 raza więcej niż w pięciolatce 1966–1970 (8 proc).

Realizacja tej polityki była tak dalece chaotyczna, że inwestycje oraz płace realne i nominalne w latach 1972–1976 zwiększały się nawet szybciej, niż zakładano w planach na poszczególne lata tego okresu. Napływ zagranicznych kapitałów przewyższał zdolność gospodarki do ich wchłaniania, ponieważ występowały „wąskie gardła” w budownictwie i duże opóźnienia w realizacji projektów. Bardzo gwałtowny wzrost spożycia podniósł oczekiwania ludności powyżej możliwości ich zaspokojenia. Bardzo to utrudniało kontrolę dochodów pieniężnych, tworząc nadmierny popyt i wywołując inflację.

W czerwcu 1976 roku kierownictwo polityczne pragnęło dokonać regulacji cen. Była to inicjatywa spóźniona. Miała szanse najpóźniej do połowy 1974 roku, kiedy podnosiła się krzywa wyników gospodarczych i warunków materialnych ludności. Władze wystąpiły ze swym projektem w czasie, kiedy skomplikowały się problemy płac, organizacji pracy, pogorszyło się zaopatrzenie rynku, minął pogrudniowy impet w polepszaniu warunków socjalnych polskiego społeczeństwa. Choć za główny powód wystąpień robotniczych w czerwcu 1976 roku należy uznać pogarszającą się sytuację ekonomiczną kraju, to nie powinno się pomijać rodzących się w tym okresie w środowiskach inteligencji niezależnych inicjatyw, zmierzających do pobudzenia aktywności politycznej społeczeństwa. Przykładem tego były protesty po wprowadzeniu zmian w konstytucji w grudniu 1975 roku.

24 czerwca 1976 roku, na czwartym posiedzeniu wybranego 21 marca Sejmu, premier Piotr Jaroszewicz zaproponował uzupełnienie porządku dziennego obrad o wniosek Rady Ministrów w sprawie „propozycji niektórych zmian w strukturze cen detalicznych oraz zasad rekompensaty społeczeństwu tych zmian”. Propozycja została przyjęta. Podwyżka miała objąć: mięso (średnio o 69 proc), drób (30 proc), ryby i przetwory rybne (69 proc), masło (ponad 50 proc), cukier i wyroby cukiernicze (ponad 100 proc), mak, fasolę, groch,

przetwory warzywne (średnio o 30 proc) i ryż. Zmiany cen miały być wprowadzone w poniedziałek 28 czerwca, a w sklepach dyżurujących i w gastronomii dzień wcześniej – w niedzielę 27 czerwca. Oznaczało to średnio, około 46-procentowy wzrost cen żywności, zwiększający koszty utrzymania – w stosunku do poziomu i struktury spożycia w 1975 roku – o około 16 procent. Jednocześnie przewidziano rekompensatę w postaci dodatków do płac, emerytur i rent, zwiększenia zasiłków rodzinnych (o 200 złotych na dziecko, o 150 złotych na osobę nie pracującą), stypendiów studenckich (o 30 proc), szkolnych oraz zapomóg. Rekompensaty miały wynosić w grupach najniżej uposażonych (poniżej 1300 złotych miesięcznie) – 240 złotych, w grupach średnio uposażonych (poniżej 8000 złotych miesięcznie) – 560 złotych, w grupach najwyżej uposażonych (powyżej 8000 złotych miesięcznie) – 600 złotych. W praktyce więc rekompensata płac dla grup najbogatszych miała być ponad dwa razy większa niż dla grup najuboższych.

Równocześnie planowano zwiększenie od piątku 25 czerwca cen skupu żywności i drobiu, podwyżce miały ulec ceny środków produkcji i usług produkcyjnych dla rolnictwa oraz niektóre środki przeznaczone na inwestycje.

Na zakończenie swego wystąpienia Jaroszewicz stwierdził, że przedstawiony projekt był uzgodniony z Centralną Radą Związków Zawodowych. Następnie głos zabrał poseł Edward Babiuch (PZPR), który w imieniu klubów poselskich PZPR, ZSL i SD oraz posłów bezpartyjnych wyraził poparcie dla propozycji zmian cen. Sejm potwierdził to przez aklamację. Babiuch wniósł o podjęcie przez Sejm uchwały przewidującej przekonsultowanie propozycji zmian cen „z przedstawicielami załóg zakładów pracy, instytucji i gmin oraz o przedstawienie sprawozdania z przebiegu tych konsultacji na posiedzeniu Sejmu”. Sejm taką uchwałę podjął. Cenowa sesja sejmowa, planowana na 26 czerwca 1976 roku, już się nie odbyła, ale też nie została odwołana. Nowe cenniki wydrukowano przed „oficjalnym” wprowadzeniem podwyżek i 24 czerwca w zaplombowanych workach rozesłano do wszystkich województw.

We wtorek 22 czerwca ogłoszono alarm dla wszystkich rezerw milicji, wojsk wewnętrznych i innych formacji ministerstwa spraw wewnętrznych.

Nowe ceny zamierzano wprowadzić w tak krótkim czasie (dwa do trzech dni) – w sobotę 26 czerwca miała odbyć się druga część posiedzenia Sejmu za-

twierdząca ostateczną wersję cen – że na konsultacje pozostał zaledwie jeden dzień. Ale nawet i tego dnia nie wykorzystano. Szeroko rozreklamowana przez środki masowego przekazu „społeczna konsultacja” ograniczyła się jedynie do wymiany poglądów między ogniwami władzy centralnej i aparatem partyjno-gospodarczym 173 wielkich zakładów przemysłowych.

Władze, obawiając się reakcji społeczeństwa, już od kilku miesięcy prowadziły akcję podwyżek płac w niektórych grupach społecznych. Na przełomie kwietnia i maja dokonano podwyżek i awansów w służbie bezpieczeństwa i straży więziennej, milicji i wojsku. W maju i czerwcu prawie w całym przemyśle nastąpiło przeszerokowanie wszystkich pracowników, średnio o 1–2 tysiące złotych miesięcznie. Podwyżka ta miała obowiązywać od lipca. Zapowiedź wzrostu płac częściowo rozładowała napięcie. W niektórych zakładach władze rozpuścili plotkę, że „rekompensaty zostaną, ceny cofną”. W wielu branżach tak też się stało. Tymczasem większość społeczeństwa założenia zmian cenowych, zwłaszcza proponowanych zasad rekompensat, uznała za niesprawiedliwe, ponieważ główny ciężar ich przeprowadzenia miały ponieść grupy najmniej zarabiające.

25 czerwca 1976 roku kraj ogarnęła fala strajków. Zastrajkowało około 75 proc. zakładów przemysłowych Polski, zwłaszcza mniejszych. Pierwszy alarm otrzymał KC PZPR z Urzędu Głównego Dyspozytora Mocy o godzinie 14, odnotowano spadek poziomu zużycia energii do około 15 proc. normalnego zużycia. Strajkowały, między innymi, Pomorska Odlewnia i Emaliernia w Grudziądzu (po strajku z fabryki tej usunięto 43 osoby), FSC Starachowice (usunięto 100–300 osób), zakłady pracy Wrocławia, Szczecina (np. stocznia „Gryfia”), Poznania, Elbląga, Stocznia Gdańska im. Lenina, w Warszawie: „Tewa”, FSO, PZO, „Nowotko”, „Kasprzak”, Zelmo i „Świerczewski”. W Łodzi przerwało pracę 16 zakładów przemysłu włókienniczego, dziewiarskiego i odzieżowego. W Zakładach Dziewiarskich im. M. Fornalskiej wybrano komitet strajkowy. Liczba osób zwolnionych z pracy w tym mieście doszła do około 300. Strajkowano również w Radomsku, Białymstoku, Gdyni i Pruszczu Gdańskim. W Nowotarskich Zakładach Przemysłu Skórzanego 25 czerwca nic się nie działo. Organizacja PZPR wystąpiła z listem do władz, w którym w imieniu załogi potępiono strajki. Odpowiedzią był strajk 29 czerwca, mający

na celu wyłącznie protest przeciw temu nadużyciu. Liczba zwolnionych jest dziś trudna do ustalenia, wyniosła od 100 do 300 osób.

Nie wszędzie sprzeciw wobec decyzji rządu przyjął formę lepiej lub gorzej zorganizowanego protestu. Najczęściej sprowadzał się do tego, że robotnicy z pierwszej zmiany nie podejmowali pracy, lecz jedynie zbierali się w grupach i dyskutowali na temat zapowiedzianej podwyżki, nie wysuwając żadnych sprecyzowanych żądań. W wielu wypadkach strajk nie obejmował całego zakładu, lecz tylko poszczególne wydziały. Często dyrekcja nie podejmowała w tej sprawie żadnych kroków i udawała, że nic się nie stało. Do poważniejszych wystąpień robotniczych doszło jedynie w Gdańsku, Płocku, Ursusie i Radomiu.

W Gdańsku 25 czerwca cała pierwsza zmiana Stoczni Gdańskiej im. Lenina odmówiła podjęcia pracy. Około godziny 9 robotnicy zaczęli gromadzić się na swoich wydziałach, później udali się pod budynek dyrekcji. Nastąpiły rozmowy z dyrekcją i lokalnymi władzami (I sekretarzem Fiszbachem, wicewojewodą Mariańskim, przewodniczącym WRZZ Boronowiczem). Wiec zakończył się o godzinie 13, bez żadnych wspólnych ustaleń. Załoga postanowiła rozpocząć strajk o godzinie 9 następnego dnia. Tego samego dnia strajkowały rano dwa wydziały Stoczni Gdyńskiej im. Komuny Paryskiej. Ze Stoczni im. Lenina zwolniono około 300 osób (wśród nich późniejszego przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsę).

Także 25 czerwca o godzinie 6 rano zastrajkowała załoga płockiej Petrochemii, jednej z największych fabryk w Polsce, pracująca na surowcu dostarczanym ruropociągami ze Związku Radzieckiego. Około godziny 10 rozpoczął się wiec, na którym robotnicy domagali się odwołania podwyżki. Po wiecu część załogi niosąc czerwone sztandary, przeszła pod budynek KW, gdzie zastała, już pracowników Płockiej Fabryki Maszyn Żniwnych, również strajkujących od rana. Wybrano delegację, która udała się do I sekretarza KW. Pod komitetem czekano na odpowiedź z KC. Demonstracja była dość spokojna. Po godzinie 20 (kiedy wiadomo już było, że podwyżkę odwołano) rozchodzący się tłum został zaatakowany przez oddziały Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (ZOMO), sprowadzone z Zegrza. Demonstracja została rozproszona. W czasie starć przewrócono i podpalono milicyjny radiowóz. Aresztowania, jakie miały potem miejsce, doprowadziły do zatrzymania 20–30 osób.

Strajk w Zakładach Mechanicznych „Ursus” został podjęty od samego rana na wszystkich wydziałach. Kilkudziesięcioosobowa grupa pracowników zablokowała główny węzeł komunikacyjny zakładu. Liczbę strajkujących ocenia się na 10 000 ludzi. Robotnicy początkowo czekali na przybycie przedstawicieli dyrekcji, a następnie około godziny 9 opuścili fabrykę, aby udać się przed budynek biurowy, mieszczący się poza terenem zakładu, w celu podjęcia rozmów. Dyrekcja odmówiła przekazania władzom nadrzędnym robotniczych żądań. Doszło do incydentów, podczas których robotnice poturbowały dyrektora Prugara-Ketlinga i I sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR Maćkowskiego. Strajkujący robotnicy podjęli na własną rękę próbę nawiązania kontaktu z władzami, okazało się jednak, że cała sieć telefoniczna „Ursusa” została odcięta. W związku z tym postanowiono powiadomić cały kraj o strajku w Ursusie przez zablokowanie ruchu na pobliskich liniach kolejowych: Warszawa-Poznań-Berlin-Paryż i Warszawa-Katowice-Wiedeń. Tory zablokowano rozkręcając szyny i do powstałej w ten sposób wyrwy wepchnięto elektrowóz pierwszego z zatrzymanych pociągów. W mieście przejęto dwa samochody dostawcze z jajami i cukrem, ich zawartość rozdano ludności. Zabierano też żywność z bufetów unieruchomionych pociągów.

Podczas wydarzeń trwających cały dzień milicja nie interweniowała, nadciągające z Warszawy oddziały zatrzymały się z daleka od demonstrującego tłumu. Prowadzono jedynie obserwację z krążącego nad „Ursusem” helikoptera i filmowano uczestników. Dopiero około godziny 20, gdy ludzie rozchodzili się do domów po wysłuchaniu przemówienia Jaroszewicza, który odwołał podwyżkę cen, nastąpiło natarcie milicji. Tłum zgromadzony na torach kolejowych został zaatakowany petardami i gazem łzawiącym. Od petard zapaliła się i spłonęła jednostka elektryczna oraz wagon restauracyjny ekspresu międzynarodowego. W krótkim czasie demonstracja została rozproszona. Podczas starć z milicją robotnicy podjęli nieudaną próbę zabarykadowania zakładu. Mimo to siłom porządkowym nie udało się wtargnąć na wydziały, gdyż znajdujący się tam robotnicy zmusili je do wycofania się. Po strajku Komitet Fabryczny PZPR stwierdził, że „w wyniku zaistniałych wydarzeń przedsiębiorstwo nasze i kraj poniosły straty materialne, wyrażające się zwłaszcza niedoborami produkcyjnymi. Niedobory wynikłe z produkcji stanowią 42 735 000 złotych wartości

produkcji, na co składa się 305 ciągników, 76 sztuk silników luzem, 133 tony odkuwek, 51 ton odlewów żeliwnych oraz części zamienne wartości 3 100 000 złotych”.

Strajk w Radomiu rozpoczął się w Zakładach Metalowych im. gen. „Waltera”. 800 pracowników Wydziału P-6 o godzinie 7 przerwało pracę. Robotnicy proklamowali strajk na placu fabrycznym. Nie wybrano jednak Komitetu Strajkowego. Postanowiono przede wszystkim zawiadomić inne zakłady przemysłowe. Ekipy robotnicze rozjechały się po Radomiu na akumulatorowych wózkach transportu wewnętrznego. Na wiecu domagano się odwołania podwyżki. Dyrektor Skrzypek powiedział, że Komitet Centralny PZPR ustosunkuje się do postulatów załogi o godzinie 14.30. Nie powstrzymało to jednak ludzi od wyjścia na ulicę. Pochód skierował się pod siedzibę KW. Wznoszono między innymi okrzyki: „Chleba, wolności!”. Idących robotników błogosławił ze schodów kościoła św. Trójcy ksiądz Kotlarz. Tłum początkowo liczył około 2000 osób. Do załogi z „Waltera” przyłączyli się pracownicy „Radoskóru” i Wytwórni Sprzętu Grzejnego. Około godziny 10 zebrany pod budynkiem KW PZPR tłum liczył już 6000 osób. Próba rozmowy z I sekretarzem Prokopiakiem nie udała się. Pod komitetem gromadzili się pracownicy kolejnych zakładów pracy, między innymi Radomskiej Wytwórni Telefonów, ZREMB, Zakładów Mięsnych, Zakładów Tytoniowych, ZNTK. Na skutek plotki, jakoby I sekretarz opuścił budynek KW, robotnicy weszli do środka. Prokopiak był jednak na miejscu i rozmawiał z nimi obiecując, że o 14.30 dostaną odpowiedź na swe postulaty. Około godziny 14 okazało się, że I sekretarz wraz z całym personelem opuścił gmach na polecenie KC PZPR. Rozgoryczony tłum zaczął demolować wnętrze komitetu. II sekretarza Adamczyka, który pogardliwie odniósł się do zebranych, rozebrano do bielizny.

Około godziny 15 podpalono gmach. Do płonącego budynku nie dopuszczono straży pożarnej, w tym celu z samochodów, ciągników i przyczep na ulicy 1 Maja zbudowano barykadę. Podpalono jeden z wozów strażackich. Wówczas zdarzył się nieszczęśliwy wypadek: dwóch robotników (J. Łabędzki i T. Zębacki) zostało śmiertelnie przygniecionych przez przyczepę ciągnika.

Około godziny 12 na lotnisko radomskie przyleciało 30 samolotów wojskowych, które przywoziły oddziały MO i SB z Piły. Do miasta przyjechały

też siły MO z Lublina, Rzeszowa, Tarnobrzega, Szczytna i Warszawy, a także oddziały ZOMO z Gołędzinowa.

Jednostki te około godziny 17 rozpędziły czterdziestotysięczny tłum zebrany w rejonie KW. Użyto gazów łzawiących, petard i działek wodnych. Grupki wycofujących się demonstrantów dotarły pod Urząd Wojewódzki i Komendę Wojewódzką MO, gdzie zaatakowały kamieniami i butelkami z benzyną zgromadzone tam oddziały milicyjne. Natarcie, mające na celu uwolnienie zatrzymanych robotników, zostało odparte przez siły porządkowe. Płonęły gmachy KW PZPR, Urzędu Wojewódzkiego, Biura Paszportów, Komendy Wojewódzkiej MO, samochody milicyjne i strażackie. Gdy w centrum miasta rozgrywały się te wydarzenia, w innych dzielnicach Radomia było spokojnie. Wówczas na ulicy Żeromskiego, głównej ulicy handlowej miasta, pojawiła się kilkusobowa grupa mężczyzn z kijami w dłoniach, którzy idąc od wystawy do wystawy sklepowej wybijali szyby. Milicja nie reagowała na to, ograniczając się do obserwowania i fotografowania. Po godzinie 17 zaczęto te sklepy rabować. Straty całego radomskiego handlu w towarach, nie licząc urządzeń sklepowych, wyniosły 30 milionów złotych. Utargów nie zrabowano nigdzie. Pieniądze natychmiast wycofano z kas. W sobotę rano wszystkie sklepy spożywcze, oprócz sklepu nr 53, prowadziły sprzedaż od szóstej rano, nawet te rozbite na prowizorycznych stoiskach sprzedawały pieczywo i mleko. Do wieczora ekipy szklarzy z Warszawy, Kielc, Lublina i Ostrowca wstawiły szyby we wszystkich sklepach przy ulicy Żeromskiego.

Około godziny 18.30 demonstranci raz jeszcze zaatakowali budynek Komendy Wojewódzkiej MO, aby uwolnić zatrzymanych. Milicja i tym razem odparła natarcie. Starcia przeniosły się poza śródmieście. O godzinie 21 całe miasto zostało opanowane przez oddziały ZOMO. Nastąpiły masowe aresztowania uliczne, zatrzymano około 2000 osób. Często ofiarami były osoby całkiem przypadkowe, nie mające nic wspólnego z demonstrantami. Ogólne straty materialne w Radomiu oszacowano na 77 milionów złotych.

25 czerwca, między 13 a 15, interweniowała ambasada radziecka, przekazując kategoryczne żądanie Breżniewa wycofania się z podwyżki. Wieczorem tego samego dnia prezes Rady Ministrów Piotr Jaroszewicz oświadczył w radiu i te-

lewizji: „w imieniu Rady Ministrów i po zasięgnięciu opinii Prezydium CRZZ zwróciłem się do Prezydium Sejmu o wycofanie obecnie rządowego projektu. Równocześnie Rada Ministrów zarządziła utrzymanie dotychczasowych cen detalicznych artykułów żywnościowych. Zarządziłem równocześnie wycofanie decyzji w sprawie cen skupu produktów rolnych oraz cen materiałów budowlanych i środków do produkcji rolnej”.

Po wygaśnięciu strajków i rozproszeniu demonstracji władze rozpoczęły zakrojoną na szeroką skalę akcję represyjną. Milicja działała z ogromną brutalnością. ZOMO używało długich (75 cm) pałek gumowych wzmocnionych drutem. Atakowano nimi ludzi niezależnie od wieku i płci, bez względu na to, czy stawiali opór, czy nie. Szczególnie brutalnie obchodzono się z zatrzymanymi na komendach milicji. Głównym sposobem represji były „ścieżki zdrowia”. Polegało to na przeprowadzeniu zatrzymanego przed ustawionymi w szeregu milicjantami, z których każdy bił pałką. Szczegółowe relacje na ten temat zostały zebrane i wydane przez specjalną komisję „Solidarności” w 1981 roku.

O represjach mówi nakręcony w tym samym roku w Zakładach Mechanicznych „Ursus” film dokumentalny *Ludzkie sprawy*, w którym osoby zatrzymane w czasie „wydarzeń czerwcowych 1976 roku” opowiadają o swoich przeżyciach na komendach i w aresztach.

Pacyfikacja „Ursusa” i Radomia trwała kilka dni. Ludzi zatrzymywano na ulicy, rzadziej zabierano z domów. Większość stawiano od razu przed kolegiami do spraw wykroczeń, które najczęściej orzekały karę 2-3 miesięcy aresztu oraz 2-3 tysiące złotych grzywny. Orzeczone wyroki zamieniano na areszt i odwrotnie. Niektórzy zatrzymani byli sądzeni dwukrotnie: przez kolegia i po raz drugi przez sądy.

W „Ursusie” aresztowano 200-300 osób, spośród których 30 odpowiadało przed sądem i około 60 przed kolegiami przy urzędach dzielnicowych Warszawa Ochota i Warszawa Praga Południe. W Radomiu zatrzymano około 200 osób. Przedstawiany zarzut dotyczył zakłócenia porządku publicznego z pobudek chuligańskich.

Dane szacunkowe o represjach związanych z „Czerwcem 1976 roku” na terenie całego kraju są bardzo niedokładne. Wyrzucono z pracy zapewne kilka lub kilkanaście tysięcy osób. Liczba zatrzymanych też jest trudna do usta-

lenia, ale tu szacunek może być chyba dokładniejszy: chodzi o około 2500 osób, z czego 373 skazano w trybie przyspieszonym przez kolegia orzekające do spraw wykroczeń na areszt i grzywny. W stosunku do około 500 osób wszczęto postępowanie sądowe.

W „Ursusie” rozprawy sądowe dotyczyły bądź zatrzymania ruchu kolejowego (6 rozpraw), bądź też incydentu związanego z przyjęciem przez demonstrantów samochodów dostawczych.

Najtragiczniejszym następstwem „wydarzeń czerwcowych” były ofiary śmiertelne. Według pogłosek zginęło 11 osób. Próby sprawdzenia nie dały wyników. Z uporem powtarza się wersja o zwłokach potajemnie zakopanych w plastikowych workach. W okresie gdy „Solidarność” przygotowywała uroczystości związane z „wydarzeniami Czerwca 1976” w Radomiu, spodziewano się zgłoszenia nie wyjaśnionych zaginięć z tego czasu. Nic takiego nie nastąpiło. Bezpośrednio po 25 czerwca odnotowano jedynie w Radomiu większą liczbę samobójstw niż normalnie.

Z całą pewnością w wyniku „wypadków czerwcowych” poniosły śmierć cztery osoby: dwóch robotników przygniecionych przez przyczepę ciągnika przed gmachem KW – J. Łabędzki i T. Zębacki; dwie kolejne osoby zmarły w wyniku pobicia przez milicję – ksiądz R. Kotlarz i J. Brożyna. Milicja nigdy nie została za to rozliczona. W sprawie o zabójstwo Jana Brożyny uwięziono niewinne osoby, które mimo licznych akcji i protestów, również w okresie legalnego działania „Solidarności”, nie zostały uwolnione lub zrehabilitowane. Ostatnim akcentem opanowania Radomia przez MO była defilada zorganizowana w październiku, w dniu święta MO i SB.

Środowiska robotnicze po „wydarzeniach czerwcowych” nie zostały pozostawione same sobie. Już w czerwcu grupy inteligentkie zaczęły pomagać prześladowanym. Doprowadziło to do powstania 23 września 1976 roku Komitetu Obrony Robotników. Jednym z pierwszych działań był list w obronie osób represjonowanych, skierowany do redakcji „Życia Warszawy”, który wcześniej został ogłoszony przez polską sekcję BBC (29 czerwca), następnie przez Radio „Wolna Europa” (30 czerwca).

Natychmiast po proteście przeciw podwyżkom cen władze zorganizowały wielką kampanię poparcia dla swoich działań. Prasa i telewizja informowały

o zalewie depesz i listów potępiających „wichrzycieli” i „warcholów”. Organizowano wiece, na których uchwalano rezolucje potępiające uczestników zająć. Odbyły się one w Katowicach (200 tysięcy uczestników), Warszawie (kilkadziesiąt tysięcy), Poznaniu (120 tysięcy), Gdańsku (80 tysięcy), Szczecinie (50 tysięcy), Wrocławiu, Zielonej Górze (35 tysięcy), Opolu, Toruniu, Białymstoku, Lesznie (15 tysięcy), Ciechanowie, Siedlcach (15 tysięcy), Bielsku-Białej, Lublinie, Elblągu, Kaliszu, Tarnowie, Krakowie (80 tysięcy), Wałbrzychu (30 tysięcy), Skierniewicach, Słupsku, Kielcach, Łodzi, Częstochowie, Rzeszowie (30 tysięcy) i innych miastach.

Interesujące są hasła, pod jakimi „klasa robotnicza wyrażała swe poparcie dla polityki partii i rządu”: „Nie pozwolimy, aby warcholskie elementy niszczyły nasz dorobek”, „Demokracja – to ład, rozum i porządek”, „Robotnicza Łódź z Wami, towarzyszu Gierek”, „Nie ma miejsca wśród nas dla malkontentów i warcholów”.

Władze włożyły dużo wysiłku, by zorganizować te wiece, większość bowiem robotników nie chciała w nich uczestniczyć. Zmobilizowano więc aparat partyjny i administracyjny. Wysiłki władz dobrze charakteryzują wspomnienia robotników szczecińskiej „Selfy”: „Rozdawano bilety tylko partyjnym. Odwieziono ich na stadion autobusem... Wielkie uznanie zdobyli sobie u nas kolejarze – pociąg, który jechał do Stargardu, pełen ludzi na tę masówkę, został pokierowany przez służbę kolejową tak, że spóźnił się dwie godziny. Podobno trzy tysiące ludzi nie poszło przez to na stadion. Słyszałem, że ci kolejarze zostali potem zwolnieni lub przeniesieni... W mieście usłyszałem, że ciekawe wrażenie robi sprawozdanie telewizyjne. Słyszać było ryk, ludzie popierają, a na wizji widać wszystkie gęby pozamykane... Słowo «warchoł», które usłyszeliśmy w czerwcu, zrobiło u nas karierę. Gdy ktoś pukał do naszego pokoju w zakładzie, pytało się – «Warchoł? Jeżeli warchoł, to proszę wejść»”.

W Warszawie taki wiec odbył się 28 czerwca na Stadionie Dziesięciolecia. Był to wiec urzędniczy. Jedynymi robotnikami byli nieliczni aktywiści PZPR z wielkich zakładów przemysłowych. Przed wymarszem sprawdzano listę obecności. Jedną z ostatnich (30 czerwca) była manifestacja w Radomiu pod hasłem „Pracą i postawą przywrócimy dobre imię miastu”. Wzięli w niej udział, jak napisała „Trybuna Ludu”, „Robotnicy, którzy wtedy – w czerwcu – nie

przerwali produkcji, strzegli porządku społecznego, maszyn i urządzeń, którzy nie dali się wciągnąć w chuligańskie ekscesy”.

Postawa Kościoła katolickiego

Na sytuację, która powstała po 25 czerwca 1976 roku, zareagowali przedstawiciele Kościoła katolickiego. Prymas Polski wraz z sekretarzem Episkopatu skierowali w lipcu 1976 roku pismo do rządu PRL w związku z podwyżką cen i niepokojami, jakie miały miejsce w niektórych ośrodkach kraju. Pismo to, ujmujące się za ludźmi dotkniętymi represjami i wzywające do racjonalnej gospodarki, uwzględniającej potrzeby narodu, nie zostało jednak opublikowane. 3 sierpnia 1976 roku premier Piotr Jaroszewicz przesłał prymasowi Wyszyńskiemu list i kwiaty z okazji siedemdziesiątej piątej rocznicy urodzin.

Co więcej, minister Szablewski zwrócił się do papieża z prośbą o zgodę na dalsze pełnienie przez kardynała Wyszyńskiego funkcji arcybiskupa warszawsko-gnieźnieńskiego mimo osiągnięcia przezeń wieku wyznaczonego przez Pawła VI jako granicy, po której przekroczeniu wymagane było odrębne upoważnienie. Nie ulega wątpliwości, że były to czysto interesowne gesty w stosunku do osoby prymasa. Dlatego też Konferencja Episkopatu Polski, która odbyła się 8 i 9 września 1976 roku, stwierdziła: „W obecnej chwili dobro kraju wymaga wewnętrznego ładu i spokoju. Konferencja uważa, że władze państwowe powinny w pełni respektować prawa obywatelskie, prowadzić rzeczywisty dialog ze społeczeństwem. Konferencja Plenarna Episkopatu zwraca się do najwyższych władz państwowych, aby zaniechano wszelkich represji wobec robotników biorących udział w protestach przeciwko zamierzonej przez rząd w czerwcu br. zbyt wygórowanej podwyżce cen artykułów żywnościowych. Uczestniczącym w tych protestach robotnikom trzeba by przywrócić odebrane prawa, pozycję społeczną i zawodową. Wyrządzone krzywdy odpowiednio wynagrodzić, a wobec skazanych zastosować amnestię. Biorąc pod uwagę, że sytuacja ekonomiczna w kraju w obecnej chwili jest trudna, wszyscy obywatele zobowiązani są przyczyniać się do jej poprawy. Dlatego do całego społeczeństwa, wszystkich jego warstw, Konferencja apeluje o wzmoczenie wysiłku i rzetelnej pracy, a nawet o gotowość do poniesienia wyrzeczeń na rzecz wspólnego dobra oraz zachowanie ładu społeczne-

go. Rzetelna praca jest obowiązkiem moralnym, a umiejętność wyrzeczeń – cnotą chrześcijańską. Warunkiem zaś rzetelnej pracy i wyrzeczeń jest zaufanie do władzy, która je zyskuje poprzez prawdziwą troskę i starania o dobro wszystkich obywateli. Tylko wspólnym wysiłkiem można przezwyciężyć trudności, przed którymi stoi nasz kraj”. Komunikat z konferencji został w części ocenowany, opublikowało go pismo KOR „Biuletyn Informacyjny” nr 2.

Apel Episkopatu pozostał bez odpowiedzi. Dlatego podczas Konferencji Episkopatu Polski, która odbyła się 17 i 18 listopada, biskupi ponownie zabrali głos: „Od czerwca br., gdy społeczeństwo zostało zaniepokojone wypadkami w wielu zakładach pracy, Episkopat odwoływał się do władz państwowych o zastosowanie amnestii wobec robotników domagających się odpowiednich warunków bytowych, przywrócenie utraconych uprawnień społecznych. Wielokrotnie też prymas Polski i biskupi w swych przemówieniach przypominali uprawnienia robotników do obrony swych praw osobowych i społecznych. Na te interwencje Episkopat dotychczas nie otrzymał odpowiedzi. Dlatego też Konferencja Episkopatu uważa za swój obowiązek zwrócenie się z ponownym apelem do władz państwowych o podjęcie właściwych kroków dla zachowania niezbędnego dla kraju pokoju społecznego”. I ten apel pozostał bez odpowiedzi.

Mimo pewnej rezerwy w stosunku do działaczy KOR, w liście do Antoniego Pajdaka z 4 grudnia 1976 roku prymas poparł list KOR do Sejmu z 16 listopada w sprawie obrony represjonowanych. W kilka miesięcy później władze odpowiedziały na liczne apele Kościoła i społeczeństwa ogłaszając amnestię.

Procesy

Od połowy lipca rozpoczęły się procesy osób oskarżonych o udział w „wydarzeniach czerwcowych”. W procesach tych widoczny był już udział ludzi związanych z opozycją demokratyczną, którzy pomagali oskarżonym i ich rodzinom.

16 lipca 1976 roku odbył się w gmachu sądów na Lesznie w Warszawie pierwszy proces ursuski. Ze środowisk opozycyjnych zjawili się między innymi Jacek Kuroń, Antoni Macierewicz z grupą swych przyjaciół z harcerstwa oraz Jan Józef Lipski, który dzięki współpracy od 1968 roku z charytatywnymi in-

stytucjami kościelnymi rozporządzał nieznaczną, jak na potrzeby ogólne, ale liczącą się na pierwsze dni, sumą pieniędzy z tego źródła.

Na ławie oskarżonych znaleźli się: Mirosław Piotr Chmielewski (21 lat), Mirosław Karbowski (22 lata), Grzegorz Zielonka (32 lata), Eugeniusz Dziela (30 lat), Czesław Milczarek (27 lat), Wojciech Czarnecki (35 lat) oraz Józef Stefan Jaworski (29 lat). Akt oskarżenia na podstawie art. 220 Kodeksu karnego zarzucał im, że 25 czerwca 1976 roku w Ursusie, działając wraz z innymi osobami objętymi urzędowym postępowaniem karnym, wykoleili elektrowóz spychając go do wyrwy w torach kolejowych. W wyniku tego ruch pociągów pasażerskich i towarowych został sparaliżowany na wiele godzin, co spowodowało poważne zakłócenia w transporcie kolejowym. Oskarżeni przyznali się do winy. Sąd uznał wszystkich oskarżonych winnymi zarzucanych im czynów i skazał: Mirosława Chmielewskiego na karę 5 lat pozbawienia wolności (oskarżony złożył sądowi obszernie zeznanie o pobiciu go w czasie śledztwa; Sąd Wojewódzki przeszedł nad tym do porządku dziennego; jednak 27 września Sąd Najwyższy zapowiedział, że prokuratura podejmie w tej sprawie postępowanie wyjaśniające, a Chmielewskiemu obniżył karę do roku więzienia z zwieszeniem na trzy lata), Mirosława Karbowskiego na 4,5 roku, Eugeniusza Dziela na karę 4 lat oraz Grzegorza Zielonkę i Józefa Jaworskiego na 3 lata pozbawienia wolności.

Inne procesy ursuskie przebiegały podobnie. Na jednej z kolejnych rozpraw spośród trzech oskarżonych robotników „Ursusa” dwaj – Marek Majewski i Adam Żukowski – złożyli zeznania, że byli bici w trakcie śledztwa. Otrzymali karę po trzy lata więzienia, podczas gdy ich kolega, oskarżony o ten sam czyn, z takim samym materiałem dowodowym, został skazany na rok więzienia z trzyletnim zawieszeniem.

Sprawy ursuskie były dość starannie przygotowane z punktu widzenia formalnoprawnego i dowodowego. Rozporządzano na przykład zdjęciami robionymi z helikoptera. Inaczej było ze sprawami radomskimi.

Pierwszy proces radomski odbył się 17 lipca przed Sądem Wojewódzkim w Radomiu przeciwko Zygmunutowi Zabrowskiemu (37 lat), Tadeuszowi Mitakowi (21 lat), Wojciechowi Mitakowi (18 lat), Stanisławowi Górcie (23 lata), Ryszardowi Grudniowi (33 lata) i Henrykowi Bednarczykowi (21 lat). Akt

oskarżenia zarzucał im, że 25 czerwca 1976 roku w Radomiu brali szczególnie aktywny udział w zajściach ulicznych, których uczestnicy dopuścili się zamachów na funkcjonariuszy publicznych oraz na mienie społeczne. Spowodowało to wielkie szkody i instytucje miejskie nie mogły normalnie funkcjonować, poważnie została zakłócona między innymi działalność handlu i komunikacji. Działania oskarżonych kwalifikowały się jako przestępstwa przewidziane w art. 275 § 1,2 Kodeksu karnego. Wobec oskarżonych zastosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Każdy z sądzonych w procesach radomskich miał w akcie oskarżenia następujący fragment: „dnia 25 czerwca w Radomiu, działając w sposób chuligański, wziął udział w zbiegowisku publicznym, którego uczestnicy wspólnymi siłami dopuścili się gwałtownego zamachu na funkcjonariuszy publicznych, urządzenia gospodarki uspołecznionej, powodując w następstwie tego zamachu uszkodzenia ciała 75 funkcjonariuszy MO oraz szkodę w mieniu społecznym w wysokości ponad 28 milionów złotych”. Przy takiej konstrukcji aktu oskarżenia wystarczyło udowodnić udział w zbiegowisku, czyli znaleźć świadka, który zezna, że widział oskarżonego w tłumie.

Oskarżony Zygmunt Zabrowski miał pierwszy wdrzeć się do gmachu KW w Radomiu. W innych procesach „pierwszymi” byli Kobyłko, Skrzypek, Chomici. Oskarżony miał wybijać szyby i demolować wnętrza. Co prawda jeden ze świadków-milicjantów upierał się, że Zabrowski szyb nie wybijał. Nie próbowano ustalić, ani w jakim czasie, ani w jakich okolicznościach dokonał przypisanych mu czynów. Wyrok – 10 lat. Bracia Mitakowie mieli, według zeznań milicjantów, zniszczyć samochód I sekretarza KW. Wyroki: 8 i 6 lat, zamienione przez Sąd Najwyższy na 6 i 4,5 roku ze względu na młody wiek skazanych.

Henryk Bednarczyk został zatrzymany, jeśli wierzyć aktom sprawy, w trzech różnych miejscach w Radomiu, zresztą nie wiadomo czy na pewno w Radomiu. W aktach sprawy jest zaświadczenie lekarskie stwierdzające uszkodzenie głowy i inne ślady bicia. Przyznał się w śledztwie do wszystkiego, na rozprawie odwołał zeznania. Sąd był zdania, że nie warto przesłuchiwać powołanego przez niego świadka. W Radomiu skazano go na 4 lata więzienia. Sąd Najwyższy nakazał ponowne rozpatrzenie sprawy.

Dla ukazania bezpodstawności skazania przez sąd radomski oskarżonych o udział w demonstracjach warto przytoczyć kilka szczegółów z innych pro-

cesów. Wiesław Kobyłko (27 lat) był nie tylko jeszcze jednym z „pierwszych”, którzy wdarli się do KW, ale też został oskarżony o zdemolowanie kiosku „Ruchu” wewnątrz gmachu, mimo że już uprzednio za ten czyn skazano kogo innego. Dostał 8 lat więzienia. Bohdan Borkowicz (22 lata) za rzucanie kamieniami w gmach KW PZPR i używanie słów wulgarnych został skazany na 6 lat więzienia (milicjant Majak, który miał to widzieć, stojąc na zewnątrz gmachu, na innym procesie twierdził, że w tym samym czasie był wewnątrz gmachu i obserwował innego oskarżonego) – Sąd Najwyższy utrzymał wyrok. Wacław Skrzypek (49 lat), chory wdarł się do KW, miał tam wybić szybę nogą od krzesła, rozbić telefon oraz po pijanemu siedzieć na dywanie – 9 lat więzienia. Czesław Chomicki (21 lat) został skazany na 9 lat w sytuacji, gdy twierdził, iż nie tylko nie demolował, lecz przeciwnie, uczestniczył w gaszeniu pożaru wraz z kolegą (co potwierdziły zeznania milicjantów), który nie był aresztowany ani oskarżony. Sąd stwierdził, że tego świadka nie przesłucha, bo zapewne się ukrywa. Waldemar Gutowski (29 lat) został oskarżony i skazany na 4 lata za pobicie majora MO podczas nieudanego ataku na Komendę Wojewódzką MO o godzinie 17; nic nie pomogło, że dokument milicyjny zatrzymania i rewizji stwierdzał, że aresztowano go już o godzinie 15. Sąd Najwyższy zmniejszył mu wyrok do 2. lat.

Jednym z pierwszych kroków działaczy opozycji było zaproponowanie obrońców, do których można mieć pełne zaufanie, oraz zapewnienie, że wydatki z tego tytułu nie obciążą rodzin. To małe grono obrońców stanowili: Andrzej Grabiński, Witold Lis-Olszewski, Jan Olszewski, Władysław Siła-Nowicki, Stanisław Szczuka. W okresie późniejszym dołączył do nich Jacek Taylor z Gdańska. Doraźnie obrony poszczególnych oskarżonych podejmowali się również inni adwokaci, głównie z Radomia, sumiennie wypełniając swoje obowiązki.

Akcja pomocy prześladowanym robotnikom

Jednym z najważniejszych zjawisk, które zrodziły się z „wypadków czerwcowych”, było poczucie solidarności szerokich kręgów inteligencji (głównie warszawskiej) z prześladowanymi robotnikami. Rozpoczęła się akcja pomocy. Do pracy w Ursusie zabrała się grupa harcerska z „Gromady Włóczęgów”, szerepu

harcerskiego „Czarna Jedyńka”, działającego w Liceum im. Reytana. Grupę tę wspomagał Henryk Wujec, jeden z działaczy młodzieżowych Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, a wkrótce również jego przyjaciele z KIK.

Na początku września 1976 roku akcja pomocy objęła Radom, gdzie skala potrzeb okazała się większa niż w Ursusie; pojawiły się nowe problemy, dotychczas nie znane, między innymi wysoki procent ludzi z marginesu społecznego wśród sądzonych, co było wynikiem świadomej polityki Służby Bezpieczeństwa i wymagało wyjaśnienia ze strony jakiegoś cieszącego się autorytetem społecznego gremium, gdyż opinia publiczna była nieświadoma manipulacji władz w tej sprawie.

Zasadniczą rolę w grupie radomskiej odegrali Zofia i Zbigniew Romaszewscy, Krystyna i Stefan Starczewscy oraz Mirosław Chojecki, który stał się jej nieformalnym szefem, zastąpiony później przez Romaszewskiego, ze względu na przejście do działalności wydawniczej.

Władze rozpoczęły przeciwdziałanie akcji pomocy. „Nieznani sprawcy” szczególnie zawzięli się w Radomiu na Mirosława Chojeckiego, który oprócz licznych zatrzymań został dwukrotnie pobity.

9 października 1976 roku powstał w Londynie Komitet Zbiórki na Pomoc Ofiarom Wydarzeń Czerwcowych z Edwardem Raczyńskim na czele. Fundusze swe Komitet przekazywał do Polski za pośrednictwem Episkopatu.

Do działań niezbędnych, zapewniających KOR-owi warunki konieczne do sprawnego funkcjonowania, należało powstanie „Komunikatu KOR”. Z datą 25 lipca 1976 roku został opublikowany i rozkolportowany w kilkudziesięciu egzemplarzach *Opis akcji represyjnej podjętej wobec pracowników ZM „Ursus” i innych zakładów (na podstawie relacji wielu świadków)*. Był to załączek przyszłego „Komunikatu KOR”, którego numer pierwszy nosi datę 29 września 1976 roku. Nie przynosi on żadnych informacji o powstaniu KOR, przechodzi od razu do bieżących spraw, przekazując dane o zakresie pomocy dla robotników Ursusa i Radomia, o represjach za obecność na jawnych przewodach sądowych, o rozprawie rewizyjnej skazanych w lipcu robotników Ursusa przed Sądem Najwyższym w Warszawie. Stałym elementem „Komunikatu” była odtąd lista członków KOR, z adresami i telefonami.

Równocześnie rozpoczęła się akcja zbierania podpisów pod listami prote-

stacijnymi przeciw prześladowaniu robotników, skierowanymi do władz PRL i opinii publicznej świata.

W przeddzień swego wyjazdu do wojska Jacek Kuroń wystosował 17 lipca 1976 roku list otwarty do sekretarza generalnego Włoskiej Partii Komunistycznej Enrico Berlinguera prosząc go o wykorzystanie swego autorytetu do powstrzymania represji w PRL.

Pod koniec lipca trzynastu intelektualistów skierowało list do redakcji lewicowego tygodnika francuskiego „Le Nouvel Observateur” z apelem do „wszystkich, którym droga jest sprawa demokratycznego socjalizmu” o występowanie w obronie robotników polskich. List podpisali między innymi Adam Michnik, Halina Mikołajska i ks. Jan Zieja.

W tym samym czasie Jerzy Andrzejewski ogłosił „List do prześladowanych uczestników robotniczego protestu”, w którym zapowiedział obronę represjonowanych w miarę „niestety bardzo ograniczonych możliwości”. Protestacyjny „List 14” do władz PRL wystosowali między innymi Ludwik Cohn, Jakub Karpiński, Stefan Kisielewski, Edward Lipiński, Józef Rybicki, Jan Olszewski i Władysław Siła-Nowicki.

„Oświadczenie 14” podpisali Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński, Andrzej Celiński, a „List 14” do Sejmu PRL – Stefan Amsterdamski, Władysław Bartoszewski, Jan Józef Lipski i Antoni Słonimski.

Dużą rolę odegrał także list zbiorowy podpisany przez 34 profesorów wyższych uczelni i instytutów naukowych, prawie wyłącznie z Warszawy i Wrocławia.

Ogólna liczba sygnatariuszy innych listów zbiorowych zarejestrowanych przez KOR wynosi około trzech tysięcy.

Oprócz listów pisano skargi do Prokuratury Generalnej. Było ich ponad 100.

Służba Bezpieczeństwa starała się skłonić sygnatariuszy do wycofania podpisów pod protestami. Rozpoczęły się przesłuchania, różnego rodzaju naciski. Liczba osób, które to uczyniły, jest sporna, chodzi w każdym razie o około 20 osób.

Akt łaski i amnestia

3 lutego 1977 roku Rada Państwa na wniosek, jak ogłoszono, I sekretarza KC PZPR „zaleciła Komisji Ułaskawień, prokuraturze, organom sprawiedliwości przygotowanie wniosków o darowanie kary, bądź jej skrócenie lub warunkowe zwolnienie, oraz przerwanie odbywania kary wobec tych skazanych w związku z zajściami 25 czerwca, którzy okazali skruchę i rokują nadzieję, że nie wejdą ponownie na drogę przestępstwa”.

19 marca 1977 roku KOR wydał oświadczenie, w którym zwrócił uwagę, że efektem „aktu łaski” jest tylko zwolnienie z więzień na przerwę w odbywaniu kary na skutek warunkowego zawieszenia, co uzależnia, uwolnionych od milicji. Wskazywano na szeroko stosowany terror psychiczny wobec robotników, represjonowanych w czerwcu 1976 roku. Polegało to na ustawicznym legitymowaniu ich na ulicach, telefonicznych wezwaniach (przeważnie dzwoniło do pracy), nachodzeniu w domu i w pracy, przesłuchaniach (również członków rodzin).

Na początku maja 1977 roku pozostało w więzieniach pięciu uczestników „wypadków czerwcowych”: trzech z Radomia skazanych za udział w demonstracji, dwóch z Ursusa skazanych na trzy lata za zablokowanie torów kolejowych. Trzeba dodać, że stopniowo i z trudnościami coraz większa liczba wyrzucanych z pracy otrzymywała, z reguły gorsze, zatrudnienie.

23 lipca 1977 roku dyrektor gabinetu Prokuratora Generalnego, Rozwens, poinformował zaproszonego specjalnie w tym celu do prokuratury profesora Edwarda Lipińskiego o wprowadzeniu przez władze dekretu amnestyjnego, na mocy którego wszyscy robotnicy, przebywający jeszcze w więzieniach w związku z „wydarzeniami z 25 czerwca 1976 roku” zostaną zwolnieni, śledztwo zaś wobec członków i współpracowników KOR zostaje umorzone.

Zakończenie

Czerwiec, podobnie jak Grudzień 1970 roku, uniemożliwił władzy wprowadzenie w przyszłości generalnej podwyżki cen żywności jako środka przywracania równowagi rynkowej. Nie zapanował jednak po nim okres cen stałych. Przeciwnie, podniosła się wysoka fala ukrytych podwyżek cen, demoralizująca producentów i zmuszająca władze do podjazdowej wojny cenowej z ludnością

oraz wprowadzająca do regulacji cen zupełny chaos. Zamiast poprawy nastąpiło pogłębienie nierównowagi rynkowej, a swoboda działania władz w celu jej przywrócenia została ograniczona.

Sposób, w jaki władze zinterpretowały wydarzenia 1976 roku, jest nietypowy i świadczy przede wszystkim o usilnym dążeniu do zbagatelizowania tego, co się stało. Podwyżka cen została cofnięta, dotychczasowa ekipa utrzymała się przy władzy – należało jak najszybciej zapomnieć o incydencie i nie zaogniać sytuacji. Jest to ułomna wersja schematu kryzysu „z przyczyn od władz niezależnych”, którego klasyczna wersja główny akcent kładzie na „robotę wroga”. W 1976 roku władzy udało się „zachować twarz” zajmując postawę karcącą, pouczając, wytykając wady narodowe Polaków. W przypadku wydarzeń lat 1956, 1970 i 1980 była ona zmuszona przyznać się do błędów.

Najważniejszym efektem wydarzeń czerwcowych było jednak ostateczne przezwyciężenie podziałów między środowiskami inteligentnymi a robotniczymi, co zaowocowało powstaniem niezależnych od władz inicjatyw obywatelskich, które przyczyniły się w przyszłości do powstania „Solidarności”.

Bibliografia

1. Albert Andrzej – Najnowsza Historia Polski, część 4, 1956–1980, Warszawa 1986.
2. Cywiński Bohdan – Doświadczenie Polskie, Warszawa 1981.
3. Czerwiec 1976 – Radom część 1, Warszawa 1981.
4. Czerwiec 1976. Komentarze, Warszawa 1981.
5. Dominczak Henryk, Halaba Ryszard, Walichnowski Tadeusz – Z dziejów politycznych Polski 1944–1984, Warszawa 1984.
6. Góra Władysław – Polska Ludowa 1944–1984. Zarys dziejów politycznych, Lublin 1986.
7. Kawalec Stefan – Demokratyczna opozycja w Polsce. Wydarzenia czerwcowe i rok działalności Komitetu Obrony Robotników, Warszawa 1979.
8. Kisielewski Stefan – Stosunki Kościół–Państwo w PRL, Kraków 1981.
9. Kossecki Józef – Geografia opozycji politycznej w Polsce w latach 1976–1981, Warszawa 1983.

10. Kuczyński Waldemar – Po wielkim skoku, Warszawa 1981.
11. Kuroń Jacek – Zło, które czynię, Warszawa 1984.
12. Kuroń Jacek – Polityka i odpowiedzialność, Londyn 1984.
13. Kuśmierk Józef – Credo, część 2, Warszawa 1983.
14. Narojek Winicjusz – Perspektywy pluralizmu w upaństwowionym społeczeństwie. Ocena sytuacji na podstawie polskich krysysów. Londyn 1986.
15. Lipski Jan Józef t Obrony Robotników. KOR. Komitet Samoobrony społecznej, T. 1, 2, Warszawa 1983.
16. Micewski Andrzej – Współrzędzić czy nie kłamać? PAX i ZNAK w Polsce 1945–1976, Warszawa 1981.
17. Micewski Andrzej – Kardynał Wyszyński Prymas i Mąż Stanu, T. 1, 2, Paryż 1982.
18. Michnik Adam – Takie czasy... rzecz o kompromisie, Warszawa 1986.
19. Niezależna Encyklopedia Powszechna – A-Z, T. 1, Warszaw 1986.
20. Radomski Ursyn – Czerwiec 1976. Protest i propaganda, Warszawa 1984.
21. Szejnert Małgorzata, Zalewski Tomasz – Szczecin. Grudzień, Sierpień, Grudzień, Warszawa 1984.
22. Traniewski Marek – Płonie Komitet/Grudziń 1970–Czerwiec 1976/, Paryż 1982.
23. Film „Sprawy ludzkie”, Czerwiec 1976, 16.2.1981 – Zebranie w Z.M. „Ursus” poświęcone wydarzeniom czerwcowym. Redakcja Maria Jehn, zdjęcia Zbigniew Skoczek, Wytwórnia Fiomów Domukentalnyck.

ROZMOWA Z PAWŁEM PISKORSKIM

Wtedy poznawało się charaktery

– Reprezentuje Pan – urodzony w 1968 r. – najmłodsze roczniki, które zdążyły wziąć udział w zwycięskiej walce z komunizmem.

– Gdy wybuchł stan wojenny, miałem 13 lat. Okres licealny, w warszawskim Lelewelu, oznaczał dla mnie początek angażowania się w działania opozycyjne. Organizowaliśmy w domach kółka samokształceniowe, zapraszaliśmy na nie gości, takie spotkania poświęcone zwykle historii, ale czasem też filozofii czy socjologii, bawiły i nobilitowały, przy całym zadęciu intelektualnym stwarzały wrażenie uczestniczenia w czymś ważnym. W trakcie tajnych pokazów filmów w mieszkaniach ze 12 osób siedziało na podłodze i oglądało na zdartej taśmie zakazane przez cenzurę treści. Dziś może z perspektywy lat warto te działania wziąć w cudzysłów, ale wtedy wiedzieliśmy, że organizowane przez nas kółka samokształceniowe, drukowanie i rozprowadzanie podziemnej prasy, zwłaszcza „Tygodnika Mazowsze” i przekazywanie do niej informacji mogło mieć pewne konsekwencje, w wyniku których ucierpieliby rodzice – albo my sami.

– Pamiętam jak w tym czasie w połowie lat 80. drugoobiegowy „Vacat” w każdym numerze publikował na pierwszej stronie listę więźniów politycznych – stale uaktualnianą. Zawierała też daty urodzenia. Najmłodsza z obecnych na niej osób miała 17 lat.

– Pamiętam bardzo emocjonalną reakcję mojej mamy na jedno z moich „zamknięć” na 48 godzin. Nikt jej nie poinformował o moim zatrzymaniu, a działo się to już po śmierci Grzegorza Przemyka. Mieszkaliśmy wtedy na

Żoliborzu, naszą parafią był kościół św. Stanisława Kostki. Religii uczył mnie ks. Jerzy Popiełuszko. Prałatem był ks. Bogucki. Jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej nr 194 na Filareckiej chodziłem na msze za Ojczyznę, to szczególnie miejsce budowało w nas specyficzne podejście do bieżących wydarzeń. Jako nastolatek byłem na demonstracji każdego 31 sierpnia. Każdego 3 maja. I na kontr-pochodzie pierwszomajowym. Nie można było z góry zakładać, że system się łagodnie i stopniowo zdemokratyzuje.

– Dlatego gdy poszedł Pan na studia, zajął się Pan w NZS biurem interwencji, błyskawicznie informującym o zatrzymaniach, żeby inne matki nie musiały już przeżywać takiego niepokoju jak Pana mama?

– Dostałem się na studia z pierwszą lokatą na wydział historii, więc byłem bardzo zadowolony z siebie. Dla mnie wtedy było oczywiste, że następnym etapem dla mnie stanie się kontakt z podziemnym Niezależnym Zrzeszeniem Studentów. Chociaż oczywiście nie od wspomnianego przez Pana biura zacząłem, bo jego organizowanie wymagało już większego doświadczenia, znajomości struktur i ośrodków z terenu.

– Mamy rok 1987 r. Wiedział Pan, z kim tego kontaktu szukać? Wcześniej mieliśmy przecież do czynienia z próbą utrzymania dominacji przez działaczy wywodzących się z „pierwszego” NZS, tego z 1981 r, po latach organizujących się wokół Wojciecha Bogaczyka z KUL. Jednak wyłoniła się już reprezentacja nowego studenckiego pokolenia. Wiedział Pan o tych podziałach, interesowały Pana?

– Pokoleniowość, o którą spytał Pan na samym początku naszej rozmowy, ma znaczenie właśnie w przypadku organizacji młodzieżowej. Zwykle w życiu politycznym, tym „dorosłym” nie liczy się specjalnie, kto jest o 5 czy 10 lat starszy, kto młodszy, nie wokół tego budują się podziały. Gdy mowa o organizacji studenckiej, pamiętajmy, że pokolenia wymieniają się co 5 lat. Starsi moi koledzy, którzy reanimowali NZS po upadku to Andrzej Anusz, Mariusz Kamiński, Tomek Ziemiński, Marek Gessel czy Piotr Ciompa. Ich aktywność stanowiła dla mnie główny punkt odniesienia, wiedzieli o mnie, że wcześniej działałem w Lelewelu. Tym bardziej, że poza Ziemińskim, którzy był z wydzia-

łu prawa, organizatorzy NZS wywodzili się w większości z mojego wydziału historii. To Instytut Historii UW pozostawał najsilniejszym ośrodkiem.

– A strajk studencki wieńczący Pana pierwszy rok na UW, pamiętny majowy z 1988 r. toczył się głównie na ogromnym trawniku między wydziałem historii a polonistyką... Ale jak rozumiem, gdy studia Pan zaczynał, nie wyobrażał Pan sobie jeszcze, że tylu ludzi uda się w jednym miejscu zgromadzić, liderzy uczelnianego NZS też jeszcze tego nie przewidywali?

– Pierwsze kontakty miały typowo kadrowy i konspiracyjny, a nie masowy charakter. Teoś Klincewicz, niestety dziś już nieżyjący, organizował Grupy Oporu Solidarni. Do niego nich zostałem skierowany, zapewne po to, żeby mój ówczesny radykalizm znalazł ujście. Grupy specjalizowały się w bezpośrednich akcjach. Kształciły, jak odpalać ładunki do ulotek i uruchamiać wymyślne mechanizmy do rozwijania transparentów. Właśnie tam na początku studiów przyszło mi działać. Teraz rozmawiamy w siedzibie Stronnictwa Demokratycznego, któremu przewodniczę, a w czasach, o które Pan pyta, naprawdę niedaleko stąd, też na Marszałkowskiej, zrzucałem ulotki z dachu. Pamiętam też podobną akcję na Świętokrzyskiej, o wyborze miejsca zdecydowało to, że wyjątkowo łatwo było się tam na dach dostać. W czasach, gdy władza po amnestii, którą ogłosiła w 1986 r. czuła się dość pewnie, ogromne znaczenie miało, że w samym środku Warszawy w godzinach szczytu ulotki sypią się niespodziewanie wprost na głowy przechodniów. Oczywiście nie wszystkie akcje się udawały.

Niedawno oglądałem protokół mojego zatrzymania z kwietnia 1988 r. Jechałem autobusem wzdłuż Marszałkowskiej, a ulotki wyrzucałem przez okno. Wśród pasażerów trafił się esbek. Próbował mnie zatrzymać. Oczywiście wyrwałem mu się i wyskoczyłem na przystanku na chodnik. Jednak gdy biegłem przez plac Defilad, spostrzegł mnie patrol milicji. W odróżnieniu od esbeka – im udało się mnie dogonić. Pamiętam, jak siedziałem 48 godzin w komen-dzie na Żoliborzu, przy Żeromskiego. Potem, już jako prezydent Warszawy, zostałem tam z jakiegoś powodu zaproszony. I odbyłem podróż sentymentalną. Poprosiłem policjantów, żeby pozwolili mi zajrzeć „na dołek”, gdzie wtedy spędziłem tamte dwie doby.

Wyszedłem tuż przed 1 maja 1988 r., na którego planowane były kolejne akcje. Pamiętam reakcję mojej mamy, która narzekała: – Dopiero wyszedłeś, a znowu cię zamkną, bo zaraz 1 maja...

Rzeczywiście pojechałem od razu do Marka Gessela. – Super, właśnie wyszedłem. Co nowego robimy? – spytałem.

– Podczas studenckiej demonstracji w Krakowie niesiono wtedy transparent „urodziliśmy się w 1968 roku”. Ale 20. rocznica Marca, protestu stłumionego przez ekipę Władysława Gomułki, okazała się przełomem również dla studentów Warszawy?

– Na UW działania konspiracyjne trwały do lutego 1988 r. do pierwszej demonstracji w rocznicę rejestracji NZS. Ujawnienie podziemnego zarządu nastąpiło 8 marca 1988 r. przy okazji demonstracji w dwudziestą rocznicę pamiętnych wydarzeń. Wraz z ogłoszeniem składu władz Niezależnego Zrzeszenia Studentów zaczęło się też prowadzenie zapisów do organizacji. Mój rocznik okazał się szczególnie aktywny w polityce, chociaż z perspektywy lat widać też, jak niewiele osób w niej pozostało. Działali ze mną Marcin Meller, Wojciech Stanisławski, Ania Smółka, Anita Brzostowska, Andrzej Brzuskiewicz, Tomek Zimny, Włodek Retelski, Jacek Kalinowski, Marek Węcowski, który później jako jedyny został na UW jako pracownik naukowy.

Zaangażowanie pokolenia było naprawdę szerokie. I przybierało pomysłowe formy. Ze Smółką, Brzuskiewiczem i Stanisławskim prowadziliśmy Radio NZS. Dostaliśmy nadajnik. Obejmował 2-3 dzielnice. Przygotowaliśmy audycje. Staraliśmy się za każdym razem nadawać z różnych miejsc w Warszawie, żeby do jak największej liczby słuchaczy dotrzeć.

– Ale nie mogliście jeszcze wtedy wiedzieć, w jakim tempie dokonają się zmiany w Polsce, do których daliście impuls?

– Z dzisiejszej perspektywy 1988 wygląda romantycznie. Rok wybuchu. Znajduję ostatnio wielu takich, którzy chwalą się, że wszystko przewidzieli, jak szybko upadnie komunizm... Albo to nieprawda, albo sam, widać, okazałem się mało przewidujący. Gdy w lutym 1988 robiliśmy pierwszą demonstrację na terenie Uniwersytetu, wciąż liczyliśmy się poważnie z możliwością, że nas

wyłąpią, aresztują. Co nie oznacza, że każdym zatrzymaniem się przesadnie przejmowaliśmy.

Po 8 marca 1988 r. Niezależne Zrzeszenie Studentów odegrało decydującą rolę, ale w pamięci zbiorowej okazało się w jakimś stopniu... poszkodowane.

– Co Pan ma na myśli?

– Wydarzenia lat 1988-89 postrzega się najczęściej w ten sposób, że to „Solidarność” odrodziła się i wymusiła zmiany, dzięki temu, że pojawiło się młode pokolenie robotników. W znacznej mierze tak rzeczywiście było, zwłaszcza w Gdańsku, Krakowie czy Wrocławiu, jednak z perspektywy Warszawy nie da się ukryć, że działalność związkowa znalazła się tu w głębokim kryzysie. Ale również w skali całego kraju NZS dało impuls do przyspieszenia biegu zdarzeń, który zaowocował strajkami majowymi. Dlatego też później, już w latach 1990-91 powracała wśród nas zrozumiała chyba pretensja, że liderzy „Solidarności” skorzystali na tym, a później o NZS zapomnieli. Robotnicze struktury „Solidarności” i wystąpienia strajkowe były w 1988 r. słabe – zwłaszcza tu, w Regionie Mazowsze. Korzystali z naszej pomocy. Gdy nas proszono – jeździliśmy do FSO czy Ursusa pomagać w organizowaniu opozycyjnych wystąpień. Jedno z nielicznych zdjęć z tego czasu, które mam uwiecznia moment, jak pod Ursusem zachęcamy robotników do akcji. Jeździliśmy również pod Hutę Warszawa. W zakładach poparcie dla opozycyjnych działań nie było zbyt duże, lata represji i wcześniejsze nieudane akcje przyczyniły się do atmosfery zniechęcenia. Zaś odrodzony NZS działał aktywnie.

– Czy wewnętrzne podziały przyczyniły się do kryzysu legitymizacji, jak w chwili wcześniejszych sporów, kto właściwie ma reprezentować Zrzeszenie, czy – pomimo walk frakcyjnych – na zewnątrz występowaliście jednolicie?

– Dla nas historyczne spory nie miały wielkiego znaczenia, chociaż poznaliśmy przynajmniej część liderów „pierwszego” NZS, tego z 1981 r.

– Warto pamiętać, że w pierwszych tygodniach stanu wojennego zapadła decyzja, że działacze NZS włączą się w miarę możliwości w podziemne

struktury solidarnościowe, co oznaczało, że Zrzeszenie nie działa pod własną flagą...

– ...czas reaktywacji NZS po kilku latach wiązał się już z aktywnością kolejnych studenckich roczników. Przełamywanie podziałów okazało się trudne. Długo przecież osobno działał Kraków, osobno Lublin. Zdawaliśmy sobie sprawę z różnic. Pod koniec 1988 r. stało się jasne, że również na UW toczy się spór między grupą Andrzeja Anusza, a Mariusza Kamińskiego. Również w skali kraju długo nie wybieraliśmy przewodniczącego NZS, Krajowa Komisja Koordynacyjna działała kolegialnie. Trwała rywalizacja, trochę zerojedynkowa, w tym sensie, że gdy kongres NZS odbywał się w dwóch turach – w pierwszej z nich wycięto w głosowaniu ekipę Kamińskiego, potem zaś – Anusza. Kontrowersje pojawiały się przy strajku majowym: czy zakończyć protest, jak chcieli ludzie Anusza, w sytuacji, gdy uczelniany strajk już odniósł sukces, czy go przedłużyć, jak wołał wtedy Kamiński.

– Czego jeszcze dotyczyły różnice?

– Nie wszystkie były jednoznaczne, wiele wynikało bardziej z uwarunkowań osobistych. Grupa Andrzeja Anusza, z którym trzymał z grona bardziej znanych działaczy Leszek Zakrzewski z wydziału prawa, przywiązywała większą wagę do działań na polu intelektualnym: organizowania spotkań z pisarzami i historykami, tworzenia list lektur. Ekipa Mariusza Kamińskiego, którego wspierali Piotr Ciompa i Marek Gessel, a także ja, skłonna była raczej do działań radykalnych, ulicznych, a w ówczesnym akademickim pejzażu politycznym uchodziła nawet za lewicową.

Podziały doprowadziły do tego, że w pewnym momencie ukazały się nawet dwa różne wydania pisma „CIA” (nazwa pochodziła od skrótu Centrum Informacji Akademickiej) z tym samym numerem i datą, przygotowane przez konkurencyjne ekipy. Tym przejmowali się głównie ludzie na uczelni.

Jednak jako ostatni przewodniczący nielegalnego jeszcze NZS – bo trzeba pamiętać, że nawet przy Okrągłym Stole nie udało się uzyskać prawa Zrzeszenia do oficjalnego działania – a potem lider NZS już zalegalizowanego mogę stanowczo potwierdzić, że na zewnątrz występowaliśmy jednolicie, jako jedna siła. Gdy doszło do strajków sierpniowych w 1988 r. NZS

okrzepł na tyle i byliśmy już tak dobrze zorganizowani, że praktycznie cały kraj pokryliśmy siecią łączności, kontaktów i dystrybucji prasy oraz książek niezależnych. Wiele razy jeździłem z plecakiem do Gdańska do kościoła św. Brygidy. Przechodziliśmy przez płot do stoczni, braliśmy od robotników ich ulotki, zostawialiśmy im własne. Inni jeździli na Śląsk, do strajkujących kopalń. Odradzająca się również „Solidarność” nie była zdolna do zorganizowania takiego oporu bez naszej pomocy. Nie zwracaliśmy wtedy uwagi na podziały, na to, że swoją drogą podąża Kraków czy Lublin, a swoją uważana wtedy za „lewacką” Warszawa. We Wrocławiu do NZS przyznawali się zarówno Grzegorz Schetyna jak Ryszard Czarnecki, konkurując ze sobą. Nieco inaczej wyglądała sytuacja w Gdańsku, gdzie działali Przemysław Gosiewski i Grzegorz Bierecki, bo tam związek „Solidarność” był silniejszy i dużo mocniejsze okazało się przywiązanie NZS do jego struktur. Jednak w skali kraju tylko NZS pozostawał jedyną organizacją zdolną do technicznego wspierania protestów i organizowania własnych. W Warszawie zwoływaliśmy „kadrowki”, na które wystarczyło skrzyknąć 60 osób, żeby wiele się działo. Był czas, że odbywały się prawie codziennie. Protestowaliśmy również w trakcie wizyty Michała Gorbaczowa, zmanifestowaliśmy swoją obecność. Propagowaliśmy happeningi w stylu Pomarańczowej Alternatywy z Wrocławia; na rocznicę rewolucji październikowej czy przy okazji akcji bojkotu studium wojskowego z hasłem „przekuć czołgi na wołgi”. W październiku 1988 r. – już po zakończeniu nowej fali strajków i spotkaniu Lecha Wałęsy z Czesławem Kiszczakiem w obecności przedstawicieli Kościoła – zaczęły do nas docierać informacje o kolejnych represjach ze strony władz, pomimo zapowiedzi Okrągłego Stołu. W tej sytuacji zająłem się organizowaniem Akademickiego Biura Interwencji. Wybór padł na mnie, bo uznano mnie za osobę, znającą całość środowiska NZS. Wzorem dla mnie pozostawała działalność Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, z którymi współpracowałem. Od dawna dokumentowali represje dotyczące środowisk „Solidarności”. We współpracy z Romaszewskimi, Biesiekierskim i Ewą Tomaszewską stworzyliśmy organizację młodzieżową, ogarniającą cały kraj, wszystkie ośrodki akademickie.

– Jak rozumiem było to potrzebne zwłaszcza w mniejszych miastach, skoro ostatnie zabójstwo studenta przez służby bezpieczeństwa miało miejsce w Olsztynie w 1985 r., ofiarą padł Marcin Antonowicz?

– Dotarcie do mniejszych ośrodków okazało się najważniejsze. Władze uczelni były tam mniej skłonne do obrony studentów. Z kolei lokalna milicja i służba bezpieczeństwa miały skłonność do brutalnego pokazywania, kto rządzi na ich terenie. Zresztą również w Warszawie przemoc ze strony władzy długo towarzyszyła naszym pokojowym wystąpieniom. 8 marca 1988 r. wiec na terenie UW przebiegł spokojnie, ale wieczorem po mszy w akademickim kościele Św. Anny milicja rozganiała nas na skwerze między kościołem a pomnikiem Mickiewicza. Uciekaliśmy wtedy Bednarską w dół. Biuro interwencji służyło również temu, żeby rodzinie natychmiast przekazać wiadomość o każdym zatrzymanym. Współpracowali z nami prawnicy. Chociaż represje nie obejmowały już kar więzienia, to 50 tys ówczesnych zł grzywny orzekane zwykle przez kolegia okazywało się dla studenta karą dotkliwą. Trzeba było tę sumę zebrać i to właśnie robiliśmy. Z każdą osobą wychodzącą po zatrzymaniu przez MO czy SB przeprowadzaliśmy wywiad, zachęcaliśmy do zgłaszania nam przypadków znęcania się i gróźb, które wciąż się zdarzały. Dokumentacja tych wszystkich spraw przydała nam się już przy Okrągłym Stole. Władza twierdziła bowiem, że żadne represje od dawna nie mają miejsca, a my wyliczaliśmy konkretne ich przykłady. W sumie w całym kraju w działania Akademickiego Biura Interwencji zaangażowało się kilkaset osób. W stolicy było to ważne, ale jeszcze istotniejsze w Radomiu, gdzie przyjazd adwokata z Warszawy oznaczał czerwony alert dla lokalnej władzy. Nie nas się przecież bali ani zacnego mecenasa, tylko własnych przełożonych, że powiedzą: ale towarzysze, przecież nowy kurs mamy, więc po co tak niedyskretnie, kiedy można bez rozgłosu...

O sile NZS świadczy najlepiej fakt, że gdy władze pod koniec 1988 r. zapowiadały likwidację Stoczni Gdańskiej – to już był rząd Mieczysława Rakowskiego – protest przeciwko temu zamiarowi zorganizowano właśnie na Uniwersytecie Warszawskim. W wiecu w obronie stoczni uczestniczyli Michał Boni i Maciej Jankowski. Czuliśmy się jego gospodarzami, bez nas protestu by nie było, co stanowiło powód do dumy, wychowaliśmy się przecież w kulcie Sierpnia 1980 r.

Humanista Michał Boni okazał się urodzonym związkowcem, a Maciej Jankowski zatrudniony na UW jako spawacz zawsze nam chętnie pomagał przy sprawach technicznych. Pamiętam, jak już po majowym strajku 1988 r. spacerowaliśmy we dwóch z Maćkiem Jankowskim po Krakowskim Przedmieściu. Chodziliśmy, rozmawialiśmy, aż podjechała milicyjna nyska. Maćka zwinęli, a mnie nie chcieli, o co miałem do nich pretensje...

– Pan się z tego śmieje, ale dla Jarosława Kaczyńskiego fakt, że nie był represjonowany, że nie internowano go po 13 grudnia 1981 r. wśród 10 tys czołowych działaczy „Solidarności” i innych opozycyjnych formacji – stanowi rzeczywisty problem, skoro tłumaczy się z tego zawile na łamach życzliwej mu prasy a demonstranci przed jego willą skandują: „13 grudnia spałeś do południa”?

– Na pewno problem stanowi to, że w najbardziej apodyktyczny sposób oceniają przeszłość ci, którzy nie mogą wykazać się własną heroiczną kartą. Autentyczni bohaterowie historii pozostają bardziej wrażliwi na niuanse. Akurat w kwestii wydarzeń, o których rozmawiamy, są one bardzo istotne. Rok 1988 inaczej się kończył niż zaczynał. Nie byliśmy jednak wciąż pewni, że odbędzie się Okrągły Stół. Ani też jak się „Solidarność” wobec nas zachowa, czy sprawy ponownej legalizacji Zrzeszenia nie odpuści. Powiem więcej – nawet w czasach rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego, w roku 1991 r. nie byliśmy przekonani, że nikomu nie uda się cofnąć zmian, które już się dokonały. W Rosji miał wtedy miejsce pucz Giennadija Janajewa, ostatnia próba obrony Związku Radzieckiego. W Polsce w wyborach 1990 r. pojawił się Stanisław Tymiński, rok później Partia X, nie mieliśmy złudzeń, jakie środowiska się przy tym skupiły. Nawet powstały na wybory w 1991 r. SLD nie od razu opowiedział się za członkostwem Polski w NATO. Tuż po likwidacji PZPR liczyliśmy się z powrotem starych sił w sytuacji, gdy nasze elity wyłożą się na nieudolnym rządzeniu. Zaś dopóki PZPR jeszcze istniała – zagrożenie wydawało się bardzo realne. Jednak na przełomie lat 1988/89 w NZS naszym głównym dylematem pozostawało oczywiście pytanie, jak odnieść się do Okrągłego Stołu.

– Ostatecznie w obradach uczestniczyli jednak ludzie NZS: Mariusz Kamiński, Robert Bitner z Politechniki, Witold Kalbarczyk z Akademii Medycznej, Elżbieta Golik ze Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej. Oczywiście nie tylko organizacja studencka reprezentowała polską młodzież przy Okrągłym Stole, był tam Jarosław Sellin – młody nauczyciel historii z Wybrzeża, czy 22-letni kierowca Piotr Szyński, wywodzący się z Federacji Młodzieży Walczącej.

– Pamiętam gorącą dyskusję podczas obrad Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS i przekonanie, że przy Okrągłym Stole... nie jesteśmy mile widziani. Przytoczył Pan nazwiska osób, które uczestniczyły w obradach podstolików i zespołów. Jednak w obradach plenarnych Okrągłego Stołu, tych głównych, żaden przedstawiciel NZS nie wziął udziału.

– Przecież nikt już nie pamięta o opisywanym przez Pana zróżnicowaniu. Kogo obchodzą podstoliki? Znaleźliście się przy Okrągłym Stole... i już.

– Na zasadzie trochę pomocniczej. Wręcz można powiedzieć, że wciągano nas tam pojedynczo... Jan Maria Rokita, zasiadający w podzespole ds. młodzieży już w trakcie obrad doprosił mnie jako eksperta – bo byłem od prawie półtora roku szefem Akademickiego Biura Interwencji. Tak to wyglądało.

– Nie było jednak sprzeczności między tym, co się działo, a oficjalnym stanowiskiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów wobec rozmów okrągłostołowych?

– W momencie, gdy na początku lutego 1989 r. stało się jasne, że nie będziemy przy Okrągłym Stole reprezentowani, bo nas tam nie chcą – na posiedzeniu w Instytucie Historii UW Krajowa Komisja Koordynacyjna postanowiła, że nie bierzemy udziału, NZS bojkotuje Okrągły Stół, ale kto jest zapraszany do współpracy przez stronę solidarnościową, może pomóc indywidualnie.

– Zapewne nie było to dla Was, współtwórców dokonującej się w kraju zmiany, najłatwiejsze z psychologicznego punktu widzenia?

– Byliśmy młodymi ludźmi. Krew się w nas burzyła. Ludzie, o których wiedziliśmy, jak nikły był ich udział w rozstrzygających wydarzeniach z 1988 r.,

teraz wystąpili jako paniska. Zawiedliśmy się na związkowcach, liderach Komitetu Obywatelskiego.

– Zdecydowaliście się jednak Okrągłemu Stołowi nie przeszkadzać?

– Lech Wałęsa, żeby nas do tego przekonać, specjalnie przyjechał na Uniwersytet Warszawski. Doskonale pamiętam tę rozmowę. Na UW zebrała się Krajowa Komisja Koordynacyjna. Był koniec marca 1989 r. W Krakowie trwały demonstracje studenckie, starcia z milicją. A my z Wałęsą spotkaliśmy się na UW w budynku rektoratu, rektor Grzegorz Białkowski udostępnił salę. Wałęsa apelował do nas, żeby dalszych demonstracji już nie organizować. Odwoływał się do naszego patriotyzmu. Powtarzał, że znajdujemy się w wyjątkowym momencie historii. Jak uda się zmienić ustrój – Polska znajdzie się w nowej rzeczywistości. Twardogłowi z PZPR marzą jednak, żeby to wszystko przewrócić, chociaż sam Jaruzelski raczej nie – tak nam wtedy Wałęsa tłumaczył. Historycznie nie były to głupie argumenty. Wyobrażał sobie być może, że specjalnie sprowokowaliśmy demonstracje w Krakowie, żeby wymusić rejestrację NZS. Wcale tak nie było, chociaż te wydarzenia się splotły. Postawą „Solidarności” na pewno byliśmy głęboko zawiedzeni...

– ...i z tym zawodem przyszło Wam pozostać?

– ...w galopująco zmieniającej się rzeczywistości. Okrągły Stół skończył się rejestracją „Solidarności”, ale nie Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Kryzys zarysował się formalnie przy kwestii podwójnej osobowości prawnej NZS, na którą władza nie chciała przystać. Z kolei my nie mogliśmy odpuścić, bo oznaczałoby to pewny rozłam z bardziej radykalnym Krakowem i Lublinem. Racja była po naszej stronie, bo gdybyśmy ustąpili – struktury NZS na poszczególnych uczelniach stałyby się filiami Krajowej Komisji Koordynacyjnej, co zaprzeczałoby ambicjom mniejszych a utrzymujących odrębność uczelni w nader oczywisty sposób. NZS rejestracji wtedy nie uzyskał. A gdy po paru miesiącach Obywatelski Klub Parlamentarny zawarł koalicję ze Stronnictwem Demokratycznym oraz Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i tworzył się rząd Tadeusza Mazowieckiego – nie byliśmy już potrzebni.

– Jak odnaleźliście się w nowej sytuacji?

– Zaczął się wtedy podział na środowiska, które pozostały w NZS – głównie wiekowo mi bliższe – i te, które przeszły do dorosłej polityki. Mariusz Kamiński i Piotr Ciompa poszli pracować do Kancelarii Sejmu. Oni popierali wtedy Mazowieckiego. Z kolei Andrzej Anusz, wcześniej kierujący na Żoliborzu kampanią Jacka Kuronia do Sejmu, już trzymał wówczas z Wałęsą i wkrótce stał się najbardziej rozpoznawalnym wśród młodych polityków Porozumienia Centrum.

Zostałem w NZS, w którym wiele było do zrobienia: w tym kwestia zjednoczenia różnych nurtów. Na początku 1990 r. wybrano mnie przewodniczącym NZS. Wiceprzewodniczącym wtedy został Andrzej Długosz. Podziały odezwały się przy okazji głosowania nad rzecznikiem prasowym: Paweł Kalbarczyk pokonał Ryszarda Czarneckiego. Wciąż byliśmy silni, NZS liczyło na początku 1990 r. 88 tys studentów.

– Z radykalnych form działania też nie zrezygnowaliście?

– Ruszyliśmy na początku 1990 r. z dużą akcją okupowania budynków ZSMP. Przeprowadziliśmy ją w całym kraju. Stanowiła reakcję na politykę ministra bez teki Aleksandra Halla, który pozwalał komunistycznym organizacjom młodzieżowym uwłaszczyć się na majątku, jakim dysponowały. Zatrzymanie przez nie infrastruktury, zwłaszcza sieci nieruchomości, jakimi dysponowała ZSMP oznaczało w praktyce, że rząd Mazowieckiego godzi się z tym, że uprzywilejowane przez lata PRL organizacje młodzieżowe zachowają swoje przywileje i dominującą pozycję kosztem innych.

W trakcie okupacji siedziby przy Smolnej centralę zrobiliśmy w gabinecie Jerzego Szmajdzińskiego. Budynek otaczała milicja. Wtedy zadzwonił Bronisław Geremek. Oznajmił, że jeśli w ciągu dwóch godzin nie zakończymy okupacji gmachu ZSMP, zostaniemy siłą wyniesieni. Po szybkich konsultacjach z terenem zwiniliśmy akcję. Nie dlatego, żebyśmy się bali, bo przedtem tyle razy przeciwstawialiśmy się milicji – ale wchodzenie w taki spór, który oznaczałby szkoderstwo i tak słabemu rządowi Mazowieckiego wydawało nam się absurdalne. Nasza okupacja siedzib ZSMP wcale zresztą nie zakończyła się klęską. Wprost przeciwnie, kilka miesięcy później przekonaliśmy Aleksandra Halla,

którego darzyliśmy ogromnym szacunkiem jako legendę opozycji, założyciela Ruchu Młodej Polski – do rządowego finansowania organizacji młodzieżowych. Było trochę lepiej ale nie zapobiegło to patologicznemu uwłaszczaniu się postkomunistycznych organizacji na wypracowanym przez lata przez Polaków majątku. Nie zmieniło to oczywistego faktu, że zwycięska po czerwcowych wyborach 1989 r. „Solidarność”... nie chciała już kontaktów z nami utrzymywać. Zresztą w połowie 1990 r. rozgorzała już „wojna na górze”, w której ludzie wywodzący się z NZS często znaleźli się po przeciwnych stronach. My, ówcześni liderzy Zrzeszenia, nieufni wobec rządu Mazowieckiego stanęliśmy po stronie Wałęsy. Za to Mariusz Kamiński czy Piotr Ciompa dalej popierali wtedy Mazowieckiego.

– Czuliście się wciąż ważni?

– Parę razy spotkałem się z Wałęsą jako przewodniczący NZS. Rozmowy miały jednak bardziej grzecznościowy charakter, nie niosły za sobą politycznych treści ani decyzji. O konkretach dyskutowało się raczej z politykami z jego otoczenia, z Jackiem Merkle, który uchodził za prawą rękę przewodniczącego „Solidarności” i był szefem jego kampanii. To raczej on okazał się dla nas prawdziwym partnerem. Rychło nadszedł zresztą czas mojego przejścia do dorosłej polityki. Gdy zwycięski Wałęsa objął prezydenturę, misję utworzenia rządu otrzymał Jan Krzysztof Bielecki. Zaproponował mi funkcję doradcy do spraw młodzieży w swoim gabinecie.

– Wtedy w związku z Pana karierą pojawiło się powiedzenie: *najpierw minister, potem magister*.

– Oczywiście nie byłem wtedy odpowiednikiem obecnego rzecznika MON Bartłomieja Misiewicza i nie miałem nigdy pomysłu, żeby mnie ministrem tytułowano. Moja funkcja była raczej skromna i wiązała się z ciężką pracą. Nie wiem, kto jest autorem cytowanego przez Pana powiedzenia, na pewno oddawało ono trafnie fakt, że nominację uzyskałem w wieku 23 lat, nie mając jeszcze ukończonych studiów. Ale przecież właśnie w sprawach młodzieży miałem doradzać a kto miał większe doświadczenie jak szef NZS? Za to moja nowa rola nie była do pogodzenia z dotychczasową. Dlatego szefem NZS pozostałem

do przedwiośnia 1991 r. Zaproponowałem jako swojego następcę Filipa Kaczmarka z Poznania. Został wybrany. Idealistycznie wszystko rozgraniczyliśmy: w naszym zamierzeniu NZS miał pozostać organizacją czysto studencką. Zakładaliśmy jednak, że zyska parasol ochronny ze strony tych, którzy ze Zrzeszenia przeszli do wielkiej polityki.

– Nie żałuje Pan, że wzorem FIDESZ-u nie przekształciliście się w partię polityczną?

– Rozmawiałem po latach z Zuzszą Szelenyi, która wtedy pod koniec lat 80. poznała mnie z Victorem Orbanem. Rzeczywiście FIDESZ najpierw był organizacją młodzieżową, obowiązywał limit wieku. Potem Orban pozbył się współzałożycieli o demokratycznych poglądach. FIDESZ ewoluował ku temu, czym stał się dzisiaj. Gdy patrzę na dzisiejsze Węgry, to oczywiście nie ma czego żałować, zresztą w Pana pytaniu wyczuwam oczywistą ironię.

– Sam Pan znalazł jednak wtedy swoją partię: Kongres Liberalno-Demokratyczny?

– Najpierw wraz z gronem liderów NZS rozmawialiśmy z Porozumieniem Centrum z Jarosławem Kaczyńskim oraz z Marcinem Przybyłowiczem, Józefem Orłem, Maciejem Zalewskim. Zналиśmy ich wszystkich z opozycji. Od jesieni 1990 r. lepiej porozumiewaliśmy się jednak z KLD. Z początku była to niewielka partia, afiliowana przez jakiś czas przy PC, więc można powiedzieć, że Jarosław Kaczyński pozostawał nawet wtedy przełożonym Donalda Tuska... O ile w negocjacjach z PC zabrakło chemii, to niewielki KLD stał się nam bliski. Spore znaczenie miał fakt, że właśnie tam znalazł się Jacek Merkel. Zresztą w Warszawie KLD był słaby, dominował w nim nurt gospodarczy. Andrzej Arendarski czy Andrzej Machalski z naszej perspektywy wydawali się wtedy starszymi ludźmi. Jednak to w KLD, partii Jana Krzysztofa Bieleckiego, a osoba premiera miała wtedy dla nas zasadnicze znaczenie, znalazło się wiele osób z czołówki NZS. Inną drogę wybrali Przemysław Gosiewski i późniejszy twórca SKOK-ów Grzegorz Bierecki, mocniej identyfikujący się ze związkiem „Solidarność”. Gdy powstało biuro KLD w Mariotcie, byłem w tym luksusowym hotelu... drugi raz w życiu. Za pierwszym razem poszedłem zobaczyć, jak

hotel wygląda tuż po otwarciu, ale nawet na kawę na dole nie było mnie stać, wywodzę się ze skromnej rodziny, a ceny były tam niebotyczne. Teraz jednak, gdy zostałem Sekretarzem Generalnym KLD a Tusk został Przewodniczącym, Marriott okazał się moim miejscem pracy.

– Wie Pan, że przez chwilę byliśmy w tej pracy sąsiadami, bo w luksusowym wieżowcu biuro miał Wiktor Kubiak, biznesmen i reemigrant, wtedy sponsor KLD, ale też założyciel dziennika „Obserwator Codzienny”, w którym też na przedwiośniu 1991 r. w wieku niespełna 26 lat zostałem kierownikiem działu krajowego. Gazeta się nie utrzymała, Kongres też przetrwał niedługo...

– Trwalszą strategię przyjął wtedy Jarosław Kaczyński, który zamiast gazety zakładać i wydawać, wołał przejmować ich nieruchomości... Za sprawą między innymi Donalda Tuska, zasiadającego wtedy w Komisji Likwidacyjnej koncernu RSW, jego środowisko otrzymało „Express Wieczorny”. Gazeta ukazywała się ledwo do końca lat 90, ale jej nieruchomości stały się podstawą partyjnego imperium, które służy PiS za niezawodne zaplecze finansowe.

– I tak dochodzimy do najbardziej prozaicznej strony polskiej polityki. Z tej perspektywy pora na bilans?

– Okazaliśmy się ostatnim, najmłodszym pokoleniem antykomunistycznej opozycji w sensie twórczym – czynnie wpływającym na wydarzenia, budującym własne instytucje. Ci, którzy przyszli po nas, działali już w zwyczajnej organizacji studenckiej. My zaś zawarliśmy z nimi umowę o sojuszu, za sprawą której przewodniczący NZS Filip Kaczmarek znalazł się jesienią 1991 w Sejmie z listy KLD. Również zostałem posłem, ale działaczem studenckim już nie byłem, wciągnęła mnie wielka polityka. Po 1993 r. udało mi się wyciągnąć pewną korzyść z porażki KLD, który nie przekroczył wtedy pięcioprocentowego progu w wyborach do Sejmu. Wróciłem na studia i błyskawicznie je dokończyłem. NZS okazał się dla nas niezastąpioną szkołą politycznego myślenia i działania. Kiedy już znaleźliśmy miejsce w dorosłej polityce – naprawdę niewiele spraw stanowiło dla nas zaskoczenie.

– Co czuje Pan, gdy obecne władze NZS odcinają się od studenckich protestów przeciw rządzącym?

– Pewna epoka – mam wrażenie – się skończyła. Dziś NZS zostało wprężnięte w politykę historyczną. Widać to przy okazji odznaczeń, wręczanych przez obecną ekipę jego członkom sprzed lat. Decydują terazniejsze polityczne kryteria, a nie dawne zasługi. Ordery otrzymują również osoby, których z tamtych czasów... po prostu nie pamiętam. Nie przypominam sobie np. Mariusza Błaszczaka, prezentowanego w propisowskich mediach jako zasłużony działacz Zrzeszenia.

– Podobnie ja, chociaż na polonistyce UW działałem w Konfederacji Polski Niepodległej, a pracę magisterską oddawałem recenzentowi akurat rano 5 czerwca 1989 r, zupełnie nie pamiętam z tamtych czasów Zdorta ani Lichockiej, przedstawianych przez wspomniane media jako zasłużeni działacze NZS na tym wydziale. Świetnie za to zapamiętałem Andrzeja Szozdę, który odbudował NZS na polonistyce. Albo Sławka Góreckiego, wiecznego studenta, który zdążył rzetelnie zasłużyć się... dla obu NZS-ów: z 1981 r. i 1988-89. Rówieśnicy z polonistyki znają tych, którzy przeszli przez areszty, jak poeta Wojtek Gajewicz czy Jola Boczkowska, studiująca też matematykę. Jednak polityka historyczna kreuje własnych bohaterów i staje się alternatywą prawdziwej historii?

– Nie zmienia jednak faktu, że dla naszego pokolenia przełom 1989 r. i zmiany, na które zapracowaliśmy pozostają przeżyciem generacyjnym podobnym, jakim dla naszych rodziców okazała się „Solidarność” z 1980 r, zaś dla dziadków Powstanie Warszawskie a dla pradziadków – odzyskanie niepodległości przez Polskę w 1918 r. Oglądałem niedawno kręcone w konspiracji filmiki z lat 80. Ich bohaterowie zastanawiają się, co będą w przyszłości robić w wolnej Polsce. I opowiadają: jak Polska odzyska niepodległość założy prywatną firmę. Albo napiszę ważną książkę, która trafi do Prusa naprzeciwko uniwersytetu, a nie wyłącznie do kolportażu podziemnego. Po 1989 r. wszystko to stało się realne. Chociaż minęło 30 lat i rzeczywistość różni się od naszych dawnych wyobrażeń. Wtedy poznawało się charaktery. Ale ludzie wówczas aktywni mało dziś o tym gadają. Za to odtwarza się mechanizm, znany z czasów wyzwolenia

we Francji. W sądach doraźnych, w latach 1944–45 rozprawiających się z kolarantami nazistowskimi, wyjątkową gorliwością wykazali się tam członkowie partii komunistycznej, którzy jeszcze cztery lata wcześniej zgodnie z zasadą paktu Ribbentrop-Mołotow we wkraczających armiach niemieckich witali szczerych przeciwników kapitalistycznego ustroju.

– Pierwszy NZS skupił się głównie na sprawach ogólnospołecznych. Ten drugi zyskał powszechne poparcie i w odróżnieniu od poprzednika nie dał się nakryć milicyjnymi czapkami także dlatego, że walczył twardo nie tylko o Polskę, również o typowo studenckie kwestie: warunki w akademikach, ratowanie Biblioteki UW, nawet bilety miesięczne. Czy dziś można powiedzieć, że boom edukacyjny, dwa miliony studentów w wolnej Polsce, udział kolejnych roczników w programie Erasmus to sukces Zrzeszenia, które Pan współtworzył, chociaż nie brzmi to zbyt romantycznie?

– Walczyliśmy również o sprawy praktyczne. Sam organizowałem wielką demonstrację pod budynkiem KC, który chcieliśmy przejąć na Bibliotekę dla UW. Po części się to udało bo po tych protestach ustalono, że część zysków z wynajmu w KC sfinansuje nowy BUW. Romantyzmu całkiem bym nie skreślał. Przy okazji spotkania z Białorusinami sprzeciwiającymi się Aleksandrowi Łukaszenko zostałem niedawno przez nich przedstawiony jako legendarny polski działacz studencki. Naprawdę nie chodzi o moją próżność, trochę mnie to nawet rozbawiło, ale okazało się, że po prostu dawni opozycjoniści z Białorusi pamiętali, jak w NZS wspieraliśmy ich demokratyczne i nieodległościowe dążenia jeszcze przed rozpadem ZSRR. Biuro Zagraniczne NZS współpracowało wtedy z Instytutem na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej, którym kierowała Irena Lassota. Przed upadkiem komunizmu ludzie od nas – bo mnie tam przeważnie nie wpuszczano – jeździli do Bułgarii, Rumunii, na Litwę, a nawet do Kazachstanu, przewożąc powielacze i książki. Dlatego Białorusini jeszcze po ponad ćwierćwieczu pamiętali, że tamtą akcję koordynował Piskorski z Warszawy...

Chce Pan romantycznego wspomnienia? Gdy wybuchła rewolucja w Rumunii w ostatnich tygodniach 1989 r. to my zorganizowaliśmy zbiórkę w Ambasadzie Rumunii na Chopina. Zbieraliśmy koce i śpiwory, pieniądze i le-

karstwa. I już 26 grudnia leciałem rozpadającym się samolotem wojskowym z pierwszym transportem darów do Bukaresztu. Jak jechałem z lotniska, ostrzeliwali nas snajperzy z Securitate. Wiedzieliśmy, że w Polsce już udało się zrobić swoje, ale pamiętaliśmy wciąż o przesłaniu I Zjazdu Solidarności z 1981 r. adresowanym do ludzi z Europy Środkowo-Wschodniej. Polska ambasada rozdysonowała przywiezione przez nas dary. W Bukareszcie spędziłem trzy dni. Wchodziłem nawet do zdobytego przez powstańców pałacu Nicolae Ceause-scu. Na fotelu dyktatora leżał teraz kałasznikow... Otrzymywaliśmy wprawdzie sygnały, że koło Braszowa zbierają się do kontrataku niedobitki Securitate, ale pomimo to zdecydowaliśmy się wracać koleją.

Wsiadliśmy więc w Bukareszcie do pustego pociągu. Skład liczył 15 wagonów. I w tych piętnastu wagonach jechaliśmy przez Siedmiogród w trzy osoby: Kuba Wygnański, Krzysiek Siemieński, którzy też znaleźli się w tych dniach w Rumunii, i ja... A w Polsce parlament w rekordowym tempie uchwalał już właśnie plan Leszka Balcerowicza...

KULTURA

OMÓWIENIE KSIĄŻKI
MARCINA FURDYNY I MARKA RODZIKA
„CZYTALIŚMY PIŁSUDSKIEGO.
ROZMOWY Z LESZKIEM MOCZULSKIM”.

Książka składa się z rozmów, które w latach 2013-2015 przeprowadzili z Leszkiem Moczulskim dwaj młodzi historycy: Marcin Furdyna i Marek Rodzik. W słowie wstępnym zasugerowali klimat tych spotkań: „Zjawialiśmy się u Profesora w godzinach popołudniowych, nierzadko wychodząc po północy”.

Sens całego projektu jest wyjaśniony w tytule oraz w słowie wstępnym autorów. Zwracają oni uwagę na to, że Leszek Moczulski „dziś pozostaje chyba ostatnim ideowym spadkobiercą myśli politycznej Józefa Piłsudskiego”¹. Jest to więc spojrzenie na ostatnie 100 lat historii Polski i Europy oczami piłsudczyka. Dobry pomysł, biorąc pod uwagę fakt, że w tym roku obchodzimy 150-lecie urodzin Marszałka!

Zasadnicza treść książki podzielona jest na siedem rozdziałów, z których każdy poświęcony jest innemu tematowi. Każdy rozdział to jakby osobna rozmowa (choć biorąc pod uwagę objętość rozdziałów, zapewne każdy z nich był owocem co najmniej kilku wielogodzinnych rozmów).

Dwa pierwsze rozdziały („Źródła myślenia Piłsudskiego i Dmowskiego” oraz „Piłsudski, Dmowski i Wielka Wojna”) poświęcone są – przynajmniej formalnie – obydwu „ojcom niepodległości”. Moczulski nie udaje, że jest w sporze między nimi neutralny. Jego sympatie są wyraźnie po stronie Marszałka. Także proporcje tekstu są wyraźnie zachwiane na korzyść Piłsudskiego.

¹ Nie zapominajmy jednak o młodszym od Moczulskiego o 13 lat Bohdanie Urbankowskim, który w 2014 r. wydał monumentalne dzieło *Józef Piłsudski. Marzyciel i strateg*. Prywatnie Urbankowski (poeta, dramaturg i pisarz) i Moczulski znają się od drugiej połowy lat 70. Urbankowski jeszcze przed Sierpniem uczestniczył w działalności Konfederacji Polski Niepodległej.

Ta część książki to – z jednej strony – streszczenie, a z drugiej – rozwinięcie analiz Leszka Moczulskiego zawartych w monumentalnym „Przerwanym polskim powstaniu 1914”². To najważniejsza i najbardziej osobista książka Moczulskiego wydana w III RP.

Podobną rolę odegrała „Wojna Polska 1939”³, która była najważniejszym dziełem Moczulskiego wydanym oficjalnie w okresie PRL. Streszczeniem i rozwinięciem też zawartych w tej książce jest trzecia rozmowa – „Droga do II wojny światowej”. To najobszerniejszy z rozdziałów, liczący 129 stron (1/3 całego tomu).

Kolejna rozmowa („Winston Churchill i jego legenda”) to równocześnie skrócone omówienie historii II wojny światowej.

Pierwsze 250 stron książki jest więc osobistym komentarzem Moczulskiego do historii Polski i Europy w pierwszej połowie XX wieku (z licznymi dygresjami dotyczącymi wieku XIX). Jest to komentarz, dodajmy, bardzo nierówny, gdy idzie o jego szczegółowość i systematyczność. Są kwestie omówione bardzo dokładnie, inne zostały zaledwie zarysowane.

Kolejne dwie rozmowy (obszerna, 70-stronicowa rozmowa – „Rok 1944: co zamiast powstania?” oraz najkrótsza – zaledwie 10 stron – która dała tytuł całemu tomowi – „Czytaliśmy Piłsudskiego”) są poświęcone 45 latom historii Polski Ludowej widzianej z perspektywy środowiska oficerów Armii Krajowej. Także i tutaj brakuje systematyczności – szczegółowo omówione jest jedynie zagadnienie Powstania Warszawskiego, które stanowiło początek tego okresu.

Ostatnia, dość krótka rozmowa (ok. 20 stron) poświęcona jest problematyce Międzymorza.

Dodatkową wartością książki jest bardzo osobiste posłowie prof. Jacka Bartyzela – „Śniła mu się Wielka Polska”. Tytuł posłowie stanowi nawiązanie do wystąpienia Leszka Moczulskiego przed sądem w 1982 roku Bartyzel i Moczulski wspólnie działali w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i chociaż ich polityczne drogi w 1979 r. się rozeszły (Bartyzel działał dalej w Ruchu Młodej Polski, Moczulski założył Konfederację Polski Niepodległej), to jednak

² L. Moczulski, *Przerwane polskie powstanie 1914*, Warszawa 2010.

³ L. Moczulski, *Wojna polska 1939*, Warszawa 2009 (wydanie II, poprawione i rozszerzone)

przyjaźń i szacunek pozostały do dzisiaj. Moczulski: „Każde pokolenie zostanie osądzone, czy było zdolne stawić czoła największym wyzwaniom dotyczącym samej ludzkiej kondycji – i to wówczas, gdy przewodzący mu przywódcy nie mogli jeszcze znać skutków swych decyzji⁴”. Bartyzel: „Nie ma [...] wątpliwości, że Klio odda kiedyś w pełni to, co należne Leszkowi Moczulskiemu nie tylko jako autorowi znakomitych książek historycznych, politologicznych i geopolitycznych, ale również jako bohaterowi historii, człowiekowi i Polakowi niezłomnemu⁵”.

Zaskakują bardzo obszerne wywody Leszka Moczulskiego na temat kwestii leżących, wydawałoby się, daleko od głównego tematu każdego z rozdziałów. Rozdział I otwierają szczegółowe analizy demograficzne, rozdział II – szczegółowy opis sytuacji politycznej w Europie na przełomie XIX i XX wieku. Czytelnik, który nie jest żywo zainteresowany tymi kwestiami może być znużony, ale i trochę zniecierpliwiony takim podejściem do tematu. Wydaje się jednak, że jest to świadoma i celowa prowokacja intelektualna Moczulskiego zarówno wobec swych rozmówców, jak i wobec czytelników. Istotą tej prowokacji jest wykazanie, jak głęboka i szeroka analiza jest możliwa i potrzebna przy ocenie rzeczywistości politycznej. Wymaga ona wiedzy nie tylko politycznej i historycznej, ale także ekonomicznej i socjologicznej.

Taka głęboka analiza pozwala zrozumieć mechanizmy regulujące bieg historii i wyznaczające jej kierunek. Mechanizmy te powinien znać i rozumieć każdy, kto chce profesjonalnie uprawiać lub komentować politykę. Efekty działań politycznych nie są – wedle Moczulskiego – przesądzone („Bieg historii nigdy nie jest zdeterminowany”⁶) i narody mają pewną swobodę manewru. Liderzy polityczni muszą jednak zdawać sobie sprawę z istniejących ograniczeń

⁴ M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego. Rozmowy z Leszkiem Moczulskim*, Warszawa 2016, s. 320.

⁵ *Tamże*, s. 375.

⁶ M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego...*, s. 110.

(„Kierunki polityki wynikają z istniejącej rzeczywistości”⁷). Pogląd ten dobrze ilustrują ostatnie dwa zdania książki, będące jej swoistą pointą – „Nie jesteśmy w stanie przewidywać przyszłych wydarzeń, ale możemy uświadamiać sobie, w którą stronę zmierza proces, który sami wytwarzamy. Dobrze jest bowiem wiedzieć dokąd płynie rzeka, w której tak beztrząsco brodzimy”⁸.

Duże wrażenie robi szczegółowe omówienie przyczyn wybuchu I wojny światowej. Na tym przykładzie przekonujemy się, że nie jest możliwe precyzyjne prognozowanie przyszłości. „W rozgrywce uczestniczyło, z różnym stopniem aktywności, siedem państw. Razem tworzyły one węzeł 21 sprzężeń zwrotnych. Dochodziły do tego sprzężenia pomiędzy sprzężeniami. W sumie tworzyło to ich ponad 60. I to tylko pomiędzy państwami. Bo wewnątrz poszczególnych krajów występowały osobne ośrodki oddziałujące na siebie”⁹.

Moczulski zwraca uwagę, że losy wojny potoczyłyby się inaczej, gdyby nie błędy niemieckie. „W geostrategicznej sytuacji 1914 r. oba mocarstwa centralne powinny współdziałać, a optymalny kierunek uderzenia prowadził na Ukrainę. Przy remisowym rozstrzygnięciu na froncie zachodnim rozgromienie wojsk rosyjskich przez główne siły niemiecko-austriackie kończyło wojnę zapewniając Niemcom geopolityczny sukces na głównym kierunku ich ekspansji – i to w dość krótkiej perspektywie czasu”¹⁰.

Najważniejszy błąd, który popełnili w tym czasie nie tylko Niemcy, ale także inne mocarstwa biorące udział w wojnie, polegał na braku myślenia w kategoriach geopolitycznych. Takie stanowisko nie dziwi ze strony Moczulskiego, który jest twórcą polskiej geopolityki¹¹. „Wojnę prowadzono tak, jakby geopolityka nie istniała. Brakowało nie tylko jasnych celów, lecz nawet świadomości, co przez konflikt chce się uzyskać – poza jego wygraniem [...]. Anglicy mogli być zadowoleni, bo gospodarka niemiecka została zepchnięta na dalszy plan, zaś oni uzyskali prawie wszystkie niemieckie kolonie. Szybko jednak okazało się, że to właśnie Brytyjczycy i Amerykanie muszą wyciągać Niemcy za uszy

⁷ *Tamże*, s. 108.

⁸ *Tamże*, s. 355.

⁹ *Tamże*, s. 45.

¹⁰ *Tamże*, s. 53.

¹¹ L. Moczulski, *Geopolityka. Potęga w czasie i w przestrzeni*. Warszawa, 2010.

z kryzysu gospodarczego za własne pieniądze, bo ten kraj okazał się niezbędnym spoiwem w międzynarodowym układzie handlowym [...]. Co osiągnęli Francuzi? Alzację, Lotaryngię i groźnego, dyszącego żądzą odwetu sąsiada¹²”.

I Kompania Kadrowa miała – wedle Moczulskiego – znaczenie nie tylko symboliczne (zapoczątkowanie polskiego czynu zbrojnego w czasie I wojny światowej), ale realne. „Militarnie nie miało to żadnego znaczenia, politycznie – ogromne [...]. Sprawa polska została umiędzynarodowiona – to znaczy, że mocarstwa muszą ją podjąć i rozwiązać¹³”. [Działania powstańcze 1914 roku] „wznowione w listopadzie 1918 r. przez Polską Organizację Wojskową, samorzutnie wspartą przez inne podobne związki, doprowadziły w ciągu paru dni do odbudowy Rzeczypospolitej¹⁴”. Obszerne uzasadnienie tej tezy znajdujemy we wspomnianym wyżej „Przerwanym polskim powstaniu 1914”.

Zaskoczyły mnie wielokrotne próby Leszka Moczulskiego, zrewidowania historii II wojny światowej. Zawsze wydawało mi się, że pisanie alternatywnych wersji wydarzeń historycznych nie ma sensu. Furdyna i Rodzik także wydają się sceptyczni w tej kwestii. Tymczasem Moczulski okazuje się zwolennikiem takich intelektualnych zabaw. Zarzuca historykom II wojny światowej bezkrytyczne podejście do tematów („II wojna światowa w obrazie literatury – to jest kismet. Allah powiedział – i tak się musiało stać¹⁵”). W opinii Moczulskiego, wydarzenia z lat 1939–1945 to pasmo błędów i pomyłek oraz niewykorzystanych szans (po każdej ze stron). Krytykuje więc kampanię norweską Wielkiej Brytanii w 1940 („Po co zdobywać Narvik, gdy jest oczywiste, że bez wyparcia Niemców z południowej Norwegii tego runodajnego portu nie można obronić?¹⁶”), krytykuje brytyjską decyzję o dokonaniu przewrotu w Belgradzie wiosną 1941 r. („Wehrmacht stoi z bronią u nogi, aktualnie nie ma z kim

¹² M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego...*, s. 63–64.

¹³ *Tamże*, s. 77–78.

¹⁴ *Tamże*, s. 319.

¹⁵ *Tamże*, s. 243–244.

¹⁶ *Tamże*, s. 244.

walczyć. Churchill i Eden uznają to za świetny moment, aby dokonać antyniemieckiego przewrotu w Belgradzie¹⁷), krytykuje decyzje o wysłaniu w 1941 r. wojsk brytyjskich na Bałkany („W styczniu 1941 r. Włosi byli rozbici, można było zdobyć prawie bez walki Trypolis, wypchnąć wroga z Afryki, przywrócić kontrolę nad całym Morzem Śródziemnym. Ale nie! Wojska brytyjskie zamiast na Trypolis, posłano do Grecji, potem je pięknie wyewakuowano – oczywiście zostawiając całą broń¹⁸”). Churchill obrywa także za niewykorzystanie okazji do wkroczenia na Bałkany w 1943 r. („Dysponując absolutną przewagą na morzu i w powietrzu oraz wielką flotą transportową, Brytyjczycy mogą zająć bez wystrzału Dalmację, bronią od wschodu przez najdziksze w Europie góry. Churchill, pieszczący koncepcję bałkańską, tego nie dostrzega¹⁹”). Nie mniejsze błędy popełniali także – zdaniem Moczulskiego – Amerykanie. Przykładowo – w czerwcu 1944 r. wylądowali w Normandii, zamiast wysadzić desant w południowej Francji („Czemu zachodni alianci woleli atakować tam – i to świadomie – gdzie obrona niemiecka była najsilniejsza? Marsylia leży bliżej Strasburga niż Cherbourg, proszę sprawdzić na mapie. Południowa Francja była całkowicie nieprzygotowana do obrony, zaś alianci zyskiwali na czasie, gdyż nie musieli przewozić wojsk z basenu Morza Śródziemnego do Wielkiej Brytanii²⁰”). Także Hitler popełniał błędy: nie wykorzystał okazji, aby w 1940 r. wkroczyć do państw arabskich i wykorzystać panujące tam, antybrytyjskie nastroje („Hitler miał szansę wygrać wojnę w momencie, kiedy poszedłby na Bliski Wschód. Ale było to poza jego wyobraźnię²¹”). Z kolei w 1941 r., zdaniem Moczulskiego, Hitler zbyt wcześniej zaatakował ZSRR („Gdyby Niemcy opóźniły swoją ofensywę i skupiły się na rozbudowie potencjału wojennego – dalszy los Sowietów zostałby zagrożony²²”). Najważniejsza teza, którą kwestionuje Moczulski, dotyczy założenia, że głównym celem Hitlera od początku II wojny światowej było zniszczenie Związku Sowieckiego („Przed grudniem

¹⁷ *Tamże*, s. 244.

¹⁸ *Tamże*, s. 244.

¹⁹ *Tamże*, s. 244–245.

²⁰ *Tamże*, s. 245.

²¹ *Tamże*, s. 245.

²² *Tamże*, s. 248.

1940 r., nikt w sztabach niemieckich nie narysował kreski na mapie ani nie napisał stroniczki koncepcji, jak może wyglądać wojna z Rosją – niemiecki sztab generalny w ogóle się tym nie zajmował²³). Wedle Moczulskiego antysowieckie nastawienia Hitlera przed wojną było pozorowane. W rzeczywistości dążył on do rozbicia Francji i Wielkiej Brytanii. „Hitler przez kilkanaście przedwojennych lat nieprzerwanie opowiadał o konflikcie z Rosją sowiecką. NSDAP rywalizował z KPD – przeniesiono to z czasem na stosunki między państwowe. Pakt antykominternowski tak się tylko nazywał, skierowany był jednak wyłącznie przeciwko mocarstwom zachodnim²⁴”. Co ciekawe, są także postacie z historii powszechnej, które Moczulski broni (wbrew powszechnej krytyce). Przykładem jest premier Wielkiej Brytanii w latach 1937-40 Arthur Neville Chamberlain, uważny za głównego przedstawiciela polityki *appeasementu*, która doprowadziła do wybuchu II wojny światowej. Zdaniem Moczulskiego polityka Wielkiej Brytanii w okresie Monachium to było „>>powstrzymywanie<< wybuchu wojny aż do momentu, gdy mocarstwa zachodnie odbudują swoją przewagę militarną, uniemożliwiająca Hitlerowi rozpoczęcie zbrojnego konfliktu²⁵”. Także sukces Bitwy o Anglię w 1940 r., przypisywany Churchillowi, był w istocie zasługą Chamberlaina, który wcześniej podjął decyzje o rozbudowie RAF („To Chamberlain zapewnił zwycięstwo. Churchill tylko przypiął laury²⁶”).

Niemniej oryginalne tezy (ale – moim zdaniem – bardziej przekonujące, gdyż oparte na szczegółowych argumentach) formułuje Leszek Moczulski w odniesieniu do spraw polskich. W książce dokładnie omówione są dwa wydarzenia z naszej historii w czasie II wojny światowej: wojna 1939 r. oraz powstanie 1944 (a szerzej – plan „Burza”).

Moczulski broni założeń polityki zagranicznej Józefa Becka a doprowadze-

²³ *Tamże*, s. 250.

²⁴ *Tamże*, s. 250.

²⁵ *Tamże*, s. 168.

²⁶ *Tamże*, s. 243.

nie przez niego do sojuszu polsko-brytyjskiego w 1939 r. ocenia jako sukces („Gdyby nie było sojuszu polsko-brytyjskiego, Wielka Brytania – ale także Stany Zjednoczone – nie działałyby na rzecz zachowania państwa polskiego, choćby satelickiego, i jego rekompensaty terytorialnej za utracone ziemie. A to wielka różnica: PRL z Ziemią Zachodnią czy 17 republika ZSRR, okrojona do powiększonego o Poznań i Kraków Kraju Priwislanskiego²⁷). Chwali polski plan obronny z 1939 r. ([Autorzy tego planu] „pragnęli dokonać prawie niemożliwego – i starali się podbudować przesadnym optymizmem. Na przyszłe wydarzenia nie miało to żadnego wpływu. Co najwyżej umożliwiało, przeobrazić płaską przecież krytykę. Nie pozwalała ona dostrzec determinacji i siły charakteru ludzi, którzy ten plan przygotowali i konsekwentnie wprowadzali w życie. Nawet skrajna ekonomia sił, na której zbudowany był plan >>Z<<, jaka prawie nie ma precedensów w historii sztuki wojennej, przez prawie nikogo nie została doceniona²⁸). Broni decyzji marszałka Śmigłego-Rydza o opuszczeniu terytorium Polski w 1939 r. („Zrobił to samo, co Kościuszko w 1792 r. czy książę Poniatowski w 1813 r., wszyscy kolejni naczelni wodzowie 1831 r., Mierosławski i Langiewicz w 1863 r., Piłsudski w 1906 r. Po klęsce czy przegranej opuszczali kraj, aby kontynuować walkę za granicą²⁹). Neguje, aby Francja 12 września 1939 r. w Abbeville podjęła decyzję o nieudzieleniu Polsce pomocy („Posiedzenie Najwyższej Rady skończyło się bez podjęcia jakiegokolwiek decyzji, nie sformułowano nawet wniosków z dyskusji. Pozostawiono wolną rękę Francuzom, a ściślej – Gamelanowi³⁰), uznaje, że decydujące znaczenie miała agresja sowiecka 17 września 1939 („Ofensywa [na Zachodzie przeciwko Niemcom], rozstrzygająca o losie wojny, prędzej czy później musiałaby ruszyć. Nie doszło do tego, gdyż [...] Sowieci zaatakowali Polskę³¹).

Gdy idzie o Powstanie Warszawskie (czy szerzej – o plan „Burza”), to także i w tej dziedzinie Moczulski broni decyzji podejmowanych przez polskich oficerów („Sięgano do tradycji powstania styczniowego oraz powstańczych dzia-

²⁷ *Tamże*, s. 190.

²⁸ *Tamże*, s. 194.

²⁹ *Tamże*, s. 216.

³⁰ *Tamże*, s. 210.

³¹ *Tamże*, s. 212.

łań strzeleckich w Kieleckiem w sierpniu-wrześniu 1914 r.³²). Komplementuje militarne aspekty planu („To doskonała sztabowa robota³³”). Podkreśla, że o ile militarnie akcja „Burza” była wymierzona w Niemców, o tyle politycznie – w Sowietów („ale stanowiła działanie obronne³⁴”). Polityczne cele planu „Burza” Moczulski definiuje w sposób następujący – „Polacy postawili Stalina przed alternatywą: albo uznać polską suwerenną władzę nad zajmowanymi obszarami, albo zdusić ją siłą. To drugie rozwiązanie dowodziło, że Sowietci są agresorem, prowadzą wojnę z jednym z krajów >>Wielkiej Koalicji<<³⁵”.

Moczulski twierdzi, że Stalin zorientował się w pułapce, którą AK na niego zastawiło i dlatego w ostatniej chwili³⁶ zdecydował się zatrzymać sowiecką ofensywę na przedpolach Pragi i przerzucić na Niemców zadanie „pacyfikacji ziem na zachód od Wisły³⁷”. Wcześniej (tj. po zamachu na Hitlera w lipcu 1944 r.) alianci – wedle Moczulskiego – na wschodzie i na zachodzie „rzucili się naprzód, aby zająć jak najwięcej³⁸”. „Zamach na Hitlera – widmo rozpadu Rzeszy zadziało, jak wystrzał z pistoletu startowego³⁹”.

Decyzja o „Burzy” w stolicy zapadła w Warszawie 21 lipca 1944 r. w gronie trzech generałów (Tadeusz Bór-Komorowski, Tadeusz Pełczyński i Leopold Okulicki), z udziałem płk Józefa Szostaka. 25 lipca decyzję tę zatwierdziła Rada Ministrów w Londynie. Decyzja ta podyktowana była – po pierwsze – obawą, że Niemcy potraktują Warszawę jako twierdzę, co oznaczałoby zagładę stolicy („Jedynie szybkie zajęcie miasta mogło je uchronić⁴⁰”). Po drugie – „Wstrzymanie się od podjęcia walki było jednoznaczne z całkowitą kapitulacją [...]”. Jeśli Polacy nie podjęliby czynnej walki z Niemcami w takim rozmiarze, że nie można by było tego ukryć przed opinią publiczną Zachodu, uwiarygodnialiby

³² *Tamże*, s. 256.

³³ *Tamże*, s. 288.

³⁴ *Tamże*, s. 293.

³⁵ *Tamże*, s. 263.

³⁶ *Tamże*, s. 301.

³⁷ *Tamże*, s. 267.

³⁸ *Tamże*, s. 270.

³⁹ *Tamże*, s. 270.

⁴⁰ *Tamże*, s. 282.

oszczerstwa sowieckie⁴¹”. Tak więc, wedle Moczulskiego, w 1944 r. miasta nie można było ocalić. Natomiast trzeba było w tych ekstremalnie trudnych warunkach, bronić niepodległości kraju.

Moczulski podkreśla nastroje powstańcze w stolicy, które powodowały, że „wstrzymanie się od podjęcia walki stawało się niemożliwe⁴²”. W tym kontekście istniało – zdaniem Moczulskiego – niebezpieczeństwo wybuchu spontanicznych chaotycznych walk w Warszawie, które doprowadziłyby do krwawej pacyfikacji miasta przez Niemców⁴³. I przedstawia jeszcze jeden argument: „Przez blisko pięć lat budowano armię podziemną w kraju, nie po to, aby w decydującym momencie schowała się w mysiej dziurze⁴⁴”.

Broniąc decyzji o wybuchu Powstania Warszawskiego Moczulski przypomina kluczowe fakty⁴⁵, jak np. to, że Warszawa w toku Powstania została zburzona w 25% a reszta zniszczeń polskiej stolicy (w sumie – 83%) przypada na okres wcześniejszy (m.in. wrzesień 1939 roku) a zwłaszcza na okres popowstaniowy. Gdyby nie było Powstania, Warszawa byłaby zapewne areną walk sowiecko-niemieckich i w tym kontekście warto pamiętać, że np. Budapeszt w wyniku 6-tygodniowego oblężenia został zniszczony w 40%. Przypomnienie tych faktów służy Moczulskiemu jako argument przeciwko pogładowi, że Powstanie doprowadziło do katastrofy w postaci całkowitego zniszczenia Warszawy. Wynika bowiem z tego, że – gdyby Powstanie nie wybuchło – miasto i tak w dużym stopniu zostałoby zniszczone w wyniku sowieckiego oblężenia i niemieckiej obrony.

Podobny argument dotyczy ofiar ludzkich. „Gigantyczne ofiary poniesione przez ludność cywilną podczas II wojny w mniejszym stopniu spowodowane były działaniami wojennymi, bombardowaniami, ostrzałem artyleryjskim, okrucieństwem rozwydrzonych żołdaków (również tak masowym, jak rzeź Woli), a w większym codziennym terrorem, wyniszczeniem całej populacji,

⁴¹ *Tamże*, s. 305.

⁴² *Tamże*, s. 287.

⁴³ *Tamże*, s. 297.

⁴⁴ *Tamże*, s. 292.

⁴⁵ *Tamże*, s. 260.

szybko przechodzącym w ludobójstwo⁴⁶”. W tym kontekście Moczulski przypomina, że 3/4 ofiar cywilnych na ziemiach polskich nie było związanych z działaniami militarnymi. W Czechach, gdzie nie było zbrojnego oporu ludności, ten współczynnik wynosił aż 96%.

Jest to myślenie znane w ekonomii, które uwzględnia koszt alternatywny. „Fałszywe stereotypy, peerelowskie, nieco tylko przestrojone, ciągle są w obiegu [...]. Traktowanie powstania w sterylnej izolacji. Nie tylko od wydarzeń rozgrywających się wówczas w Polsce i w Europie, lecz przede wszystkich od możliwych alternatyw. Formuła jest prosta. Wybuch powstania – to nieszczęście, nie ma powstania – nie dochodzi do nieszczęścia⁴⁷”.

Moczulski podkreśla zresztą, że nie można przywódcom Armii Krajowej stawiać zarzutu, że wywołali powstanie ze świadomością, iż Sowieci zatrzymają ofensywę na wiele miesięcy i umożliwią Niemcom brutalną pacyfikację stolicy. „Podjęli ryzyko, bo mieli prawo sądzić, że jeśli nawet Stalin zatrzyma ofensywę, to za parę dni ją wznowi⁴⁸”. To ważne stwierdzenie, bowiem niektórzy współcześni historycy czy politycy usiłują przedstawić Powstanie Warszawskie jako celowo wywołaną katastrofę. Co ciekawe – twierdzą tak także zwolennicy Powstania, którzy uważają, że przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego mieliby prawo podjąć taką decyzję. Taka „pochwała Powstania”, która – moim zdaniem – jest niczym innym, jak „pochwałą głupoty”, jest całkowicie obca Moczulskiemu. „Zarzut, że polscy przywódcy, krajowi i emigracyjni, godzili się na zagładę miasta i jego mieszkańców, aby zdyskontować to politycznie, jest fałszywy, głupi i oburzający. Nikt nic takiego nie proponował⁴⁹”. „Tak bardzo troskliwie wybierano datę wybuchu, aby maksymalnie można było ograniczyć straty⁵⁰”. W tym kontekście Moczulski przypomina kluczową zasadę, na jakiej opierał swoje działanie Piłsudski i jego ludzie. „Najpierw w Legionach, później w Wojsku Polskim obowiązywał kanon oszczędzania krwi [...]. Ale – i to jest kluczowe – nakazywano oszczędzać krew w walce – a nie unikając walki.

⁴⁶ *Tamże*, s. 260.

⁴⁷ *Tamże*, s. 317.

⁴⁸ *Tamże*, s. 298.

⁴⁹ *Tamże*, s. 299.

⁵⁰ *Tamże*, s. 300.

Doceniano konieczność poświęcenia – jeśli jest działaniem rozumnym, a nie gestem⁵¹”.

W tym kontekście należy postrzegać polemikę Moczulskiego z obiegowym sposobem postrzegania doktryny powstańczej, opartej rzekomo na romantycznych uniesieniach (dodam od siebie – jest on widoczny we współczesnej polityce historycznej i bardzo mnie drażni; z tym, że dzisiaj motywów tych, którzy podejmowali beznadziejną walkę postrzega się w uniesieniu moralnym, a nie romantycznym). „Doktryna powstańcza mówi: my jesteśmy Chrystusem narodów i musimy światu pokazać, w jakim cierpieniu za ten świat ginimy. Chór pochwalnych krytyków do dziś powtarza, że doktryna powstańcza to apoteoza klęski⁵²”. Istota doktryny powstańczej polega – zdaniem Moczulskiego – na czymś zupełnie innym. „Doktryna powstańcza wymaga ogromnego wysiłku intelektualnego, ciągłej aktualizacji, szukania nowych rozwiązań – gdyż cel był nieprawdopodobnie trudny, prawie niemożliwy do zrealizowania [...]. Nasze dwa największe wkłady do politycznej myśli europejskiej i światowej to tolerancyjne i demokratyczne państwo prawa – I Rzeczpospolita, oraz wspaniała doktryna niepodległościowa⁵³”.

Omawiając postawy Polaków w czasie II wojny Moczulski kładzie nacisk nie na bohaterskie czyny („Nie były one wyłączną właściwością Polaków. Z równym bohaterstwem w jeszcze bardziej beznadziejnej sytuacji Niemcy bronili Berlina, a Rosjanie wymierającego z głodu Leningradu⁵⁴”), ale na inne cechy pokolenia „Kolumbów”. „Zapamiętajmy również – a może przede wszystkim – wysoką klasę organizacji, zdolność do konstruktywnego, twórczego działania, kompetencję i odpowiedzialność administratorów i dowódców, determinację, dyscyplinę i skuteczność w walce, gotowość ogółu podziemnego państwa i armii do czynnej, przemyślanej reakcji w najbardziej nawet niesprzyjających warunkach⁵⁵”.

Zdaniem Moczulskiego dzięki Powstaniu Warszawskiemu akcja „Burza” zakończyła się sukcesem. Nie zrealizowano wprawdzie politycznego celu mak-

⁵¹ *Tamże*, s. 289.

⁵² *Tamże*, s. 332.

⁵³ *Tamże*, s. 332.

⁵⁴ *Tamże*, s. 260.

⁵⁵ *Tamże*, s. 260-261.

simum, jakim było odzyskanie niepodległości, gdyż okazało się to nierealne. Zrealizowano natomiast cel minimum. Zanim wybuchło Powstanie z zamiarem Stalina było wcielenie Polski do ZSRR jako 17 republiki. Moczulski twierdzi, że utworzenie PKWN było początkiem realizacji tej koncepcji⁵⁶. Pod wpływem Powstania Stalin musiał z tych planów zrezygnować. „Wywołanie powstaniem warszawskim – a zwłaszcza jego klęską – odejście mocarstw zachodnich od ustępliwej bierności w sprawie Polski radykalnie zmieniło sytuację. Ich presja była słabiutka, żądania skromne – lecz jedno było oczywiste: Polska musi wyjść z tej wojny, zachowując własną państwowość. Inne rozwiązanie stało się niemożliwe⁵⁷”.

Na tej fundamentalnej zmianie skorzystały także inne państwa. „Rezygnacja z wchłonięcia Polski przesądziła o tym, że – poza uznaną w Teheranie aneksją Litwy, Łotwy i Estonii – identycznego losu nie doznały wszystkie istniejące przed wojną państwa zajęte w latach 1944–45 przez Sowiety. Stworzyło to sytuację pozwalającą na stopniową ewolucję, która ostatecznie doprowadziła do samowyzwolenia się tej części Europy oraz pobudzenia nierosyjskich republik ZSRR. W warunkach jednolitego imperium tego rodzaju działanie byłoby sprawą wewnętrzną państwa sowieckiego – a Zachód nie byłby w stanie nawet udzielić pomocy humanitarnej⁵⁸”.

Na Powstaniu skorzystali także Niemcy. „Zatrzymanie przez Stalina ofensywy na Wiśle na pół roku, uniemożliwiło Sowietom zagarnięcie całych Niemiec⁵⁹”.

Przy tej okazji pragnę zwrócić uwagę na kwestię, która była dla mnie pewnym zaskoczeniem a która jest ważna (być może pozwala zrozumieć decyzje polityczne Leszka Moczulskiego z końca lat 40.). Chodzi mi o pewien szacunek okazywany Polsce powojennej. Dziś, gdy w „dobrym tonie” jest okazywa-

⁵⁶ *Tamże*, s. 306.

⁵⁷ *Tamże*, s. 309.

⁵⁸ *Tamże*, s. 309.

⁵⁹ *Tamże*, s. 320.

nie pogardy i lekceważenia dla tej ułomnej polskiej państwowości, stanowisko Moczulskiego jest dość nieoczekiwane⁶⁰. Nie chodzi przy tym o pochwałę Polski Ludowej, ani tym bardziej o pochwałę komunistycznej polityki, ale o docenienie tego, że – m.in. dzięki heroizmowi Powstańców Warszawskich – mieliśmy po II wojnie światowej odrębne państwo, a nie kolejną sowiecką republikę.

Duże wrażenie zrobiła na mnie relacja z rozmowy młodego Moczulskiego (w 1949 r. był studentem I roku prawa na UW) z sędziwym Stanisławem Grabskim (politykiem Narodowej Demokracji, który w 1945 r. wrócił do Polski wraz ze Stanisławem Mikołajczykiem a po sfałszowanych wyborach w 1947 r. został wykładowcą doktryn politycznych na warszawskim uniwersytecie). Rozmowa odbyła się kilka miesięcy przed śmiercią Grabskiego. „Na początku I wojny światowej, a więc zaledwie 35 lat temu, nie mogliśmy nawet marzyć, że będziemy mieli takie obszerne państwo, w którym zjednoczy się cały naród polski – wyjaśniał [...]. Zachodnia granica przesunięta daleko na zachód, po Odrę i Nysę, Gdańsk i Olsztyn nasz; granica na wschód – do Bugu i za Białystok, Przemyśl polski. A najważniejsze – własne państwo – a nie autonomiczna prowincja w obcym imperium. Tak, to prawda: jesteśmy zależni od Moskwy, ale już nie od petersburskiego namiestnika w Warszawie. Polska jest odrębnym podmiotem politycznym, została wybrana na niestałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ. O niczym takim nie mogliśmy nawet marzyć, gdy roz-

⁶⁰ Teraz widzę, że podobny stosunek do PRL Leszek Moczulski deklarował już dawno, o czym świadczą jego słowa na procesie KPN w 1982 r.: „Nadal uważam, że PRL jest odrębnym polskim tworem państwowym, podobnie jak w schyłkowym okresie I Rzeczypospolitej – monarchia Stanisława Augusta, osadzonego na tronie pod protektoratem carycy Katarzyny w 1764 r. mając za sobą różne historyczne momenty, począwszy od porwania nieposłusznych senatorów 1768 r., aż po czas Sejmu Wielkiego, zdolna do Konstytucji 3-Maja, ale również do Targowicy. Ale będąca odrębnym polskim organizmem. Tak samo Księstwo Warszawskie, stworzone przez Bonapartego w sposób niewiarygodny, bezprecedensowy w całej historii Polski, eksploatowane przez Francuzów nie tylko gospodarczo. Jak Królestwo Kongresowe z lat 1815–30. To Królestwo o pięknej, liberalnej Konstytucji. Było ono czymś znacznie większym niż Królestwo z lat 1816–18, a zwłaszcza 1832, ale mniejszym od aspiracji, potrzeb i możliwości Polaków. PRL jest czymś nieskończenie większym od Królestwa Polskiego w 1832 r., ale w istocie swojej jest to czwarta forma państwa, które mimo swojej ograniczonej suwerenności zaspokaja aspiracje większości obywateli – jest polskim odrębnym tworem państwowym”.

poczyniała się zapowiedziana przez Mickiewicza i oczekiwana przez pokolenia Polaków >>wojna powszechna za wolność ludów<<⁶¹”. Grabski podkreślał, że powojenna Polska była efektem wspólnego wysiłku wielu Polaków na przestrzeni tych 35 lat, jakie minęły od 1914 r. do 1949 r. Leszek Moczulski – jak się zdaje – reprezentuje podobne stanowisko do dziś.

Oczywiście trzeba pamiętać, że Moczulski – doceniając samoistną wartość Polski powojennej – nie traktował jej jako celu ostatecznego, zaspokajającego aspiracje Polaków⁶². Wartość powojennej Polski polegała na tym, że było to „niezbędne minimum, które pozwoliło wznowić walkę – i po 45 latach odrodziła się III Rzeczpospolita⁶³”.

Próba rewizji historii i formułowanie alternatywnych scenariuszy jest moim zdaniem ryzykowna dla badacza. Wszyscy pamiętamy przecież falę krytyki, która spadła na Piotra Zychowicza, po opublikowaniu jego rewizjonistycznych książek na temat polskiej polityki zagranicznej w 1920 i w 1939 oraz na temat Powstania Warszawskiego. Do głosów krytykujących Zychowicza należy i sam Moczulski, czego ślady znajdujemy w książce. Obszerny wywód nt. polityki zagranicznej Becka przed wybuchem II wojny światowej zawiera mnóstwo dowodów przeciwko tezie Zychowicza o korzystnym rzekomo dla Polski sojuszu z Hitlerem⁶⁴. W dalszej części rozmowy Moczulski polemizuje wprost z Zychowiczem, stwierdzając jednoznacznie: „Dla nas porozumienie z Niemcami było samobójstwem”⁶⁵.

Moczulski broni jednak brytyjskich rewizjonistów⁶⁶ w sposób następujący:

⁶¹ M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego...*, s. 42.

⁶² W *Deklaracji Ideowej KPN* z 1 września 1979 r. było zapisane jednoznacznie: „PRL – rządzona totalitarnie przez PZPR stanowi współczesną formę zinstytucjonalizowanego władztwa rosyjskiego nad Polską”.

⁶³ M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego...*, s. 319.

⁶⁴ *Tamże*, s. 109.

⁶⁵ *Tamże*, s. 173.

⁶⁶ Wedle Marka Rodzika chodzi o nurt, który zrodził się w historiografii brytyjskiej w latach 60-tych XX wieku. Byli to historycy, którzy nie tyle rozważali scenariusze alternatywne, co rewidowali dotychczasowe poglądy odnoszące się do genezy II wojny światowej, kwestionując m.in. pewne tezy wynikające z „Drugiej wojny światowej” Churchilla.

„Niewątpliwie, rewizjoniści byli historykami szukającymi. Może w nie najlepszym kierunku, to prawda. Ale czym są przy nich historycy głoszący – jak socyeci – prawdę >>jedynie słuszną<<, na rozkaz. Powinniśmy być na to szczególnie wyczuleni, gdyż na polską historiografię ostatnich 70 lat to oni właśnie wywarli całkiem niemały wpływ⁶⁷”.

Powiem tak – gdy idzie o rewizjonistyczne tezy Moczulskiego dotyczące historii Polski (mówiąc w pewnym uproszczeniu – obrona polityki obozu piłsudczykowskiego), to uznaję je za przekonujące, gdyż zostały oparte na solidnych podstawach. Gdy idzie o rewizjonistyczne tezy dotyczące wydarzeń II wojny światowej z historii powszechnej – uważam, że w książce poświęcono im zbyt mało miejsca, są niewystarczająco uargumentowane i część z nich wypada mało przekonująco. Być może przyjdzie mi zmienić zdanie po zapoznaniu się z obszernym opracowaniem Leszka Moczulskiego na ten temat – wiem, że takie było przygotowywane, ale nie wiem, czy powstało i czy ma być wydane. Na pewno wywoła(łoby) spory i polemiki.

I jeszcze jedna uwaga. Może nie tyle chodzi tu o rewizjonizm historyczny, ile o sceptycyzm poznawczy, który nakazuje wątpić w uznane autorytety i poszukiwać sposobu podważenia ich twierdzeń? Pamiętam jak Leszek Moczulski często występując w telewizji na początku lat 90., ostro polemizował z tezami Zbigniewa Brzezińskiego. Ślady tej postawy znajdujemy także w książce Furdyna i Rodzika, gdzie Moczulski polemizuje z tezami historycznymi Henry Kissingera⁶⁸ czy Winstona Churchilla⁶⁹. Sądzę, że krytycyzm poznawczy, który powoduje, że Moczulski nie ogranicza się tylko do zreferowania faktów czy cudzych poglądów, to jedna z cech charakterystycznych autora „Wojny polskiej”, jako badacza.

Przyznaję, że mam zbyt małą wiedzę z dziedziny historiografii II wojny światowej, aby móc odnieść się do twierdzeń brytyjskich rewizjonistów. Być może z tego względu twierdzenia Leszka Moczulskiego dotyczące tych kwestii wydają mi się słabo uargumentowane.

⁶⁷ M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego...*, s. 247.

⁶⁸ *Tamże*, s. 44.

⁶⁹ *Tamże*, s. 219 i nast.

Analizując poglądy Moczulskiego na wojnę 1939 roku oraz na plan „Burza” i Powstanie 1944 warto pamiętać, że znał on osobiście współautora planu „Zachód” oraz planu „Burza” pułkownika Józefa Szostaka a także płk Kazimierza Plutę-Czachowskiego, który uczestniczył w pracach nad planem „Burza”. Obaj należeli do konspiracyjnego środowiska piłsudczyków, zwanego nurtem niepodległościowym a płk Szostak był także jawnym członkiem Rady Politycznej KPN od 1981 r.⁷⁰ Ta osobista, dobra znajomość powoduje, że poglądy Moczulskiego na te kwestie mają nie tylko walor jego osobistych opinii, ale także mogą chyba być uznane za reprezentatywne dla kluczowych uczestników tamtych wydarzeń.

Nurt niepodległościowy miał bardzo długą tradycję. Należeli do niego ludzie wywodzący się z I Brygady i Polskiej Organizacji Wojskowej, środowisko sanacyjne funkcjonujące w okresie międzywojennym oraz oficerowie Armii Krajowej (ta grupa była po wojnie najliczniejsza w nn).

Wewnątrz tego środowiska obowiązywała nieformalna hierarchia – „Liczył się przede wszystkim autorytet nadawany przez samego Marszałka. Ludzie, których Piłsudski robił ministrami czy generałami dywizji, siłą rzeczy posiadali najwyższy prestiż⁷¹”.

W czasie II wojny światowej nurt ten funkcjonował wewnątrz Armii Krajowej jako konspiracja piłsudczykowska. Moczulski podkreśla: „Po latach stykałem się z niektórymi jej uczestnikami⁷²”. Chodzi m.in. o wymienionych wyżej pułkowników – członków Komendy Głównej AK: Plutę-Czachowskiego oraz Szostaka.

Po II wojnie światowej nn funkcjonował zarówno w kraju, jak i na emigracji. „Pod koniec lat pięćdziesiątych konspiracja w nurcie niepodległościowym była znacznie głębsza niż w czasie okupacji. Kierownictwo było jeszcze bardziej utajnione. Do dzisiaj nie znam jego składu i pełnej struktury⁷³”. Wymienia jednak nazwiska kilku osób, o których wiedział na pewno, że należały do nn⁷⁴.

⁷⁰ *Tamże*, s. 328.

⁷¹ *Tamże*, s. 322.

⁷² *Tamże*, s. 258.

⁷³ *Tamże*, s. 324.

⁷⁴ *Tamże*, s. 328–329.

Ciekawszy od składu jest przedmiot prac tego środowiska. „Realizowaliśmy doskonale znany w polskim doświadczeniu historycznym plan wywołania masowego powstania narodowego⁷⁵”. Wzorowano się na akcji Piłsudskiego z 1914 roku. „[Tamto] powstanie miało wywołać wyłącznie skutki polityczne, gdyż prawie natychmiast zareagowali Rosjanie, Austriacy, a także Francuzi. Sprawa polska została otwarta. Chcieliśmy powtórzyć tę strategię⁷⁶”. W toku prac i dyskusji w środowisku nn zrezygnowano z walki zbrojnej, która do tej pory była immanentną częścią programu niepodległościowego. „Zwyciężyło przekonanie, że w warunkach ogromnej przewagi technicznej nie tylko zbrojne powstanie, lecz także każde zderzenie fizyczne z wojskiem czy ZOMO musi prowadzić do klęski [...]. Powstanie jest niewątpliwie starciem sił, ale walkę należy podejmować narzędziami właściwymi dla danej epoki i dla nas korzystnymi [...]. Potrzebowaliśmy czynu społecznego, a jedyną siłą mogącą zmieść PRL była wielkoprzemysłowa klasa robotnicza⁷⁷”. Takie myślenie legło u podstaw „Rewolucji bez rewolucji”⁷⁸ – najważniejszej książki politycznej napisanej przez Moczulskiego w okresie jego aktywnej działalności opozycyjnej.

Wysiłek intelektualny środowiska nn po II wojnie światowej rozwijał się w kontrze do działań tych, którzy uważali walkę o niepodległość za niemożliwą. W PRL był to nurt dominujący i stanowił kontynuację postaw obecnych w polskiej kulturze od drugiej połowy XVIII wieku. „Wszystko, co możemy przeczytać w literaturze >>realnego pozytywizmu<< pomiędzy rokiem 1768 a 1989 jest proste: wróg silniejszy, walkę przegramy we wszystkich wymiarach – biologicznym, materialnym kulturowym itd. Powtarzano to bezustannie, a nowe argumenty uzupełniano przez okrzyki: >>Znowuż chcecie skierować naszą młodzież na czołgi!<<. W czasie PRL-u usiłowano to zintelektualizować⁷⁹”.

⁷⁵ *Tamże*, s. 325.

⁷⁶ *Tamże*, s. 325.

⁷⁷ *Tamże*, s. 326–327.

⁷⁸ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, „Droga” nr 7 (czerwiec 1979 r.).

⁷⁹ *Tamże*, s. 332.

Leszek Moczulski podkreśla, że jego pokolenie było ostatnim, któremu przyszło walczyć o niepodległość Polski. „Dzisiaj możemy mówić o koncepcji niepodległościowej jako o czymś minionym. 200 lat walki o niepodległość to zamknięty rozdział historii⁸⁰”. Oby miał rację! Trudno jednak zapomnieć, że podobna teza Francisa Fukuyamy o końcu historii nie sprawdziła się i na naszych oczach legła pod gruzami dwóch wież w Nowym Yorku. Nie można – niestety – wykluczyć, że nadejdą czasy, w których program niepodległościowy ponownie stanie się aktualny w Polsce. Jeżeli kiedyś tak by się stało, dorobek polskiej myśli niepodległościowej ostatnich 200 lat nie może być zapomniany! Moim zdaniem z całego tego dorobku najbardziej aktualna będzie koncepcja wypracowana i sprawdzona przez Konfederację Polski Niepodległej – koncepcja walki bez użycia przemocy, rewolucji bez rewolucji.

Warto jednak pamiętać, że Piłsudski może być inspiracją także dla tych Polaków, którzy żyją w Polsce niepodległej. Jak przekonuje bowiem książka Furdyny i Rodzika „Czytaliśmy Piłsudskiego” możemy znaleźć u Marszałka wiele wskazówek o charakterze uniwersalnym. Dotyczą one przede wszystkim postawy intelektualnej.

„[Piłsudski] rozumiał zresztą – co dziś warto podkreślać – że wstrzymywanie się od czytania książek głoszących odmienne poglądy świadczy nie o wierności własnym przekonaniom, tylko o ubóstwie umysłowym⁸¹”.

„Wyszkolenie instytucjonalne czy formalne na ogół nie wystarcza. Najważniejsze jest samokształcenie: nastawienie na pogłębione zdobywanie wiedzy i wykorzystywanie jej chociażby w teoretycznych rozważaniach. Piłsudski uczył się całe życie, a czytając nawet suche wojskowe raporty, był w stanie zrozumieć więcej i sięgnąć myślą dalej niż inni. Stąd jego odwoływanie się do >>zwyczajnej pracy myśli<<. Przez całe życie usiłował intelektualnie i realnie rozwiązywać dwie kwadratury koła: jak odzyskać teoretycznie i politycznie niemożliwą do uzyskania niepodległość oraz jak zapewnić przetrwanie państwu, do którego całkowitego zniszczenia dąży dwaj potężniejsi i agresywni sąsiedzi⁸²”.

Moczulski kilkakrotnie podkreśla ścisły związek między działalnością nie-

⁸⁰ M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego...*, s. 331.

⁸¹ *Tamże*, s. 17.

⁸² *Tamże*, s. 107.

podległościową a pracą intelektualną. „Polska doktryna powstańcza wyróżniała się na tle wszystkich innych wysokim poziomem intelektualnym. Nic dziwnego. Odzyskanie niepodległości, zabranej przez trzy wielkie mocarstwa wydawało się niemożliwe. Mierząc siły na zamiary trzeba było stworzyć głęboko przemyślany program działania. Wszelkie łatwizny paliły się natychmiast⁸³”.

Cała książka jest świadectwem tego, co u Moczulskiego, jako polityka, jest najcenniejsze, a co zostało zaczerpnięte z Piłsudskiego – intelektualnego podejścia do polityki. To cecha, której brakuje niemal wszystkim współczesnym politykom, nie tylko zresztą w Polsce.

Moczulski przywiązuje dużą wagę do tego, co się czyta, zwłaszcza za młodu. Uważa, że treść i poziom owych lektur ma decydujący wpływ na całe późniejsze życie człowieka.

„Dobra połowa bojowców z PPS, poczynając od robotnika Stefana Okrzei, a prawie wszyscy strzelcy – młodzież nieskrywająca swych lewicowych przekonań, zaczytywali się w tych tomach [mowa o Trylogii Sienkiewicza]⁸⁴”.

„Można powiedzieć, że jego [Churchilla] los intelektualny potoczył się podobnie, jak w przypadku Hitlera, który również przeczytał swoją wiedeńską miejską bibliotekę dzielnicową, gdzie znajdowały się przede wszystkim partyjne materiały propagandowe [...]. Lektury Churchilla [w wojskowej bibliotece pułkowej na południu Indii] były na nieporównywalnie wyższym poziomie i zadecydowały o całym jego życiu⁸⁵”.

Leszek Moczulski wypowiada się także o lekturach niezwiązanych z polityką czy historią. Bliskie jest mi jego streszczenie najwybitniejszej polskiej powieści XIX wieku – „Lalki”. Nie ukrywam, że i dla mnie Wokulski był postacią negatywną a sposób przedstawiania tej postaci w szkole wydawał mi się nietrafiony. „Pojawił się nowy bohater: przegrany powstaniec styczniowy (później sparodiowany i rzucony na śmietnik w >>Popiele i diamencie<<). Po duchowym przełomie podjął pracę w sklepie, ożenił się z wdową po pryncypale, podczas wojny tureckiej zbił majątek na dostawach dla skorumpowanej armii

⁸³ *Tamże*, s. 77.

⁸⁴ *Tamże*, s. 17.

⁸⁵ *Tamże*, s. 222.

carskiej, z jakimś księciem inicjował przedsięwzięcia bankowe czy przemysłowe – wszystko dla pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy; zniszczyła go miłość do kobiety, która nie była go warta⁸⁶”. Moim zdaniem – trafna ocena!

Moczulski ostro wypowiada się przeciwko pozytywizmowi, który w sposób uproszczony postrzegał rzeczywistość. Wedle pozytywistów: „Romantycy snuli piękne marzenia, ale bardzo drogo płać za to naród. Pozytywiści nie fantazjowali, twardo stąpali po ziemi, wiedzieli, że chcą tylko tego, co dozwolone⁸⁷”.

Ta pozytywistyczna krytyka romantyzmu była kontynuowana w czasach PRL. Szczególnie „zasługi” w tym względzie miała Maria Janion. „Pewna pani, ceniona w PRL-u, a odznaczona w III Rzeczypospolitej, z uniesień poetyckich wyprowadziła wnioski polityczne – słuszne, bo naukowe” – kpi Moczulski. „Mesjanizm, apoteoza klęski, mistyczna wartość cierpień narodowych – oto, co prowadziło bezrozumnych Polaków. Wprawdzie Tadeusz Kościuszko nie był pielgrzymem, Józef Poniatowski nie czytał *Króla-Ducha*, Piotr Wysocki nigdy nie miał w reku trzeciej części *Dziadów* [...]. Z całej plejady wybitnych przywódców niepodległościowych i powstańczych, chyba tylko jeden Józef Piłsudski znał doskonale poezję romantyczną i był pod jej przemożnym wpływem. Może dlatego potrafił osiągać rezultaty zgodnie uznawane przez nie-romantyków za niemożliwe⁸⁸”.

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem opinię Leszka Moczulskiego na temat relacji między politykiem a ideologią. „Politykę możemy traktować jako misję, dążenie do osiągnięcia jakiegoś celu [...], a doktryna polityczna czy ideologiczna staje się narzędziem działania⁸⁹”. Na przykładzie Piłsudskiego i Dmowskiego Moczulski rozwija swoją koncepcję instrumentalnego znaczenia doktryn w życiu polityków. Omawia szczegółowo elementy życia gospodarczego i społecznego na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego u schyłku XIX wieku, po czym stwierdza: „W takiej skomplikowanej i ustawicznie przeobrażającej się rzeczywistości działali Piłsudski i Dmowski [...]. Jeśli nawet odwoływali się do teoretycznych doktryn i korzystali z podawanych przez nie argumentów,

⁸⁶ *Tamże*, s. 24.

⁸⁷ *Tamże*, s. 24.

⁸⁸ *Tamże*, s. 24.

⁸⁹ *Tamże*, s. 18.

to decydującym punktem odniesienia były elementy realnego chaosu. Każdy wybierał z niego to, co uważał za najważniejsze⁹⁰”.

W ogóle stosunek Moczulskiego do ideologii wydaje się być mało entuzjastyczny. Widać to w sposobie, w jaki podsumowuje ewolucję myśli liberalnej. „Tak jak wszystko, doktryny polityczne, ideologie, przekonania starzeją się, lecz nie chcą umierać. Gilotynujący jakobini zrodzili partię radykalną, potężną w wieku XIX, postulującą skrajne reformy. Po paru pokoleniach wygaś jednak burzycielski zapał, zamarała myśl. Pozostali partią burżuazji, ongiś upośledzonej, a z czasem zwycięskiej. Dopasowali się do nowej sytuacji, radykalizm przepoczwarczając w liberalizm – najpierw gospodarczy, później polityczny, a końcu seksualny”⁹¹.

Dla badacza historii cenne mogą okazać się uwagi metodologiczne, formułowane przez Moczulskiego. Przykładowo – podkreśla on znaczenie wniosko-owania opartego na analizie późniejszych wydarzeń: „Jeśli w oficjalnych dokumentach nie jest zapisana jakaś decyzja, nie jest to dowodem, że jej nie było. Od braku zapisu ważniejsze jest następstwo zdarzeń⁹²”. „Obserwowana z bliska historia wydaje się przypadkowym zlepkiem wydarzeń: niektóre są straszne, inne wspaniałe, każde widzimy oddzielnie [...]. Dopiero gdy rozpatrujemy je w długich sekwencjach, zaczynają się układać w logiczne ciągi⁹³”. Podkreśla także znaczenie wiedzy ogólnej badacza, co dziś wydaje się nieoczywiste – „Do źródła może dotrzeć każdy, na jego podstawie wyciągnąć jakieś wnioski. Jednak, aby wyciągnąć wnioski mające wartość naukową, trzeba m.in. dysponować jeszcze wystarczająco dużą wiedzą poza źródłową, nazywana często ogólną. Wynika ona nie z własnych badań, lecz z osiągniętego stanu wiedzy. Bez niej trudno jest dany przekaz właściwie odczytać i zrozumieć⁹⁴”.

Nie brakuje też fragmentów o lżejszej wadze. Przykładowo – „O oficerach kawalerii mówiono, że nie muszą być mądrzejsi od swojego konia”⁹⁵.

⁹⁰ *Tamże*, s. 33.

⁹¹ *Tamże*, s. 16–17.

⁹² *Tamże*, s. 143.

⁹³ *Tamże*, s. 320.

⁹⁴ *Tamże*, s. 157.

⁹⁵ *Tamże*, s. 222.

Dominuje jednak poważne podejście do tematu i wyciąganie ciekawych wniosków nawet na podstawie bardzo nieoczywistych przesłanek. „W okresie międzywojennym prawie nie istniało zjawisko domagania się odszkodowań za straty poniesione z rąk zaborcy; rodziny, które utraciły majątki jako karę za działania niepodległościowe, w pojedynczych tylko przypadkach występowały o ich zwrot. Za poniżej honoru uważano domaganie się odszkodowania, gdyż koszt ich ponosiliby nie sprawcy, lecz obecne społeczeństwo. Świadomość postpańszczyźniana nie zna jednak pojęcia honoru”⁹⁶. To poważne oskarżenie, sformułowane nie wprost wobec postaw wielu dzisiejszych kombatanów „Solidarności”. Warto przypomnieć, że sam Moczulski, mimo iż spędził w więzieniach PRL około 10 lat nigdy nie wpadł na pomysł, aby domagać się odszkodowania za lata więzienia. Będąc już w wieku emerytalnym zrobił doktorat i habilitację i – mimo okresu nieskładkowego obejmującego wszystkie lata działalności opozycyjnej (1977-1991) – będąc już grubo po „siedemdziesiątce” wypracował sobie w wolnej Polsce prawo do emerytury.

Gdy mówimy o znaczeniu lektur w życiu człowieka i konieczności pracy nad sobą, jest dobra okazja aby podkreślić rolę autorów książki, młodszych od swego rozmówcy o dwa pokolenia. Okazali się oni dla Moczulskiego partnerami w tych trudnych rozmowach o rozległej tematyce i to partnerami wymagającymi. Książka bardzo na tym zyskuje. Moczulski respektuje to partnerstwo swych interlokutorów i w sposób bardzo staranny odpowiada na pytania, czy też wdaje się w polemiki. Długie monologi zdarzają się rzadko, co korzystnie wpływa na płynność lektury.

Oczywiście łatwo zauważyć, że nie wszystkie tematy wydają się Marcinowi Furdynie i Markowi Rodzikowi jednakowo interesujące. Główny obszar ich zainteresowań to, jak się zdaje, okres międzywojenny. Prawdopodobnie z tego powodu rozmowy poświęcone temu okresowi są najobszerniejsze. Mniej serca mają oni – jak się wydaje – dla okresu obejmującego lata działalności opozy-

⁹⁶ *Tamże*, s. 13.

cyjnej Moczulskiego. Z tych też powodów rozmowa poświęcona tym latom jest najkrótsza i – prawdę mówiąc – pozostawiła u mnie wrażenie niedosytu.

Mówiąc o Międzymorzu Leszek Moczulski prostuje pewien błąd, który – przyznaję – i ja popełniałem. Mianowicie tłumaczy czym różni się koncepcja Międzymorza od koncepcji głoszonej przez Giedroycia i paryską „Kulturę”. „Dziś zapomina się, że Giedroyc wymieniał w jednym szeregu Litwę, Białoruś, Ukrainę – i Rosję. Jeżeli obóz socjalistyczny miał się demokratyzować, to demokratyzować musi się również Rosja. Giedroyc nie odtwarzał koncepcji integracyjnej Piłsudskiego, ale dopasował ją do sytuacji międzynarodowej z lat 50. i 60., a potem się tego trzymał⁹⁷”.

Moczulski szczegółowo przedstawia przesłanki, na których opierał się Piłsudski formułując założenia tej koncepcji oraz wyjaśnia, dlaczego nie udało się jej zrealizować w okresie międzywojennym. W obecnej postaci koncepcja Międzymorza powstała już po śmierci Marszałka. Moczulski nie przypisuje sobie jej autorstwa. „To była nie tyle koncepcja samego KPN-u, co środowisk piłsudczykowskich, wyrosła z przedstawionej wyżej myśli Piłsudskiego, sformułowana jeszcze podczas II wojny światowej, a następnie zmodernizowana⁹⁸”.

Korzyści z realizacji tej koncepcji, to „wzrost rangi ekonomicznej, politycznej i militarnej” państw uczestniczących w integracji.

Zasięg geograficzny integracji to „historyczne ziemie integracyjne”, czyli państwa powstałe na terenach I Rzeczypospolitej. Jednak integracja w ramach Międzymorza „powinna [...] być otwarta na południe”. Moczulski nie dopowiada, czy owo „południe” to tylko Węgry, czy także Czechy, Słowacja i ewentualnie Austria. A może także państwa leżące na Półwyspie Bałkańskim? „Możliwości są alternatywne: albo integracja całej strefy ABC, albo oddzielnie części północnej i południowej⁹⁹”. Jedno jest pewne – integracja Międzymorza nie dotyczy Rosji.

⁹⁷ *Tamże*, s. 329.

⁹⁸ *Tamże*, s. 349.

⁹⁹ *Tamże*, s. 353.

Obecny sens realizacji koncepcji Międzymorza Moczulski tłumaczy w kontekście nieuchronnej reformy Unii Europejskiej¹⁰⁰ (o czym dzisiaj wszyscy mówią, ale nikt nie potrafi wyjaśnić, na czym ta reforma miałaby polegać).

Otóż według Moczulskiego w ramach Unii musi powstać szczebel pośredni między Unią a państwami narodowymi. Zwraca uwagę na to, że takie bloki państw w ramach Unii już istnieją. Obejmują one nie tylko państwa należące do Unii, ale także państwa znajdujące się poza Unią. Przykładowo – blok nordycki, czy skandynawski, w ramach którego Szwecja i Dania integrują się z Norwegią i Islandią. Inny blok obejmuje Unię Śródziemnomorską a Portugalia integruje się z Brazylią, zaś Hiszpania – z resztą Ameryki Łacińskiej. Zdaniem Moczulskiego na podobnej zasadzie może i powinien powstać blok państw Międzymorza (ew. dwa bloki, obejmujące część północną i część południową strefy ABC) w ramach którego, obok państw należących do Unii, integrowałyby się państwa pozostające na razie poza UE (Białoruś i Ukraina). „Nie czekając na decyzje Brukseli, jesteśmy w stanie zintegrować się z Ukrainą w takim rozmiarze, jak to ma miejsce pomiędzy Szwecją i Norwegią. A znacznie łatwiej i szybciej – z Litwą oraz pozostałymi krajami bałtyckimi¹⁰¹”.

W ten sposób realizacja idei Międzymorza służy nie tylko wzrostowi znaczenia Polski i innych krajów naszego regionu i zapewnieniu im bezpieczeństwa, ale jest bezpośrednio związana z reformą Unii Europejskiej. Moczulski jednoznacznie wypowiada się przeciwko centralizacji Unii oraz za oparciem się w ramach Unii na państwach narodowych. „Warunkiem istnienia Unii Europejskiej jest suwerenność każdego państwa, ale w jak najbliższym związku z pozostałymi [...]. Europa rzeczywiście zmierza do integracji państwowej i narodowej, lecz jest to droga bardzo długa – wydłużana jeszcze przez wszystkie próby przyspieszenia¹⁰²”.

Takimi rozważaniami na temat przyszłości Polski w Unii Europejskiej kończy się ta fascynująca książka, którą rozpoczynają obszerne analizy o polskim

¹⁰⁰ Więcej o poglądach Leszka Moczulskiego na temat Unii Europejskiej można znaleźć w jego książce *Europa Ojczyzn 2004. Geopolityka, gospodarka, cywilizacja*. Warszawa 2003.

¹⁰¹ M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego...*, s. 355.

¹⁰² *Tamże*, s. 351-352.

społeczeństwie w wieku XIX. Długa droga przez ponad sto lat naszej historii, którą odbywamy dzięki Marcinowi Furdynie i Markowi Rodzikowi mając za przewodnika Leszka Moczulskiego. Odbywamy ją, cały czas „czytając Piłsudskiego”.

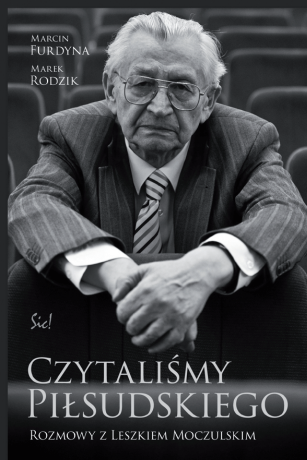
Słuchając wywodów Leszka Moczulskiego mamy wrażenie, że uczestniczył on osobiście w wydarzeniach, o których opowiada. To rzadki dar. Gdy w latach 60. opisywał niektóre epizody z kampanii wrześniowej, dostawał listy od uczestników tamtych wydarzeń, którzy byli przekonani, że i on brał w nich udział. „Tak na nich patrzę, jakbym ich znał wiele lat, był z nimi wszędzie. W historii to, co przeżywam głęboko, jest dla mnie współczesnością. Dlatego ten okres dzieje się równocześnie z czasem mego zegarka. A wówczas tamci ludzie zaczynają dla mnie żyć...”¹⁰³.

Zachęcam do samodzielnej lektury całości, która jest wspaniałą intelektualną przygodą!

¹⁰³ Andrzej Mularczyk, *Co się komu śni*, Warszawa 1969, s. 162–163.

Czytaliśmy Piłsudskiego Rozmowy z Leszkiem Moczulskim

Marcin Furdyna, Marek Rodzik



Wywiad-rzeka z prof. Leszkiem Moczulskim
Istotny głos w dyskusji o historii najnowszej
Odważne, nowatorskie tezy i hipotezy

Sic!

Szukaj w dobrych księgarniach oraz w sklepie internetowym Wydawnictwa Sic!
(wszystkie tytuły 20% taniej): www.wydawnictwo-sic.com.pl

NIC DWA RAZY SIĘ NIE ZDARZA – CZYLI RECENZJA „NO FUTURE! HISTORIA KRAKOWSKIEJ FMW”.

Znane jest powiedzenie *Nic dwa razy się nie zdarza* – rzeczywistość jednak czasem zadaje kłam temu stwierdzeniu. Tak właśnie stało się w przypadku „No future! Historia Krakowskiej FMW”. To prawie niemożliwe, ale duet Gawlikowski i Lewandowski znów to zrobił. Napisał świetną książkę o historii najnowszej! Bardzo lubię czytać o historii, lubię gdy książka jest długa i bogata w fakty, ale także gdy jest po prostu dobrze napisana. Wielu autorów to obiecuje, wiele książek wygląda obiecująco – niestety ze smutkiem muszę przyznać, że najczęściej spotyka mnie zawód. Jednak zarówno tym razem, jak i poprzednio gdy sięgałem po „Gaz na ulicach” nie zawiodłem się.

Pomimo swej objętości (blisko 1100 stron!) książka, a w zasadzie książki, bo można by rzec, tradycyjnie już jest to dwu tomowe wydanie, bardzo szybko się czyta. I to jest powód, dla którego zarówno format, jak i solidna oprawa w tym wypadku się bronią, albowiem zazwyczaj jestem zwolennikiem miękkich okładek i zeszytowych formatów. Lubię móc czytać książkę wszędzie, szczególnie w podróży, także tej codziennej do pracy i do domu. Dlatego zazwyczaj unikam wszelkich opasłych jednatomowych wydań w solidnych oprawach.

Nie wiem czy zabieg podziału książki w tej proporcji 7:3 był celowy, niejako zamierzony przez autorów. Czy też wynikał ze względów technicznych, ale tak jak są czasem mecze gdzie zawodnicy grają tak pięknie, że chciało by się dogrywki – podobnie jest i tutaj. Po tych „pierwszych” 700 stronach nie ma się uczucia zmęczenia, wręcz przeciwnie chce się więcej.

Skoro już wspomniałem o oprawie, to wypada pochylić się także nad okładką – znów jest dobrze – zaskakująco intrygująco i zarazem punkowo. Widać, że to książka o buncie trafna kolorystyka i intrygująca koncepcja wykorzystania

autentycznego zdjęcia z jednej z najsłynniejszych demonstracji z grudnia 1989 roku. Śmiało można powiedzieć, że także Miłosz Łodowski znów stanął na wysokości zadania. Okładki obu tomów różnią się, ale są utrzymane w tej samej „poetyce”. Jest tu wyraźnie widoczna spójność koncepcji i śmiałość w dokonywaniu wyborów – korzystanie z autentycznych dokumentów epoki właśnie jak plakaty, czy zdjęcia, przy jednoczesnym ich odświeżeniu w postaci adaptacji na okładkę książki. No i ten punkowy róż, ma się trochę wrażenie, że to chyba nie do końca zdjęcia – może kadr z komiksu – może nawet anime (mnie akurat skojarzyło się z Naruto) – znów jest intrygująco i smakowicie. Chce się powiedzieć – oby więcej takich!

Na początku tej recenzji wspomniałem, że życie czasem płata nam figła i pewne sytuacje się powtarzają. Jednak chcąc być precyzyjnym i dokładnym – trzeba oddać honor autorom, że nie jest to czysta powtórka z rozrywki, ale wspięcie się na drabinie kompetencji o kolejny szczebel w górę. Trochę jestem w kropce, bo gdybym miał punktować jak przy poprzedniej recenzji w skali 1-10 to musiałbym się chyba złamać i dać to 10. Dlaczego? Powodów jest kilka. Choć wszystkie można by streścić w prostym schemacie, autorzy zachowali to co dobre z poprzedniej publikacji i dołożyli trochę nowego czyniąc dobre jeszcze lepszym.

Po pierwsze – książka jest dłuższa niż poprzednia, a jednak nadal bardzo dobrze się ją czyta. Styl jest świetnie dobrany, czytelnik ma wrażenie pełnej interakcji bycia w centrum opisywanych wydarzeń. Jest tak dzięki znanemu już zabiegowi częstego oddawania głosu świadkom wydarzeń w postaci dłuższych wypowiedzi, czy to wywiadów, czy przytoczeniu jakiegoś dokumentu.

Po drugie – pojawiły się przypisy i trzeba przyznać, że jest ich sporo. Podwyższa to zdecydowanie rangę książki jako pełnoprawnej publikacji naukowej. Na całe szczęście autorzy oparli się zgubnej manierze takiego nagromadzenia odsyłaczy, że w swym rozwinięciu zaczynają one stanowić konkurencję dla głównej treści książki. Bardzo podoba mi się również zabieg ograniczenia ciągłości numeracji do jednego rozdziału. Słowem jest tak jak być powinno książka nie straszy przypisami, a nic im zarzucić nie można. Swoją drogą polecałbym to uwadze wielu uczestników seminariów licencjackich, magisterskich, czy nawet doktorskich – chcecie robić dobre przypisy – zajrzyjcie do „No future!”

Po trzecie – sam sposób podziału treści na rozdziały i podrozdziały. Też już mechanizm dobrze znany, ale jednak ulepszony. Z jednej strony bardzo logiczny i ułatwiający odnalezienie się w treści książki, z drugiej wyróżniony graficznie w dyskretny sposób adekwatnie już do publikacji naukowej.

Po czwarte – muzyka. Można zdziwić się, ale jest jej w książce naprawdę sporo. Nie tylko w postaci cytatów z tekstów piosenek umieszczonych na początku rozdziałów, ale także w środku tekstu pisanego autorzy umiejętnie potrafią wpleść nawet i dłuższy fragment dla podkreślenia nastroju jaki wówczas panował wśród federatów. To znów powtórzenie zabiegu skrócenia dystansu i wejścia czy nawet wciągnięcia czytelnika do środka opisywanych wydarzeń. A młodszych czytelników może i zainspiruje do przesłuchania, chociaż kilku kawałków – łatwo je znaleźć w Internecie.

Po piąte – zdjęcia. Znowu dobrze znany zabieg – są integralną częścią tekstu, nie przeszkadzają, nie rozpraszają – dobrze dobrane i zgrane z tym co się wyłania ze słowa pisanego w danym fragmencie lektury. Także dobrze opracowane graficznie przedruki antysystemowej małej poligrafii szkolnej, ale także i mapki z akt IPN dotyczących tzw. „zabezpieczenia porządku publicznego”. Słowem ma się wrażenie, że zdjęć i grafiki jest więcej i że jest to z korzyścią dla książki.

Po szóste – zdrowy stosunek do dokumentów z IPN, czyli akt SB. Ale tu już oddam głos samym autorom:

„Historycy lubiący teorie spiskowe mają skłonność do wyciągania pochopnych wniosków z faktu intensywnej inwigilacji jakiegoś środowiska przez SB, Zgodnie z taką interpretacją intensywna inwigilacja, zwłaszcza w połączeniu z prowadzeniem przez dane środowisko aktywnych działań, uzasadnia hipotezę, że wszystko odbywało się za przyzwoleniem SB, a może nawet z jej inspiracji.

W naszym przekonaniu jest odwrotnie. Intensywna inwigilacja świadczy o tym, że dane środowisko jest postrzegane przez SB jako duże zagrożenie (w przypadku krakowskiej FMW było tak od wiosny 1987 r.), a prowadzenie aktywnej działalności mimo takiej inwigilacji jest powodem do dumy a nie do wstydu.”

Po siódme – utrzymanie dobrego zwyczaju załączenia klasycznego spisu tre-

ści na końcu każdego tomu, niby mała rzecz, a cieszy. Bardzo ułatwia to pracę z książką, gdy chce się znaleźć szukany fragment. Tym bardziej, że w tytułach poszczególnych rozdziałów zawarto datację okresu jakiego one dotyczą.

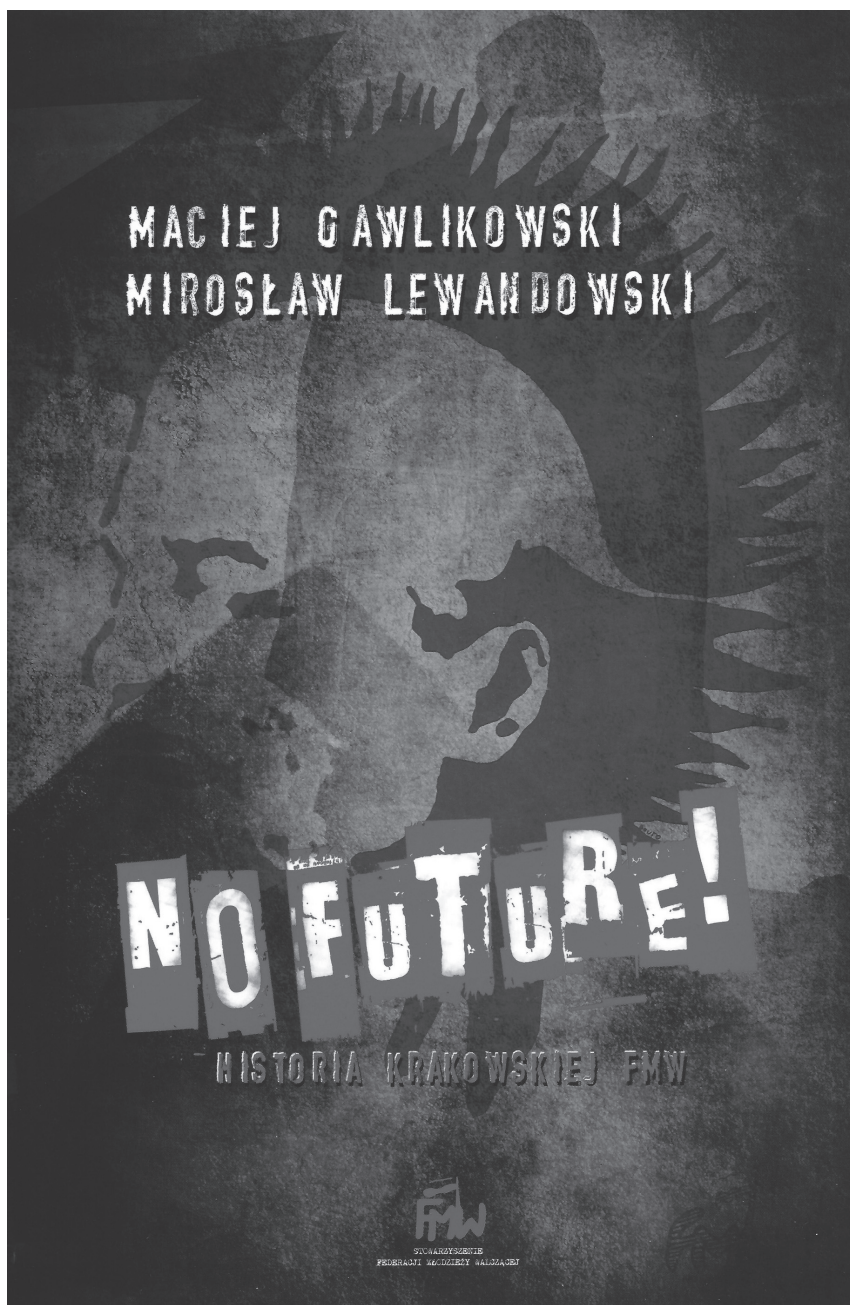
Po ósme – zamieszczenie bardzo dokładnego kalendarium na końcu książki. Też zabieg znany z poprzedniej publikacji, pozwala ułożyć sobie całą tę opowiedzianą historię w sposób chronologiczny. Znów aż się prosi o apel do zawodowych historyków by tak konstruować publikacje – daje to możliwość dużo lepszego uporządkowania i przyswojenia zdobytej wiedzy.

Po dziewiąte – znów mocnym punktem książki Gawlikowskiego i Lewandowskiego jest bibliografia. Kolejny raz imponuje liczba przeprowadzonych wywiadów, która idealnie balansuje źródła w postaci dokumentów ze zbiorów archiwum IPN. Zdecydowanie wybija to z ręki potencjalnych krytyków argument, o pisaniu książek o historii najnowszej w oparciu o bezpieczniackie papiery. Dla młodszego pokolenia szczególnie interesujący może być również wykaz materiałów dostępnych on-line.

Po dziesiąte – zaczyna się jak u Hitchcocka. Od trzęsienia ziemi – choć tu konkretne akurat od rozróby o Lenina, którego broni „pierwszy niekomunistyczny premier”. Potem jest jeszcze ciekawiej pojawia się Maleszka, nawrócony oficer ZOMO, sprawa ks. Popiełuszki, gry operacyjne SB wokół jednego z liderów FMW. Więcej nie będę zdradzać z tego potoku wrażeń i emocji, dość powiedzieć, że całość kończy się okupacją gmachu KW PZPR i jego odbiciem, a to tylko smaczki z tomu pierwszego. O drugim nie powiem Wam nic by wzbudzić większą ciekawość – powiem tylko, że warto i ma się chęć kontynuacji lektury. Trzeba jednak powiedzieć również, że jest bardzo merytorycznie – naprawdę, niemal każdy aspekt dziejów krakowskiej FMW został tu naświetlony, zresztą jest też spora wzmianka o grupach z poza dawnej stolicy. Na pewno po lekturze tej książki postać Bogdana Włosika – przestanie być anonimowym imieniem i nazwiskiem dla młodszego pokolenia, a także ku może zaskoczeniu niektórych, podczas lektury natrafimy na dobrze znane nazwiska ze świata mediów czy polityki.

To wszystko ze sobą świetnie współgra – forma i treść, tworząc pozycję nie boję się tego słowa napisać – kompletną – pod każdym względem. Być może dane nam jest obserwować pojawienie się świetnego tandemu autorskiego na

rynku książki historycznej. I co najważniejsze zespół Gawlikowski i Lewandowski nie boi się pisać o historii najnowszej, nawet jeśli w pewnej mierze sami byli jej świadkami czy uczestnikami. Śmiało sięgają po nowe jak i sprawdzone formy i metody prezentacji wiedzy historycznej. Zdecydowanie pokazując, że epoka grubych ksiąg w twardych oprawach wcale nie minęła i że książka historyczna ma się dobrze w swej kondycji przy tak silnej konkurencji ze strony różnych projektów multimedialnych. Można powiedzieć, że Gawlikowski i Lewandowski, w swej drugiej książce warsztatowo wydorośleli i dali pełnokrwistą publikację naukową, choć podaną w bardzo przystępny sposób. Ujmując sprawę krótko choć paradoksalnie „No future!” – ma przyszłość przed sobą – jej autorzy także.



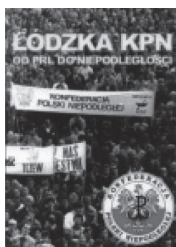
POZYCJE
WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



JAK Z PIERWSZEJ BRYGADY
Biografia Andrzeja Ostoja - Owsianego
autorstwa Łukasza Perzyny



POETA NA URZĘDZIE
Biografia Tomasza Merty
autorstwa Łukasza Perzyny i Beaty Mikluszki



ŁÓDZKA KPN. OD PRL DO NIEPODLEGŁOŚCI
Historia łódzkiej KPN
autorstwa Karola Chylaka i Marka Michalika



SKRZYPEK. JEDEN Z POKOLENIA NIEPOKORNYCH
Biografia polityczna Sławomira Skrzypka
autorstwa Sebastiana Reńcy

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl